

# Diaboliyczny Lord

Foley Gaelen



calibre 0.9.27

# **GAELEN FOLEY**

## ***DIABOLICZNY LORD***

Przekład

Maria Wojtowicz

*Jakiś potwór tu nadchodzi...*

*Makbet*

akt IV, scena 1, przekład Józefa Paszkowskiego

*Londyn 1814*

Cienie wokół wysubtelniały i uwypukliły wyrazisty profil Luciena, gdy spoglądał na zatłoczoną salę balową z wyżyn mrocznej galerii. Jego wysoka wytworna postać w migotliwym blasku płonącej w kinkiecie świecy zdawała się to znikać, to znów się materializować - jakby nie był człowiekiem, lecz zjawą. Rozedrgane światło tworzyło refleksy w kruczoczarnych włosach i podkreślało czujny, przebiegły wyraz srebrzystych oczu. Cierpliwości. Wszystko przebiega zgodnie z planem. Ostateczny rezultat zależy przede wszystkim od umiejętnego przygotowania, on zaś opracował wszystko niezwykle skrupulatnie.

Pogrążony w zadumie lord Lucien Knight podniósł do ust kryształowy kielich; zanim wypił łyk burgunda, rozkoszował się przez chwilę niezrównanym bukietem wina.

Nie znał jeszcze nazwisk ani twarzy swoich przeciwników, wyczuwał jednak obecność tej bandy szakali. Podkradali się blisko, coraz bliżej... Znakomicie! Był gotowy. Zastawił pułapkę, postarał się o niezawodną przynętę. Takiemu połączeniu występku i zmysłowości nie oprze się żaden szpieg!

Pozostawało już tylko uważnie obserwować i czekać.

Ciągnąca się od dwudziestu lat wojna zakończyła się wreszcie ostatniej wiosny klęską Napoleona, jego abdykacją i osadzeniem go pod strażą na Elbie, jednej z wysp Morza Śródziemnego. Teraz była już jesień i europejscy władcy zebrali się w Wiedniu, by ustalić ostatecznie warunki pokoju. Ale przecież każdy z odrobiną oleju w głowie powinien sobie uświadamiać, że póki Bonaparte nie zostanie przetransportowany w inne, lepiej strzeżone miejsce (choćby pośrodku Atlantyku), koniec wojny nie jest wcale taki pewny!

Elba leży o dwa kroki od włoskiego buta! No i nie brak tych, którym pokój wcale nie

odpowiada: albo nie widzą żadnej osobistej korzyści w przywróceniu władzy Burbonów we Francji, albo wzdychają do powrotu Napoleona. Jako jeden z asów wywiadu Korony Brytyjskiej, Lucien otrzymał od ministra spraw zagranicznych, wicehrabiego Castlereagha, wyraźne rozkazy: dopóki pokój nie zostanie ostatecznie ratyfikowany, ma nieustannie czuwać jako obserwator i obrońca ojczyznej ziemi. Nie dopuścić, by wrogie, kryjące się w cieniu siły przenikały do Anglii i wywoływały tu niepokoje i zamieszki.

Lucien wypił znów nieco wina. W jego srebrzystych oczach pojawiła się żądza walki.

Niech tylko spróbują! Odnajdzie ich, schwyta i zniszczy tak samo, jak pokonał i zlikwidował wielu innych! Nie zamierzał biernie czekać. Sam ich do siebie zwabi!

Nagle w dole pod nim rozległy się wiwaty; przez salę balową przeleciały gromkie brawa. No, no! Otóż i nasz bohater!

Lucien wychylił się z galerii, opierając łokcie o balustradę, z cynicznym uśmiechem przyglądał się jak triumfalnie wkracza na salę jego brat bliźniak - pułkownik lord Damien Knight, olśniewający w szkarłatnym mundurze, surowy i dostoyny niczym archanioł Michał, który właśnie rozprawił się ze smokiem. Blask bijący od złotych epoletów i paradnej szpady tworzył wokół niego coś w rodzaju aureoli. Nawet przysłowiowa już kamienna powaga pułkownika nie zniechęcała roju urzeczonych niewiast, gorliwych adiutantów, młodszych oficerów i wszelkiej maści pochlebców, którzy natychmiast skupili się wokół swego bożyszczka. O tak, Damien zawsze był wybrańcem losu!

Lucien pokręcił głową, karcąc samego siebie. Mimo że jego usta wygięły się w ironicznym uśmiechu, za pogardliwym spojrzeniem taił się ból. Jakby nie dość było tego, że nieustraszone męstwo na polach bitew zapewniło Damienowi sławę i zjednało mu ogólny podziw, bohaterski pułkownik niebawem miał zostać hrabią! Zaszczyt ten wynikał z ostatecznego rozstrzygnięcia zagmatwanej kwestii pochodzenia obu braci... A kto na tym

skorzystał? Oczywiście starszy z bliźniaków!

Jednakże Lucien cierpiał nie z powodu zazdrości o brata. Dręczyła go samotność. Czuł się jak dzieciak odtrącony przez najwierniejszego przyjaciela i sprzymierzeńca. Przecież tylko Damien naprawdę go rozumiał. Przez większość swego życia (mieli teraz po trzydzieści jeden lat) bliźniacy byli nierozłączni. W burzliwych latach wczesnej młodości zostali ochrzczeni przez koleżków Lucyferem i Demonem, a zatrwożone mamuśki debutantek ostrzegały swoje pociechy przed tą parą diabłów. Ale tamte beztrioskie dni wspólnych uciech i serdecznej zażyłości skończyły się raz na zawsze, gdy Lucien sprzeniewierzył się rycerskim zasadom wyznawanym przez brata.

Damien nigdy w pełni nie zaaprobował decyzji Luciena, który dwa i pół roku temu porzucił armię i dołączył do grona tajnych agentów, działających pod przykrywką funkcji dyplomatycznych. Oficerowie liniowi, tacy jak Damien, z reguły uważali szpiegów za podłe gady. Starszy z bliźniaków był urodzonym bohaterem. Każdy, kto ujrzał go w bitewnym zamęcie, z twarzą umazaną prochem i krwią, nie miał co do tego wątpliwości. Ale ów heros nie odniósłby aż tylu triumfów bez nieustannego dopływu informacji, których dostarczał mu Lucien wbrew regulaminowi i z narażeniem własnego życia. Dotyczyły one lokalizacji sił wroga, ich sprawności bojowej, liczebności oraz przewidywanej taktyki. Z pewnością cierniem w boku niezrównanego dowódcy była świadomość, że nimb jego sławy prezentowałby się znacznie skromniej, gdyby nie pomoc braciszka nędznego szpiega. To mu nie zaszkodzi! - myślał cynicznie Lucien. Nadal potrafił zręczniejsz od innych ukłuć nadętego wojennego bohatera.

- Lucien! - rozległ się za jego plecami nieco zdyszany głosik. Odwrócił się i ujrzał w drzwiach ponętą postać Caro.

- A, moja najdroższa lady Glenwood! powiedział aksamitnym głosem, wyciągając do

niej rękę.

Uśmiechnął się przy tym tajemniczo. Ciekawe, czy Damien bardzo się wścieknie?

- Wszędzie cię szukałam! Długie loki, zwisające jak u lalki po obu stronach jej uróżowanej twarzy, zakołysały się, gdy podbiegła do niego z szelestem czarnej atlasowej sukni. Uśmiechnęła się figlarnie, ukazując wdzięczną szparkę między dwoma górnymi ząbkami, wzięła go za rękę i nie zaoponowała, gdy przytulił ją mocno do siebie. - Damien już tu jest...

- Kto? mruknął z roztargnieniem, muskając wargami jej wargi. Jęknęła cichutko i stopniała w jego objęciu. Czarny atlas jej sukni ocierał się zmysłowo o biały brokat jego kamizelki. Ubiegłej nocy okrywała ich tylko nagość.

Mimo że dwudziestosiedmioletnia baronowa nosiła żałobę po zmarłym mężu, Lucien bardzo wątpił, czy przelała po nim choćby jedną łzę. Dla kobiet pokroju Caro mąż stanowił tylko zawadę w pogoni za uciechami życia. Stanik czarnej jak noc sukni był tak skąpy, że obfity biust w każdej chwili mógł wyzwolić się z tej uwięzi. W zestawieniu z czernią atlasu karnacja baronowej wydawała się jeszcze bielsza, wręcz alabastrowa. Usta natomiast dorównywały szkarłatem różom wpiętym we włosy o barwie czekolady, zaczesane do góry z wyjątkiem wspomnianych loków. Po chwili Caro z niejakim trudem przerwała pocałunek, odpychając się obiema dłońmi od piersi Luciena.

Kiedy odsunęła się od niego, spostrzegł jej triumfalną minę, zarumienione policzki i zwycięskie błyski w brunatnych jak rodzyнки oczach. Powściągnął bezczelny uśmiezek, gdy Caro z przesadnie skromną minką przesłoniła oczy rzęsami i pogładziła klapy jego czarnego fraka (był dziś w pełnej gali dyplomatycznej). Nie ulegało wątpliwości: sądziła, że dokonała tego, co nie udało się żadnej z jej rywalek - usidliła obu bliźniaków i będzie mogła teraz wygrywać jednego Knighta przeciw drugiemu dla zaspokojenia własnej próżności. Nic z tego,

moja pani, czeka cię nie lada niespodzianka!

Lucien wiedział, że nie postępuje fair, ale nie oparł się pokusie zakpienia z zarozumiałej ślicznotki. Oblizwał sugestywnie wargi, nie odrywając wzroku od Caro, po czym zerknął wymownie na tonącą w mroku ścianę galerii.

- Nikt nas tu nie zobaczy, najdroższa. Masz ochotę? Parsknęła gardłowym śmiechem.

- Ach ty... zbereźniku! Dostaniesz znacznie więcej... we właściwej porze. Teraz mam ochotę spotkać się z Damienem. Lucien uniósł brew. Grał swą rolę z ogromną wprawą.

- We trójkę?

- Właśnie. Niech wie, że nie mamy nic do ukrycia! Rzuciła mu spod rzęs przebiegłe spojrzenie i wygładziła jego biały jedwabny fular. - Musimy zachowywać się całkiem swobodnie!

- Spróbuję, *ma chérie* - mruknął.

- Doskonale! No to chodźmy. - Wzięła go pod ramię i pociągnęła w kierunku krętych schodków, prowadzących na salę balową. Szedł potulnie, co nie wróżyło nic dobrego i powinno było dać jej do myślenia. - Możesz przysiąc, że nic mu nie powiedziałeś?

- Ależ, *mon ange*, jak bym mógł powiedzieć choć słowo?

Nie uznał za stosowne wyjaśnić, że między identycznymi bliźniętami słowa nie są wcale potrzebne do wymiany informacji. Spojrzenie czy uśmiech wystarczały za całe tomy. Doprawdy strach pomyśleć, że ta rozpustna mała intrygantka o mały włos nie wydała się za Damiena! Na szczęście dla tego herosa, jego braciszek podły gad - pospieszył mu znów na ratunek i zaraz przekaże informację najwyższej wagi: Caro nie zdała egzaminu.

Lucien nachylił się do jej ucha.

- Mam nadzieję, że tak czy owak wybierzesz się ze mną do Revell Court, jak się umówiliśmy?

Rzuciła mu niespokojne spojrzenie.

- Prawdę mówiąc, kochanie... nie jestem tego pewna.

- Co takiego?! - Zatrzymał się i spojrzał na nią z gniewem. - Czemu nie? Chcę, żebyś pojechała!

Rozchyliła lekko wargi i miała taką minę, jakby jego natarczywe żądanieomal nie przyprawiło jej o orgazm. - Ach, Lucienie...

- No więc, Caro? - odparł równie nagłaco.

Istotnie zależało mu na jej obecności - z tej prostej przyczyny, że każda piękna kobieta była na wagę złota w jego superpułapce na szpiegów konkurencji.

- Nic nie rozumiesz! - powiedziała, dásajac się. - Bardzo bym chciała z tobą pojechać, tylko... Dostałam dziś list od panny Skromnisi. Pisze mi, że...

- Od kogo?! przerwał jej i popatrzył na Caro podejrzliwie.

O ile pamięć go nie myliła, tak nazywała się bohaterka jednej z klasycznych opowieści dla dzieci pióra Olivera Goldsmitha.

- Od mojej szwagierki Alice. - Caro wymówiła to imię z irytacją i lekceważaco machnęła ręką. - Może będę musiała pojechać do Glenwood Park, bo mój dzidzius jest podobno chory. Jeśli nie wrócę do domu i nie zajmę się nim, Alice urwie mi głowę! Chociaż ja się ani trochę nie znam na dzieciach - użaliła się nad sobą. - Harry nic tylko krzyczy i krzyczy!

- Jest chyba jakaś niańka? - spytał Lucien z niesmakiem.

Wiedział, że Caro ma trzyletniego synka, pamiątkę po zmarłym mężu, choć ona przeważnie o tym zapominała. Dzieciak był jednym z powodów, dla których Damien tak się nią zainteresował. Nie licząc dziwaczego instynktu opiekuńczego w stosunku do dziecka, którego na oczy nie widział, Damien pragnął żony, która już udowodniła, że potrafi rodzic



synów. Jak się jest hrabią, trzeba zadbać o spadkobiercę tytułu. Niestety Caro okazała się niegodna tego zaszczytu, ulegając z entuzjazmem uwodzicielskim zabiegom Luciena. Damien z początku będzie się ciskał, jego duma nieco na tym ucierpi, ale Lucien nie mógł przecież pozwolić, by jego brat ożenił się z kimś, kto nie darzy go bezgraniczną miłością. A kobieta godna Damiena z pewnością nie wpadłaby w jedwabne sieci jego bliźniaka!

- Oczywiście, że ma niańkę, ale Alice twierdzi, że on potrzebuje... mnie odparła wyraźnie skonsternowana Caro.

- Ale ja też cię potrzebuję, *cherie!*

Rzucił jej przymilny uśmiešek. Ciekawe, czyjego własna, nieżyjąca już matka ulegała od czasu do czasu podobnym rozterkom?

O, to dopiero był dobry numer, ta budząca powszechne zgorszenie księżna

Hawkscliffe! Nie przepuściła co najmniej połowie mężczyzn, którzy się jej nawinęli! Weźmy choćby jego i Damiena. Nie urodziła ich swemu ślubnemu mężowi, tylko kochankowi, który adorował ją wiernie przez całe lata. Potężny i tajemniczy markiz Carnarthen zmarł niedawno, pozostawiając Lucienowi większość swego majątku oraz swą osławioną willę Revell Court, położoną około dwudziestu kilometrów na południowy zachód od Bath.

Wpatrując się w Caro, Lucien uświadomił sobie nagle, czemu tak mu zależało na wybiciu bratu z głowy tego małżeństwa. To jasne: nie mógł pozwolić, by Damien ożenił się z kobietą podobną jak dwie krople wody do ich matki! Odwrócił się raptownie i ruszył korytarzem, pozostawiając Caro tam, gdzie stała.

- Rób, co chcesz! - burknął. - Wracaj do domu, do swego dzieciaka. Znajdę sobie kogoś innego.

- Ale ja naprawdę chcę z tobą pojechać! zaprotestowała i pobiegła za nim, szeleszcząc atlasową suknią.

Szedł dalej korytarzem, patrząc prosto przed siebie.

- Twój synek cię potrzebuje. Dobrze o tym wiesz.

- Wcale nie! - Zabrzmiało to tak żałośnie, że Lucien zerknął na nią z ukosa. - On mnie nawet nie zna. Kocha tylko Alice.

- Tak ci się zdaje?

- Nic mi się nie zdaje, to prawda. Nie nadaję się na matkę!

Lucien pokręcił niecierpliwie głową i westchnął z irytacją. Jeśli Caro woli się okłamywać, to w końcu nie jego interes.

- No to chodź. Damien czeka!

Podał jej ramię i sprowadził na salę balową, gdzie miał się rozstrzygnąć jej los.

Rozświetlona blaskiem kryształowych żyrandoli wielka sala sprawiała wrażenie całkiem wytwornego wnętrza na tych, którzy nie znali niczego lepszego. Lucienowi jednak wystarczyło spojrzeć na marmurową posadzkę w czarne i białe kwadraty, przypominającą gigantyczną szachownicę. Uważnie obserwował zebrany na sali tłum, nie wypadając z roli dekadenta i sybaryty, którą opracował do perfekcji. Zmysły miał wyostrzone, gdyż w każdej chwili coś mogło wprawić w ruch jego system alarmowy. Ponieważ nic nie było oczywiste, świadomie narzucił sobie sposób reagowania zbliżony do objawów manii prześladowczej: nie wierzył niczemu i nikomu. Wiedział z doświadczenia, że większość najbardziej groźnych i zdradzieckich wrogów wygląda pospolicie, niczym nie wyróżnia się z otoczenia. Dziwolągi były zazwyczaj nieszkodliwe. Prawdę mówiąc, Lucien miał pewną słabość do tych, którzy nie dawali się wcisnąć w żelazną, ujednolicającą formę obowiązujących reguł. Owe znajomości z różnymi odmieńcami, wykpiwanymi i wyobcowanymi z racji swych nietypowych upodobań, z urodzonymi buntownikami, z geniuszami - abnegatami, z ekscentrykami wszelkiego kalibru były przydatne do jego celów. Całe to bractwo witało go teraz

ukradkowym skinieniem głowy, będącym dowodem najwyższego szacunku.

No, no! Moje pupilki nie mogą się doczekać, kiedy wrócą znów do Revell Court, żeby zaszaleć! - pomyślał Lucien, przyjmując te dyskretne hołdy ze zblazowanym uśmiechem.

Mrugnął do mocno wymalowanej damy, która pozdrawiała go zza rozłożonego wachlarza.

- Wasza diabelska mość... - szepnęła z niedwuznaczną zachętą w głosie. Lucien w odpowiedzi lekko skłonił głowę.

- *Bon soir, madame.* - Dostrzegł, że Caro wpatruje się weń jak zafascynowana, lekko rozchyliwszy wargi. - O czym tak dumasz, kochanie?

Baronowa zmierzyła wzrokiem odziane w aksamity podejrzone typki, które kłaniały się Lucienowi, po czym spojrzała mu w oczy z chytrym uśmiechem.

- Zastanawiałam się, jaką minę zrobiłaby na twój widok panna Skromnisia!

Ciekawam, czy zdołałbyś zdeprawować to niewiniątko?

- Zabierz ją kiedyś ze sobą Zrobię, co w mej mocy. Uśmiechnęła się wzgardliwie.

- Pewnie by zemdląła, świętoszka, gdybyś na nią lubieżnie zerknął!

- Takie z niej dziecko?

- Żadne dziecko: ma dwadzieścia jeden lat. - Caro się zastanowiła. - Wątpię, czy nawet ty zdobyłbyś tę fortecę. Dajmy temu spokój!

Spojrzał na nią spode łba.

- No, zrób mi tę przyjemność!

Caro wzruszyła ramionami, jej usta wygięły się w szyderskim uśmiechu.

- Czy to warto, mój drogi? Tyle zachodu! Alice jest tak cnotliwa jak ty jesteś niecnotliwy.

Uniósł brew i przez chwilę rozważał sprawę. Uznał, że warto ciągnąć dalej ten temat: był wyraźnie zaintrygowany.

- Naprawdę taki z niej ideał?

- Jeszcze jaki! Aż mnie mdli, gdy o tym myślę prawie najcichszym szeptem,

wymieniając równocześnie ukłony ze znajomymi. Nie plotkuje. Nie kłamie. Nie da powiedzieć marnego słowa o najgorszym czupiradle. Nie ma w sobie za grosz próżności. A co niedziela, jak w zegarku, łązi do kościoła.

Jak możesz wytrzymać z takim potworem?! Przyjmij moje najszczerze kondolencje!

Jak się nazywa ten okaz? - rzucił lekko. - Chyba wspomniałaś, ale...

Alice.

Alice... i co dalej?

Montague. Młodsza siostrzyczka mego biednego Glenwooda. - Alice Montague -

powtórzył z zadumą w głosie. Baronówna. Cnotliwa. Niezameżna. Dobrze sobie radzi z dzieckiem. W sam raz na żonę dla Damiena! - A ładna?

- Można wytrzymać - odparła Caro obojętnym głosem, unikając jego wzroku.

- Aha! - Zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem i oczy mu się roześmiały na widok zazdrości, wyraźnie wypisanej na ślicznej buzi baronowej. - A ja bym to wytrzymał, jak myślisz?

Spiorunowała go wzrokiem i odmówiła odpowiedzi.

- No, przygotuj mnie na najgorsze!

- Nawet o niej nie myśl!

- Pytam z pustej ciekawości. Jakie ma oczy?

Zignorowała pytanie, wymieniając ukłon z jakąś damą w turbanie z piórkami.

- Ależ, Caro! - szepnął żartobliwie. - Czyżbyś była zazdrosna o to przesłodzone niewiniątko?!

- Nie pleć bzdur!

- Więc o co ci chodzi? nalegał. - Powiedz mi, jakiego koloru oczy ma ta twoja Alice.

- Niebieskie! warknęła. - Ale bez wyrazu!

- A włosy?

- Blond... Rude... Sama nie wiem. Kogo to obchodzi?

- Mnie. Ot, taki kaprys. Miejże trochę wyrozumiałości!

- Ależ z ciebie męczydusza!... No, muszę przyznać, że włosy to główna ozdoba Alice.

Sięgają jej do pasa i są... złotorude, tak byś to pewnie określił powiedziała niechętnie. - Ale

pełno w nich zawsze okruchów bułeczki, sucharka, tego co dzidzius akurat je na śniadanie.

Brrr... obrzydliwe! Mówiłam jej setki razy, że taka fryzura a la Rapunzel □ dawno już wyszła z

mody, ale Alice nie zwraca na mnie uwagi. Lubi rozpuszczone włosy, i tyle! No co, masz już

dość?

- Wydaje się rozkoszna szepnął jej do ucha. Może zabrałbym ją do Revell Court

zamiast ciebie?

Caro odskoczyła rozzłoszczona i trzepnęła go wachlarzem z czarnej koronki. Lucien

nadal śmiał się, rozbawiony jej wybuchem, gdy dotarli do grupy wojaków w szkarłatnych

kurtkach.

- Proszę spojrzeć, lady Glenwood - odezwał się żywo Lucien z wyraźną ironią. - Otóż

i mój kochany braciszek! Serwus, Demon. Zobacz, kogo ci przyprowadziłem!

Wsunął ręce w kieszenie czarnych spodni i zakołysał się na obcasach. Z cynicznym

uśmiechem na wargach czekał na dalszy rozwój wypadków.

Towarzyszący Damienowi oficerowie obrzucili Luciena pogardliwym spojrzeniem,

pożegnali się po cichu z pułkownikiem i oddalili, zapewne z obawy o swój cenny honor, żeby

nie splamić go nawet przelotnym kontaktem z tak podłym gadem. Bohater o twarzy

□ Bohaterka jednej z baśni braci Grimmów, uwięziona w wieży; miała tak długie i gęste włosy, że gdy je

rozpuściła, mógł się po nich wspiąć do jej okienka ukochany (przyp. tłum.).

osmaganej wichrem historii i dumnej postawie lwa oderwał się od okazałej kolumny, którą podpierał, i złożył Caro sztywny ukłon.

- Witam, lady Glenwood. Miło mi panią widzieć powiedział cicho, akcentując każde słowo, co brzmiało równie szorstko i bezbarwnie.

Tak się zachowuje, psiakrew, jakby wydawał rozkazy przed bitwą, a nie witał się z ukochaną! pomyślał Lucien.

Istotnie, odznaczywszy się w każdej niemal batalii na swym żołnierskim szlaku, Damien wrócił do ojczyzny zimny jak lód, z dziwnie martwym wyrazem oczu. Niepokoiło to Luciena, ale nic nie mógł pomóc bratu, który prawie się do niego nie odzywał.

- Mam nadzieję, że dzisiejsze przyjęcie przypadło pani do gustu - prawil dalej pułkownik ze śmiertelną powagą.

Caro obdarzyła go uśmiechem, w którym wyrozumiałość splatała się ze zmysłowością. Lucien ledwie się powstrzymał, by nie zrobić jakiejś niestosownej miny, gdy słuchał nadętych, sztucznych wypowiedzi brata. Damien potrafił jednym machnięciem pałasza skrócić przeciwnika o głowę, ale w towarzystwie pięknej damy bohater o stalowym spojrzeniu zmieniał się w onieśmiałego, niezdarnego wyrostka. Damy z wyższych sfer wydawały mu się tak zwiewne i kruche, że nie śmiał ich tknąć. Krzepkie dziewczuchy, obsługujące noc w noc okolice St. James's Park, nie budziły w nim podobnych obaw; heros czuł się w ich towarzystwie o wiele swobodniej.

Nic nie szkodzi, dumal Lucien, kręcąc głową, jakby dyskutował sam ze sobą. Dobrze wiedzieć, że wychwalany pod niebiosa braciszek też ma swoje słabostki!

Obserwował z rozbawieniem Damiena, który wyraźnie utknął, nie wiedząc, o czym dalej mówić. Wreszcie coś mu przyszło do głowy i spytał z triumfem:

Jakże się miewa Harry?

Lucien aż przymknął oczy. Jaki niezgrabiasz z tego Damiena: palnąć coś takiego w rozmowie z damą! Czyż można było wyraźniej dać do zrozumienia, że poszukuje tylko rozplodowej klaczy?! Nie wysilił się na żaden komplement. Nie poprosił jej nawet do tańca! Aż dziw, że kobiety nie zraziły się raz na zawsze do równie tępego prostaka!

Nawet Caro wydawała się zażenowana poruszonym przez pułkownika tematem. Może sądziła, że przyznając się do macierzyństwa, zniszczy iluzję swej nieprzemijającej młodości? Coś tam uprzejmie bąknęła, nie wspominając ani słowem o chorobie synka, i czym prędzej skierowała rozmowę na inne tory. Obserwując bacznie ich oboje, Lucien zauważył, że brat wyraźnie się gubi w paplaninie Caro, nie nadąża za potokiem płyciutkich frazesów.

- Okropnie nudno teraz w Londynie, prawda? Cała śmietanka towarzyska wyjechała... albo na wieś, bo to przecież sezon polowań, albo za granicę, do Paryża czy Wiednia... Po chwili Lucien też miał tego dość. Ni stąd, ni zowąd objął Caro mocno w tali i bez ceremonii przyciągnął do siebie.

- No i co myślisz o tej zgrabnej dziewczusce, Demon? Wylądowawszy nagle na jego piersi, Caro pisnęła z udanym zgorszeniem.

- Lucienie! Co ty wyprawiasz?!

- Nie kusi cię ten smaczny kąsek? Bo mnie tak, a jak wiesz, z pokusami nigdy nie umiałem walczyć mruknął znacząco, leniwie sunąc ręką po miłej wypukłości biodra Caro.

Damien spoglądał na brata nieledwie z przerażeniem. Co ci strzeliło do głowy?! - mówił wyraźnie gniewny grymas na jego twarzy. Musiał jednak wyczuć drwiącą nutkę w tonie swego brata. Zmierzył Luciena podejrzliwym wzrokiem. Wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, że z Lucyferem nigdy nic nie wiadomo: zrobi z czarnego białe i na odwrót.

- Czyż nie wygląda dziś zniewalająco? Powinieneś być jej to powiedzieć! Damien

spojrzał na Caro, potem na Luciena.

- Istotnie.

To jedno jedyne słowo syknęło złowróźnie, niczym wąż zazdrości, spokojnie drzemiący dotąd w piersi pułkownika. Bacznie wpatrywał się w baronową, jakby usiłując zgłębić, co kryje się za jej nerwowym, przesłodzonym uśmiechem. Niestety, w odróżnieniu od brata nie potrafił na pierwszy rzut oka wykryć fałszu.

- Puść mnie, ludzie się gapią! - wymamrotała niepewnym głosem Caro, ocierając się ramieniem o pierś Luciena w bezskutecznej próbie wyrwania się z jego uścisku.

- A cóż ci to szkodzi, *mon angel*. Chcesz, żebym cię obściskał tylko po kątach? Głos miał jedwabście miękki, ale chwyt bezlitosny.

Caro skamieniała. Wpatrywała się w niego przerażonym wzrokiem. Zbladła do tego stopnia, że jej brunatne oczy wydawały się czarne.

- Najwyższa pora na generalną spowiedź, kochanie. Chciałaś złapać nas obu, mnie i mojego brata, ale ci się nie powiodło. Przyznaj się Damienowi, gdzieś była wczoraj w nocy.

- O czym ty mówisz?! - wykrztusiła.

Damien rzucił jej spojrzenie, pod którym powinna zmienić się w bryłę lodu, zaklął pod nosem i się odwrócił. Lucien zaśmiał się z cicha i pozwolił Caro wywinąć się z jego uścisku.

- Nie słuchaj Luciena! Przecież wiesz, jaki z niego kłamczuch! Robiłaś do mnie słodkie oczy po tym, jak przespałaś się z moim bratem!

- rzucił Damien wściekłym szeptem, brutalnie odtrącając czepiające się go ręce. -

Ależ... to nie była moja wina! To wszystko przez niego!

- Bezczelna dziwka! I kretynka!

Ogarnięta paniką, poszukała ratunku u Luciena.

- Słyszysz, co on wygaduje?! Nie pozwól mu!



Ale Lucien parsknął tylko cichym, niemiłym śmiechem i łyknął wina.

- Co to ma znaczyć?! - nalegała drżącym głosem.

- Caro, moje serce, mężczyźni nie są tacy głupi, jak ci się zdaje. Ach, prawda...

wczoraj w nocy zapomniałem cię o czymś powiadomić: Damien miał szczerzy zamiar ożenić się z tobą.

Caro opadła szczęka. Przez chwilę nie była w stanie zaczerpnąć tchu z powodu ciasnego gorsetu, trzymającego w karchach jej bajeczny biust. Potem zwróciła półprzytomny wzrok na Damiena.

- Czy to prawda?!

- Teraz nie ma już o czym gadać burknął. - Ale tak było?...

- Myślałem, że Harry'emu przydałby się ojciec, i tyle. - Damien lodowatym wzrokiem spojrział na Caro, zatrzymując się nieco dłużej na jej biodrach.

- Szkoda, że nie umiałaś powściągnąć swych chuci. - Skierował gniewny wzrok na Luciena. - Słówko na osobności, mój panie!

- Jak sobie życzysz, bracie.

- Lucien! Nie możesz mnie tak zostawić! - Nie bacząc już na nic, chwyciła go za ramię.

- Nie rozumiesz, Caro, moje złotko? - Ujął leżącą na jego ramieniu rączkę, ucałował i odsunął się od baronowej. Damien znakomicie to podsumował. Nie zdałaś egzaminu i tyle.

- Egzaminu?! - W jej oczach błysnęło zrozumienie, a potem gniew. - Ty diabelskie nasienie! Jeden wart drugiego! Bydlaki! Sukinsyny! Wredne bękarty!

- Co słowo, to święta prawda, *cherie* - powiedział z uśmiechem Lucien. - Z naszej matki było chyba jeszcze większe ładaco niż z ciebie.

Z okrzykiem wściekłości Caro cisnęła w niego pustym kieliszkiem. Z kocią

zwinnością Lucien chwycił go w powietrzu i postawił na tacy przechodzącego lokaja.

Następnie posłał od ust całusa Caro, złożył jej przesadny ukłon i w ślad za bratem opuścił salę balową.

Mimo istniejącego między nimi rozdźwięku bracia bezwiednie poruszali się w tym samym rytmie, idąc przez salon, korytarz, schodząc po wielkich schodach. Wszędzie wzbudzali ogólne zainteresowanie, ale byli do tego przyzwyczajeni. Na parterze minęli szereg luksusowo wyposażonych salonów i sal bankietowych, by dotrzeć wreszcie do położonego w najodleglejszym kącie pokoju bilardowego. Kiedy weszli do mrocznego, wyłożonego dębową boazerią sanktuarium, przeznaczonego wyłącznie dla mężczyzn, wystarczyło jedno groźne spojrzenie Damiena, by znajdujący się w nim dżentelmeni pospieszyli do wyjścia. Lucien z ironiczną uprzejmością przytrzymał drzwi, żeby się nie zamknęły, nim wszyscy panowie pogaszą cygara i wyjdą. Wynieśli się więc, pozostawiając po sobie tylko chmurę tytoniowego dymu, unoszącą się nad trzema stołami bilardowymi.

Pożegnawszy skinieniem głowy ostatniego z wychodzących, Lucien wyjrzał na korytarz i przekonał się, że Caro aż tu dotarła w ślad za nimi. Nie ośmieliła się jednak wtargnąć do niedostępnego dla kobiet przybytku. Ręce miała zaciśnięte w pięści. Ciemne oczy miały iskry. Zacięła czerwone wargi jakby w obawie, że popłynie z nich strumień plugawych wyzwisk pod adresem Luciena. Zaśmiał się cicho i zatrzasnął jej drzwi przed nosem. A najzabawniejsze było to, że po zakończeniu rozmowy z bratem będzie mógł bez trudu ugłaskać lady Glenwood kilkoma miłymi słówkami i zabrać ją do swej willi na cały weekend, tak jak planowali. Bez względu na chorobę jej dziecka. Wiedział przecież, że Caro postanowiła za wszelką cenę przekonać się na własne oczy, czy spotkania w Revell Court są naprawdę takie zdrożne, jak głosiła fama.

Lucien cofnął się do wnętrza pokoju i zobaczył, że brat go obserwuje. Damien stał,

rozstawiwszy szeroko nogi w wysokich lśniących butach, skrzyżowawszy ręce na piersi.

Groźny pułkownik głaskał brodę z wyrazem posępnej zadumy. Lucien uznał, że lepiej mieć się na baczności. Podszedł niedbałym krokiem do jednego z obitych zielonym sukmem stołów bilardowych i sięgnąwszy przez całą jego szerokość, wziął do ręki lśniącą czarną kulę - ósmą bilę. Wprawił ją w ruch jak dziecinnego bąka i przyglądał się, jak wiruje pod jego palcem. Czuł się jak sadystyczne bóstwo igrające z ziemią: gdzie by tu zesać klęskę głodu... albo mór?

- Czyśmy sobie kiedyś nie przysięgli, że żadna kobieta nas nie rozdzieli? - spytał

Damien.

- Ależ oczywiście! W dniu naszych osiemnastych urodzin. Doskonale to pamiętam!

- Doprawdy?

Damien wyraźnie czekał, że brat zacznie się usprawiedliwiać. Niech sobie czeka!

- A zatem?

- Zatem co? Lucien spojrzał z niewinną miną na brata. - Dajże spokój! Nie traktujesz chyba tego poważnie!

- Żebyś wiedział, że traktuję to bardzo poważnie!

Groźny głos Damiena mógł wprawiać w dygot całe regimenty, ale Lucien spojrzał tylko na niego z anielską cierpliwością i odrobiną nudy.

- Ani myślę przeproszać. Nie odczuwam najmniejszych wyrzutów sumienia. Oczy Damiena zwięzły się w stalowe szparki.

- Niekiedy mam wrażenie, że diabeł cię opętał! Lucien roześmiał się pobłaźliwie.

- Cóż to za nowe sztuczki? - Damien zbliżył się o krok. - Wiem, że coś knujesz, i muszę wiedzieć, co! Odpowiadaj natychmiast i bez wykrętów, Lucien, bo tak ci dam w pysk, że wylądujesz na podłodze! Jasna cholera! Gdybyś nie był moim bratem, zabiłbym cię,

rozumiesz?!

- Z powodu Caro Montague? - spytał z niedowierzaniem bliźniak.

- Zrobiłeś to z rozmysłem, żeby mnie upokorzyć!

- Zrobiłem to z rozmysłem, żeby uchronić cię od upokorzenia. Powinieneś mi

dziękować na kolanach! - odparował Lucien. - Teraz już wiesz, jaki z niej anioł. Rany boskie, chodziło mi tylko o twoje dobro!

Damien prychnął pogardliwie.

- Zbałamuciłeś Caro, żeby się na mnie odegrać. No, przyznaj wreszcie, że chciałeś wyrównać rachunki!

Lucien rzucił mu spod powiek ostrzegawcze spojrzenie.

- Wyrównać rachunki?

Doskonale wiesz, co mam na myśli! Zazdrościsz mi hrabiowskiego tytułu.

- Mam gdzieś twój cholerny tytuł! - Oczy Luciena iskrzyły się już gniewem, ale

Damien na nic nie zwracał uwagi i parł naprzód.

- Nie masz żadnego powodu do zazdrości! Jesteś bogaczem, odkąd Carnarthen

zostawił ci kupę forsy nieobjętej majoratem. Powiem ci bez ogródek: nie mam ochoty wegetować do śmierci na wojskowej rencie, rozumiesz? Przyjmuję ten tytuł, a ty musisz się z tym pogodzić, jasne?! I nie wyobrażaj sobie...

Zatrzymał się w odległości zaledwie paru centymetrów od Luciena, mierząc go

zimnym spojrzeniem, jakby wpatrywał się we własne zbuntowane odbicie w lustrze: te same czarne włosy, te same udręczone szare oczy... Obaj byli zbyt twardzi i zbyt dumni, by przyznać, że są ofiarami wojny. Każdy z nich na swój sposób został przez nią okaleczony.

- Czego mam sobie nie wyobrażać? spytał rzeczowo Lucien.

- Że zdołasz mi odbić każdą kobietę, którą się zainteresuję, do wszystkich diabłów!

Drugi raz nie zniosę takiej zniewagi. Nawet od ciebie!

Przez dłuższą chwilę Lucien wpatrywał się w brata. Nie wierzył własnym uszom.

- Ty mi naprawdę grozisz, Demon?

Damien zniósł jego spojrzenie z kamienną obojętnością. Lucien, zdumiony i zaszokowany, odwrócił się od brata. Przez chwilę przegarniał ręką włosy, jakby nie wiedział, co począć. Potem wybuchnął głuchym, gorzkim śmiechem.

- Zupełnie ci się we łbie pomieszało od tych zaszczytów! Po co ja się w to pakowałem?! Niechbyś się ożenił z tą kurewką, niechby ci przyprawiła rogi z połową Londynu! Wyczerpaliśmy temat?

Damien wzruszył ramionami.

- Znakomicie!

Błyskawicznym ruchem Lucien zaatakował ósmą bilą wszystkie pozostałe.

Staranowała je z potężnym trzaskiem. Rozleciały się we wszystkie strony, rozsypały bezładnie po całym stole - jaskrawe kule, jednobarwne i w paski. Część z nich spadała ze stukiem do łyży. Lucien wykręcił się na pięcie i ruszył ku drzwiom.

Bardzo udana alegoria! Tak właśnie przedstawia się teraz moje życie, myślał gorzko, przecinając na ukos pokój bilardowy. Przez ostatnie dwa i pół roku pracował wyłącznie w pojedynkę. Zmieniał tożsamość niczym kameleon, ilekroć przydzielano mu nowe zadanie. Pojawiał się nieoczekiwanie w życiu niezliczonych ludzi i równie nieoczekiwanie zniknął, zupełnie jak duch. Z nikim naprawdę nie był związany. Nawet jego brat bliźniak niczego o nim nie wiedział. Damien nie znał go już i nie chciał go znać, bo po cholere mu ktoś taki jak on - szpieg, nędzny oszust bez krzty honoru? W dodatku był kimś, kto znając zasady właściwego postępowania, z rozmysłem je ignorował. Wstręt do samego siebie przenikał go do szpiku kości. We krwi, w mózgu pulsowała bezdena rozpacz. Jeśli już nawet Damien ani

trochę o niego nie dba, to jakie są szanse na to, że komukolwiek innemu będzie na nim zależało? Żadne. Gdy sobie to uświadomił, poczuł w sercu okropną mdlącą pustkę. Był sam.

Zupełnie sam.

- Jeszcze jedno! - zawołał za nim Damien.

Lucien odwrócił się - imponujący, wytworny, wyniosły w każdym calu.

- Słucham?

Damien dumnie uniósł głowę.

- Doszły do mnie dziwne słuchy. Wprost niewiarygodne.

- A mianowicie?

- Powiadają, że wskrzesiłeś to podejrzane, sekretne stowarzyszenie naszego ojca.

Ludzie gadają... o gorszących orgiach w Revell Court. I o jakichś bluźnierczych obrzędach.

- Doprawdy? - mruknął Lucien z absolutnym brakiem zainteresowania. Damien

przyglądał mu się podejrzliwie.

- Większość ludzi uważa, że po prostu urządzasz sobie od czasu do czasu hulanki, ale kilku twierdzi z uporem, że jesteś związany z jakimś... bezbożnym bractwem... czymś w rodzaju dawnego Klubu Potępieńców.

- Zaiste, bardzo interesujące - mruknął Lucien.

- Czy to prawda?

Odpowiedział bratu tajemniczym, zblazowanym uśmiechem, odwrócił się i bez pośpiechu opuścił pokój.

Poranne słońce, opromieniające sielski krajobraz hrabstwa Hampshire złotem i łagodnym ciepłem jesieni, wlewało się przez francuskie okna do przytulnego saloniku w Glenwood Park. Alice Montague wydobyła z włosów okruch bułeczki, którą jadł na śniadanie Harry. Zmarszczyła brwi, ale nie przestała kołysać malca w ramionach, podśpiewując przy

tym cichutko. Krążyła z dzieckiem po pokoju, a ilekroć mijała wykuszowe okno, zerkiała przez nie w nadziei, że ujrzy powozik Caro. Powinna się zjawić lada chwila. .. ale czy się zjawi?

Od tygodnia Harry zachowywał się całkiem inaczej niż zwykle. Był płacziwy i męczył się byle czym. Wczoraj zasnął w salonie na podłodze, z paluszkami w buzi, otulony swym ukochanym kocykiem. (Alice nie spostrzegła tego od razu, gdyż z ogromnym skupieniem szyła nowe ubranie dla ulubieńca Harry'ego, wytwornego pana Wembleya - drewnianej lalki o ruchomych stawach). Natomiast dziś skoro świt spełniły się najgorsze przewidywania starej niani. Malutki baron Glenwood obudził cały dom głośnym krzykiem godnym całkiem wyrosniętego lorda... Nieszczęsny, rozgorączkowany, rozdrażniony, obsypany od stóp do głów czerwonymi krostkami ospy wietrznej trzylatek!

Okropnie go swędziało, więc marudził i popłakiwał od samego śniadania, aż wreszcie znękany chorobą zdrzemnął się w objęciach Alice, przytuliwszy zaróżowioną buźkę do jej ramienia.

- Mama... - chlipnął znużonym głosem, po raz chyba setny tego ranka.

- Mama zaraz tu będzie, kochanie - szepnęła Alice, przygarniając go jeszcze mocniej.

Już do ciebie jedzie, naprawdę!

- Ospa...

- Wiem, że masz ospę wietrzną, kociątko. Przylatuje do wszystkich dzieci... a potem frrr!... i ucieka. - Nie wspomniała o tym, że Harry będzie musiał wiele wycierpieć, zanim „ospa” odfrunie. - U mnie też była, kiedy miałam tyle lat co ty.

- Tsy?...

- Tak, trzy latka. Jaki z ciebie mądry chłopczyk!

Uściskała go bardzo ostrożnie, żeby mu nie sprawić bólu. Nie zważała na własne

obolałe plecy. Harry był o wiele za duży na to, by godzinami nosić go na rękach jak oseska, ale w chorobie cofnął się jakby do okresu niemowlęctwa. Patrząc na cierpienia dziecka, Alice nie mogła odmówić mu niczego, co sprawiało choćby chwilową ulgę.

- Ciocia, tam! - odezwał się nagle Harry, unosząc puszystą, kędzierzawą główkę i wymachując rączką nad ramieniem Alice! Wyraźnie wskazywał na okno.

- Co tam jest, kotku?

- Mama jedzie!

- Naprawdę? - spytała z powątpiewaniem Alice.

Podeszła do okna, przesunęła dziecko na biodro i odciągnęła na bok adamaszkową kotarę.

Harry w podnieceniu wymachiwał rączką, a potem spojrzał cioci prosto w oczy i po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się radośnie, ukazując drobne białe ząbki. Alice miała wrażenie, że to słońce wyjrzało wreszcie zza chmur. Spoglądała z miłością w błękitne jak niebo oczka, zapominając całkiem o nadjeżdżającym powozie. Kiedy Harry się uśmiechał, był taki podobny do swego tatusia... do Phillipa... Oczy Alice napełniły się łzami.

- Mama! Mama! pokrzykiwał chłopczyk, wierzgając nóżkami i kręcąc szyjką, by mieć jak najlepszy widok na zbliżający się pojazd.

- A nie mówiłam, że przyjedzie? - odparła Alice żartobliwym tonem.

Poczuła ogromną ulgę, gdyż wiedziała z doświadczenia, że na bratową nie bardzo można liczyć. Odwiedzała swoje dziecko i opuszczała je, kierując się chwilowym nastrojem. Tym razem Alice napisała do niej przed trzema dniami, ostrzegając, że chłopczyk dziwnie się zachowuje, prawdopodobnie wywiąże się z tego jakaś choroba.

- Ja chcę do mamy! Harry ześliznął się na podłogę i z głośnym tupotem wybiegł z pokoju na niezbyt pewnych nóżkach, nie wypuszczając z zaciśniętej piąstki kocyka, który



włókł się za nim. - Mama! Mama!

Przez chwilę Alice słuchała radosnych pisków biegnącego korytarzem malca. Potem rozległ się znacznie donośniejszy okrzyk. To Peg Tate, potężna, krzepka niania, pochwyciła swego pupilka.

Oznaki najwyższego podniecenia na myśl o spotkaniu z olśniewającą, tajemniczą istotą, jaką była dla Harry'ego rodzona matka, rozdzierały Alice serce. Chłopczyk tak bardzo pragnął obecności Caro... Ale podczas każdej wizyty powtarzało się to samo: ilekroć Harry zaczynał oswajać się z mamą, baronowa wyjeżdżała. Opuszczone przez nią dziecko było zdezorientowane i rozdrażnione, a to stawiało znów pod znakiem zapytania, a przynajmniej odsuwało w daleką przyszłość osobiste plany życiowe Alice. Westchnęła cicho, odwróciła się i przez dłuższą chwilę wodziła wzrokiem po pełnym słońca pokoju, w którym spędzała większość czasu. Jej spojrzenie przesunęło się z dużej klatki, którą sama starannie uplotła z trzciny i pomalowała na biało, by zapewnić godny dom ukochanemu kanarkowi, na okrągły stół, przy którym spędziła wiele szczęśliwych godzin swego sielskiego bytowania w Glenwood Park, poświęcając się różnym rękodzielom, całkowicie stosownym dla dobrze wychowanej młodej domatorki. A mimo to miała nieraz wrażenie, że przebywa w nierealnym świecie, podczas gdy prawdziwe życie omija ją i pędzi naprzód.

Czuła nieraz dojmującą tęsknotę nie wiadomo za czym, tak gwałtowną, że nie dawała jej spać po nocach. Zmagały się w niej głębokie przywiązanie i poczucie obowiązku wobec małego bratanka i rodzinnego domu, Glenwood Park, z potrzebą znalezienia własnej drogi życiowej. Nad wszelkimi innymi względami przeważało jednak przekonanie, że Harry musi mieć oparcie w kimś, kto będzie przy nim zawsze, a nie od czasu do czasu. Ponieważ rodzona matka zdecydowanie uchylała się od tego obowiązku, pozostawała tylko ciotka...

Alice wetknęła ręce w kieszenie fartucha i stała bez ruchu, a słońce rozgrzewało ją,

powodując lekkie rumieńce, nieciężko iskry w miedzianozłoty włosach. Robiła, co mogła, by pozbyć się dręczącego napięcia, które starannie ukrywała. Siłą woli sprawiła, że mięśnie ramion i pleców nieco się rozluźniły. Potem z rozmysłem skierowała wzrok na wazon, w którym wczoraj starannie ułożyła suszone kwiaty. Hortensje naprawdę prezentowały się wspaniale pośrodku stołu i tworzyły uroczą kompozycję ze znajdującymi się w najbliższym sąsiedztwie przedmiotami. Obok wazonu leżały eleganckie jedwabne sakiewki, których Alice jeszcze nie wykończyła. Zamierzała obdarować nimi na Boże Narodzenie kilkoro londyńskich przyjaciół. Znajdował się tam również poza zasięgiem łapek Harry'ego - komplet delikatnych narzędzi do lakierowania w orientalnym stylu. Obok stało najnowsze dzieło Alice tego typu: ozdobna szkatułka na klejnoty, z ornamentacją wykonaną mniej więcej do połowy. Wszystkie te robótki można by określić jako rozwijanie wrodzonych zdolności plastycznych; w głębi serca Alice wiedziała jednak, że to niewiele warte błahostki... tyle że pomagały jej zwalczyć niepokój, napięcie wewnętrzne.

Słyszając, że powóz baronowej zajeżdża z turkotem przed frontowe wejście, Alice podeszła do okna, by jak wypadało pomachać radośnie do wysiadającej bratowej. Kiedy jednak przyjrzała się uważniej, oczy rozszerzyły jej się z przerażenia.

To nie był elegancki żółty powozik Caro!

To wóz pocztowy.

Alice zbladła i przycisnęła rękę do ust. Natychmiast pojęła, co to oznacza. List. Caro raczyła nabazgrać kilka słów! Nie przyjedzie. Choroba dziecka nie obeszła jej ani trochę.

To odkrycie w pierwszej chwili ogłuszyło Alice, potem zaś rozwścieczyło.

Ciemnoniebieskie oczy zwęziły się, na bladej owalnej twarzy odmalowała się furia, która trysnęła z najgłębszych otchłani serca i przebiła maskę po - godnego spokoju. Ogarnął ją straszliwy gniew... ale w gruncie rzeczy nie była zaskoczona. Pokręciła głową z milczącą

determinacją. O nie, Caro! - pomyślała z wściekłością. Tym razem ci się nie uda! Nie pozwolę tak krzywdzić dziecka! Miarka się przebrała!

Wyprostowała się, odwróciła tyłem do okna, opuściła salon i skierowała się do frontowego holu. Otworzyła drzwi, opłaciła pocztyliona, odebrała od niego list i wymieniła zaniepokojone spojrzenia z Peg, która nadciągała właśnie, ocierając w fartuch swe wielkie, jakże zręczne ręce.

Peg Tate, niania Harry'ego, opiekowała się dawniej Phillipem i Alice. Była raczej członkiem rodziny niż służącą. Choć miała z natury miękkie serce, do lady Glenwood odnosiła się podejrzliwie.

- Ciekawe, jaką sobie znalazła wymówkę! - burknęła teraz.

- To nie od Caro - odparła Alice ze ściśniętym gardłem, oglądając uważnie list - tylko od Hattersleya.

Był to majordomus, który zawiadywał wytworną londyńską rezydencją Montague'ów przy Upper Brooke Street, tuż obok Grosvenor Square.

- O mój Boże! Chyba nie stało się nic złego? - wyszeptała Peg, a zmarszczki na jej czole jeszcze się pogłębiły.

Po plecach Alice przeszedł zimny dreszcz. Ogarnęło ją złe przecucie. Od dawna obawiała się, że szaleńcza pogoń bratowej za wszelkimi uciechami życia źle się skończy.

- Gdzie jest Harry? - spytała z niepokojem.

- Nellie myje mu buzię i rączki przed spotkaniem z matką. Alice skinęła głową i złamała pieczęć.

- Wielce Szanowna Panno Montague - czytała półgłosem. Pani list dotarł do nas przedwczoraj. Z przykrością muszę powiadomić, że lady G. wyjechała wczoraj z Londynu w towarzystwie lorda Luciena Knighta. Alice przerwała czytanie i spojrzała ze zdumieniem na

Peg. - Lucien?! Myślałam, że to lord Damien... Och, Caro! jęknęła, pojmując natychmiast, jakie głupstwo popełniła ta lekkomyślna istota: kiedy wreszcie udało się jej złapać porządnego kandydata na męża, idealnego ojczyrna dla Harry'ego, popsuła wszystko, uciekając z jego bratem!

Alice dobrze pamiętała rozmowę sprzed kilku tygodni, kiedy to Caro po raz pierwszy pochwaliła się, że usidliła bohatera narodowego. Wspomniała również o bliźniaku lorda Damiena, podobnym do niego jak dwie krople wody lordzie Lucienie, który był członkiem korpusu dyplomatycznego. Wymieniła nawet przezwiska obu braci: Demon i Lucyfer. Alice wyraźnie zapamiętała tę wzmiankę, gdyż baronowa zadrżała wówczas, a w jej oczach pojawił się wyraz dziwnej fascynacji. „Z Lucieniem nie związałabym się za żadne skarby! - oświadczyła. - On mnie przeraża!” To ją musiało zaintrygować: nikt dotąd nie przeraził olśniewającej lady Glenwood...

- Co jeszcze pisze pan Hattersley? - spytała z niepokojem Peg.

- O Boże! Boję się, co będzie dalej...

Mimo to Alice wzięła znów list do rąk i kontynuowała czytanie:

- Udali się do wiejskiej rezydencji tego dżentelmena, Revell Court. Leży ona, jak zdołałem się dowiedzieć, w odległości mniej więcej dwudziestu kilometrów na południowy zachód od Bath. Pani baronowa zapowiedziała, że wróci dopiero w przyszłym tygodniu. Ponieważ kategorycznie zabroniła mi wspominać komukolwiek o całej tej sprawie, nie chciałbym znaleźć się w kłopotliwej sytuacji. Ośmielam się zatem zasięgnąć rady Wielce Szanownej Pani. Wierny i unizony sługa, J. Hattersley.

Peg w niemym osłupieniu drapała się w policzek.

Przez dłuższą chwilę Alice stała ze wzrokiem wbitym w podłogę, kręcąc głową.

Wzbierał w niej gniew. Wreszcie podniosła oczy i rozejrzała się w zadumie dokoła.

Spostrzegła, że stara niania obserwuje ją ze zwykłą cierpliwością i czułą troską. Ona również przez chwilę spoglądała na Peg. Potem, gdy jej irytacja wzrosła do zenitu, zmrużyła oczy, nieoczekiwanie wręczyła list niani i skierowała się w stronę schodów.

- Jadę po nią!

- Och, kochanie, nie możesz tego zrobić! - wykrzyknęła Peg.

Muszę. Trzeba położyć kres jej skandalicznym wybrykom. I to natychmiast!

- Ale jechać do cudzego domu... w dodatku ten lord Lucien wygląda mi na łajdaka! A jak pani baronowa chce się zachowywać jak taka spod latarni, to ostatecznie jej sprawa...

- Moja też! Czyż nie obiecałam Phillipowi, zanim umarł, że będę się opiekować jego żoną i synkiem? Harry powinien mieć matkę, Caro powinna pilnować domu i dziecka! Jak myślisz, czy temu człowiekowi naprawdę na niej zależy?

Peg sceptycznie wzruszyła ramionami.

- Ja też w to wątpię. Chyba tym razem Caro posunęła się za daleko i wmieszała się w niesmaczne porachunki między braćmi. - Alice zamilkła i dodała po namyśle: A poza tym, gdyby doszło do jakiegoś skandalu, ucierpiałaby i moja reputacja.

- Ale do Bath strasznie daleko, kochanie!

- Zaledwie dzień podróży. I dobrze znam drogę. Nieraz tam jeździłam.

Zerknęła na francuskie okna, śliczne i białe; skojarzyły się jej z klatką dla kanarka.

Czy ośmieli się wyfrunąć stąd w ogromny, niebezpieczny świat?

Wiedziała, co by powiedział Phillip, gdyby tu był. Ryknąłby: ani się waż!

Dla jej brata byłoby nie do pomyślenia, żeby młoda panna z dobrego domu podróżowała powozem po Anglii bez opieki krewnego płci męskiej lub - w najgorszym wypadku - towarzystwa czcigodnej matrony. W tej chwili jednak Alice nie miała co liczyć ani na jedno, ani na drugie. A tylko natychmiastowe działanie mogło zapobiec przekształceniu się

idiotycznego wybryku Caro w wyjątkowo paskudny skandal!

Odwróciła się znów do zatrwożonej starej niańki.

- Pogoda na razie dopisuje. Jeśli wyjadę stąd natychmiast, powinnam dotrzeć do celu jeszcze dziś wieczorem i wrócić z Caro do domu jutro przed zapadnięciem nocy. Wszystko będzie dobrze! zapewniała z przekonaniem, którego wcale nie czuła. - Mitchell znakomicie powozi, a z Nellie przecież doskonała pokojówka!

- No, tak... ale, moje kochanie, obie wiemy, że baronowa na nic się nie przyda. Sto razy lepiej zadbamy o niego we dwie!

W tym właśnie momencie Harry przybiegł korytarzem prosto z kuchni i chwyciwszy Peg za spódnicę, przytulił się do niej. Zadarł główkę i spojrzał na stojącą na schodach Alice.

- Gdzie mama?

Alice spojrzała na dziecko z bólem i miłością.

- Mama zabłądziła po drodze. - Wymieniły z Peg znaczące spojrzenia. Ale już wiem, gdzie jej szukać. Pojadę po nią i przywiozę ją prościutko do ciebie. Słowo daję!

- Ja też pojadę! - Nie.

- Nie drap się! zawołała Peg, chwytając go za rączkę. Chłopczyk wrywał się, fukając jak rozzłoszczone kociątko.

Spoglądając na jego wykrzywioną z gniewu, biedną, pokrytą czerwonymi krostkami buzię, Alice czuła, że serce się jej rozdziera. Jak mogłaby opuścić chore maleństwo w takiej chwili... choćby nawet po to, by sprowadzić tu jego lekkomyślną matkę?... Wiedziała jednak, że Caro z własnej woli nie wróci do domu. Będzie musiała pojechać po nią osobiście i zmusić, by choć raz spełniła swój obowiązek wobec synka. Wiedziała też, że pozostawiając bratanka pod opieką Peg, może być o niego całkiem spokojna. Peg Tate w ciągu sześćdziesięciu kilku lat swojego życia wykurowała dziesiątki dzieci z ospy wietrznej i dużo

poważniejszych chorób. Znała się na leczeniu znacznie lepiej niż zadzierający nosa doktor, który mieszkał w sąsiedztwie.

- W takim razie - odezwała się stara niania, przyglądziwszy Harry'emu rozwichrzone włoski - komu w drogę, temu czas! Powiem Mitchellowi, żeby zaprzęgał.

Pochyliła się i wzięła dziecko na ręce. Energicznie je kołysząc i śpiewając zabawną piosenkę, starała się odwrócić jego uwagę od swędzących krostek.

Alice podkasała spódnicę i pomknęła po schodach na górę, do swej sypialni. Szybko i sprawnie spakowała do torby kilka rzeczy niezbędnych na noc, po czym, zdjawszy fartuch i domową sukienkę, przebrała się w elegancki strój podróżny z cienkiego granatowego sukna. Rękawy były długie, z niewielką bufką u góry, a dalej obcisłe, spódnica zaś bardzo ładnie wykończona u dołu cienką wstążeczką.

Zanim Alice stanęła przed lustrem, starannie zapięła zakończony stójką stanik na wszystkie guziki, choć ręce lekko jej drżały. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy wybierała się w podróż sama, a tajemniczy uwodziciel Caro wydawał się dość groźny... Na pewno mu się nie spodoba, gdy jakaś obca baba zjawi się w Revell Court, by wyrwać mu z ramion kochankę. Alice nie odznaczała się zbytnią odwagą, ale dla Harry'ego gotowa była zadrzeć z samym diabłem!

Naciągając skromne białe rękawiczki, zmierzyła twardym spojrzeniem swe odbicie w lustrze i wyprostowała się, gotowa do boju.

Póki możesz, lady Glenwood, ciesz się swoją ostatnią eskapadą! Następnym nie będzie. A panu, milordzie, czy zwiesz się Lucien, czy Lucyfer, czy jeszcze inaczej, zapowiadam: będziesz miał ze mną ciężką przeprawę!

Rzuciwszy to wyzwanie, chwyciła torbę podróżną i opuściła pokój pewnym krokiem.

Jakieś tysiąc godzin później (tak się jej przynajmniej zdawało) Alice siedziała pełna napięcia w podskakującym na wybojach powozie, trzymając się kurczowo skórzanej pętli, by utrzymać równowagę. Ani rusz nie mogli dotrzeć do celu. Pełną wertepów, krętą drogę przez wrzosowiska oświetlał im księżyc w pełni. Niezbyt godny zaufania przewodnik, jak jeden z londyńskich urwisów, gotowych za parę groszy odprowadzić spóźnionego przechodnia bezpiecznie do domu... albo przekazać zaprzyjaźnionym rzezimieszkom.

Alice coraz to wyglądała niespokojnie to przez jedno, to znów drugie okno powozu przekonana, że zaraz wszyscy troje - ona i dwójka służących - zostaną napadnięci na tym odludziu przez rozbójników. Zagubili się beznadziejnie na górzystym terenie Mendip Hills, z dala od wszelkich oznak cywilizacji. To pięli się po stromych zboczach porośniętych dębami i bukami, to - jak w tej chwili - przemierzali kamieniste, smagane wichrem wrzosowiska albo znów zjeżdżali w dół po urwistym stoku, zapuszczali w gardziel jakiegoś wąwozu... I tak bez przerwy: w górę i w dół, w górę i w dół! Utrudzone konie coraz częściej się potykały.

Unosząca się w nocnym powietrzu lepka, zimna mgiełka dławiła podróżnych. A w dodatku nie mieli pojęcia, kiedy to się wreszcie skończy. Alice była pewna tylko jednego: jak tylko dotrą do celu, urwie bratowej głowę!

Wymieniły spojrzenia z przestraszoną pokojówką Nellie, ale żadna z nich nie wypowiedziała na głos tego, o czym obie myślały: trzeba było przenocować w Bath!

Alice nabrała podejrzeń, że kierownik sali w eleganckiej pijalni wód, gdzie zatrzymali się na herbatę, okłamał ją z rozmysłem, twierdząc, że mają do Revell Court całkiem blisko: głupie dwadzieścia cztery kilometry na południowy zachód od Bath. Odniosła wrażenie, że uśmiechnął się pogardliwie, gdy spytała o drogę do posiadłości lorda Luciena. Ponieważ sprawa była niecierpiąca zwłoki i wierzyli, że pokonają tę odległość w ciągu dwóch godzin,



wszyscy troje (Nellie, Mitchell i ona) uznali, że trzeba jechać dalej, choć jesienne słońce już zaszło.

Teraz, gdy noc stawała się z minuty na minutę coraz czarniejsza, Alice uprzytomniła sobie, że jeśli w ogóle dotrą do Revell Court, będą musieli skorzystać z gościny Luciena Knighta... o ile zechce im jej udzielić! Kto wie, czego można się spodziewać po człowieku, który uwiódł wybrankę swego brata? Alice modliła się w duszy, by nie okazał się aż takim draniem, by wyrzucić za drzwi zdżonych podróżników w środku nocy... Wszyscy troje byli potwornie głodni, śmiertelnie zmęczeni i poobijani jak ulęgałki od nieustannego podskakiwania powozu na wybojach.

Wspominając całodzienną podróż, Alice pokręciła głową ze zdumieniem. Odkąd opuścili Bath, zauważyła na drogach niezwykle ruch. Minęło ich pędem chyba ze dwadzieścia powozów. Wszystkie rzucały się w oczy: były zbyt jaskrawe, przesadnie ozdobne albo też niezwykle wytworne. I wszystkie gnały na łeb na szyję. W dodatku jadący w nich ludzie zachowywali się jak szaleńcy albo pijani w sztok. Dorośli mężczyźni i kobiety, przejeżdżając obok Alice, wykrzywiali się niczym niesforne dzieci, pokazywali języki, wrzeszczeli jakieś paskudztwa. Nie potrafiła tego pojąć ani wówczas, ani teraz.

Wyjrzała znów przez okno. Droga opadała w dół, zaraz zjadą na dno jeszcze jednej ukrytej wśród wzgórz dolinki. Nagie gałęzie drzew orały granatowe niebo. W blasku księżyca występy skalne potężne złomy wapienia - lśniły niesamowicie, białe jak kość. Droga biegła po stromej, wąskiej przełęczy. Po jednej stronie mieli stok góry, a po drugiej ziała mroczna otchłań. Alice, siedząc na ławeczce, zsunęła się na jej kraniec. Na widok prostopadłego urwiska, którego głębokości nie pozwalały ocenić rosnące tam drzewa, zakręciło się jej w głowie. Gdyby rzucić kamień, spadałby i spadał bez końca! I nagle, gdy wyteżała wzrok, by przeniknąć czerń lasu, ujrzała w dali błysk ognia.

- Światło! Spójrz, Nellie, czy i ty je widzisz? Tam, w dolinie! - W podnieceniu

wymachiwała ręką. - O, tam!

- Widzę! Widzę! zawołała pokojówka, klaszcząc w dłonie. - Och, panienko! To musi być Revell Court! Nareszcie!

Z nagłym ożywieniem powiadomiły o swym odkryciu Mitchella, który kulił się na koźle zgnębiony i oklapnięty. On także wydał okrzyk radości, ujrawszy ognisty krąg, gorejący na dnie doliny niczym latarnia morska.

- Do diaska! Będziemy tam za dziesięć minut! - zawołał.

Nawet konie ruszyły zwawiej. Może wyczuły stajnię w pobliżu? W Alice wstąpiło nowe życie. Pospiesznie sięgnęła do swego woreczka po grzebyki, chcąc doprowadzić fryzurę do jakiego takiego porządku.

- Och, jak ja marzę o ciepłym, wygodnym łóżku! - westchnęła. Jak się na nie zwalę, będę chyba spać do południa!

- Ja od dwóch godzin marzę tylko o siusiu! - odparła szeptem pokojówka, zapinając płaszcz na pulchnym biuście.

Alice zachichotała.

Kiedy dotarli na dno doliny, koła powozu zaturkotały po solidnym drewnianym moście, przerzuconym nad niewielkim, lecz bystrym strumieniem. Alice zdumiała się na widok źródła wytryskującego z litej skały. Spienione wody zasilają strumyk, który migotał w blasku księżyca; pod mostem pełno było maleńkich wirów.

- O, tam jest dom! - wykrzyknęła nagle Nellie, wyglądająca przez drugie okno.

Alice pospiesznie zerknęła w tamtą stronę. Wstępu na teren prywatny broniło wysokie ogrodzenie z kutego żelaza i brama z potężnymi słupami zwieńczonymi kamiennymi sylwetkami stojących dęba koni. Wewnątrz, na dziedzińcu, wrzał ruch. Służba w beżowej

liberii krzątała się wokół stojących obok siebie powozów; było ich około tuzina. Wygląda na to, że odbywa się tu przyjęcie, pomyślała Alice i zrobiło się jej głupio. Była prawie pewna, że rozpoznaje kilka powozów spotkanych dziś po drodze.

Dom z czerwonej cegły, porośnięty bluszczem, był zabytkiem z epoki Tudorów.

Zbudowany w kształcie litery U otaczał półkolistą dziedziniec. Dwa skrzydła o potężnych szczytach wyrastały symetrycznie z obu boków. W rzędach przedzielonych słupkami okien migotały refleksy pochodni, umieszczonych w ogromnym żelaznym stojaku pośrodku brukowanego kocimi łbami dziedzińca.

To ów ognisty krąg, który z daleka przyciągnął naszą uwagę! - uświadomiła sobie Alice. Gdy wpatrywała się płomienie płasające, wijące się jak węże, sięgające czarnego aksamitu nieba - poczuła dziwną, nieuzasadnioną pewność, że ta wielka niewiadoma, której pragnęła w głębi serca, znajduje się w zasięgu jej ręki. I nagle rozkoszne oszołomienie przemieniło się w strach, kiedy pół tuzina zbrojnych wartowników (wielkich, groźnie wyglądających mężczyzn w długich czarnych płaszczach) wynurzyło się z cienia i skierowało w stronę jej powozu; każdy z nich miał strzelbę w pogotowiu. Zawołali do stangreta, żeby zatrzymał konie.

Mitchell, podobnie jak jego pani, nie spodziewał się uzbrojonej straży; kiedy jednak zbiry lorda Luciena nadal wrzeszczały, każąc mu zawracać i wynosić się stąd czym prędzej, w Alice furia wzięła górę nad strachem. Panna Montague niespodziewanie wyskoczyła z powozu i ruszyła na ratunek swemu woźnicy. Długa, obramowana futrem peleryna falowała wokół niej przy każdym energicznym kroku. Alice zbyt była wściekła, głodna i wykończona nerwowo po całodziennych trudach, by znosić równie bezczelne traktowanie ze strony służby. Ignorując żądania wartowników, by wsiadła z powrotem do powozu, stała, wyklócając się z nimi przez następny kwadrans. Okazało się, że obowiązuje lista zaproszonych gości, na której

- rzecz jasna - nie było nazwiska Alice. Ale nie koniec na tym! Gdy strażnicy wyjaśnili jej, że chcąc dostać się do Revell Court, trzeba podać hasło, zaśmiała się szyderczo.

- Słuchajcie no! - rzuciła ostro, biorąc się pod boki. Nie mam czasu na takie dziecinady jak tajemne hasła czy sekretne znaki! Na litość boską! Przyjechałam tu do lady Glenwood z wieścią o nagłej, ciężkiej chorobie jej dziecka. A lady Glenwood - mówmy otwarcie - jest kochanką lorda Luciena. Jeśli nie dopuścicie mnie do niej i uniemożliwicie mojej bratowej wyjazd razem z nami, będzie wściekła! Zrobi piekło waszemu panu, a lord Lucien wam. Chcecie mu się narazić? Słyszałam, że lepiej z nim nie zaczynać.

- Łaskawa pani, w tym właśnie rzecz, że nie chcemy mu się narazić. Chodźcie, chłopaki, trzeba to obgadać! burknął przywódca zbrojnej grupy do swych towarzyszy. Mrucząc coś pod nosem, oddalili się, by przedyskutować sprawę.

Alice czuła na sobie niespokojne spojrzenia Mitchella i Nellie, ale cała jej uwaga koncentrowała się na uzbrojonych wartownikach. Nadstawiała uszu w nadziei, że dotrą do niej przynajmniej fragmenty ich dyskusji. Postanowiła, że nie ruszy się stąd bez Caro.

- Zadziorne chuchro, co? - mruknął pierwszy ze strażników.

- Ona nie należy do tej bandy. Nigdy jej tu nie widziałem - rzucił inny.

- Pewnie, że nie! Wystarczy spojrzeć: szczerze złoto! - wymamrotał osiłek ze szramą na gębie. - Po mojemu trzeba ją wpuścić.

- Ale on nas obedrze ze skóry, jak się dowie, żeśmy wpuścili ją bez hasła! - zaoponował szeptem jeszcze inny.

- Przecie mówi, że ta jego kochanica to jej bratowa! Jak wyrzucimy dziewczuszkę, narobimy mu wstydu i też się nam oberwie!

- Cholera! - burknął ten ze szramą. I tak źle, i tak niedobrze! Nie będzie się z nami patyczkował.

Nie ulegało wątpliwości, że ludzie lorda Luciena czuli przed nim mores. Ale ostatecznie przeważała szalę ich sympatia dla szefa. Postanowili przepuścić przez bramę Alice wraz z jej powozem i służbą, by oszczędzić Lucyferowi babskiego gderania. Nellie i Mitchella rozłączono z ich panią i zakwaterowano w pomieszczeniach dla służby. Oczywiście Alice nie była tym zachwycona, ale powstrzymała się od narzekania, żeby nie przeciągnąć struny. Osiołek z blizną zaprowadził ją do dworu i oddał pod opiekę Godfreya, groźnie wyglądającego siwego majordoma.

Podczas gdy strażnik tajemniczym szeptem przekazywał majordomowi informacje i instrukcje co do Alice, zdążyła ona dostrzec nieoświetlone, puste pokoje w najbliższym sąsiedztwie imponującego, bogato zdobnego frontowego holu, co zdziwiło ją niepomniernie. Gdzie się podziali wszyscy goście?! Na parterze panowała niesamowita cisza, w wielkich salach paliła się najwyżej jedna świeczka... Stanowczo dzieje się tu coś dziwnego! Widziała przecież zmierzające do Revell Court powozy i całe zastępy krzątającej się służby. Co więcej, stwierdziła na własne oczy, że istnieje lista starannie dobranych gości. Miała więc pewność, że lord Lucien wydaje tego wieczoru przyjęcie... a jednak w całym domu nie było żywego ducha!... A potem dotarł do niej fragment rozmowy strażnika z majordomem, co jeszcze bardziej pobudziło jej ciekawość.

- Dopilnuj, żeby nie opuszczała pokoju, Godfrey! W żadnym wypadku nie może zejść do groty!

- Doskonale to rozumiem. Jutro rano powiadomimy jego lordowską mość o przybyciu tej młodej damy.

Alice zerknęła ukradkiem na rozmawiających. Godfrey skłonił się, gdy spostrzegł, że jest przedmiotem jej zainteresowania.

- Proszę za mną, panno Montague powiedział kordialnie. Zaprowadzę panią do jej

pokoju.

Zdjął tkwiący w ściennym uchwycie świecznik, podniósł torbę podróżną Alice i poprowadził ją po ciemnych dębowych schodach, wspaniale rzeźbionych. Wszystkim wspornikom nadano ludzkie kształty rycerzy lub świętych. Na podeście tuż za zakrętem schodów z wielkiego obrazu spoglądał wyniośle arystokrata w szesnastowiecznym kubraku i marszczonej kryzie. Portretowany miał przenikliwe, stalowoszare oczy, spiczastą czarną bródkę i chytry uśmiech. Gdy Alice go mijiała, czuła na sobie jego wzrok.

- Któż to taki? spytała, spoglądając na portret z obawą.

- Pierwszy markiz Carnarthen, łaskawa pani. To on kazał wznieść Revell Court... Był to wówczas domek myśliwski.

Godfrey westchnął ciężko, ale nie powiedział już nic więcej.

Usiłując przeniknąć wzrokiem otaczającą ich zewsząd ciemność, Alice wspinała się za majordomem po skrzypiących schodach, szła mrocznym korytarzem. Potem innymi, bardziej nowoczesnymi schodami dotarli na drugie piętro i przebyli istny labirynt korytarzy, coraz to skręcając w prawo i w lewo. Kiedy wreszcie przystanęli przed jakimś pokojem, Godfrey wyjął masywny klucz, przekręcił w zamku i otworzywszy drzwi, zwrócił się do Alice:

- Oto pani pokój, panno Montague. Czy miałaby pani ochotę na kolację?

- O tak! Jestem głodna jak wilk.

W pokoju gościnnym był puszysty perski dywan, łoże z baldachimem i sufit ozdobiony piękną renesansową sztukaterią. Na kominku płonął już ogień, jakby ktoś rozniecił go specjalnie na jej powitanie. Kiedy Godfrey pozapalał znajdujące się w pokoju świece, z mroku wynurzyła się wielka elżbietańska szafa. Alice spojrzała na nią, a potem znów na majordoma, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

- Panie Godfrey, czy lady Glenwood jest teraz w grocie? spytała niewinnym tonem.

Majordomus, który zapalał właśnie świece w dwóch wieloramiennych kandelabrach nad kominkiem, zerknął na nią ze zdziwieniem, nieco podejrzliwie.

- Ależ oczywiście, panno Montague. Udała się tam jakiś czas temu.

- A lord Lucien jej towarzyszy?

- Tak sędzę.

Uśmiechnęła się do niego rozbrawiająco.

- A ja mogłabym tam pójść?

- Najmocniej przepraszam, panno Montague, ale to absolutnie wykluczone.

Alice spuściła oczy, niezdziwiona tą odmową. Nie dała jednak za wygraną; zawsze była wytrwała.

- A to dlaczego? - spytała żywo.

- Bo to by się nie podobało jego lordowskiej mości. Liczba... hm... zwiedzających grotę jest ograniczona.

- Ach, tak? Wobec tego zawiadomi pan lady Glenwood, by jak najprędzej przyszła tu do mnie?

- Spróbuję... ale zazwyczaj goście jego lordowskiej mości nie życzą sobie, żeby im przeszkadzać, kiedy są w grotcie.

- Dlaczego?

- Doprawdy nie wiem - odparł.

Alice obdarzyła go krzywym uśmiechem. Cóż za idealny majordomus! Jaki dyskretny i lojalny wobec swego chlebodawcy!

- To chyba wszystko... Dziękuję, panie Godfrey. Na jego zwiędłej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

- Dziękuję, panno Montague. Wkrótce ktoś ze służby przyniesie pani kolację i wino.

Tutaj jest dzwonek, proszę z niego korzystać o każdej porze, gdyby pani czegoś potrzebowała. Życzę miłego wieczoru i dobrej nocy.

Skłonił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Po wyjściu majordoma Alice obeszła cały pokój, zaglądając we wszystkie ciemne kąty. Cóż to za dziwny dom! Dziewczęca ciekawość wzięła górę nad zmęczeniem całodzienną podróżą. Alice podkrađła się na paluszkach do wielkiej szafy i ostrożnie ją otworzyła. Skrzypnięcie drewnianych drzwi zabrzmiało niezwykle głośno w panującej tu grobowej ciszy. Zajrzała do wnętrza i odkryła, że wisi tam jakaś dziwna szata. Dotknęła szorstkiej, brązowej wełny. Co też to może być?! Ciekawość znowu zwyciężyła. Alice wyciągnęła z szafy niekształtne okrycie i podszedłszy do kominka, obejrzała je dokładnie w blasku ognia.

Był to chyba rodzaj maskaradowego domina. Przypominało habit średniowiecznego braciszka z jakiegoś klasztoru lub zakonu żebrzącego. Szata była jednak z całą pewnością nowa i czysta. Z szerokimi rękawami i obszernym kapturem zwisającym na plecach. Nie zabrakło nawet sznura do opasania się w talii.

Usłyszała nagle wybuch śmiechu. Kilka osób idących korytarzem mijają właśnie jej drzwi. A więc nie wszyscy goście zniknęli! Głosy stawały się coraz cichsze. Alice podbiegła do drzwi, uchyliła je bezszelestnie i wyjrzała przez szparkę. Po korytarzu przemknęło kilka postaci odzianych w długie szaty z kapturem - wypisz, wymaluj jak ta, którą znalazła w szafie. Kiedy wszyscy zniknęli na końcu korytarza, Alice zamknęła znów drzwi i gryząc dolną wargę, pograżyła się w myślach. A więc do tego służy ta szata! Najwidoczniej przyjęcie lorda Luciena było czymś w rodzaju balu przebierańców. Nic dziwnego, koniec października, wkrótce Halloween! Alice nachmurzyła się na myśl, że jak zwykle ominie ją taka gratka, podczas gdy Caro będzie się bawić do woli.



Poirytowana niesprawiedliwością losu, zdjęła strój podróżny i włożyła znacznie wygodniejszą suknię domową, którą miała na sobie dziś rano przed wyjazdem. Rozpuściła włosy i starannie je wyszczotkowała. Wkrótce zjawiła się służąca z tacą. Alice zasiadła do kolacji, racząc się takimi frykasami jak zupa migdałowa, świeżutki chlebek prosto z pieca, filet wołowy z grzybkami. Na deser była legumina morelowa, a do picia znakomity burgund. Potem Alice położyła się wygodnie na wielkim łóżu, z włosami rozsypanymi po wezglowiu, mile rozgrzana dobrym trunkiem. To drzemała, to podłożywszy ramię pod głowę, wpatrywała się w migoczący na kominku ogień. Czekwała niecierpliwie, kiedy Godfrey skontaktuje się z Caro i przyprowadzi ją do tego pokoju.

Zaczęła się niepokoić. Może majordomus zapomniał o jej prośbie albo z rozmysłem ją zignorował? Alice dobrze знаła swoją bratową! Jeśli Caro bawi się teraz na balu kostiumowym, z pewnością nie żałuje sobie wina i jutro rano głowa będzie ją za bardzo bolała, by mogły wyruszyć skoro świt. A jeśli nie wyruszą, to nie zdążą do Hampshire przed zapadnięciem nocy, a przecież przyrzekła...

Nie ma rady! - pomyślała, siadając na łóżku z miną pełną determinacji. Jeśli służba lorda Luciena nie sprowadzi Caro do niej, musi sama iść na tę maskaradę i osobiście wywlec z niej baronową. W skromnej domowej sukience i z włosami opadającymi na plecy nie mogłaby się oczywiście pokazać na żadnym balu, ale znalezione w szafie domino wszystkiemu zaradzi!

Nie miała zresztą zamiaru długo tam bawić, tylko kilka minut, żeby odnaleźć Caro.

Kiedy po kilku minutach wymknęła się z pokoju, jej błękitne oczy błyszczały podnieceniem na twarzy osłoniętej obszernym brązowym kapturem. Czując się kompletnie anonimowa w takim stroju, skradała się korytarzem tam, dokąd zmierzali poprzednio inni goście. Serce jej biło szybciej na myśl o czekającej ją przygodzie, a może trochę pod

wpływem wina. Jaka szkoda, że nie było teraz przy niej Kitty Patterson! Ależ by się śmiały, buszując po tym labiryncie! Bo też ten niesamowity dom przypominał labirynt.

Musiała jednak wędrować sama, błąkała się więc w sieci mrocznych korytarzy, nieraz skręcając w złym kierunku, zanim znalazła tamte mniej ozdobne schody, którymi Godfrey wprowadził ją na drugie piętro. Zeszła teraz po nich na dół i znów błąkała się po wielu korytarzach, nim wreszcie ujrzała paradne schody z ciemnego dębu, z portretem pierwszego markiza na podeście. Miała wrażenie, że markiz mruga do niej porozumiewawczo, gdy po cichutku schodziła na dół, przygryzając wargi, by powstrzymać się od nerwowego chichotania. Nie mogła uwierzyć, że zdobyła się na coś takiego! Ale jak zdoła wrócić do swego pokoju? We frontowym holu, u podnóża dębowych schodów, stał lokaj w beżowej liberii. Zwrócił się do Alice z ugrzecznioną miną.

- Do groty, łaskawa pani? - spytał uprzejmie; najwidoczniej jej nie rozpoznał.

Alice skinęła głową, a on palcem w białej rękawiczce wskazał jej korytarz po lewej stronie. Spostrzegłszy w sąsiednim pokoju Godfreya, który udzielał reprimendy jednemu ze służących, Alice pospieszyła we wskazanym kierunku, zanim jej ucieczka z pokoju gościnnego zostanie odkryta. Na końcu wskazanego korytarza stał inny lokaj, który udzielił Alice następnej wskazówki. Trzeci z kolei otworzył jakieś niepozorne drzwiczki i gestem zachęcił Alice, by wstąpiła w znajdujące się za nimi egipskie ciemności.

- Tędy, łaskawa pani.

Bez większego entuzjazmu Alice zajrzała w czarną czeluść. Z niepewną miną odwróciła się znów do lokaja. Chyba zartował! On jednak nadal uśmiechał się uprzejmie. Spojrzała więc raz jeszcze, uważniej. Tuż za drzwiami wąskie schody wiodły w dół, zapewne do piwnic na wino. Potem jakby z wnętrza ziemi dobiegł do niej śmiech, a raczej jego głuche echo. Pojęła wówczas, że jest to istotnie droga do groty. O Boże, robiło się coraz bardziej

niesamowicie! Jakiś wewnętrzny głos ostrzegwał Alice, by zawróciła czym prędzej. Ona jednak postanowiła za wszelką cenę odnaleźć Caro. Zebrała więc wszystkie siły i wkroczyła w mrok. Natychmiast poczuła na skórze wilgotne, zimne powietrze, niczym lepki całus księcia zaklętego w żabę. Trzymając się poręczy, zstępowała w smoliście czarną otchłań. Przebyła zaledwie kilka stopni, gdy dotarł do jej świadomości jakiś nieustający szmer - ni to szept, ni to cichy oddech... Coś dobrze znanego, ale w tej chwili nie potrafiła tego rozpoznać. Kiedy dotarła wreszcie do ubitej ziemi u podnóża schodów, nie było już ani śladu ludzi, których śmiech niedawno słyszała. Tylko następny lokaj w liberii stał na posterunku u wrót jaskini. Ukłonił się i gestem zachęcił Alice do wejścia.

Zawahała się sekundę. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Kim był człowiek, z którym związała się jej bratowa? Caro opisywała Luciena Knighta jako światowca i niezwykle zdolnego *charge d'affaires* z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, mówiącego płynnie sześcioma czy siedmioma językami. Ale czy ktoś taki otoczyłby swój dom kręgiem uzbrojonych strażników, żądałby od swych gości podawania hasła przy bramie, urządzał przyjęcia w podziemnej pieczarze?! Alice wiedziała, że powinna natychmiast zawrócić, ale ten cichy, szemrzący dźwięk przyzywał ją, wabił. Serce biło jej na alarm, nogi odmawiały posłuszeństwa... a jednak weszła do jaskini.

Pochodnie zatknięte w ściennych uchwytach rzucały światło na lśniące stalaktyty, zwieszające się tu i ówdzie ze sklepienia, podobne do zębów ogromnego smoka. Im dalej zapuszczała się w głąb pieczary, tym wyraźniejszy stawał się tajemniczy szmer. Potem wyczuła w powietrzu ożywczy zapach świeżej wody - i nagle wszystko stało się jasne: podziemna rzeka! Zauważyła przecież źródł tryskający ze skały, gdy przejeżdżali po drewnianym mostku. Jej przypuszczenie potwierdziło się, gdy minęła zakręt tunelu i dotarła do samej rzeki. Nareszcie znalazła się w towarzystwie innych ludzi! Lokaje pomagali gościom

przebrany w pseudozakonne szaty wsiadać do dziwacznych gondoli. Na dziobie każdego z tych stateczków o fantazyjnych kształtach płonęła pochodnia, a ogniste refleksy ślizgały się po szklistej, ciemnej powierzchni podziemnej rzeki. Jeden ze służących dał znak Alice, by podeszła bliżej.

- Proszę się pospieszyć, madame! Na tej łodzi znajdzie się jeszcze miejsce dla pani! - zawołał żywo.

Alice się zawahała. Serce waliło jej jak szalone. Jeśli wsiądzie na pokład tej gondoli, nie będzie już odwrotu... Ale inni pasażerowie zaczęli ją popędzać tak niecierpliwie, jakby nie mogli się już doczekać, kiedy odpłyną.

- Pospiesz się!

- Na co czekasz, głupia?

- Nie stój jak kołek! I tak jesteśmy już spóźnieni!

Duma i zwykły upór nie pozwoliły Alice ośmieszyć się publicznie, uciekając jak ostatni tchórz. Wołała nie myśleć, co by w tej sytuacji poradził jej ukochany brat. Podbiegła do lokaja i przy jego pomocy znalazła się na pokładzie. Kiedy zajęła już miejsce, przewoźnik odepchnął się żerdzią od dna i pełna pasażerów łódź popłynęła przez wiele połączonych ze sobą wapiennych jaskiń. Alice ukryła pod spódnicą stopy w rannych pantoflach i złożyła skromnie ręce na podołku.

- Przez tę idiotkę spóźnimy się jeszcze bardziej! - burknął niezyczliwie ktoś za jej plecami.

Alice zerknęła niespokojnie przez ramię. Czuła coraz większy niepokój i strach, ale było już za późno.

- Nie zawracaj sobie nimi główki! - wymamrotał siedzący obok niej grubas, wyraźnie pod dobrą datą. Był niski i łysawy jak braciszek Tuck z wiernej drużyny Robin Hooda.

Niedopasowany brązowy habit opinał się na pękatym brzuszysku. - Pewnie się spóźnimy na nabożeństwo. I co z tego? Mnie obchodzi tylko deser!

Nabożeństwo?! Alice spojrzała na swego sąsiada z niepokojem.

Uśmiechnął się do niej, choć był porządnie pijany i oczy same się mu zamykały.

- A ty co? spytał z ciekawości. - Żar... żarliwa neofitka czy jak ja lubisz pofiglować?

Alice spojrzała na niego podejrzliwie i odsunęła się nieco. Gondola płynęła po czarnej jak smoła wodzie. Dobrze wychowana panna Montague nie miała zwyczaju rozmawiać z nieznajomymi, zwłaszcza z zapijaczonymi lubieżnikami. A poza tym nie chciała zdradzić się ze swą ignorancją. O czym on gada?!

Obserwował ją z chytrym błyskiem w małych, ciemnych oczkach.

- Mów mi Orfeusz.

Twarde „r” i przesadnie akcentowane samogłoski zdradzały Amerykanina. Dziwne!

Przecież Anglia i Ameryka znajdują się w stanie wojny. Prasa donosiła, że brytyjskie okręty nadal blokują zatokę w pobliżu Nowego Orleanu, jak to czyniły z niewielkimi przerwami od 1812 roku. W tym właśnie momencie trzepot nietoperzych skrzydeł zwrócił myśli Alice na inne tory. Zerknęła w górę i skuliła się z grymasem odrazy. Poniewczasie przekonała się, że należało raczej uważać na Orfeusza, który korzystając z sytuacji, przysunął się bliżej z lubieżnym uśmiechem.

- Jesteś tu nowa, co? Zastrachane maleństwo! I taka młodziutka - szepnął, kładąc łapę na jej udzie.

Szarpnęła się tak gwałtownie, że aż łódź się zakołysała.

- Jak pan śmie!

Orfeusz cofnął rękę i odpowiedział ze śmiechem:

- Nie bój się, malutka. Znam zasady. Smok pierwszy cię skosztuje, co? - Wyciągnął

flaskę z za pazuchy i odkorkował. - Zdrowie Smoka, Argusa, Prospera... mistrza iluzji i księcia wszelkiej obłudy! - oświadczył cynicznie. - Bez wątpienia przypadniesz mu do gustu.

Alice spojrzała na niego oszołomiona.

- Komu?!

- Jak to „komu”? Lucyferowi, oczywiście!

Alice na chwilę przestała oddychać. Serce tłuło jej się w piersi, gdy przewoźnik przybił do brzegu łagodnie opadającego ku wodzie. Czuła, że opuszczenie gondoli byłoby nierozważne i niebezpieczne... a jednak współpasażerom bardzo się do tego śpieszyło.

Tłoczyli się na pomoście i z entuzjazmem wspinali się po wykutych w wapiennej skale płtykich stopniach, które wiodły do niskich, łukowatych drzwi.

- No, chodź, malutka. Nie marudź! - Orfeusz chwycił ją za nadgarstek i pociągnął za innymi.

Alice skrzywiła się z niesmakiem na widok rzeźby, stanowiącej ozdobę łukowatych drzwi. Była to groteskowa podobizna Priapa, bożka płodności, nagusieńkiego, z szerokim uśmiechem i nieprawdopodobną erekcją. Priap trzymał palec przy ustach, jakby nakazywał milczenie tym, którzy wkroczą w te podwoje.

- Trochę podobny do mnie, prawda? - zachichotał Orfeusz. A potem mężczyzna idący przed nimi otworzył drzwi.

Natychmiast buchnął z wnętrza podziemnej groty stłumiony gwar ludzkich głosów i dźwięki muzyki, co zaskoczyło Alice. Monotonne śpiewy, warkot bębnów, metaliczny szcęk uderzających o siebie czyneli, niskie buczenie egzotycznych instrumentów. Wionął też ku nim zapach kadzidła z gęstego mroku za otwartymi drzwiami.

- No chodź, modrooka! - zachęcał jowialnie Orfeusz.

Alice wiedziała, że zapuszczanie się w ślad za nim w nieprzenikniony mrok to

wyjątkowo głupi pomysł. Wyczuwała zło, które czyhało tam na nią... ale gdzieś w tej ciemności była także jej bratowa, którą musiała odnaleźć! Bez względu na to, w co się wplątała Caro, Alice jak zawsze musi ją wyciągnąć z opresji. Zebrała więc wszystkie siły i zsunąwszy mnisi kaptur jeszcze bardziej na twarz, tuż za grubym Amerykaninem przeszła przez łukowate drzwi.

To, co ujrzała po ich drugiej stronie, sprawiło, że stanęła jak wryta. Patrzyła ze zdumieniem i przerażeniem. Była to przełomowa chwila, którą miała zapamiętać do końca życia. Chwila, która podzieliła jej życie na dwie jakże różne części: naiwne bytowanie przed poznaniem zagadki Revell Court - i wszystko, co wydarzyło się potem. Chwila, gdy oczy jej się otworzyły na istnienie innego świata, świata mrocznych tajemnic.

Świata Luciena.

Woń kadzidła. Płonące świece wśród roniących łzy stalaktytów. Alice usiłowała odzyskać jasność umysłu po szoku, jakim była dla niej groteskowa, orgiastyczna scena, rozgrywająca się na jej oczach we wnętrzu ogromnej groty. Zupełnie jakby ożył jeden z obrazów Hieronima Boscha! Hipnotyczne dźwięki muzyki starały się omotać ją swym węzowym czarem, otumanić jej zmysły, uspić wstrząśnięty umysł.

Tylko jedno nie ulegało wątpliwości: to nie był bal kostiumowy.

- No, chodź! - rzucił ochoczo Orfeusz i ruszył przodem po schodach wykutych z porowatego wapienia, zstępując do wielkiej podziemnej jaskini, wypełnionej ruchliwym tłumem w jednakowych szatach. Twarze wszystkich zebranych były zwrócone w stronę wielkiej rzeźby, przedstawiającej ohydneho, szczerzącego zęby smoka. Każdy szczegół, każda najdrobniejsza łuska zostały wykonane z niezwykłą starannością. Potwór przeżył się do skoku. Jego oczy zdawały się miotać ogniste błyski, gdyż w oczodołach umieszczono kosze pełne rozżarzonych do czerwoności węgli. Z czarnej otchłani rozwartej paszczy, w której

zmięściłby się z powodzeniem wysoki mężczyzna, spływała woda z gorącego źródła. Para buchała z nozdrzy smoka; wydawało się, że lada chwila potwór zacznie zionąć ogniem. Strugi wody z gorącego źródła spływały kanałem do wielkiego zbiornika, który przypominał do złudzenia kryształowy basen w Bath. Otaczały go barwne mozaiki i wolno stojące kolumny korynckie, być może pamiętające czasy starożytnych Rzymian.

Nigdy dotąd Alice nie widziała tyle nagości. Jednak - być może dzięki jej zamiłowaniu artystycznym, zwłaszcza do malarstwa portretowego - ze zdumiewającą szybkością pierwotny szok i oburzenie przerodziły się w czysto profesjonalne zainteresowanie. Ale choć niemało osób baraszkowało już w wodzie na golasa, większość nadal była ubrana, zachowując swą anonimowość dzięki brudnym szatom z wielkimi kapturami. Niektórzy zaopatrzyli się dodatkowo w maski. Wszyscy wydawali się urzeczeni sceną rozgrywającą się na wykutej w wapieniu platformie, przypominającej kształtem siodło. Znajdowało się ono, z grubsza mówiąc, na plecach smoka. Centralne miejsce na owej skalnej platformie zajmował kamienny ołtarz. Stał za nim młody blondyn w kapłańskiej szacie, której fałdy efektownie układały się na jego wysokiej, smukłej postaci. Unosząc coraz wyżej ręce, wyśpiewywał jakieś niezrozumiałe, bezsensowne słowa czystym, wysokim głosem. W regularnych odstępach wtórował mu chór. Ta bezbożna parodia kościelnej liturgii przyprawiła Alice o dreszcz niepokoju.

Gdy dotarli do podnóża schodów, Orfeusz natychmiast zaczął się przepychać przez rozkołysaną ciżbę. Alice postukała go w ramię, żeby się odwrócił.

- Muszę znaleźć lady Glenwood! - zawołała, starając się przekrzyczeć dudnienie bębnow. - Znają pan?!

- Żadnych nazwisk, mała! - Zrobił groźną minę, rozejrzał się dokoła, jakby chcąc sprawdzić, czy nikt jej nie słyszał, po czym przysunął się do niej tak, że ich głowy znalazły



się obok siebie. Alice zauważyła ze zdumieniem, że wydawał się teraz całkiem trzeźwy. -

Nigdy nie wymawiaj tu niczyjgo nazwiska! - rzucił ostro. - Boże, ależ ty jesteś naiwna! Nie znam tej osoby. A teraz chodź ze mną i nie wdawaj się z nikim w pogawędki, bo wpadniesz w paskudne tarapaty!

Skarcona tak Alice posłusznie podążyła za Orfeuszem, który przepychał się przez tłum. Musiało tu być ponad sto osób! Wpatrywała się w morze otaczających ją twarzy, usiłując znaleźć Caro, podczas gdy Orfeusz szukał dla nich dogodnego miejsca. Zatrzymali się mniej więcej pośrodku i zwrócili się w stronę kamiennej sceny. Wysoki głos jasnowłosego młodzieńca przybrał na sile, spotężniał też odpowiadający mu chór. Alice nie rozumiała słów, ale wyczuwała rosnące podniecenie i nastrój oczekiwania. W pewnym momencie „kapłan” zwrócił się znów do zebranych i wyciągnął ramiona.

Coraz większa szybkość, z jaką wymawiał niezrozumiałe słowa, i jego coraz bardziej przejmujący głos potęgowały ogólne podniecenie.

- Nako... laa...! Ot... to... oo... Ta - ji... noo... V... odi - bieee... ne - bo... loo... Ot... to... oo...! Smo... ook!

Brzęknęły czynele, podkreślając wagę tego imienia. Płomienie strzeliły z ustawionych po obu stronach platformy koszy pełnych rozżarzonych węgli, gdy pomocnicy kapłana polali je oliwą. Zamilkł chór i większość instrumentów. Tylko bębny wybijały takt, choć i one nieco przycichły. Wszyscy ludzie wokół Alice zaczęli powtarzać cichymi, śpiewnymi głosami: smok... smok...

Podwójne drzwi wiodące na skalną platformę się otworzyły. Alice wpatrywała się jak urzeczona w wysoką, potężną postać, która wkroczyła na scenę. Człowiek ten, podobnie jak większość zgromadzonych, twarz miał zakrytą obszernym kapturem. Powłóczysta szata została jednak uszyta z czarnego jedwabiu. Falowała przy każdym energicznym ruchu Smoka

i płynęła za nim, gdy zmierzał na środek sceny z drapieżną gracją wielkiego czarnego lamparta. Na połyskliwym materiale migotały czerwone błyski, gdy mijał kosze pełne ognia. Zdawało się, że płomienie całują go i pieszczą. W rozcięciu czarnej szaty były widoczne czarne wysokie buty, czarne spodnie i luźna biała koszula, wycięta pod szyją w klin, pozwalający dostrzec ogorzałą, muskularną pierś. Alice spoglądała na Smoka ze szczerym podziwem. Pośrodku sceny zatrzymał się i zwrócił twarzą do zgromadzonych. Z szerokich rękawów czarnej szaty wynurzyły się białe koronkowe mankiety, gdy wyciągnął do tłumu duże, kształtne, drapieżne dłonie. Alice była coraz bardziej zafascynowana.

Chociaż oczu Smoka i górnej części jego twarzy nie było widać spod kaptura, Alice nie mogła oderwać wzroku od mocno zarysowanej szczęki. Kiedy zaś Smok przemówił, jego niski, urzekający, władczy głos przetoczył się nad tłumem i wypełnił całą grootę.

- Bracia i siostry!

Zgromadzeni wydali okrzyk zachwyty.

- Zebraliśmy się dzisiaj, by powitać dwie neofitki i przyjąć je do swego ze wszechmiar plugawego i zgoła bezecnego grona. - Tłum wiwatował jak szalony w odpowiedzi na te obelgi. Szyderczy uśmiezek przemknął po urzekających ustach Smoka. Zostały gruntownie przebadane i wypróbowane na wszelkie sposoby przez Radę Starszych, podobnie jak wy wszyscy - pomrukiwał łagodnie drapieżnik. - Uznano je za godne przyjęcia. Podejdźcie teraz, neofitki, by dostąpić ostatecznego wtajemniczenia.

Odrzucił kaptur do tyłu, odsłaniając niezwykle urodziwą twarz - płomienną, sataniczną, bardzo męską Alice zaparło dech. Była oczarowana, a równocześnie dręczyło ją niepokojące przecucie. Lucien Knight! Wystarczyło jej jedno spojrzenie, by upewnić się, kim jest Smok. To były zuchwałe, patrycjuszowskie rysy nieustraszonego poszukiwacza przygód. Srebrzyste oczy błyszczały jak brylanty. Połyskliwa czerń włosów podkreślała

złocisty brąz opalanej skóry i błysk białych zębów w przewrotnym uśmiechu.

Alice gwałtownie zaczerpnęła powietrza, gdy na platformę wczołgały się dwie nagie kobiety i podpełzły na czworakach do przywódcy. O Boże! Nie pozwól, żeby to była Caro!...

Neofitki przykucnęły u stóp Smoka, Alice zaś poczuła ogromną ulgę: żadna z nich nie była jej bratową. Lucien położył ręce na ich głowach i zaczął wyśpiewywać jakieś rytualne formułki w tym samym niezrozumiałym języku, którym posługiwał się jasnowłose młodzienc. Przez cały czas obie kobiety pojękiwały i pieściły swoje bożyszcze. Alice przyglądała się, jak ich ręce suną po twardym, smukłym ciele, jakby nie mogły się od niego oderwać. Dysząca zmysłowością atmosfera groty zaczęła wreszcie docierać do jej świadomości. Ona również nie mogła oderwać zafascynowanego wzroku od pięknego, demonicznego kochanka Caro.

Nic dziwnego, że nazywają go Lucyferem! Stworzony, by wodzić na pokuszenie...

Chwilę później Smok zakończył swoje błogosławieństwo, całując lekko w czoło każdą z kobiet. Obie wyraźnie szukały jego ust, ale z uroczym sadystycznym uśmieszkiem odmówił im tej przyjemności. Następnie młody blondyn ubrał neofitki w białe szaty i sprowadził je ze sceny. Czczyciele Smoka mieli już wyraźnie dość podniosłych ceremonii. Z rosnącym zażenowaniem Alice przyglądała się, jak wszyscy wokół niej dobierają się w pary lub tworzą bardziej skomplikowane, zaskakujące kombinacje. Tu i ówdzie obściskiwano się już, obcałowywano i bez żenady zrzucano brązowe habity. Nabożeństwo wyraźnie miało się ku końcowi.

Ku zaskoczeniu Alice Orfeusz nagle chwycił ją za ramię.

- Daj mi całuska, modrooka! stęknął. Krople potu spływały mu po zaczerwienionej, pyzatej twarzy.

Alice cofnęła się raptownie.

- Puszczaj!

- Coś ty, dziewica?!

- Puść mnie natychmiast!

Szarpali się przez chwilę i grubas znowu próbował ją pocałować, ale Alice odepchnęła go z całej siły. Mamrocząc jakieś bezeceństwa, Orfeusz wycofał się urażony i wmieszał w tłum, pozostawiając ją samą.

Wstrząśnięta tym zajściem Alice odgarnęła włosy do tyłu nieco drżącymi rękami, rozejrzała się dokoła i stanęła na palcach, usiłując odnaleźć Caro. W poszukiwaniu lekkomyślnej bratowej zaczęła znowu przeciskać się przez tłum. Muzykanci grający na egzotycznych instrumentach zabrali się do roboty. Zabrzmiała oszołamiająca, rozkołysana melodia. Alice wydawało się, że muzyka zdradziecko wślizguje się do jej wnętrza. Wokół niej słychać było rozmowy, co krok mówiono w innym języku. Zdała sobie sprawę z tego, że zjechali tu ludzie z całej niemal Europy, by pofolgować swym występny zachciankom. Właśnie zabierali się do tego na dobre, pozbywszy się reszty skrupułów i... brązowych habitów. Wielki basen zaczął się zapełniać rozchichotanymi nimfami i satyrami. Powodzenie miały też niewielkie ciemne nisze wykute w ścianach jaskiń. Na oczach Alice wszelkie dewiacje seksualne krzewiły się jak egzotyczne kwiaty. Widziała damę w masce, smagającą biczem mężczyznę przywiązanego do jednej z korynckich kolumn. Ręce miał skrępowane nad głową. Za każdym razem, gdy chłostała go po nagich plecach, całe jego ciało skręcało się, a on krzyczał z rozkoszy. Inni przyglądali się temu z zainteresowaniem. Nieco dalej Alice natknęła się na dwie kobiety splecione w namiętym uścisku. Zagapiła się na nie, zdumiona i zdezorientowana. Wszędzie, gdzie okiem rzucić, ludzie zachowywali się w niepojęty sposób! Wszystko to przytłaczało ją i nie w pełni docierało do jej świadomości; czuła jednak, że później spróbuje to przemyśleć i zrozumieć. Na razie musi skoncentrować się na jednym: odnaleźć Caro i zabrać ją do domu, do Harry'ego!

Na wspomnienie bratanka trochę jej się rozjaśniło w głowie i umocniła się jeszcze w swym postanowieniu. Z większą energią zaczęła się przepychać przez tłum, nie zwracając uwagi na akty miłosne, zarówno zgodne z naturą, jak i jej przeciwne, oraz na haniebne propozycje, jakie robili jej nieznajomi, których mijiała. W końcu znalazła się tuż obok wielkiej wanny.

Para unosząca się nad spływającą do basenu wodą z gorącego źródła sprawiła, że pasemka włosów kleiły się do twarzy Alice, gdy w półmroku usiłowała rozróżnić twarze pływaków. Po kilku minutach stwierdziła z zamierającym sercem, że nie ma wśród nich jej bratowej. Przycisnęła rękę do czoła. O Boże! Pewnie gdzieś na osobności kocha się z Lucienem Knightem! Obejrzała się na kamienną platformę. Jasnowłosy młodzieniec nadal tam tkwił, ale Smok rozpląnął się w powietrzu.

Alice się nachmurzyła. Ręce jej opadły na samą myśl o przerywaniu pieśczoć bratowej z demonicznym kochankiem... Wszystko jedno! Narzuci coś na Caro i wyciągnie ją stąd choćby przemocą, zawlecze do domu, gdyby to było konieczne! Z mocnym postanowieniem przeszukania wszystkich kryjówek w ścianach groty wykręciła się na pięcie... i zderzyła się z nagą, muskularną, męską pierśią.

Dokładnie na poziomie oczu Alice znajdowała się biała koszula, odsłaniająca aksamitny tors. Z tej odległości można było dostrzec na skórze lśniącą warstewkę potu, a nawet po czuć jego słonawy smak. Gdy Alice zorientowała się, na kogo wpadła, serce podskoczyło jej do gardła, a resztki inteligencji pierzchły jak spłoszone kurczaki, kiedy lis wedrze się do kurnika.

O Boże! Tylko nie to! - pomyślała z rozpaczą, czując, że się dusi.

Powoli, bardzo powoli odchyliła głowę do tyłu, podniosła wzrok i spojrzała w srebrzyste, kpiące oczy Luciena Knighta.

Kilka minut wcześniej Lucien przechadzał się niedbałym krokiem wśród zebranych. Jednak wszystkie jego zmysły były napięte i wyostrzone; nic nie umknęło jego uwadze. Podczas całej operacji wspomagał go sztab złożony z pięciu łotrzyków, młodych agentów doszkalających się pod jego kierunkiem. Czterej z nich mieli pod ścisłą obserwacją cały teren groty, piąty zaś, niejaki Talbert, wyżywał się w roli kapłana. Oprócz tego na usługach Luciena znajdowało się sześć czarujących kurtyzan, a każda z nich doskonale znała swoje obowiązki: spoić agentów konkurencji, nie skąpić im względów i w intymnych chwilach pociągnąć ich za język. Ci zdolni chłopcy i dziewczęta bez trudu wtapiali się w tłum, zdobywali tyle informacji, ile się dało, a nad ranem składali szefowi dokładny raport. Lucien zaś przechadzał się po całej grocie, miał oko na wszystko i przez cały czas czujnie nasłuchiwał i wypatrywał czegoś, co mogło mieć jakikolwiek związek z jego wrogami. Ale człowiek nie samą pracą żyje. Otaczająca go ze wszystkich stron rozpasana zmysłowość doprowadzała krew Luciena do wrzenia. Potrzebował teraz kobiety, i to szybko. Nie Caro! Znudziła mu się ostatecznie podczas długiej jazdy powozem z Londynu do Revell Court. Może by tak jedna z usłużnych neofitek... albo obie naraz?...

I nagle spostrzegł tę dziewczynę. Nadal była ubrana. To najpierw przyciągnęło jego uwagę. Jakoś nie pasowało do sytuacji. Ponieważ twarz miała zasłoniętą kapturem, nie mógł się zorientować, kto to taki... ale natychmiast wyczuł instynktownie, że ta dziewczyna nie ma nic wspólnego z resztą towarzystwa.

Przecież to niemożliwe! Znał tu każdego i wiedział o wszystkim, co się dzieje w grocie. Panował całkowicie nad sytuacją. Nikt niepowołany nie zdołałby się prześliznąć przez jego kordon.

Gdy zorientował się, że dziewczyna jest sama, cała jego uwaga, bez reszty, skupiła się na niej. Obserwował ją dyskretnie, przemieszczając się wśród tłumu zwinnie i niepostrzeżenie. Instykt ostrzegał go przed nią, a zmysły... No właśnie! Jakie zmysły? Jakie instynkty w nim budziła?

Musi przyjrzeć się jej z bliska! Ruszył niby to przypadkiem w tę samą stronę co ona.

Krew tętniła w nim dzikim, starym jak świat rytmem. Owładnęła nim żądza zespolenia nagich ciał. Wiedział z gorzkiego doświadczenia, że jedynie na to mógł liczyć. Miłość, której naprawdę łaknął, nie istniała...

przynajmniej w jego świecie. Na szczęście można było kupić jej namiastkę. Wszystko da się zgrać, nawet namiętne porywy. Lucien chciał być obejmowany tak, jakby naprawdę był tym jednym jedynym... Chciał zatracić się w kobiecym ciele... I może na chwilę odegnąć dławiającą go samotność?

Odległość pomiędzy nim a nieznaną ciągle się zmniejszała. Bezwiedna gracia jej ruchów radowała oczy Luciena; reagował całym ciałem na wdzięczne kołysanie jej bioder, gdy oboje zbliżali się do basenu. Już sobie wyobrażał, jak dziewczyna zrzuca habit i objawia mu się w swej smukłej nagości. Ona jednak nie zrobiła nic podobnego. Po prostu stała tam, jakby szukała kogoś wśród kąpiących się. Lucienowi przemknęło przez myśl, że znalazłszy się koło nieznanym, schwyci ją na ręce i wyniesie stąd albo posiadzie ją na miejscu. Nie był jeszcze pewien, którą z tych ewentualności wybierze, kiedy z mrocznym uśmiechem zagroził jej drogę.

Zerknęła na niego lękliwie spod obszernego kaptura. Nigdy jeszcze nie patrzył w równie błękitne oczy... Tylko raz w życiu widział ten niesamowity, kobaltowy odcień: na witrażach katedry w Chartres. Otaczający ich tłum przestał istnieć dla Luciena, gdy zatonął w tych oczach, błękitnych i głębokich jak morze.

Kim ty jesteś?

Nie wypowiedział tych słów. Ze spokojną pewnością siebie mężczyzny, który wie, że nie oprze mu się żadna z obecnych tu kobiet, zdecydowanym, choć łagodnym ruchem ujął ją za brodę. Dziewczyna aż podskoczyła, kiedy jej dotknął. W jej oczach błysnął strach. Jego nieustępliwe spojrzenie nieco złagodniało. Rozbawiła go ta panika. Ale lekki uśmiezek znikł, gdy wyczuł pod palcami jedwabistość jej skóry. Jedną ręką obrócił jej twarz w stronę dopalającej się pochodni, drugą zsunął nieznajomej kaptur z głowy. I skamieniał w obliczu piękności, jakiej nigdy w życiu nie widział.

Widok ten przepełnił go zbożnym podziwem. Wstrzymał dech w obawie, że cudowna wizja nagle się rozwieje, okaże się wytworem jego rozgorączkowanego umysłu. Z rozpuszczonymi włosami, płonącymi żarem wschodzącego słońca, z ogromnymi zalęknionymi oczyma, jaśniejącymi nieziemskim błękitem, była tak podobna do anioła, który nie wiadomo jak tu zawitał, że Lucien wcale by się nie zdziwił, ujrzawszy puszyste, srebrne skrzydła, skromnie schowane pod zgrzebną brunatną szatą. Mogła mieć od osiemnastu do dwudziestu dwu lat. Była to dziewicza piękność, strwożona w swej niewinności. Wyczuł instynktownie, że jest nietknięta, choć w tym otoczeniu wydawało się to niewiarygodne. Wyczytał z jej twarzy dumę i lęk. Jej atlasowa skóra jaśniała w blasku świec, mleczna i delikatna, a miękkie, soczyste wargi sprawiały, że pożądanie kipiało mu we krwi jak szampan. Równie rozkosznych upojeń nie doznawał od pierwszej młodości... czyli od czasów niemal przedhistorycznych. Co więcej, na delikatnej twarzy malowały się inteligencja, śmiałość i niesłychana wrażliwość.

Jeśli przybyła tu poskramiać smoki, jednego ugodziła już w czarne, płonące serce lancą niebiańskiego spojrzenia! Miał wrażenie, że ta dziewczyna przenika go na wskroś swoim wzrokiem, podobnie jak on potrafił przejrzeć na wylot każdego. Niepokoiło go to, a



zarazem nieodparcie pociągało. Gdyby tylko...

W tym właśnie momencie początkowe otumanienie nieco osłabło i Lucienowi wróciło poczucie rzeczywistości. Nie znał tej dziewczyny. Nie widział jej nigdy w życiu. I z pewnością nie zapraszał jej do Revell Court.

Wielki Boże! - pomyślał w nagłym przerażeniu. Taką właśnie tajną bronią Fouche mógłby mnie zniszczyć!

Chwył jego palców stał się nagle mocniejszy, prawie bolesny. Niewinność także można udawać! Dostrzegł strach w oczach dziewczyny. Nie przejął się tym.

- No, no! - warknął. - Co my tu mamy? Śliczna jesteś, złotko.

- Puść mnie!

Roześmiał się nieprzyjemnie, gdy próbowała się wyrwać. Obiema rękami chwyciła go za nadgarstek, chcąc uwolnić swą brodę. Skrzydła?! Też coś! - pomyślał z niesmakiem, zażenowany swym chwilowym ogłupieniem. Gapił się na nią jak jakiś zadurzony niedorostek! Jeśli ta dziewczucha ukrywa coś pod kiecką, to najwyżej nóż, którym miała go zadźgać na rozkaz monsieur Fouche!

Był wściekły, że takiej dziewczyninie udało się zwieść choćby na sekundę jego - starego wyjadacza! Wolał jednak nie wszczynać awantury na ludzkich oczach. Kręciło się tu zbyt wielu zagranicznych szpiegów. Jego goście przybyli z dworu Habsburgów, z Neapolu, z Moskwy... Dostrzegł w tłumie nawet tego obrzydliwego brzuchatego Amerykanina, Rolla Greene'a, który pracował na dwa fronty. Na szczęście Lucien potrafił bezbłędnie zamaskować prawdę, wcale jej nie ukrywając. Musiał pogadać z tą dziewczyną sam na sam, dowiedzieć się, kim jest i dla kogo pracuje.

Święcie przekonany, że nieznajoma ukrywa pod habitem jakąś broń, uniemożliwił jej posłużenie się nią. Chwyciwszy dziewczynę za nadgarstki, unieruchomił jej ręce za plecami i

przycisnęła ją do siebie. Mała diablica walczyła jak szalona, wrywając się, szarpiąc i kopiąc.

- Puść mnie, ty draniu! - wołała. - To boli!

- O to właśnie chodzi. - Pochylił się tak, że ich twarze niemal się stykały i spojrzał jej w oczy z wyraźną pogroźką. - A teraz, moja śliczna, pogadamy sobie sam na sam!

Przestała się nagle opierać. Błękitne oczy rozszerzyły się, uroczo zarumieniona twarz raptownie zbladła.

Bez ostrzeżenia podniósł ją i przerzucił sobie przez ramię. Jedną ręką nadal trzymał ją za nadgarstki, drugą wymierzył solidnego klapsa, by ją poskromić.

Krzyk Alice utonął w ogólnym rozgwarze. Najbliżej stojący zaczęli głośno

wiwatować, a tłum rozstępował się przed Lucieniem, gdy zmierzał z branką na ramieniu do swego ulubionego zacisza, a zarazem znakomitego punktu obserwacyjnego za płonącymi oczami smoka.

Ramię Luciena było twarde jak żelazo, a z jego ciała buchał zawzięty gniew, niczym żar z pieca. Dekadencka atmosfera Revell Court wypaczyła poczucie rzeczywistości Alice, ale jej zdolność logicznego myślenia została ostatecznie zniweczona przez demonicznego władcę tej krainy. Żaden ze zgromadzonych bijących teraz brawo i wiwatujących na cześć Luciena Knighta nie miał wątpliwości, że Smok porywa ją i unosi w jednym jedynym celu. Alice obawiała się, że tak było w istocie.

Jej protesty, prośby i groźby nie odnosiły skutku, zagłuszane gromką muzyką i

warkotem bębnow. Również kopniaki i walenie pięściami, kiedy udało się jej w końcu oswobodzić ręce, nie robiły żadnego wrażenia na tym brutalu. W desperackiej próbie wyrwania się za wszelką cenę szarpnęła go za włosy, ale zarobiła tylko jeszcze jednego solidnego klapsa.

- Jak śmiesz?! - wykrztusiła po kolejnej zniewadze. W oczach zapiekły ją łzy, choć

bardziej ucierpiała jej duma niż siedzenie.

- Jak nie przestaniesz szarpać mnie za włosy, następnym razem przyłożę ci klapsa na gołe dupsko!

Ta grubiańska pogrożka nappełniła Alice gniewem i świętym oburzeniem.

Intelektualista znający siedem języków wyraża się w taki sposób?! Chyba jeszcze nigdy nie była taka wściekła! Czuła się absolutnie bezradna w ramionach tego osiłka, czego nie mogła znieść. Gdyby jej brat Phillip żył, z pewnością by go zastrzelił - za to, co zrobił Caro, a teraz jej!

Kiedy jednak Smok skierował się w stronę swego kamiennego krewniaka, Alice na chwilę zaprzestała walki. Wiedziała, że przeciwnik znacznie ją przewyższa siłą, postanowiła więc nieco odetchnąć i obmyślić nową taktykę, zanim dotrą tam, dokąd ją taszczył. Musi być czujna i mieć jasny umysł, jeśli jest choćby najmniejsza szansa powstrzymania tego nikczemnika od zgwałcenia jej.

Wartownik w długim czarnym płaszczu otworzył drzwiczki w boku smoka, tuż za jego łapą. Lord Lucien wniósł brankę do środka. Głośna muzyka i wrzaski tłumu prawie tu nie dochodziły. Alice usiłowała odepchnąć się dłońmi od pleców porywacza i odwrócić się, bo nic nie mogła zobaczyć.

- Dokąd mnie niesiesz? - spytała wyniośle, ale głos jej drżał.

- Chciałabyś wiedzieć, co? - odparł szyderczym tonem.

Wzdrygnęła się, słysząc jego głos. Wchodził po wąskich, spiralnych schodach

wykutych w kamieniu, a ona obijała się o jego twarde jak skała ciało. Sądząc z tego, jak

szybko szedł, zmęczenie po prostu się go nie imało. Kiedy dotarli do szczytu schodów,

kolejny strażnik otworzył następne drzwi. Z Alice zwisającą mu z ramienia, odartą do cna z godności, Lucien wkroczył do niewielkiego pokoju o kopulastym sklepieniu. Było tu dość

ciemno i bardzo gorąco. Alice zauważyła kanapę, drewniany stół i parę krzeseł oraz dwa owalne okna o czerwonych szybkach; roztaczał się stamtąd widok na grootę i wielki basen. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że znajdują się wewnątrz smoczej głowy.

Lucien pochylił się i postawił ją na ziemi.

- Nie ruszaj się!

Mógł sobie rozkazywać, ile chciał! Alice instynktownie cofała się przed nim, jak przed jakimś przerażającym drapieżnikiem.

Sięgnął za pazuchę po pistolet i z zimną krwią mierząc jej między oczy, powtórzył:

- Mówiłem ci, złotko, nie ruszaj się!

Alice stanęła jak wryta, spoglądając z niedowierzaniem na wycelowaną w nią lufę.

Serce zaciążyło jej ołowiem.

- Oddaj broń.

- Co takiego?! - wyszeptała.

Spoglądała w przerażeniu to na lufę pistoletu, to na piękną, okrutną twarz Luciena.

Jego policzki, czoło, wydatny nos i mocno zarysowana broda skąpane były w niesamowitym blasku czerwonych, szklanych „oczu smoka”. Włosy czarniejsze niż piekielna smoła zdawały się utkane z jedwabistych cieni. W srebrnych oczach błyszczała żądza mordy, gdy skradał się ku niej.

- Widzę, że nie spieszno ci do współpracy? - zauważył z pogroźką w aksamitnym głosie. - Doskonale, *cherie*. Jeśli wolisz, żebym cię obszukał, zrobię to z przyjemnością.

Ściągaj ten habit!

- Milordzie! - zachnęła się. Machnął pistoletem.

- Ściągaj, powiadam.

Alice spojrzała w jego stalowe oczy i błyskawicznie doszła do wniosku, że nie warto

dyskutować z uzbrojonym szaleńcem. Trzęsącymi się palcami rozwiązała sznur opasujący ją w talii, po czym ściągnęła przez głowę brunatną szatę. Wyłoniła się spod niej skromna suknia domowa, w którą przebrała się przed opuszczeniem gościnnego pokoju.

Zlustrował ją baczным spojrzeniem, od stóp do głów.

- Rzuć habit na podłogę. Nie oponowała.

- Spleć ręce na karku.

- To jakaś pomyłka... proszę...

Zmrużył oczy i spojrzał na nią ostrzegawczo. Zamilkła natychmiast i pospiesznie

splotła ręce na karku. Lucien schował pistolet z powrotem do skórzanej pochwy ukrytej pod

koszulą, w dwu krokach przebył dzielącą ich przestrzeń i obiema rękami chwycił Alice

mocno w pasie. Uważnie przesunął rękoma po obu jej bokach, po czym stanął za nią i zaczął

systematycznie - centymetr po centymetrze - obmacywać całą powierzchnię jej ciała

zręcznymi, groźnymi dłońmi. Ze zdławionym okrzykiem Alice opuściła uniesione ręce i

usiłowała osłonić biodra. Schwycił ją jednak znowu za przeguby i zmusił do ponownego

splecenia rąk na karku.

- Radzę nie przeszkadzać, mademoiselle.

- To absurd! Nie jestem uzbrojona! - protestowała, oblewając się szkarłatnym

rumieńcem.

- Milcz i stój spokojnie, bo zedrę z ciebie każdą szmatkę. Z prawdziwą przyjemnością!

Zaparło jej dech. Dobry Boże, w co też się wplątała?! Trzeba było zostać w pokoju

gościnnym! Zacisnęła zęby i starała się nie wzdygać i nie cofać, gdy duże, zwinne dłonie

błądziły po jej ciele.

- Jesteś doprawdy bardzo kusząca - powiedział lekkim tonem - ale czuję się nieco

urazony, że przysłali taką amatorkę. Czyżby z góry spisali cię na straty?

- Naprawdę nie wiem, o co chodzi...

- Oczywiście, oczywiście!... Zdobądź się na coś lepszego, kochanie. Znam aż za dobrze takie damulki jak ty. Nie ulega wątpliwości, po co cię tu przysłali: żebyś mnie zaciągnęła do łóżka i zadzgała we śnie.

Alice aż zamurowało.

- A jednak... - Jego wargi dotykały niemal jej ucha, a dłonie sunęły powoli po jej brzuchu. - Kto wie, czy z noc z tobą nie byłaby warta takiej ceny?...

Objął jej piersi od dołu. Alice wydała cichy okrzyk i cofnęła się instynktownie, uderzając o twarde mur jego klatki piersiowej. Serce jej biło jak szalone ze zdumienia, podniecenia i trwogi.

Odetchnęła z trudem, skutkiem czego jej piersi wtuliły się jeszcze bardziej w zagłębienie jego dłoni. Gardło miała zaciśnięte. Nie była w stanie wypowiedzieć słowa.

Czuła, jak żar emanujący z jego rąk przenika przez cienki muślin jej sukni, rozplamienając jej krew, budząc jakieś niepojęte moce... W ciasnym uścisku ramion Luciena czuła, jak jego smukłe, twarde ciało stapia się z jej ciałem. Jego kolana przylegają do jej nóg, jego silne uda do jej pośladków, jego brzuch do jej pleców... a jego masywna pierś stanowi oparcie dla jej głowy.

- Szkoda - szepnął. - Tak cudownie pasujemy do siebie...

Po tych słowach przeniknął ją dziwny dreszcz. Lucien podjął dalsze poszukiwania.

Serce Alice zmyliło nagle rytm, gdy napastnik, przykucnąwszy przy jej prawej nodze, wsunął jej ręce pod spódnicę.

- Co ty robisz?! - wykrztusiła łamiącym się głosem.

- Nie czujesz?

Przesunął bez pośpiechu dłońią po jej pończosze i wsadziwszy palec pod podwiązkę,

sprawdził ją na całej długości, zakreślając krąg wokół uda. Ciało Alice znów przeszło niepokojący dreszcz. Poczła straszne gorąco w dole brzucha, ale jej upokorzenie było jeszcze straszniejsze.

- Jak ci na imię? spytał od niechcienia, łaskocząc ją pod kolanem.

Alice kręciło się w głowie. Nogi się pod nią uginały. Powinna go okłamać... powinna coś wymyślić... ale jak mogła to uczynić, gdy ręce Luciena wędrowały po jej ciele? Była cała rozpalona, przesadnie wrażliwa na każde dotknięcie tego szatana! Jej własne ciało zdradza, nie jest już posłuszne jej, tylko jemu... Co za hańba!... Alice mimo woli drżała i wzdrygała się nerwowo, podniecona i zawstydzona własną reakcją... a Lucienowi najwyraźniej się nie spieszyło.

- No, jak ci na imię, *cherie* ?

- Alice - syknęła przez zaciśnięte zęby. - Puść mnie!

Podniósł na nią wzrok i znieruchomiał. - Alice... i co dalej?

- Alice Montague. Przyjechałam ocalić Caro... zabrać ją stąd!

W jego oczach pojawiła się konsternacja. Zerwał się na równe nogi i wpatrywał się w Alice w osłupieniu. Odchyliła głowę do tyłu, by napotkać jego spojrzenie.

- Alice Montague?!

- Ile razy mam to powtarzać?!

Zmrużył swe srebrne oczy, schwycił garść jej włosów i przyjrzał się im podejrzliwie.

- Boli! - poskarżyła się, jakby je wrywał z korzeniami.

- Cicho bądź! burknął.

Przez długą chwilę przyglądał się jej włosom. Potem raptownie wypuścił je z ręki.

Kiedy opadły znów na jej ramię, Lucien wziął się pod boki i zmierzył ją wściekłym wzrokiem.

- O co chodzi? - spytała z niepokojem, instynktownie odsuwając się od niego.

- Jesteś Alice, tak? - spytał oskarżycielskim tonem; głos miał dziwnie zdławiony.

- Tak.

- Szwagierka Caro? - Tak.

- Ta, co się opiekuje dzieckiem? - dorzucił szyderczym tonem.

- Tak! Mówiła ci o mnie?

Jego srebrzyste oczy zwęziły się jak u wilka, który mierzy wzrokiem jagnię.

- Alice Montague, psiakrew! Po co cię tu diabli przynieśli? Jak się wdarłaś do mego domu, cholera jasna?! - wrzeszczał coraz głośniejszym i zakończył takim rykiem, że aż podskoczyła.

- Przestań kłąć!

Znów oparł ręce na smukłych biodrach i z sarkastycznym grymasem wyraźnie oczekiwał wyjaśnień. Alice przysięgła sobie, że nie okaże strachu.

- Już ci mówiłam. Przyjechałam po Caro. Wartownicy przy bramie nie chcieli mnie wpuścić, ale na szczęście zdołałam ich przekonać, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki. Potem twój majordomus obiecał, że przyprowadzi Caro do mego pokoju, ale tego nie zrobił, więc sama po nią poszłam. Myślałam, że urządzasz bal kostiumowy.

Uniósł lewą brew.

- Bal kostiumowy? - Tak.

Uśmiechnął się, ubawiony jej pomyłką. Nie był to jednak miły uśmiech.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, jak łatwo sprawdzić, czy mówisz prawdę. Wystarczy poprosić tu Caro i od razu będzie wiadomo, czy jesteś Alice Montague.

- Zrób to jak najprędzej! Jechałam przez cały dzień, żeby ją stąd zabrać - odparła z ciężkim westchnieniem. - Jej synek jest ciężko chory.



Ironiczny uśmieszek natychmiast zniknął.

- Harry? Co mu dolega?

- Ma ospę wietrzną - odparła zdumiona, że jej rozmówca zna imię Harry'ego, a nawet okazuje mu pewne współczucie. - I ciągle woła mamę dodała już mniej wrogim tonem, choć nadal miała się na baczności. Przez następnych kilka dni będzie czuł się coraz gorzej, biedaczek... dopiero dziś rano obsypało go od stóp do głów.

- Zadałaś sobie diabelnie dużo trudu, przyjeżdżając aż tutaj. Zwłaszcza że ospa wietrzna to nie taka znów tragedia!

- Dla trzylatka bez mamusi to jest tragedia! - odparła z oburzeniem.

- Może i masz rację - powiedział bardzo cicho. Pokręcił głową, odwrócił się i podszedł do stołu ustawionego tuż pod oczami smoka. Podsunął Alice jedno ze stojących przy nim krzesel. - Siadaj! - powiedział kategorycznym tonem, po czym ruszył ku drzwiom. Otworzył je i rozkazał dwóm stojącym tam na warcie wielkim, ciemno ubranym mężczyznom: - Odszukajcie lady Glenwood i sprowadźcie ją tu jak najprędzej!

- Tak jest, milordzie.

Usłyszawszy tę wymianę zdań, Alice opadła na krzesło z pewną ulgą. Zacisnęła jednak kurczowo leżące na podolku ręce, schowała nogi pod krzesło i obserwowała z niepokojem Luciena, który bez pośpiechu zamknął drzwi. Stał przez chwilę przy nich ze spuszczoną głową; w czerwonym świetle jego szerokie plecy i atletyczne ramiona wydawały się jeszcze potężniejsze. Potem odwrócił się do niej i ze znużeniem oparł się plecami o drzwi. Jego twarz była ukryta w cieniu.

Wetknął ręce do kieszeni spodni i spoglądał na Alice, choć trzymał się na dystans.

Ona jednak nadal czuła dotyk jego rąk na swoich nogach. Spuściła głowę, unikając jego przenikliwego wzroku.

- Otóż i panna Skromnisia - powiedział z lekką kpina Alice zeszywniała i rzuciła mu chmurne spojrzenie.

- Nie lubię tego przezwiska!

Powiodł bezczelnym spojrzeniem po jej ciele.

- Mówiono mi, że z ciebie prawdziwa święta!

- Może w porównaniu z Caro - odcięła się.

Cyniczny uśmieszek zmienił się w szczery uśmiech od ucha do ucha.

- Za to dziś przeżyłaś niezapomnianą przygodę, co?

- Raczej ciężką próbę.

- Ale wyszłaś z niej z honorem.

Odkleił się wreszcie od drzwi i ruszył w jej stronę.

Serce Alice znów się rozszalało, kiedy się zbliżał, ponownie też poczuła wewnętrzny

dreszcz. To było jej fatum! Poczuła na ramionach gęsią skórkę. Lucien przystanął obok jej

krzesła i pasek jego czarnych spodni znalazł się na linii jej wzroku. Nie ośmieliła się spojrzeć

mu w oczy, czuła jednak żar emanujący z jego ciała i piżmowy męski zapach. Potem

zauważyła dziwne wybrzuszenie w spodniach. Miała je na wprost oczu i było zbyt wielkie, by

go nie zauważyć. Pospiesznie odwróciła wzrok, ale teraz, gdy po raz pierwszy zwróciła

uwagę na kwintesencję jego męskości, jakoś nie mogła o tym zapomnieć.

Podskoczyła na krześle, gdy Lucien ujął znów pasmo jej włosów i przesuwał je w

palcach jak atlasową wstążkę. Zirytowała ją ta poufałość, toteż zerknęła na niego gniewnie... i

zatonęła w jego płomiennych, urzekających oczach.

Kiedy się wreszcie odezwał, przemówił intymnym szeptem, który każdego by skłonił

do wyjawienia najtajniejszych sekretów serca.

- Alice Montague, dziewico bez skazy... powiedz, co myślisz o tym, coś tu dziś

widziała?

Pokręciła głową, odwróciła wzrok i odparła, czerwieniąc się:

- Sama nie wiem...

Wziął ją znów pod brodę, zmusił do podniesienia głowy i spojrzenia mu w oczy.

Miały ostry blask brylantów i przejrzystość kryształu.

- Podnieciło cię to?

To był prawdziwy szok! Oczy jej się rozszerzyły, nie była w stanie wydobyć głosu.

Zanim zdołała wyjąkać, że nie zamierza odpowiadać na takie pytania, uprzedził ją.

- Tylko bez kłamstw! - ostrzegł aksamitnym szeptem, nadal trzymając Alice za brodę,

by nie mogła odwrócić głowy. Wpatrywał się w nią tymi bystrymi, kryształowymi oczyma,

które dotarły na dno jej serca, zgłębiły tajemnice nie powierzone dotąd nikomu, odkryły jej

nieopanowane, namiętne porywy i trapiący ją niezrozumiały głód. Jego oczy zdawały się

dostrzegać to wszystko i rozgrzeszać ją z niepojętą, czułą wyrozumiałością. - Odpowiedz mi -

szeptął prawie niedosłyszalnie. - Niech dzięki tobie przypomnę sobie, co czuje ktoś taki

niewinny jak ty. - Zamilkł, ale nie otrzymał odpowiedzi. - Nigdy dotąd nie widziałaś, jak się

ludzie kochają?

Z rozszerzonymi oczyma, z sercem w gardle, po długiej chwili zebrała się na odwagę i

pokręciła głową. Twarz mu złagodniała. Spojrzał na nią nieledwie z czułością. Nigdy

przedtem nie widziała w oczach mężczyzny takiego pragnienia, takiej nieskrywanej, bolesnej

samotności. Alice zadrżała w odpowiedzi na to spojrzenie. A gdy podniósł jej dłoń do ust,

ogarnęła ją fala zdumiewających, ekscytujących doznań.

Ucałował leciutko wewnątrz jej dłoni i przytknął ją do swej odsłoniętej piersi. Z ust

Alice wydobył się cichutki jęk, nie tylko dlatego, że Lucien pozwolił sobie na tak rażącą

niestosowność; gdy poczuła pod dłonią jego nagą skórę, przeszył ją prąd.

Spojrzała na niego bezradna i drżąca. Zaprotestowała słabo zdławionym szeptem.

- Ależ, milordzie...

- Dajże spokój, Alice, widzę po twoich oczach, że masz na to ochotę... No, dalej! Ja naprawdę nie zrobię ci nic złego. A tutaj wszystko jest dozwolone. Twoja ciekawość to coś... całkiem naturalnego dokończył zmienionym głosem.

Spoglądała niepewnie na swoją rękę, taką białą i delikatną w zestawieniu z jego twardym, opalonym na brąz ciałem. Przygryzła wargę, wiedząc, że igra z ogniem... ale on naprawdę był piękny jak antyczny bożek! Jego ciało miało doskonałe klasyczne proporcje, a ukryta pod pozorami zblazowania wrażliwość sprawiała, że na jego twarzy odbijały się różnorakie emocje - choćby nawet próbował taić je w sobie. Alice nie odważyła się nawet poruszyć palcem, by poznać lepiej jego ciało, ale nie cofnęła ręki. Dzięki temu wyczuła jego przyspieszone tętno. Zafascynowało ją to.

- Twoje serce galopuje - powiedziała, podnosząc na niego wzrok. Oczy Luciena płonęły jak gwiazdy, twarz pozostawała w cieniu. Poglądził ją po szyi; koniuszki jego palców dotknęły arterii. Twoje też. O Boże! Zapragnęła nagle, żeby ją pocałował... Przymknęła oczy, rozkoszując się władcym dotykiem tej dużej, groźnej dłoni na swojej szyi, choć wiedziała, że każda sekunda podobnych igraszek jest wyjątkowo ryzykowna. Ośmielanie Luciena było czystym szaleństwem... ale jak delikatne, jak nieodparte w swej czułości było jego dotknięcie! Kiedy zmusiła się znów do otwarcia oczu, ujrzała na szczupłej twarzy Luciena pożądanie tak wielkie, że graniczyło z bólem. Spojrzenie Alice powędrowało w dół, ogarniając jego wznoszącą się i opadającą w ciężkim oddechu klatkę piersiową, smukłą talię i imponującą wypukłość w czarnych obcisłych spodniach. W oczach Luciena było błaganie o pieszczotę; wyrażał ją również, delikatnie głaszcząc - od ramienia po koniuszki palców - rękę Alice, która zastygła na jego piersi. Gdy Alice uświadomiła sobie z przerażeniem, że pragnie

spełnić jego życzenie, serce jej rozszalało się kompletnie. Podniosła znowu wzrok i napotkała jego spojrzenie. Trwali tak zapatrzeni w siebie. Oddech Alice stał się nierówny, gorączkowy, kiedy Lucien pociągnął jej rękę - bardzo delikatnie, powolutku nieco niżej, na przeponę i sprężystą powierzchnię swego brzucha...

Nagle rozległo się głośne stukanie do drzwi. Czar prysł, Alice raptownie wróciła do rzeczywistości. Dobry Boże, co też ona wyprawia?! Zaczepnęła powietrza i wyrwała rękę tak gwałtownie, jakby lekki dotyk palców Luciena palił ją żywym ogniem.

- Co za tupet, milordzie!

- Co za temperament, madame!

Rzucił jej czarujący uśmiezek i podszedł do drzwi.

Kipiał w niej gniew i miała mętlik w głowie. W ręce, która znów leżała grzecznie na jej podołku, nadal czuła rozkoszne mrowienie. Alice naburmuszyła się; była wściekła na siebie za to podniecenie. Nigdy dotąd nie zdarzyło się jej coś takiego! Czując wilgoć i niezrozumiały ból u zbiegu ud, zwarła mocno nogi pod spódnicą, starając się przekonać własne ciało, że nadal nim kierują jej umysł i sumienie, a nie jakieś tam zachcianki Luciena Knighta. A żądza nie była wcale zakazanym owocem, którego chciała koniecznie zakosztować! Rzuciła ukradkowe spojrzenie w stronę kusiciela, zastanawiając się, czemu stoi nadal przy drzwiach z ręką na klamce i ze spuszczoną głową. I nagle zrozumiała, że i on usiłuje odzyskać kontrolę nad swym ciałem.

Jakby wyczuwając jej spojrzenie na swych plecach - szerokich w barach, zwężających się w pasie - i na szczupłych, sprężystych pośladkach, obejrzał się bez pośpiechu przez ramię i spojrzał na nią oczyma pełnymi jawnego pożądania. Przez chwilę żadne z nich nie mogło wymówić słowa. Byli zaszokowani tym niespodziewanym, zbijającym z nóg wzajemnym pociąganiem.

- Mam przyjść do ciebie jeszcze tej nocy? - szepnął bardzo cicho. Alice zaparło dech.

Oderwała od niego wzrok, serce biło jej na alarm. - Nie!

Wielkie nieba! Musi czym prędzej wyciągnąć stąd Caro i opuścić ten przybytek zła!

Jutro wczesnym rankiem wyruszy w powrotną drogę do Glenwood Park. Zapomni o wszystkim, co tu widziała. Nawet o Lucienie. Zwłaszcza o nim!

Usłyszała jego westchnienie, pełne irytacji i znużenia. A potem zgrzyt zamka.

Skoro tylko drzwi się otwały, do pokoju wpadła Caro i rzuciła się Lucie - nowi na szyję.

- Kochanie!

Brwi Alice wystrzeliły w górę na widok tak zawsze wyniosłej baronowej -

niewątpliwie pijanej, z włosami rozczochranymi i mokrymi po kąpielu w basenie. Brązowa szata opadała z białego, nagiego ramienia. Caro przylgnęła do Luciena, nie dostrzegając szwagierki stojącej w drugim końcu pokoju.

- Brakowało ci mnie? Miałeś na mnie ochotę, mój niegrzeczny chłopaczku? - Wsunęła mu rękę pomiędzy nogi, nie szczędząc pieszczot, na które Alice się nie odważyła. Byłeś o mnie zazdrosny? I słusznie! - przekomarzała się z pijackim śmiechem. - Dogadzałam sobie, ile wlezie, tam na dole! Ach, żeby tak można co dzień! Ale na deser zostawiłam sobie najlepsze: ciebie!

Słowa powitania zamarły Alice na ustach. Zaszokowana przyglądała się bratowej, która ocierała się o Luciena, unosiła nogę, próbując nią otoczyć jego biodra, wsadzała mu rękę pod koszulę, przyciągała go do siebie.

- Weź mnie! - mówiła bez tchu, gryząc go w ucho.

Alice przycisnęła obie ręce do ust. Dobry Boże! Nic dziwnego, że Lucien uśmiechnął się tak szyderczo, gdy oznajmiła, że przybywa ocalić bratową przed nim! Co za żenujące

widowisko! Jeśli tu ktoś potrzebował ocalenia, to chyba tylko on. Caro pożre go żywcem!

Lucien odchrząknął i strząsnął z siebie, całkiem zresztą delikatnie, wędrujące po jego ciele rączki.

- Lady Glenwood, jest tu ktoś, kto pragnie się z panią widzieć - oznajmił. Obrócił się i wskazał Alice beznamiętnym gestem, niczym widz obserwujący mecz polo i niezbyt zainteresowany jego ostatecznym wynikiem.

Caro spojrzała we wskazanym kierunku i dostrzegła wreszcie Alice. Rozpasana wesołość zniknęła w jednej chwili, piękna twarz śmiertelnie zbladła. W oczach jej błysnęło przerażenie, ręka automatycznie uniosła się do włosów, by przygłodzić mokrą, spletaną grzywę.

- Alice?! Co... co ty tu robisz? - wyjąkała słabym głosem.

Alice nie była w stanie patrzeć na bratową. Rzuciła Lucienowi spojrzenie pełne udręki. Pragnęła już tylko jednego: żeby ziemia rozstąpiła się pod jej nogami i ją pochłonęła. W głębi jego srebrnoszarych oczu coś błysnęło; nie wyrzekł jednak ani słowa, by przerwać dręczącą ciszę. Resztką jej złudzeń co do pozostałych przy życiu członków rodziny rozpadała się teraz na oczach człowieka, któremu pewnie wydawało się to bardzo zabawne! Żałowała poniewczasie, że nie pozostała w domu, przy Harrym, że nie chowała nadal głowy w piasek, udając, że nie dostrzega zepsucia Caro, lub pomniejszając wagę jej występków. O tak, wyprawa do Revell Court była wielkim błędem!

- Harry ma ospę wietrzną - powiedziała wreszcie z ogromnym wysiłkiem. - Musisz wracać do domu. Wyjedziemy jutro skoro świt.

Caro spojrzała na nią bezradnie. Maską została zdarta z jej twarzy, gdy w boleśnie szczerych oczach szwagierki ujrzała siebie taką, jaką była naprawdę. Poczula się zagubiona i odruchowo zwróciła się do Luciena. Stał z rękoma na biodrach i mierzył ją obojętnym

wzrokiem.

Zapadło długie, głuche, bolesne milczenie.

I nagle bez ostrzeżenia Caro zaatakowała Alice z dziką furią.

- Jak śmiałaś tu przyjeżdżać?! - wrzasnęła i z twarzą wykrzywioną wściekłością rzuciła się na szwagierkę, chcąc jej wydrapać oczy. Kiedy Lucien chwycił ją za ramię i powstrzymał, dostało się i jemu. - Wyrzuć ją stąd natychmiast, Lucienie! Jak mogłeś tu wpuścić kogoś takiego?! Uważaj, cholerna Skromnisiu! Jeśli piśniesz choć słówko, nie ma dla ciebie miejsca w Glenwood Park! I nigdy już nie zobaczysz Harry'ego!

- Opanuj się! syknął Lucien.

- Puszczaj! - darła się Caro, obrzucając go plugawymi wyzwiskami, gdy zaciągnął ją do drzwi i oddał pod opiekę strażnikom.

- Lady Glenwood za dużo wypiła. Odprowadźcie ją do jej pokoju i zamknijcie drzwi poleciał zwięźle.

- Ty sukinsynu! Diabelskie nasienie! Puszczajcie, bydlaki! - piekliła się na wartowników. - Nie waz się kpić ze mnie, czarownico! wrzasnęła, nawet podczas szamotaniny nie zapominając o Alice. - Myślisz, żeś taka święta? Jestem, jaka jestem, z jego winy! On i ciebie przerobi na swoje kopyto! Przyłóż się, Lucien! Pokaż jej, co potrafisz! To jedno robisz nie gorzej od Damiena! - wydzierała się jeszcze zza progu.

Lucien zatrzaskał jej drzwi przed nosem z taką energią że omal nie wyskoczyły z zawiasów.

Wstrząśnięta tą awanturą Alice przycisnęła rękę do czoła. W pokoju było strasznie gorąco, a ona czuła, że lada chwila wybuchnie płaczem.

Lucien także milczał. Stał odwrócony do niej plecami, ale widziała, że jest cały spięty, że pulsuje w nim gniew.



- Jest pijana. Nie zważaj na to, co gadała. Było jej wstyd, i tyle - powiedział w końcu.

Ponieważ nie odzywała się, odwrócił się do Alice i spojrzał na nią bacznie. - Dobrze się czujesz?

- Po co ja tu przyjechałam?! - wyszeptała.

Broda jej się trzęsła, była o krok od łez. Usiłowała je powstrzymać za wszelką cenę.

- Czemu właściwie to zrobiłaś? - spytał półgłosem.

Nie miała wcale zamiaru zwierzać mu się, ale słowa popłynęły same, gdy łyzy przerażenia i gniewu zapiekły ją pod powiekami.

- Bo obiecałam mojemu bratu, kiedy umierał, że zaopiekuję się jego żoną i synkiem... i co mi z tego przyszło? Caro nic nie obchodzi, że przez nią nie mam własnego życia.

Harry'ego bardzo kocham, ale...

Urwała nagle, odwróciła się tyłem do Luciena i łyzy polały się jej po policzkach. Otarła je drżącymi rękoma. A potem zwróciła się znów do Luciena, który przecież wszystkiemu był winien.

- Coś ty jej zrobił?! Powiedziała, że to twoja wina! Zmuszałeś ją do takich rzeczy?

Uniósł dumnie głowę i zmierzył ją twardym spojrzeniem.

- Do niczego jej nie musiałem zmuszać.

- Tak się dobrze układało pomiędzy nią a twoim bratem... Czemuś to zniszczył?

- To chyba oczywiste! Widziałaś sama, jak ona się zachowuje. Zrobiłem to dla dobra mego brata.

- Lord Damien jest dorosły, może sam zadbać o siebie!

- Nie najlepiej radzi sobie z kobietami.

- A ty radzisz?

- Lepiej od niego.

- Czyżby? W takim razie gdzie twoja żona, Lucienie? Gdzie jest kobieta, która cię naprawdę kocha? - rzuciła oskarżycielskim tonem.

Twarz mu spochmurniała. Na mgnienie oka Alice ujrzała go takim, jaki był w rzeczywistości, bez żadnej ze swych masek: zagubionego i okaleczonego. Tęskniący rozpaczliwie za kimś, kto wyciągnie do niego rękę. Zawarł to wszystko w jednym nagim spojrzeniu, zanim odwrócił wzrok.

- Sęk w tym, że nie mam żony, Alice odparł z cieniem dawnej ironii.

- No właśnie! - Zła na samą siebie, gdyż spostrzegła, że jej ostre słowa ugodziły go boleśnie, pospiesznie otarła łzy i nieco złagodziła ton. Biedny potępieniec! Może czynił zło, bo nigdy nie zetknął się z dobrem? - Miłość uszlachetnia, Lucienie. Taka jest jej natura.

Gdybyś zostawił ich w spokoju, może pod wpływem lorda Damiena Caro zmieniałyby się na lepsze. A Harry byłby bezpieczny pod opieką ojca, który nauczyłby go, jak stać się dzielnym, uczciwym mężczyzną. Pociągła twarz Luciena oblała się rumieńcem gniewu.

- Takie cuda to nie moja specjalność! Po pierwsze, Damienowi całkiem się przewróciło we łbie, a po drugie... Rany boskie! - zaśmiał się urągliwie. - Ty chcesz mi prawić kazania o miłości?! A cóż ty o niej wiesz? Dałbym głowę, że nikt cię nawet nie wycałował jak się patrzy! Do wszystkich diabłów!

Bez ostrzeżenia w dwóch susach znalazł się przy niej, chwycił ją brutalnie w ramiona i nim zdążyła zaczerpnąć powietrza, zamknął jej usta pocałunkiem.

Szorstki, palący dotyk warg Luciena zniweczył raz na zawsze jej naiwne marzenia o tkliwych pieszczotach dobrze wychowanych adoratorów. Lewa ręka tego adoratora wczepiła się jej we włosy, prawą zaś objął ją z taką siłą, że omal nie zmiażdżył. A całował tak, jakby chciał ją pożreć; gorący, zgłodniały język wtargnął pomiędzy jej wargi. Był to akt przemocy, którego nieustępliwość pozbawiła Alice tchu. Bezskutecznie usiłowała go odepchnąć, gdy

kolanem rozsunął jej nogi, a jego ręce błędziły po jej plecach w górę i w dół. Zaszokowana, zdezorientowana przywarła do niego, by nie upaść na ziemię. Ogarnęło ją gorąco emanujące ze smukłego, muskularnego ciała Luciena Próbowała uniknąć grzesznych rozkoszy, których chciał ją uczyć, ale pod dotykiem jego ruchliwych rąk nie była zdolna ani do ucieczki, ani do obrony.

Jeszcze strwożona i niepewna, stopniowo przestała się opierać. Otworzyła szerzej usta i w końcu jej język nieśmiało, z wahaniem dotknął jego języka. Lucien wydał gardłowy jęk i jego brutalny uścisk natychmiast złagodniał. Pocałunek był coraz delikatniejszy, coraz czulszy... Alice topniała w jego ramionach.

Po długiej chwili Lucien oderwał się od niej, choć jego usta były nadal tuż przy ustach Alice. Przycisnął czoło do jej czoła, jego pierś wznosiła się i opadała tuż przy jej piersi. Czuła na swych wilgotnych wargach ciepło jego oddechu, a dłonie Luciena sunęły po jej ramionach i rękach.

- A co z tobą, Alice? - szepnął łamiącym się głosem. - Masz kogoś, kto cię kocha?

Uniosła powieki i odpowiedziała nieco niepewnym spojrzeniem na jego wzrok, pełen gwałtownych emocji.

- O, tak... wiele osób.

- Kto to jest? - nalegał bez pardonu.

- To nie twoja sprawa!...

- Odpowiedziałem uczciwie na twoje pytanie. Teraz kolej na ciebie.

- No... mój bratanek, Harry... - wyjąkała.

- To tylko dzieciak!

- To istota ludzka!

- Wpuść mnie do siebie dziś w nocy. - Oszalałeś?! Zostaw mnie!

Wyrwała się z jego ramion i odsunawszy się jak najdalej, grzbietem ręki starła z ust jego pocałunek.

Kiedy Lucien to zobaczył, w jego oczach błysnęły piekielne ognie. Ogarnęła go taka furia, że Alice nie wiedziała, czym się to skończy. Przez chwilę wyglądał jak rozwścieczony wilk. Poczwała lęk na widok gwałtownych uczuć malujących się na jego twarzy i nieskrywanego pożądania płonącego w srebrzystych oczach. Potem wyminął ją bez słowa, podszedł do drzwi i niedbałym kłaśnięciem w dłonie wezwał stojącego za nimi wartownika.

- Dopilnuj, żeby panna Montague dotarła bezpiecznie do swego pokoju.

- Tak jest, milordzie. - Strażnik skłonił lekko głowę. - Proszę za mną, łaskawa pani.

Alice spojrzała niepewnie na Luciena. Wpatrywał się w nią oczyma pełnymi zarazem wrogości i pożądania. Ale najbardziej zaniepokoił ją gorzki, przebiegły uśmiezek, który przemknął po jego wargach.

- Żegnam, milordzie! - powiedziała, siląc się na stanowczość.

Przy odrobinie szczęścia może uda jej się wyjechać stąd jutro rano bez spotkania z nim.

Wetknął ręce do kieszeni i oparty ramieniem o odrzwia śledził każdy jej ruch.

- Do miłego zobaczenia, *cherie*.

Odwróciła się, ale nadal czuła na sobie jego płonące spojrzenie, gdy za wartownikiem szła w kierunku spiralnych schodów. Skoro jej przewodnik w czarnym płaszczu zaczął schodzić po wąskich stopniach, Alice obejrzała się przez ramię, by po raz ostatni spojrzeć na Luciena. Nadal stał w drzwiach - wysoka, imponująca postać spowita w mrok. W srebrzystych oczach zapalały się niepokojące błyski.

Rollo Greene z Filadelfii, znany wśród kompanów z groty jako Orfeusz, otarł pot z łysiny; oddychał nierówno, z pewnym wysiłkiem. Za dużo wina i emocji! Miał szczęście, że

szlag go dotąd nie trafił w tej cholernej grocie: wilgoć i gorąco, fatalne połączenie! Oderwał wzrok od nagiej dziewczyny, płaszącej w pobliżu, gdy Lucien Knight wynurzył się znów ze swej kwatery głównej we wnętrzu kamiennego smoka. Nie tak dawno widział na własne oczy, jak Lucien zaniósł tam tę śliczną modrooka nimfę... dokładnie tak, jak przewidywał. Nawet ostrzegł tę małą.

Szybko mu z nią poszło, pomyślał z uśmiechem, obserwując, jak pan domu swobodnie rozmawia ze swymi gośćmi, jak zwinnie porusza się wśród tłumu. Rollo nie czuł specjalnego rozczarowania, że modrooka dziewczyna odmówiła mu całusa. Dobrze wiedział, że nie może równać się z Lucienem Knightem pod względem urody i powodzenia u kobiet. Uważał jednak, że dorównuje mu doświadczeniem i sprytem.

Łączył ich wspólny zawód, choć należeli do przeciwnych obozów. Rollo był jednym z nielicznych, którzy wiedzieli, że młody dyplomata, lord Lucien Knight, sybaryta i światowiec, jest niebezpiecznym brytyjskim szpiegiem. Jego pseudo „Argus” przyprawiało o drżenie ministrów spraw zagranicznych wielu państw. Ba! Nawet arcyszpieg napoleoński, Fouche, bladł na dźwięk tego imienia!

Rolla i Luciena trudno byłoby nazwać wrogami, gdyż nieraz przekazywali sobie nawzajem cenne informacje. Rollo wiedział, że Lucien gardzi nim za interesowność i brak ogłady, podczas gdy on czuł wyraźną niechęć do Anglika, który górował nad nim urodą, sprawnością fizyczną oraz inteligencją. A w dodatku był cholernie arogancki! Tej jednak nocy Amerykanin rozkoszował się poczuciem własnej wyższości: znał sekret, o którym wszechwiedzący Lucyfer nie miał pojęcia.

I była to prawdziwa bomba!

Co więcej, Rollo Greene znajdował się w centrum wydarzeń, brał czynny udział w przygotowaniach do akcji. Może nie był dostatecznie twardy i wyzuty z uczuć, by osobiście

pokonać Luciena Knighta, ale torował drogę komuś, kto dorównywał Argusowi, a był jeszcze groźniejszy od niego.

Na samą myśl o człowieku, który niebawem pojawi się na scenie, Rollo poczuł w sercu lodowaty, mroczny strach. Oderwał wzrok od pokrytej potem tancerki, na którą się lubieżnie gapił. Musiał jeszcze załatwić pewną ważną sprawę. Rozejrzał się uważnie i dostrzegł w tłumie młodego ladaco z arystokratycznej rodziny. Rollo przybył do Revell Court specjalnie po to, by skłonić go do odegrania niewielkiej roli w zbliżającym się spektaklu.

Ethan Stafford był młodszym synem hrabiego i pasował jak ulał do owej rólki. Ten obdarzony przez naturę chłopięcym urokiem i złotymi lokami, dobrze wychowany, elegancki młody hulaka znał dosłownie wszystkich w londyńskim wielkim świecie. Jednak ów wielki świat nie zdawał sobie sprawy z tego, że Ethan Stafford był nałogowym hazardzistą, znajdującym się w rozpaczliwej sytuacji.

Odkąd majątny ojciec wyrzucił go z domu i kategorycznie odmówił dalszej pomocy finansowej, Stafford wymigiwał się od więzienia za długi, jawnego bankructwa i publicznej kompromitacji, podejmując się podejrzanych zleceń dla takich filarów świata przestępczego jak bezlitosny lichwiarz, który polecił Amerykaninowi tego złotego chłoptasia.

Na szczęście młody pan Stafford nie był pijany w sztok, kiedy Rollo na niezbyt pewnych nogach przepchnął się przez ciżbę i zajął miejsce obok niego. Uroczy młodzieniec, w towarzystwie kilku chwatów tego samego pokroju co on, przyglądał się z zapartym tchem jak dama w masce smaga biczem następną z ofiar, które ustawiały się do niej w kolejce.

- Bardzo przepraszam... - zagadnął Rollo, a gdy Stafford zwrócił na niego wzrok, dodał znacznie ciszej: - Nie podjąłby się pan drobnej robótki?

W oczach młodzieńca błysnęło zainteresowanie. Gdy Rollo zachęcająco kiwnął głową, Stafford, acz z pewnymi oporami, przeszedł wraz z nim w bardziej ustronne miejsce.

- Zapewniono mnie, że na pana można liczyć. Wyświadczył pan raz czy drugi

przysługę jednemu z moich znajomych.

- Być może - powiedział ostrożnie Stafford.

Biedy chłopczyk! - pomyślał Rollo. Nie potrafi obyć się bez luksusów!

- A o jaką przysługę panu chodzi? - spytał Stafford po cichu, z pewną rezerwą.

- Za tydzień czy coś koło tego przybywa do Londynu mój przyjaciel z Prus. Będzie potrzebował kogoś, kto wprowadzi go na tutejsze salony i zapozna go z wszelkimi urokami Londynu.

- I to wszystko? - spytał z niedowierzaniem Stafford. Rollo wybuchnął beztróskim śmiechem.

- Wszyściutko, drogi chłopcze!

- A ile mam za to dostać?

- Trzysta funtów. I żadnych pytań. Nie dam ani grosza więcej!

- Trzysta funtów? - powtórzył jak echo Stafford. - W tym musi być jakiś haczyk!

- Nie ma żadnego haczyka - zapewnił go pogodnie Amerykanin. - Mój przyjaciel to istny krezus i uparł się, że zrobi furorę wśród londyńskiej śmietanki towarzyskiej. Skontaktuję się z panem, gdy przyjdzie czas. I proszę pamiętać: nikomu ani słowa!

Rollo położył palec na ustach, nakazując młodzieńcowi dyskrecję.

Stafford skinął głową i wrócił do swych kompanów. Rollo odwrócił się i dostrzegł pana domu, który w odległości kilku kroków od niego rozmawiał z grupką gości. Amerykanin chciał przemknąć się niepostrzeżenie, ale Lucien już go zauważył i obrzucił rozbawionym spojrzeniem.

- Dwoisz się dziś i troisz, Orfeuszu - powiedział od niechcienia niskim, melodyjnym głosem. - Jak zawsze na zwiadach, z uchem przy ziemi?

- Przychodzę tu wyłącznie na baby - odparł Amerykanin z jowialnym chichotem. -

Tylko na twoich przyjętkach, mój stary, mogę sobie pofiglować, nie sięgając do kieszeni!

Lucien roześmiał się i ruszył dalej.

- Pomyślnych łowów, Orfeuszu!

- I nawzajem, wielki Smoku!

Rollo spoglądał za nim, gdy oddalał się swobodnym krokiem, zamieniając kilka słów to z tym, to z owym ze swych wielbicieli.

Gdy Lucien zniknął w tłumie, Amerykanin odetchnął z ogromną ulgą - jak wycieczkowicz, który zetknął się na łonie natury nos w nos z wilkiem i cudem wyszedł z tego cało. Ponieważ zadanie zostało wykonane, Rollo wypił duszkiem kielich wina i zaczął się rozglądać za jakąś damulką na tyle pijaną, by na niego reflektowała.

Prawic już świtało, gdy chłopcy Luciena wymietli z groty ostatnich maruderów. Kiedy strażnicy w czarnych płaszczach taszczyli pijanych w sztok durniów do pokoi gościnnych, pan domu spotkał się w kwaterze głównej ze swym sztabem, złożonym z nie całkiem jeszcze opierzonych szpiegów i sprytnych dziwek. Wszyscy porzysiadali się na kanapie i krzesłach, gdzie się dało, pili kawę i opowiadali, jakich to odkryć dokonali i jakie zdobyli informacje tej nocy. Nie obeszło się bez przechwałek.

Lucien oparł się o ścianę obok okna z czerwoną szybą. Z rękoma skrzyżowanymi na piersi przysłuchiwał się składanym po kolei raportom. Miał jednak trudności z koncentracją, gdyż jego myśli uparcie wracały do Alice Montague.

Jak śmiała zetrzeć jego pocałunek?! Za kogo się uważała? I dlaczego on, na litość boską nie może wybić sobie z głowy tej dziewczuchy? Przecież to absurdalne! On, Lucien Knight, urzeczony sarniookim niewiniątkiem?! A w dodatku cholerna z niej świętoszka! Nic dziwnego, że doprowadzała Caro do szału swoją pruderią. Jakże go ubodły jej moralne



pouczenia wygłaszane protekcyjnym tonem! Brrr! „Miłość uszlachetnia, Lucienie! Taka jest jej natura”. Miłość, akurat! A jednak coś w podświadomości ostrzegało go, by unikał Alice Montague... zmykał przed nią co sił w nogach! Otwarte spojrzenie tej dziewczyny i jawnie przez nią wyrażane uczucia niepokoiły jego cyniczną duszę. Była prawdziwym człowiekiem, dobrym i szczerym, a on już od dawna zapomniał, co znaczą te słowa...

Jest naprawdę niebezpieczna. Stanowi zagrożenie dla obrazu świata brutalnego i bezlitosnego... obrazu, który z takim trudem wreszcie zaakceptował. Życie odarło go z ideałów i ze złudzeń. A jednak dałby nie wiadomo co, by znaleźć kogoś, kto przywróci w nim tę naiwną wiarę...

Tylko czy ona naprawdę jest takim wzorem cnót? Czy takie doskonałości w ogóle chodzą po świecie?! Ta dziewczyna zlekceważyła go, znieważyła! Miał ochotę zemścić się i udowodnić jej, że bynajmniej nie jest taka cnotliwa, jak jej się zdaje. Nie zamierzał zresztą wyrządzić jej krzywdy. Napędzi tylko świętoszce porządnego stracha i udowodni, że panna Skromnisia jest równie podatna na pokusy jak reszta rodzaju ludzkiego. Otaczająca Alice aura niewinności budziła w nim resztki sumienia... ale znacznie mniej wysiłku wymagało ściągnięcie dziewczyny do własnego poziomu niż bezskuteczne próby wlotu na jej wyżyny. Przemknęła mu przez głowę niepokojąca myśl: a co będzie, jeśli podda ją próbie, a ona wyjdzie z niej zwycięsko? Jeśli udowodni, że to on nie miał racji?

Wybuch gromkiego śmiechu wyrwał Luciena z zadumy. Marc przedłożył mu listę cudzoziemskich agentów, którzy bawili tej nocy w Revell Court. Byli tu godnie reprezentowani wszyscy sprzymierzeńcy Anglii: Rosja, Austria, Prusy, Portugalia i cała reszta. Lucien przeglądał listę z pewnym roztargnieniem. Skoncentrował wszystkie siły, by przestać myśleć o Alice Montague... choćby na krótko.

Tak zwane Bractwo Smoka było potężną bronią angielskiego kontrwywiadu, który

rozwinął się za panowania królowej Elżbiety, podobnie jak cała sieć tajnych sił wywiadowczych. Stworzył je i kierował nimi wzbudzający powszechny lęk geniusz - Walshingham. On również wpadł na pomysł stworzenia Bractwa Był, nawiasem mówiąc, osobistym przyjacielem pierwszego markiza Carnarthen. Zakonne szaty i cały pseudomistyczny ceremoniał stanowiły odbicie starych jak świat więzi między szpiegostwem a wiedzą tajemną. Okultystyczne brednie przyciągały wszelkich buntowników, awanturników i wrogów ustalonego ładu. Ci zaś stanowili znakomitą przynętę na szpiegów. Sprytny tajny agent wie, że sprzymierzeńców należy szukać wśród wyrzutek społecznych i malkontentów. Szpieg potrafi wykorzystać do własnych celów. Ci naiwniacy powierzą mu własne pieniądze lub wprowadzą go do kręgów, do których chciał przeniknąć.

Najbliżsi współpracownicy Luciena, zwani w skrócie Pe - en, Pe - de, Wu i Zet (Północ, Południe, Wschód i Zachód, od „ćwiartek” groty, nad którymi sprawowali pieczę), oraz - rzecz jasna - Talbert, odgrywali rolę takiej właśnie przynęty. Wszyscy nie mieli jeszcze trzydziestu lat i pochodzili z dobrych rodzin. Krążyli wśród tłumu w grocie nie tylko po to, by obserwować, co się dzieje na przydzielonym im terenie. Odgrywali również role niespokojnych, zapalczywych lekkoduchów, z którymi sprytny agent chętnie zawrze znajomość, planując nową akcję czy intrygę.

Chłopcy od samego początku okazali się niezwykle użyteczni. A ponieważ w owych czasach nie ustalono jeszcze żadnych stałych zasad ani konkretnych metod szkolenia tajnych agentów Korony, Lucien uznał za konieczne wbicie do głów swym podopiecznym tego wszystkiego, co sam wiedział. W podobny sposób jego ojciec, markiz Carnarthen, przekazał mu swoją wiedzę. Młodzi zapaleńcy nie przejmowali się, gdy ostrzegał ich, że obrali wyjątkowo niewdzięczny fach. Pociągała ich perspektywa wielkiej przygody i dreszczyk emocji związany z nieustannym zagrożeniem.

Teraz, gdy odprawa miała się już ku końcowi, a rezultaty okazały się raczej mizerne, chłopcy i dziewczęta zaczęli zerkać na siebie z myślą o rozrywce po pracy.

- A, jeszcze jedno! - odezwał się Marc Skipton, czyli Zet. Lucien stłumił ziewnięcie.

- Tak?

- Słyszałem, jak jeden z carskich agentów... jak mu tam...

- Leonidowicz?

- Właśnie! Słyszałem, jak mówił jednemu z Austriaków, że Claude Bardou żyje i pracuje dla Amerykanów.

Lucien wpatrywał się w chłopaka i czuł, że krew ścina mu się lodem w żyłach. Twarz mu zszarzała, a serce na chwilę przestało bić.

- Żyje? - Z najwyższym wysiłkiem zdobył się na obojętny ton. Jak to możliwe?

- Leonidowicz zastrzegł, że nie wie, ile w tym prawdy - odparł Marc, wzruszając ramionami. - Ale chodzą słuchy, że tamten pożar w Paryżu to robota samego Bardou.

Upozorował własną śmierć i zwiął do Ameryki.

O Boże! Ta wieść poraziła Luciena jak grom. Natychmiast stanęła mu przed oczyma przedwcześnie postarzała, typowo irlandzka twarz Patricka Kelleya. Znów wyłoniła się zza grobu, żeby go dręczyć! Lucien wbił wzrok w podłogę i z pozorną nonszalancją odwrócił się, by ukryć swe oszołomienie i przerażenie. Nie mógł okazać po sobie, jak nim wstrząsnęła ta wiadomość.

A niech to wszyscy diabli! Przecież dotarła do niego wieść, że już po Bardou. Że nie przeżył upadku Napoleona! Usłyszawszy o pożarze w Paryżu, Lucien oblał najlepszym porto radosną nowinę o śmierci tego potwora. Żałował tylko jednego: że Bardou nie zginął z jego ręki.

Stojący za nim Stewart Kyle, czyli Wu, gwizdnął z cicha.

- Bardou to przecież legenda! Koszmarna legenda. Jeśli te amerykańskie dupki wynajęły za ciężkie pieniądze to ścierwo... Rany boskie! - Chłopak się wzdrygnął.

- Pamiętacie tamtego kupca z Westfalii, któremu Bardou wyrznął całą rodzinę za to, że miał on jakoby dybać na życie króla Hieronima Bonaparte? - dorzucił Marc posępnym tonem.

- I ten cholerny czarci pomiot ma nam dalej zasrywać ziemię?!

- Dość tego! - przerwał szorstko Talbert. - Takie słowa przy paniach?! Marc i Kyle pospiesznie przeprosili dziewczęta, które zrobiły głupie miny.

Lucien w ogóle tego nie zauważył. Czuł w brzuchu straszliwy skurcz, ciało oblał mu zimny pot. Otarł wilgotne dłonie o uda i krążąc nerwowo po pokoju, usiłował zebrać myśli.

Claude Bardou, francuski agent znany jako Tryton, był arcszpiegiem, asem wywiadu Fouche, jego tajną bronią. O tym wiedzieli wszyscy. Jednak nikt z obecnych tutaj nie domyślał się, że Lucien miał osobiste porachunki z Bardou. Krwawe porachunki.

Lucien nigdy nie opowiedział Damienowi ani swemu zwierzchnikowi lordowi Castlereaghowi, ani żadnej żywej duszy o tym, jak został pojmany przez francuskich agentów i jak go torturowali. Zdarzyło się to półtora roku temu, wiosną 1813 roku. Udało mu się uciec stamtąd i zabić wszystkich zbirów Bardou. Pozostało przy życiu jedynie dwóch świadków tamtych piekielnych mąk: Bardou, który je zadawał, i Lucien, który zdołał je przetrwać.

Znacznie później Lucien odkrył, że Bardou otrzymał od Fouche specjalne rozkazy dotyczące traktowania pojmanego Argusa: nie mógł spowodować u jeńca trwałych okaleczeń ani pozostawić widocznych blizn na jego ciele. Mimo tych ograniczeń oprawca radził sobie znakomicie: zadawał mu straszliwe męki, których pamięć wyryła się raz na zawsze w najgłębszych warstwach mózgu ofiary. Lucien łudził się, że zapomniał o wszystkim, zwłaszcza gdy dotarła do niego wieść o śmierci Bardou... Ale wspomnienia były widać zbyt płytko pogrzebane, gdyż w mgnieniu oka wstały z grobu jak upiory, by znów go nękać. W

ciągu kilku sekund Lucien zmienił się ponownie w zaszczute zwierzę, jakim był w ostatnich dniach swej niewoli, tuż przed ucieczką. Te straszliwe, skąpane w nienawiści wspomnienia zalały go rwącą falą, płynęły w jego żyłach jak żrący kwas, zatruiły jego ciało i duszę. Na Boga, Patricku! - myślał posepnie, starając się zachować pozory opanowania. Jeśli ten szatański pomiot naprawdę żyje, zdołam cię jeszcze pomścić!

To całkiem prawdopodobne, że francuski szpieg przeszedł na żołd Amerykanów. Od 1812 roku wojna szalała na wybrzeżach dawnych kolonii angielskich. Dyplomaci - przedstawiciele obu zwaśnionych stron - przez prawie dwa lata dyskutowali w holenderskim mieście Ghent, ale niewiele to dało. Walki trwały podobnie jak blokada. A tymczasem w Europie upadek Napoleona postawił francuskich agentów w rodzaju Bardou w kłopotliwej sytuacji: nie mogli wrócić do ojczyzny, gdzie rządząca znów dynastia Burbonów uznała ich za zdrajców; w państwach zwycięskich aliantów nie byli również pożądanymi gośćmi. Chyba tylko w Ameryce rozproszeni po świecie napoleońscy szpiedzy mogli znaleźć schronienie, a zagorzali fanatycy w rodzaju Bardou okazję do walki ze znieawidzonymi Brytyjczykami. Czwarty prezydent Stanów Zjednoczonych, Madison, który odzyskał Waszyngton, centrum administracji państwowej - a raczej to, co zostało z nowej stolicy, spalonej przez brytyjską armię okupacyjną niemal do fundamentów z pewnością mile powita ludzi pokroju Bardou, wyszkolonych w zbójckim rzemiośle.

Lucien otrząsnął się z zadumy i z twarzą jak maska z marmuru podszedł do swoich ludzi. Rzucał spieszenie rozkazy głosem podobnym do cichego warczenia.

- Najpierw trzeba sprawdzić te pogłoski. Wu, idź do skrzydła dla gości i sprowadź mi tu Rolla Greene'a. Jeśli Amerykanie coś szykują, on z pewnością będzie o tym wiedział. I nie poskąpi nam informacji za odpowiednią sumkę.

- Rollo Greene już się stąd wyniósł. Dobrych kilka godzin temu. Sprawdziłem listę

gości odezwał się Robert Jenkins, czyli Pe - de.

Lucien zaklął. Sprytni agenci są płochliwi jak bezdomne koty: czym prędzej zwiewają do bezpiecznej kryjówki i niełatwo ich stamtąd wywabić. Potrafią się też rozpląnąć w powietrzu, jeśli nie życzą sobie spotkania. Zwłaszcza ci, którzy pracują na dwie strony, jak Rollo Greene, i wiecznie obawiają się zemsty tych, których sprzedali.

- Może spróbujemy go dogonić? Dam głowę, że jeszcze nie dotarł do Londynu i telepie się po Bath Road! - zaproponował ochotczo Zet.

Lucien zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

- Spróbujcie. Talbert, ty zostaniesz ze mną; pociągniemy za język Leonidowicza. A wy czterej ścigajcie Rolla, ale tylko do Wells Road. Jeśli go nie dopadniecie, wracajcie do Revell Court. To może być pułapka.

- Pułapka? - zdumiał się Zet.

- Pewnie sądzicie, że nikt wam nie da rady, co? Jeśli Bardou kręci się w pobliżu, nie próbujcie z nim zaczynać! Zresztą za tydzień urządzimy następne przyjęcie i Greene sam się tu zjawi. Do tego czasu gdzie indziej zasięgniemy języka w sprawie rzekomego zmartwychwstania Bardou. A teraz w drogę!

Odprawił także dziewczęta i posłał Talberta po Leonidowicza. A potem już tylko czekał w swojej kwaterze głównej - sam na sam z upiorami przeszłości. Niech piekło pochłonie tego łotra, Claude'a Bardou!

Zagubiony w ponurych myślach westchnął ciężko i usiadł. Kiedy wreszcie Talbert przyprowadzi Leonidowicza?! Oparł się łokciem o stół zbity naprędce z desek i opuszkami palców nacisnął gałki oczne. O Boże! Jak pragnął zapomnieć o tym wszystkim... ale wystarczyło zamknąć oczy, by znów znaleźć się w celi, gdzie przetrzymywano go w ciemności i w samotności przez tyle tygodni, gdzie głodzono go i bito... Nadal czuł smak krwi

napływającej mu do ust, kiedy Bardou przywiązał go mocno i bez pośpiechu wyrwał mu trzonowe zęby, żeby ukarać więźnia za uparte milczenie. Ale wszelki ból fizyczny był niczym w porównaniu ze straszliwym upokorzeniem i wyrzutami sumienia, jakie Lucien odczuwał, gdy Bardou zdołał w końcu wydobyć z niego jedno nazwisko: Patrick Kelley.

Lucien wstrząsnął się w dojmującym poczuciu winy, które na zawsze pozostawiło ślad w jego duszy. Choć to markiz, jego ojciec, wprowadził Luciena w subtelne niuansy dyplomacji i podwójnej gry, elementarnych zasad szpiegowskiego fachu uczył go Kelley, nieustraszony Irlandczyk. Doprowadzony fizycznymi i psychicznymi torturami do tego stanu, że nie panował już nad sobą, Lucien zdradził nazwisko i miejsce pobytu przyjaciela. Kiedy zdołał uciec z koszmarnej nory, w której go więziono, okazało się, że jest już za późno na ostrzeżenie Irlandczyka przed zabojadami. Kelley przepadł jak kamień w wodę i od tamtej pory nikt go nie widział ani nie słyszał o nim. Milordzie?

Ukradkiem, przez ramię rzucił spojrzenie spod przesłaniających oczy powiek. Lily, najpiękniejsza z zatrudnionych przez niego kurtyzan, stała w kuszącej pozie, oparta o ścianę.

- Czego chcesz? - spytał beznamiętnym tonem.

- Chyba coś cię trapi, milordzie. Pomyślałam, że przydam ci się do towarzystwa.

Rzuciła mu prowokujące spojrzenie i powiodła koniuszkami palców po ozdobionym koronką dekolcie. Potem odsunęła się od ściany i leniwym krokiem ruszyła w jego stronę.

Obrzucił ją spojrzeniem pełnym takiego pożądania, jakiego nie była w stanie zaspokoić dziewczyna jej pokroju.

- Ach ty, niepoprawna kusicielko! - powiedział z wystudiowaną obojętnością. - Wiesz przecież, że z zasady nie mieszam prywatnej rozrywki i spraw zawodowych.

Sprężył się wewnątrz, gdy położyła mu rękę na ramieniu, a potem stanęła tuż przed nim. Spojrzał jej w twarz z niewróżącą nic dobrego miną. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Zawsze powtarzasz, milordzie, że zasady są po to, żeby je łamać.

- Nigdy nie łamię zasad, które sam ustanowiłem, kotku.

- Cokolwiek ci dolega, na pewno zdołam pomóc. Połóż się tylko wygodnie, a resztą ja się zajmę. Obiecuj, że jak tu wszystko skończysz, zabierzesz mnie do łóżka! - Pocałowała go w policzek i dodała szeptem: To będzie za darmo, w prezencie!

Siedział nieczuły jak głaz, gdy zaczęła się do niego zalecać. Całowała go w szyję, pieściła go. Bliski już kapitulacji zamknął oczy. Ciało przeszył dreszcz gwałtownego pożądania, ale jego myśli pełne były Alice Montague. Tylko jej. „Miłość uszlachetnia, Lucienie. Taka jest jej natura”. Kto, do cholery, w dzisiejszych czasach gada o miłości? Kto w ogóle wierzy w takie bzdury?! - myślał, wdychając piżmowy zapach spoconego ciała kurtyzany i mdląco słodką woń jej perfum. Doskonale rozumiał, że można świadomie zniżyć się do poziomu rynsztoka, byle czuć wokół siebie czyjeś ramiona i nie być samotnym. Nie widział jednak najmniejszego sensu we wzdychaniu do czegoś, co nie istnieje! Miłość jest dla poetów, nadzieja dla głupców! Kiedy Lily fachowo pieściła go przez spodnie, jego ciało zareagowało natychmiast, ale umysł rozpaczliwie protestował. Boże, zmiłuj się! - westchnął bezgłośnie, czując, że zatracą swe człowieczeństwo w tej bezsensownej namiastce miłości. Nie chciał już żadnych namiastek. Nagle przestały mu wystarczać.

Chwycił Lily za ramiona, wyzwolił się z jej rąk, odsunął ją od siebie. Wstał z krzesła i podszedł do jednego z okien o czerwonych szybkach. Odwrócony plecami do niej powiedział:

- Przywiozłem sobie kochankę z Londynu.

Lily nic nie odpowiedziała, wyczuwał jednak jej gniew i rozczarowanie. Po chwili usłyszał, że wstaje i wychodzi z pokoju. Szelest sukni, ciche stąpanie nówek w jedwabnych pantofelkach... i znowu był sam. Spojrzał z żalem przez czerwoną szybę na wdzięczne kolumny i wodę spływającą do basenu. Podobno miała właściwości lecznicze, ale na jego



cierpienia nigdy nie pomogła. Skrzyżował ręce na piersi, pochylił głowę i zebrał wszystkie siły, przywołując się znów do porządku. Jeszcze nie wszystkie zadania zostały wykonane. Ale gdyby tej nocy mógł wziąć do łóżka kogo tylko zechce, ze wszystkich kobiet wybrałby Alice Montague, jedyną dziewczynę, która miała dość rozumu, by go odtrącić.

„Kto cię kocha, Lucienie?”

Cóż za nietaktowne pytanie! Nikt mnie nie kocha, Alice.

Jego ciężkie westchnienie zawisło w powietrzu.

Nikt go nawet nie zna.

Kiedy powrócił Talbert, wzięli Leonidowicza na spytki, ale nie dowiedzieli się niczego. Akurat skończyli przesłuchanie, gdy zjawili się Marc i pozostali chłopcy. Z pustymi rękami. Rollo Greene zdołał im umknąć. Zakończywszy swe nocne obowiązki, rozstali się tuż przed świtem. Jego ludzie wrócili do przypominającego nieco koszarę domu, położonego obok wielkiego kompleksu stajennego. Lucien, zupełnie wykończony, opuścił grotę jako ostatni i wrócił do milczącego, pogrążonego we śnie dworu.

Wkrótce potem znalazł się w swej wielkiej, elegancko urządzonej sypialni i podszedłszy do ściany z rzędem wychodzących na wschód okien, ściągnął koszulę przez głowę. Rozebrawszy się w perłowoszarym półmroku, rzucił się na łóżko, zbyt zmęczony, by zdjąć narzutę i wleźć pod kołdrę. Postanowił, że pośpi co najmniej dwie godziny, nim zacznie nowy dzień. Ale gdy tylko zamknął oczy, pojawiła się zniechęcona gęba Claude'a Bardou. Od czasu do czasu ukazywała się również roześmiana twarz Patricka Kelleya. Odpędził od siebie dwa dręczące go widziadła, pozwalając swym myślom błądzić wokół młodzianki, rozkosznej Alice Montague. Był nadal oczarowany jej uśmiechem. To nieśmiały, to znów sceptyczny, rzadko pojawiał się na jej twarzy, skutkiem czego wydawał się jeszcze cenniejszym skarbem. Tę dziewczynę cechowały normalność i prostota, działające na Luciena

kojąco. Zaczął się wreszcie odprężyć. Upajał się wspomnieniem chwil, gdy jej dotykał, gdy czuł pod dłonią jedwabistą delikatność jej ud, rozkoszną miękkość piersi... I ten cud nad cudami: jej reakcja, gdy całował jej gorące, dziewicze usta. Taka niewinna... Sprawiała mu głęboką radość myśl, że nikt przedtem nie dotykał jej tak jak on, że był pierwszym, który ją pocałował.

Kiedy tak leżał na łóżku, w jego umyśle zaczął się kształtować (niewątpliwie z diabelskiej inspiracji!) niecny plan. Z sekundy na sekundę krystalizował się coraz bardziej - wyraźny i konkretny. Lucien szeroko otwartymi oczyma wpatrywał się w sufit... i nagle usiadł na łóżku z mocno bijącym sercem.

Nie! To było podłe. Niecny, oburzający plan... ale przecież to dla niego nie pierwszozna. I czy umierający z głodu może odwrócić się od stołu zastawionego do uczy? Los nigdy nie da mu drugiej szansy zdobycia Alice Montague. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Pewny był również tego, że tylko ona mogła zmienić jego życie. Gdyby ją kiedyś spotkał na londyńskich salonach, zapewne nie przyznałaby się w ogóle do znajomości z nim. I nie dziwota! Ona, wychowana w surowych zasadach panienka, znała go tylko jako Smoka, organizatora bezbożnych ceremonii i orgii. A gdyby się uparł i chciał jej złożyć wizytę w najbardziej poprawnym stylu, Caro - zazdrosna przyzwoitka - nigdy by mu nie pozwoliła zbliżyć się do szwagierki. Po dzisiejszej nocy było to nie do pomyślenia! A co gorsza w Londynie wcześniej czy później Alice musiałyby poznać Damiana. W porównaniu z bratem Lucien wypadłby jeszcze gorzej... i tego by już nie zniósł!

Oszołomiony kusicielską siłą swego zamysłu, Lucien przewrócił się na wznak i splótł ręce pod głową. Wpatrywał się w ciemność, jakby mógł w niej znaleźć odpowiedź na swe rozterki. Powążyć się na to czy nie?

Alice będzie zła. Z pewnością jej się to nie spodoba... ale to przecież jej winna! Z

własnej woli wkroczyła na zakazany teren. Wtargnęła do jego domu, do jego życia... i teraz nie wydobędzie się stąd, póki on, Lucien, nie wyrazi na to zgody. Wiedział, że zamierzała wyjechać stąd jak najwcześniej, skoro świt - ale nie ma mowy, nie puści jej! Może tajemnicza więź łącząca ich była tylko jego pobożnym życzeniem... a może rozwiązaniem wszystkich jego problemów?

W zamyśleniu odwrócił głowę w stronę okna i podziwiał blask jutrzeńki, rozlewający się wzdłuż linii odległego horyzontu. Oczy jego duszy widział już wschód słońca - ogniście złoty jak włosy Alice.

Alice spała jak po zażyciu narkotyku - długo, głęboko, bez marzeń sennych. I nawet wówczas, gdy obudziła się po dwunastu niemal godzinach, leżała spokojnie w pachnącej lawendą pościeli. Świadomość wracała jej stopniowo, w miarę jak łagodne światło poranka przenikało przez zasłone jej rżęs. Kiedy wreszcie otworzyła oczy, odkryła, że znajduje się w nieznanym pokoju. Zdumiona uniosła się na łokciach. Przez sekundę nie miała pojęcia, gdzie jest. Potem wszystko się jej przypomniało. Z jękiem opadła znów na łóżko i ukryła twarz w poduszce.

Lucien!

Przede wszystkim on przyszedł jej na myśl, ale gwałtownie odepchnęła od siebie wspomnienie tego srebrnookiego diabła. Postanowiła nigdy już nie wracać myślą do niego, do wydarzeń ostatniej nocy, do bezceństw w grocie. Wyruszy czym prędzej do Glenwood Park i zapomni, że w ogóle zdarzają się takie okropieństwa! Jednak, szczerze mówiąc, perspektywa spędzenia następnych piętnastu godzin w ciasnym wnętrzu powozu ze złośliwą bratową przyprawiała ją o dreszcze.

Zza okna dobiegł głośny turkot. Alice najpierw usiadła na łóżku, potem się z niego zsunęła i podbiegła do okna sprawdzić, co się tam dzieje. Zerknąwszy przez szparę w zasłonach, ujrzała, że spora grupka gości opuszcza Revell Court hałaśliwą kawalkadą. Która to może być godzina?! - pomyślała w popłochu. Jeśli rozpustnicy z groty zdążyli już wstać, a nawet zbierają się do wyjazdu, pewnie już południe za pasem! Stojący na kominku zegar potwierdził jej przypuszczenia, wybijając godzinę. Jedenasta! A więc wyruszą w drogę z opóźnieniem i ostatni jej odcinek będą znów musieli przebyć po ciemku. Na szczęście bliższe okolice domu znali bez porównania lepiej niż górzyste zakątki hrabstwa Somerset.

Alice podbiegła do komody i ze stojącego tam dzbanka naląła wody do porcelanowej miednicy. Myśli o Lucienie nadal ją dręczyły. Obmyła się w zimnej wodzie, co otrzeźwiło ją do tego stopnia, że przysięgła sobie raz na zawsze zapomnieć o tym człowieku. Był podstępny, niebezpieczny i z gruntu zły. Nie zdążyła poznać wszystkich jego mrocznych tajemnic, ale z pewnością nie był zblazowanym dyplomata, jakiego spodziewała się tu spotkać. Groźny jak tygrys, szybki jak żmija i chytry jak lis rozmyślała, podczas gdy krople wody pełzały zmysłowo po jej szyi, zapuszczając się w rowek między piersiami. A w dodatku nieodparcie czarujący, jeśli tylko zechce!

Przebiegł ją dreszcz; pospiesznie wytarła ręcznikiem do sucha twarz i piersi. Włożyła czystą koszulę i sięgnęła po drugą parę pończoch, które wetknęła przezornie do swej torby podróźnej. Wciągając cieniutkie białe pończoszki i zapinając podwiązki, uparcie ignorowała podniecające wspomnienie rąk, które z taką pewnością siebie sunęły po jej udach. Cóż za idiotyczne myśli! Usiłowała skupić się bez reszty na Harrym - biednym dziecku, czekającym w domu na jej powrót.

Postanowiła włożyć od razu granatową suknię podróźną. Wyjedzie stąd natychmiast! A Bóg da, że i potem nie zetknie się z Lucieniem na londyńskich salonach... zwłaszcza podczas tego sezonu, kiedy przypadają jej dwudzieste drugie urodziny. „Rok ostatniej nadziei”, jak mawiano w eleganckim towarzystwie: najwyższa pora zdecydować się wreszcie na któregoś z wiernie asystujących jej wielbicieli.

Do licha! - zakląła w duchu Alice i skrzywiła się, zła na siebie samą. Ostatniej nocy Lucien pobił ją jej własną bronią. Gdy spytał zniecka, czy ma kogoś, kto ją naprawdę kocha, nie napomknęła ani słówkiem o swoich adoratorach. Dobrze wiedziała, czemu ich nie wymieniła: do tego stopnia zbledli w porównaniu z Lucieniem, że w ogóle przestali się liczyć. Nie, nie wolno tak myśleć! Smok był zatwardziałym grzesznikiem, nie do nawrócenia. Jeśli

jakaś kobieta zdecyduje się wyjść za niego... Alice już współczuła tej nieszczęśnicy.

Wszyscy trzej konkurenci panny Montague byli sympatycznymi, porządnymi młodzieńcami z dobrych rodzin, mającymi tak zwane widoki na przyszłość. Wszyscy adorowali ją po rycersku, jak w powieściach, przez cztery minione sezony, od jej pierwszego balu. Roger był bystry, Tom dzielny, a Freddie dowcipny. Niewiele im to dało, gdyż Alice w głębi serca marzyła o kimś, kto łączyłby w sobie te trzy zalety i mnóstwo innych. A jednak ci mili chłopcy byli tacy cierpliwi i tak wytrwale czekali, kiedy wreszcie zdecyduje się na któregoś z nich... Niestety, zbyt oziębłość w stosunku do wiernych wielbicieli nie była jedyną przeszkodą uniemożliwiającą Alice zamążpójście.

Znacznie poważniejszą była bezmyślność i nieodpowiedzialność Caro. Alice po prostu nie mogła opuścić Glenwood Park, pozostawiając Harry'ego pod opieką takiej matki! Nie chciała również, by jej ukochany bratanek był zdany wyłącznie na łaskę służby - bez względu na dobrą wolę i doświadczenie Peg i całej reszty. Dziecko potrzebowało rodziny, by rozwijać się jak należy. Alice wiedziała to z własnego doświadczenia. Jeśli w Caro nie ocknie się wreszcie instynkt macierzyński, Alice pozostanie na zawsze w rodzinnym domu. Nigdy nie wyjdzie za mąż, nie będzie miała własnego kochanego maleństwa... Z westchnieniem gorzkiego zawodu opadła na taboret przed lustrem i upięła włosy w gładki kok, pozwalając kilku loczkom wić się wdzięcznie wokół jej szyi.

W tym właśnie momencie rozległo się stukanie do drzwi. Ponieważ były dobrze widoczne w lustrze, nie odwracając się od toaletki, Alice rzuciła:

- Proszę wejść!

W odpowiedzi na to pozwolenie drzwi otworzyły się i do pokoju weszła pulchna, uśmiechnięta służąca ze śniadaniem na tacy. Zdjąwszy srebrną pokrywę, Alice ujrzała duży wybór gorących pasztecików, na których widok dosłownie napłynęła jej ślinka do ust. Były

też grzanki oraz różne rodzaje konfitur, miód, owoce i wielki kawał lokalnego cheddara.

Jednak niespodzianką okazała się ciemnoróżowa róża, ułożona starannie obok sztucców. Pod kolącą łodyżką spoczywał mały liścik, skreślony na eleganckim papierze i zapieczętowany kroplą czerwonego wosku.

Podczas gdy pokojówka nalewała herbatę, Alice drżącą nieco ręką przełamała pieczętkę i rozwinęła kartkę. Czytając zapisane na niej słowa miała wrażenie, że słyszy głęboki, melodyjny głos, przemawiający pozornie od niechcenia, ale jakże uwodzicielsko:

*Dzień dobry, Alice! Bądź łaskawa zejść do biblioteki - najszybciej jak możesz.*

*Twój pokorny sługa L.X.K.*

Królewski rozkaz! No cóż, mogła się tego spodziewać. Jego despotyzm zirytował ją, ale na myśl, że znów go zobaczy, poczuła lekki zawrót głowy. Przeczytała króciutką notatkę pięć razy pod rząd. Serce biło jej gwałtownie ze strachu i z podniecenia. Czegóż on jeszcze od niej chce? zastanawiała się, usiłując wzbudzić w sobie święte oburzenie. Może powinna zignorować tego rodzaju wezwanie?

Te rozważania całkiem odebrały jej apetyt. Pokojówka ostrożnie podała jej filiżankę, lecz Alice tak drżały ręce, że kilka kropel kapnęli na spodek, omal nie plamiąc sukni. Z najwyższym trudem zjadła kawałek grzanki z konfiturami. Szczerze mówiąc, była bardzo ciekawa tego ostatniego spotkania. Miała co prawda nadzieję, że uda jej się opuścić Revell Court, nie spotykając się więcej z jego właścicielem... ale powinna była przewidzieć, że Lucyfer jest zbyt przewrotny, by tak jej ułatwić sprawę! Może zresztą chciał ją przeprosić za swoje oburzające zachowanie wobec niej? O wiele bardziej prawdopodobne, że będzie próbował znowu ją skusić! Alice doszła do wniosku, że spełni łaskawie jego prośbę i spotka się z nim. Nie mogło wyniknąć nic złego, przecież zaraz stąd wyjeżdża. A poza tym nie będzie chować się przed nim jak tchórz. To poniżej jej godności!

Skończywszy jeść, umyła pospiesznie zęby i zerknęła niespokojnie do lustra.

Zmarszczyła czoło na widok rumieńców świadczących o niestosownym podnieceniu; przyglądała włosy i poprosiła służącą, by zaprowadziła ją do biblioteki.

Po kilku minutach przedzierania się przez labirynt korytarzy dotarły wreszcie do paradnych schodów i portretu pierwszego markiza Carnarthen, który zerkał chytrze na kłębiących się w holu na parterze i docinających sobie nawzajem gości, którzy mieli lada chwila opuścić Revell Court. Godfrey i kilku lokajów uwijali się jak w ukropie, starając się ułagodzić odjeżdżających i spełnić ich żądania, podczas gdy dwóch osiłków w czarnych płaszczach stało niczym posępne kolumny w przeciwległych końcach holu, mając bacne oko na wszystko, co się w nim działo.

Wyglądało na to, że czciciele Smoka odzyskali resztki wstydu, gdyż osłaniali swe twarze kapeluszami z wielkimi rondami; niektóre damy użyły nawet w tym celu gęstej woalki. Jednak markiz spoglądał na nich szyderczo z portretu na podeście, a jego chytry uśmieszek zdawał się mówić: „Chowajcie się, chowajcie! I tak znam wszystkie wasze sekrety!”

Swarliwe głosy gości cichły w dali, gdy Alice w ślad za pokojówką szła pustym korytarzem. W świetle dziennym elżbietański przepych Revell Court ją olśniewał. Zaglądała ciekawie do mijanych komnat. Wysokie sklepienia, ściany pokryte u dołu dębową boazerią, wyżej zaś kremowym tynkiem, imponujące renesansowe kominki, barwne, choć nieco już spłowiałe kobierce na ciemnoszarych granitowych taflach posadzki... Słońce wpadało do wnętrza przez przedzielone słupkami okna o romboidalnych szybkach, ślizgało się po masywnych meblach, podkreślając złocistość ich lśniącej powierzchni, sprawiało, że stare gobeliny, przedstawiające łowy na jelenia i polowanie z sokołem, jarzyły się pełnią barw. Surowy charakter tych wnętrz różnił się diametralnie od swobodnej atmosfery



rodzinnego domu Alice. W pełnych światła pokojach Glenwood Park stały wygodne, miękkie fotele i sofki ozdobione spiralnym ornamentem... a jednak niewzruszoność masywnych mebli w domu Luciena dawała również mile poczucie bezpieczeństwa. Alice podobał się także zapach Revell Court woń wyprawionej skóry, pszczelego wosku, nadającego tak wspaniały połysk meblom i ciemnej boazerii, oraz lekki, pikantny zapaszek tytoniu fajkowego.

Służąca zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami na końcu głównego korytarza.

- Tutaj jest biblioteka, proszę panienki - wyjaśniła cicho i pospiesznie dygnęła.

- Dziękuję ci.

Alice skinęła głową i sięgnęła do klamki. Nauczona jednak wczorajszym doświadczeniem, że lepiej nie wchodzić tam, gdzie nie proszą, zdobyła się na odwagę i zastukała. Serce jej zamarło na sekundę, gdy w odpowiedzi rozległ się donośny głos Luciena:

- Proszę wejść!

Alice wyprostowała się i otworzyła drzwi. Natychmiast ujrzała Luciena w przeciwległym końcu pokoju. Stał koło okna, oparty od niechcienia o jedną z biblioteczek, z niewielkim, oprawnym w skórę tomikiem w rękę. Poranne słońce lśniło na jego kruczoczarnych, zaczesanych do tyłu włosach. Alice zauważyła, że nie zdążyły jeszcze wyschnąć po rannych ablucjach. Ostrożnie postąpiła o krok, potem zrobiła jeszcze jeden, nie odrywając wzroku od Luciena. Była urzeczona zmianą w jego wyglądzie. Tym razem ubrany był z niewymuszoną elegancją ziemianina wypoczywającego w zaciszu swego dworu.

Domowy surdut w soczystym kolorze czerwonego wina, jedwabna jednorzędowa kamizelka, wysoki kołnierzyk i obcisłe beżowe spodnie. Pochylał się nad otwartą książką, nie odrywając oczu od lektury. Alice przez chwilę wpatrywała się w jego palce, które zdawały się pieścić cienką skórę okładki. Miał arystokratyczne dłonie: duże, męskie, silne, a równocześnie wyjątkowo kształtne i wytworne. Alice odegnała od siebie przerażające, a zarazem

podniecające wspomnienie tych gładkich, ciepłych rąk, wślizgujących się pod jej spódnicę.

- Chciałeś się ze mną widzieć, milordzie? - spytała przesadnie oficjalnym tonem, jedną ręką nadal dotykając drzwi.

*Pójdź ze mną, zostań moją miłą,*

*Iżby nam wspólne dni złociło*

*Dno strug piaszczyste, w których prędkie*

*Nurt zanurzymy swoje wędkie.*

Alice zamrugała oczyma ze zdumienia.

- Co takiego?!

Rzucił jej rozbrajający, nieco szelmowski uśmiezek i deklamował dalej urzekającym, śpiewnym szeptem.

*Nagrzeje się wnet toń szemrząca*

*Bardziej od oczu twych niż, słońca.*

*Przez wody kryształowe szyby*

*Będą cię podziwiała ryk*

*Gdy zechcesz zażyć w niej kąpieli,*

*Będziemy tłumy ryb widzieli.*

*Jak mkną miłośnie w twoją stronę*

*Chętniej łowiące niż łowione.*

Policzki Alice nabierały powoli barwy róży, którą jej przysłał Lucien. Rzuciła mu jednak wyniosłe spojrzenie. Czyżby ten łotr naprawdę liczył na to, że złowi ją na jeden wierszyk?

- Zamknij drzwi, Alice.

Spełniła jego polecenie z uśmiechem wyższości i ostrożnie, krok za krokiem,

zbliżała się do Luciena, który podjął znów czytanie. *Słońce czy księżyc przyćmią twoje Rybich i ludzkich serc podboje, Lecz nie ubędzie nam widoku: Ty będziesz źródłem światła w mroku.*

- Andrew Marvell? - Nie.

- Christopher Marlowe?

- Biedna, niedouczone dziecko! To John Donne, *Przynęta*. Mogę czytać dalej? - spytał z udanym zniecierpliwieniem.

- Jak najbardziej! - odparła z przesadną powagą.

Nie ulegało wątpliwości, że Lucien to drań i łotr... ale miał niekiedy poczucie humoru... Bardzo spoiste. *Niech inny marznie z wędką w dłoni I stopy rani na dnie toni, Niechaj zapuszcza gęste sieci Albo zdradzieckie sidła kleci...*

- Wspaniałe, nieprawdaż? - skomentował, kiwając z podziwem głową.

- Owszem, niezłe przyznała Alice.

Stanąwszy obok Luciena, zerknęła mu przez ramię i przeczytała głośno następną zwrotkę.

*Niechaj zuchwale i nieczule*

*Wygarnia ryby skryte w mule*

*Lub jedwabnymi błyskotkami*

*Nieszczęsne rybie oczy mamii*

*Choć procedurą to przyjętą*

Przerwał jej, rzucając z ukosa karcące spojrzenie:

*Tyś sama w sobie jest przynętą.*

*Ryba, co na nią się nie skusi,*

*Mądrzejsza być ode mnie musi!* □

Z uśmiechem oderwała wzrok od tekstu i zerknąwszy na Luciena, odkryła, że i on

patrzy na nią. Jego szare oczy były żywe i pełne iskier jak powierzchnia jeziora, zmacona powiewem wiatru. Alice nie zlekła się jego spojrzenia ani tego, że stali stanowczo zbyt blisko siebie - tak blisko, że czuła wyraźnie żar jego ciała i nieodparty, magnetyczny urok. Byli tak blisko, że przemknęło jej przez głowę, iż Lucien zaraz się pochyli i znowu ją pocałuje. Bezwiednie wstrzymała dech i uświadomiła to sobie dopiero w chwili, gdy zaskoczył ją odgłos zamykanej książki.

□ John Donne *Przynęta*, przeł. Stanisław Barańczak, Kraków 1988.

Potem Lucien ujął ją za rękę i elegancko ucałował koniuszki jej palców.

- Mam nadzieję, Alice - powiedział przyjaznym tonem - że spało ci się spokojnie.

Wziął Alice pod rękę i odciągnawszy ją od okna, doprowadził do kanapy.

- Spokojnie i wygodnie, dziękuję. Czuła się nieco zawiedziona, że Smok nie czyni żadnych zakusów na jej cnotę. - A tobie, milordzie?

- Lucienie - poprawił ją z poufałym uśmiechem. - Chyba dość już tego oficjalnego tonu. Siądziemy?

- Z przyjemnością.

Doszła do wniosku, że nie warto kruszyć kopii o tak nieistotne drobiazgi, jak mówienie sobie po imieniu. Przecież zaraz stąd wyjedzie i z boską pomocą nigdy więcej nie zobaczy Luciena.

O dziwo, ta perspektywa wcale jej nie ucieszyła.

Przycupnęła nerwowo na brzeżku kanapy, podczas gdy on, odgarnawszy poły surduta, zasiadł w fotelu naprzeciw niej. Odchylił głowę na wysokie skórzane oparcie i nie odrywał oczu od Alice. Odwróciła wzrok, uświadomiwszy sobie znowu, że znajduje się sam na sam z niebezpiecznym mężczyzną. Bez towarzystwa przyzwoitki, pokojówki czy choćby Caro! W Londynie można było stracić reputację ze znacznie błahszego powodu... ale teraz znajdowała

się w świecie Luciena, gdzie nikt nie przestrzegał powszechnie obowiązujących reguł.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - zagadnęła. - Lak.

Oparł brodę na rękę i uśmiechnął się do Alice.

- A zatem?

Żadnej odpowiedzi. Uśmiechał się nadal oczyma, zasłaniając swe uwodzicielskie usta dwoma palcami. To spojrzenie niepokoiło Alice. Pospiesznie odwróciła wzrok, serce jej biło nierówno. Cóż za okropny, źle wychowany typ!

- Doskonale, pomilczmy sobie!

Alice nerwowo zaciskała leżące na podolku ręce, udając, że ogląda z za-

interesowaniem elegancko urządzony pokój. Biblioteka była długa i wąska, pełna szaf i półek z książkami. Ogromne okna, niemal od podłogi do sufitu, rozmieszczono w równych odstępach. W wykuszach za rubinowymi kotarami kryły się szerokie podokienne ławeczki.

Brązowe popiersia ustawione na szafach bibliotecznych zdawały się obserwować ją i Luciena niczym wścibscy salonowi plotkarze. Alice nieco się odprężyła, gdy spojrzenie jej padło na wiszące na ścianach obrazy olejne, na kobierce i panneux. Lucien przez cały czas patrzył wyłącznie na nią. Przeniosła więc wzrok na stolik do gry w szachy; figury z hebanu i kości słoniowej rozstawione były tak, jakby gracze odeszli w trakcie gry. Potem obejrzała bardzo dokładnie delikatny, spiralny deseń na dywanie. Aż wreszcie miała już tego dość!

- Przestań się na mnie gapić, milordzie!

- Najmocniej przepraszam. - Lucien leniwie wyciągnął przed siebie długie nogi i skrzyżował je w kostkach. - Jesteś jeszcze bardziej ponętna niż wczoraj.

Alice usztywniła się natychmiast i zadarła dumnie głowę. Policzki zalał jej gorący rumieniec.

- Wolno spytać, o czym chciałeś ze mną mówić? Proszę wybaczyć, ale bardzo mi się

spiesz.

- Jestem tobą ogromnie zainteresowany, Alice. Chciałbym kontynuować naszą znajomość.

Serce w niej zadrżało. Spojrzała na niego i znów spuściła głowę.

- Bez urazy, milordzie, ale o tym nie ma mowy.

- Okrutna kobieto! - wykrzyknął półżartem, choć wcale nie wydawał się zdziwiony. A to dlaczego?

Sporunowała go wzrokiem.

- Czy doprawdy musisz o to pytać?

- Chyba nie zaprzeczysz, że czujemy do siebie wyjątkowo silny pociąg? To bezczelne stwierdzenie, rzucone od niechcienia, niemal odebrało jej mowę.

- Sądzisz, że ulegnę uwodzicielowi mojej bratowej?! - zachnęła się.

- Sądzisz, że zdołasz się oprzeć? - odparował z ironicznym błyskiem oczu. Z

rozdętymi nozdrzami zerwała się na równe nogi, ale Lucien zepsuł jej efektowne wyjście, chwytając ją błyskawicznie za nadgarstek. Natarła na niego niczym furia.

- Puszczaj! Już byłam gotowa uwierzyć, że jesteś całkiem miły... a tu znowu coś

takiego, jak grom z jasnego nieba! To już przekracza wszelkie granice! To, co wygadujesz... i to, jak żyjesz... jest skandaliczne! Oburzające! Woła o pomstę do nieba!

- Wiem, wiem. Nie widzisz, że potrzebuję pomocnej ręki, moja droga? Bez wątpienia tylko najpoprawniejsza z poprawnych panna Skromnisia może mnie zawrócić ze złej drogi.

- Sam sobie zawracaj! Jeśli wezwalesz mnie po to, żeby kpić ze mnie, powiem ci otwarcie: nie chcę mieć z tobą nic do czynienia! Tak dalece, że jeśli kiedyś przypadkiem się spotkamy, zignoruję cię całkowicie. Żebyś wiedział!

- To doprawdy byłaby najsrozsza kara - odparł poważnym tonem, ale oczy mu się

śmiały. - Nie ulega wątpliwości: muszę odrodzić się moralnie... tylko jak? Chwileczkę! Mam wyśmienity pomysł!

- O, pomysłów ci nie brak! odcięła się. Zwrócił się ku niej z anielską miną.

- Może twoja cnotliwość i mnie się udzieli? Może twój dobry przykład mnie uszlachetni? Sama przecież mówiłaś wczoraj coś podobnego... o miłości.

- Od razu powinnam zgadnąć, że przekreślisz moje słowa i rzucisz mi je w twarz!

- Ale to prawda, Alice! Naprawdę nie masz ochoty mnie zbawić? Kobiety wiecznie tego próbują... tylko żadnej się dotąd nie udało. Pomyślałem, że i tobie sprawiłoby to przyjemność.

Obrzuciła go beznamiętnym spojrzeniem.

- To doprawdy bardzo... subtelne i oryginalne pochlebstwo, lordzie Lucyferze, ale nie dam się na nie nabrać. Nie masz najmniejszego zamiaru się zmieniać, a co się tyczy miłości, to każdy ptak i zwierz, nawet dzikie wilki wiedzą o niej więcej niż ty, choć taki jesteś sprytny! A teraz wybacz, ale...

- Zmieniłbym się, naprawdę! Zrobiłbym to dla ciebie, Alice, gdybyś mnie przekonała, że warto być dobrym... - Przytulił jej dłoń do swego świeżo ogolonego policzka. - Naucz mnie dobroci, Alice. Jestem pojętnym uczniem. Zrobisz to?

Nie zmiękła, choć przez sekundę była bliska kapitulacji.

- Okrutne żarty! zdołała wykrztusić.

- To wcale nie są żarty. - Intensywność jego spojrzenia budziła w niej lęk. Próbowwała uwolnić ręką, ale on uchwycił ją jeszcze silniej i odwróciwszy lekko głowę, ucałował wnętrze jej dłoni. Długie rzęsy na sekundę przesłoniły srebrne oczy. - I nie przychodzę do ciebie z pustymi rękami, Alice. - Otworzył oczy i spojrzał na nią z czułością. - Ja również chciałbym ci pomóc. Jesteś za młoda, by to zrozumieć, ale wiem, co ci grozi.

- Naprawdę? - szepnęła, spoglądając niepewnie w jego głębokie, kryształowe oczy.

- Widywałem to setki razy. Chcą cię przerobić na swoje kopyto, żebyś była taka sama jak wszyscy... aleja potrafię ocalić twą jasno gorejącą, piękną duszę! Jesteś uwięziona w klatce i nawet o tym nie wiesz... a ja mogę wypuścić cię na wolność! Zgódź się, żebym wziął cię pod swoje skrzydła. Nauczę cię, jak ich przechytrzyć, zobaczysz! Nie pozwolę, żeby cię zmienili w jeszcze jedną pustą lalkę, taką śliczną, w jedwabiach i koronkach... Jesteś zbyt cenna, by tak cię zniszczyć!

Jego ciche słowa wstrząsnęły nią. Miała wrażenie, że Lucien wejrzał na dno jej duszy, czytał w jej sercu... Wpatrywała się w niego jak urzeczona.

- Czego ode mnie chcesz?

- Tego samego, czego i ty pragniesz, moja słodka - powiedział, głaszcząc ją po rękę delikatnie, uspokajająco. Oboje pragniemy, by ktoś zaakceptował nas takimi, jakimi naprawdę jesteśmy.

- Kim ty jesteś, Lucienie? - spytała drżącym szeptem.

- Zostań ze mną i sama się przekonaj.

- No, no, kto by pomyślał! - odezwał się od drzwi czyjś arogancki głos. - Czyżbyśmy już dali na zapowiedzi? Wybrali kwiatki na ślubny bukiet? Zdecydowali, gdzie urządzimy weselisko?

- Caro?!

Alice zbyt gwałtownie wyrwała rękę z lekkiego uścisku. Czowała, że oblewa się szkarłatnym rumieńcem. Spojrzała w pomieszczeniu na Luciena, serce waliło jej jak młotem. Przyglądał się jej ze spokojem.

- Wezwano mnie tu specjalnie... więc mam nadzieję, że nie przeszkadzam stwierdziła zjadliwie Caro.



Baronowa weszła do biblioteki. Miała idealną fryzurę - każdy włoszek na właściwym miejscu - i wykwinną toaletę. Jednak jej oczy były przekrwione, a pokład rózu na policzkach nie mógł zatuszować ich bladości.

- Wycofałabym się dyskretnie i przysła później, kiedy wasze małe *tete - a - - tete* dobiegnie końca, ale muszę czym prędzej jechać do mego syna. Jesteś już gotowa do drogi, Alice?

- Oczywiście...

- Nie tak szybko, moja droga. - Lucien wstał, uczucia malujące się na jego twarzy zniknęły błyskawicznie pod maską pychy i arogancji. Srebrne oczy zmieniły się w lustra, nieujawniające niczego, co kryje się w ich głębi. - Lady Glenwood, proszę wejść i zająć miejsce. Wezwałem was obie w poważnej sprawie.

Więc naprawdę również ją wezwał do biblioteki? - zdumiała się Alice, obserwując Luciena, który podszedł do baronowej.

- O tak, to doprawdy wyglądało bardzo poważnie - mruknęła Caro.

- Radzę trzymać język za zębami, madame.

Ujął baronową za łokieć i podprowadził zdecydowanie do fotela stojącego na wprost kanapy.

Usiadłszy na nim, Caro zmierzyła szwagierkę wyniosłym, ostrzegawczym wzrokiem.

Potem oparła łokcie na poręczy fotela i ścisnęła palcami skronie. Mogłaby służyć za model do obrazu: „Smutne skutki przepicia”. Dobrze ci tak! - pomyślała Alice, odpowiadając bratowej spojrzeniem pełnym buntu.

- Niechże i pani siada, panno Montague. - Stojący pomiędzy obiema kobietami Lucien wydawał się jeszcze wyższy niż zwykle. Plecy miał wyprostowane, głowę dumnie wzniesioną. - Zdaję sobie sprawę, że bardzo wam spieszo. I wobec tego będę się streszczał. -

Po jego ustach przemknął diaboliczny uśmieszek. - Ostatnimi czasy coraz bardziej cenię miłe towarzystwo - powiedział. - Rozważyłem więc sprawę dokładnie i podjąłem bardzo istotną decyzję.

Przechylił głowę na bok i zmierzył wzrokiem stół do szachów z garścią rozstawionych na nim figur. Przesunął czarnego skoczka, zbijając nim białą królową. Usunął z szachownicy „uśmierconą” figurkę z kości słońskiej, spojrzął na Caro, potem na Alice i rzekł:

- Pozwolę wyjechać stąd tylko jednej z was.

Obie kobiety spojrzały na niego kompletnie zdezorientowane.

- Co proszę? - wycodziła Caro, odzyskawszy nagle głos.

Alice siedziała nieruchomo, wpatrzona w Luciena. Ogarnęło ją straszliwe przeczucie.

- Pozwolisz wyjechać tylko jednej? Cóż to ma znaczyć? Spojrzął na nią z grzeczną obojętnością i stwierdził chłodno:

- To, że jedna z was może wyjechać. Druga zostanie, by dotrzymać mi towarzystwa, dostarczyć miłej rozrywki... na wsi bywa strasznie nudno, nieprawdaż? Decyzję pozostawiam tobie, Alice. Która z was ma wrócić do domu, do Harry'ego, a która pozostanie w Revell Court... ze mną?

Alice miała taką minę, że Lucien ledwie zdołał powstrzymać uśmiech. Wyraz jego twarzy był chłodny, spojrzenie nieodgadnione... choć pożądanie aż w nim kipiało. Nic go nie obchodziło, że to, na co się poważył, wołało o pomstę do nieba. Podjął już decyzję i nie zamierzał się wycofać. Zbyt łaknął tego, co zamierzał osiągnąć.

Śliczna twarzyczka Alice pobleadła. Lucien powściągnął mroczny uśmiech. Nadeszła chwila prawdy. Teraz się przekona, czy jego wybranka jest rzeczywiście szlachetna i szcera. Dobrze wiedział, jak zastawić na nią pułapkę. Zeszłej nocy, głupiutka, sama opowiedziała mu

o danej umierającym bratu obietnicy i o swym przywiązaniu do małego bratanka.

Z rozmysłem wystawiał ją na ciężką próbę; podjęcie decyzji będzie dla niej równie bolesne jak spacer na bosaka po ostrzu noża. Jednak tylko w ten sposób - w sytuacji krytycznej - mógł poznać jej prawdziwą naturę. Jeśli Alice egoistycznie wykręci się z niewygodnej sytuacji kosztem małego Harry'ego, który „stale pytał o mamę”, jeśli okaże się zwykłą hipokrytką, jego zauroczenie ustąpi jak ręką odjął. I bardzo dobrze! Odzyska władzę nad swym sercem i rozumem - i bez dalszych sprzeciwów pozwoli obu kobietom opuścić Revell Court.

Ale jeśli decyzja Alice nie będzie egoistyczna, jeśli podejmie ją, nie bacząc na przykre konsekwencje, narażając na szwank swoją reputację, a nawet cnotę, wówczas on, Lucien, zatrzyma ją przy sobie, by ją wielbić i odzyskać dzięki niej wiarę w dobroć i niewinność. Tak czy owak, zawsze na tym wygra. Szczerze mówiąc, plan był mistrzowski.

Obie kobiety spoglądały na niego w osłupieniu.

- Jesteś wcielonym diabłem... - wyszeptała wreszcie Caro. Prawdziwym Lucyferem!

Obrzucił ją obojętnym spojrzeniem i utkwiał zgłodniały wzrok w tej, na której mu wyłącznie zależało.

- A zatem, Alice, która z was zostanie ze mną: Caro czy ty?

Spojrzała na niego swymi ciemnoniebieskimi oczyma. Były ogromne, bezdenne, zagubione... Skromne uczesanie - włosy odgarnięte do tyłu i upięte w prosty kok podkreślało szlachetne rysy: gładkie czoło, wysokie kości policzkowe, upartą bródkę, długą, wdzięczną szyję... Lucien zmierzył ją spojrzeniem sugerującym wyłącznie pociąg fizyczny i jak najgorsze intencje. To ją powinno tak wystraszyć, że spadną wszelkie zasłony i zostanie naga prawda. Pod wpływem strachu, pożądania i nadziei, która budziła w nim zdumienie i niepokój, stał się bezlitosny.

- Chyba żartujesz, milordzie - wykrztusiła Alice.

- On wcale nie żartuje - zapewniła ją najcichszym szeptem Caro, kręcąc głową. -

Znam ten błysk w oku! Znów jakiś przewrotny diabeł szepcze mu do ucha... Nie uspokoi się, póki nie postawi na swoim!

- No więc? - ponaglił Lucien.

- To absurd! - Alice zerwała się na równe nogi w przystępie świętego oburzenia, ale oczy jej pociemniały ze strachu. Ich szafir zmienił się w granat, a twarz o barwie kości słoniowej była teraz śmiertelnie blada. - Chodź, Caro, wynosimy się stąd natychmiast!

- Niechże pani siada, panno Montague - rzucił ostro Lucien. Musi pani dokonać wyboru, a nie uciekać przed nim. Powinnyście być mi wdzięczne: zgadzam się na wyjazd jednej z was, choć mam wielką ochotę zatrzymać obie... ale kto by się wówczas opiekował biednym chłopczykiem?

- Dość tego, Lucienie! - Caro wstała raptownie, podeszła do niego i przyjrzała mu się badawczo, usiłując wyczytać coś z jego twarzy. Moje dziecko jest chore. Muszę do niego jechać!

- Tak cię to obchodzi? No, no! - Pokręcił wzgardliwie głową. - Porozmawiaj z Alice. Niech ona zdecyduje.

- Więc to na niej ci zależy? Dajże spokój, Lucienie: przecież to dziewczica!

- I zostanie nią, jeśli zechce.

- Ta konwersacja jest w najwyższym stopniu niestosowna! - zawołała Alice. Dobrze wiesz, milordzie, że nie możesz zatrzymać żadnej z nas wbrew naszej woli! Byłoby to jak porwanie, za co idzie się do więzienia!

- Nie gorączkuj się tak, moja droga. - Caro skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała z ukosa na szwagierkę. - Lord Lucien chce cię po prostu... przeegzaminować! Nie będziesz

pierwszą, którą podda próbie, ani ostatnią. Pewnie jest ciekaw, ile mu zajmie czasu zdeprawowanie dziewicy. To jego ulubiona zabawa: popychanie innych do grzechu, doszukiwanie się w nich słabości. Nie rzuci się na ciebie, ale jeśli noga ci się powinie, nie licznaz zmiłowanie!

- No, no! To już chyba lekka przesada - odezwał się ironicznie Lucien.

- Wiem, dlaczego to robisz - oznajmiła Alice wyzywająco, choć głos jej drżał.

Zbliżyła się o krok do Luciena. - Chcesz mnie ukarać za to, że wtargnęłam do groty, prawda?

Nie mam zamiaru opowiadać o waszych odrażających praktykach! Z kim zresztą mogłabym rozmawiać na podobne tematy? Umarłabym chyba ze wstydu!

- Co też ty mówisz, Alice? Ani mi w głowie karać cię za cokolwiek - odparł tonem

perswazji. - Jakie zresztą miałbym do tego prawo? Nie jestem ani twoim ojcem, ani mężem.

Ostatnie słowo sprawiło, że zbladła jeszcze bardziej.

- Nie możesz mnie tu więzić! Harry potrzebuje...

- ... swojej matki - dokończył za nią.

- Mnie także! - Z widocznym trudem starała się opanować. - Milordzie, jeśli naprawdę

zależy ci na utrzymaniu znajomości ze mną, możesz złożyć mi wizytę w Londynie na wiosnę...

Nie wróżący niczego dobrego śmiech zagłuszył jej dalsze słowa.

- Mam całkiem inne plany, *cherie*.

- Chcesz mi koniecznie odebrać dobre imię? - jęknęła.

- No, no! Po co zaraz dramatyzować, moja droga? Nie ma mowy o kompromitacji.

Jestem wyjątkowo dyskretny - powiedział ze skromną miną. - Nikt się nie dowie, że bawiłaś tutaj. Masz na to moje słowo.

- Słowo Smoka? Nie rozśmieszaj mnie! - Wskazała na drzwi. - Tamci ludzie w holu

dobrze mi się przyjrżeli. Kto zaręczy, że zaraz po powrocie do Londynu nie rozgłoszą, że widzieli mnie w Revell Court i że zapewne nadal tu jestem?

- Po pierwsze, oni wcale nie wracają razem do Londynu. Każde z nich własną drogą zmierza teraz do swojej wiejskiej posiadłości. Dobrze wiesz, że jesienią mało kto z wyższych sfer bawi w mieście. Po drugie, choćby nawet cię rozpoznali, każdemu z nich zależy na dyskrecji, podobnie jak tobie. Nikt się nie będzie przechwalał, że był w Revell Court. Nie masz się czego obawiać.

- Nie upieraj się przy tym, Lucienie, błagam! Dobrze wiesz, że to niemożliwe!

- A to dlaczego? Myślisz, że mnie obchodzą nakazy i zakazy obowiązujące w wielkim świecie? - spytał ostro, tracąc nagle cierpliwość. Opór Alice sprawił, że jego maska obojętności zaczęła się kruszyć. - Życie jest zbyt krótkie, by je komplikować kretyńskimi regułami! Zdecyduj się wreszcie, do wszystkich diabłów!

Stała jak wryta, wpatrując się w niego rozszerzonymi oczyma. Jej klasycznie piękne rysy zastygły w wyrazie bezradności i dezorientacji.

Utkwił w niej płonące spojrzenie, chcąc zmusić ją, by przypomniawszy sobie, jak topniała w jego ramionach, jak otwierała usta pod jego pocałunkami. Jak ośwładnęła ją gwałtowna namiętność i odwzajemniła pocałunek wiedzona słodkim, dojmującym pożądaniem.

Odwróciła się blada, wstrząśnięta i ruszyła ku drzwiom.

- Wracam do domu, do Harry'ego. Nie zdołasz mnie powstrzymać! Caro, idziemy!

- Wydałem moim ludziom wyraźne rozkazy! - zawołał za nimi Lucien, cały spięty z podniecenia. - Nie wypuszczą was bez mojej zgody.

Caro nie ruszyła się z miejsca; obserwowała bacznie Luciena. Spojrzał na nią przelotnie i pospieszył za upatrzoną zwierzyną. To wprost niewiarygodne, że Alice do tej pory nie odmówiła kategorycznie pozostania w Revell Court, zwałając cały ciężar na Caro!

Było to najprostsze rozwiązanie. Lucien spodziewał się w każdej chwili, że do tego dojdzie... a tymczasem Alice robiła, co mogła, by uniknąć podejmowania decyzji... jakby przeczuwała, że sumienie zmusi ją do wydania wyroku na własną niekorzyść. Zafascynowany Lucien, starając się utrzymać w ryzach swoje uczucia, obserwował bacznie jej smukłą postać spieszącą po kamiennych płytach mrocznego korytarza do frontowego holu. Zwolnił kroku i szedł w ślad za nią.

Tymczasem Alice szybko przekonała się, że drzwi wyjściowych strzeże dwóch ubranych na czarno wartowników.

- Wypuście mnie stąd! - krzyknęła do nich, ale nawet się nie poruszyli.

- Przekonałaś się? - spytał Lucien, zrównawszy się z nią u podnóża schodów.

Odwróciła się błyskawicznie i Spiorunowała go wzrokiem. Jej dłonie zacisnęły się w pięści.

- Gdyby żył mój brat, wyzwiałby cię na pojedynek!

- *Cherie*, nie warto się oglądać na umarłych. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Dlaczego mi to robisz?

Lucien skamieniał. Czuł się pod jej spojrzeniem jak obnażony. To było nie do zniesienia: jej oczy docierały do samego wnętrza jego duszy. Skrył się przed jej badawczym wzrokiem za maską aroganckiego uśmiechu.

- Bo mnie to bawi. Przestań się wykręcać, Alice. Odpowiedz wreszcie na pytanie:

Caro czy ty? - Wyjął zegarek z dewizką i zerknął na jego tarczę. Najwyższa pora przyspieszyć bieg wydarzeń! - Daję ci dziesięć sekund. Jeśli się do tej pory nie zdecydujesz, zatrzymam was obie i biedny mały Harry będzie cierpiał w samotności.

- Niech cię wszyscy diabli! Nie będę wysłuchiwać twoich rozkazów! - Skręciła w inny

korytarz, ale i tam groźni strażnicy zastąpili jej drogę. Odwróciła się z gniewem do Luciena. -

Każ im, żeby sobie poszli!

- Nie ma mowy.

- Nie możesz być aż taki zły!

- Jeśli szukałaś dobrego bliźniaka, trzeba było zakraść się do domu Damiena. Dziesięć.

Dziewięć. Osiem.

- Caro! - Alice zwróciła się do bratowej, która właśnie podeszła do nich.

- On oszalał! Nie słucha rozsądnych argumentów. Musisz z nim zostać! No, wyszło szydło z worka! - pomyślał Lucien, maskując ból rozczarowania szyderczym uśmiechem.

- Ależ, Alice! Przecież to ja jestem Harry'emu potrzebna. Czy nie po mnie tu przyjechałaś? Jestem jego matką i powinnam być przy nim!

- Dopiero teraz przypomniałaś sobie o tym?

- Jak śmiesz! Zawsze kochałam mojego synka! To ty się stale wpychałaś pomiędzy nas!

- Siedem. Sześć - odliczał stojący w niewielkiej odległości Lucien. Alice wpatrywała się w baronową ze zdumieniem i z gniewem.

- Nie pleć głupstw! To ty wiecznie uciekasz z domu i zapominasz, że masz synka.

Gdyby nie ja, dziecko byłoby zdane na łaskę służby!

- Pięć. Cztery...

Gdyby ktoś odważył się tak wyrębać prawdę w oczy mojej matce, kiedy byłem w wieku Harry'ego! - dumiał z gorzką ironią Lucien. - Kto wie? Może życie braci Knightów inaczej by się potoczyło?

- To wstyd i hańba tak zaniedbywać własne dziecko! - nie ustępowała Alice. - Nie masz pojęcia, jaki on jest zagubiony po każdym twoim wyjeździe! Jak tylko zacznie płakać, zaraz od niego uciekasz... Czy ty nie rozumiesz, że on płacze, bo chce mieć cię zawsze przy



sobie?! - Twarz Alice była pełna napięcia, jakby i do niej dopiero teraz dotarło w pełni to, o czym mówiła.

Lucien, zafascynowany grą uczuć na jej delikatnej twarzy, zwolnił tempo odliczania.

- Trzy...

Caro, która także wpatrywała się w Alice, zwiesiła głowę i się odwróciła.

- Ten jeden raz zostaw mnie samą z dzieckiem, a zobaczysz, że wszystko się zmieni, przysięgam!

- Przysięgasz? powtórzyła Alice z gorzkim niedowierzaniem. - Tak!

- Dwa...

Przez długą chwilę Alice mierzyła bratową przenikliwym wzrokiem.

- Jeden.

Lucien zatrzasnął wieczko zegarka. Zabrzmiało to niczym wystrzał armatni w absolutnej ciszy, jaka zaległa w korytarzu.

- Dobrze - powiedziała Alice ledwie dosłyszalnym szeptem. - Zostanę tu.

- Odwróciwszy się raptownie do Luciena, zaatakowała go tak niespodziewanie, że z trudem ukrył zaskoczenie. - Ale jeśli mnie tkniesz choćby palcem wbrew mojej woli, bez wahania oskarżę cię o przemoc! Trafisz do więzienia. Jeśli szukasz skandalu, będziesz miał skandal!

Lucien otrząsnął się z osłupienia. Uśmiech najwyższej satysfakcji rozjaśnił mu twarz.

Cały jego świat wywrócił się właśnie do góry nogami, a jego serce wzniosło się pod niebo i szybowało jak ptak. Znalazł, zaiste, godną siebie przeciwniczkę!

- Dzięki za ostrzeżenie. Będę się miał na baczności.

- On się nie złąknie przedstawicieli prawa - zauważyła Caro, mierząc go zjadliwym spojrzeniem. - Jeśli cię skrzywdzi, nie trać czasu na wzywanie policji, moja droga. Powiemy

o wszystkim Damienowi, i tyle.

Wzmianka o bracie, który był uosobieniem honoru, ściągnęła Luciena z powrotem na ziemię. Rzucił baronowej wściekłe spojrzenie. Przed oczyma stanęła mu surowa prawa twarz Damiena. W mózgu zahuczał mu głos bliźniaka: Nie waż się więzić tej dziewczyny!

Przekonałeś się, że instynkt cię nie zawiodł. A teraz ją puść! Lucien dobrze wiedział, że w istocie jest to głos sumienia. Mógł bawić się w satanistę, ale odróżniał dobro od zła nie gorzej niż jego bliźniak. Jednakże myśl o wyjeździe Alice wzbudziła w nim paniczny strach. Jak mógłby wypuścić ją z rąk... zwłaszcza teraz, gdy miał już pewność, że to szczere złoto?!

Miotały nim sprzeczne uczucia, serce waliło jak młotem.

Alice była najrzadszym ze wszystkich cudów natury: piękną i prawą kobietą. Kimś, przed kim być może zdoła kiedyś otworzyć serce... Szukał jej po całym świecie a teraz trzymał ją w ręku. I miałby pozwolić, by mu się wymknęła?!

Nie mógł tego zrobić. To było ponad jego siły. Nic puści jej! Radość rozpierała go do tego stopnia, że sam już nie wiedział, co wyprawia To szaleństwo! - ostrzegał go rozsądek.

Masz trudne zadanie do wykonania. Czeką cię konfrontacja z Bardou, który buja na wolności i diabli wiedzą, co knuje! Obecność Alice tylko by cię rozpraszała.

Jednak to właśnie wieść o „zmartwychwstaniu” Bardou i nawrót straszliwych wspomnień rozhartowały wolę Luciena, kazały mu sięgnąć po tę dziewczynę. Nie mógł dłużej znosić tego sam. A od chwili, gdy spojrzał w błękitne jak niebo oczy Alice, ogarnęła go paląca tęsknota za czymś czystym, dobrym. Równie desperackie pragnienie odczuwał tylko raz w życiu: gdy Bardou i jego oprawcy, uwięziwszy go w tej czarnej norze, przez dwie doby odmawiali mu wody.

Teraz nie był bezradnym więźniem. Nikt nie ograniczał swobody jego działania, mógł walczyć o swoje prawa za pomocą wszelkich dostępnych środków - choćby miał przez to

spodlić się raz na zawsze, porzucić resztki honoru. Zdobyć Alice, jej ciała i duszy, warte było nawet takiej ceny.

Chcąc uspokoić sumienie, postanowił, że jeśli nie zdoła tego dokonać w ciągu tygodnia, zwróci dziewczynie wolność. Był sprytnym i doświadczonym negocjatorem, toteż zażądał z początku znacznie więcej, niż zamierzał osiągnąć.

- Za dwa tygodnie odeślę ją całą i zdrową do domu własnym powozem.

- Dwa tygodnie?! - Alice jęknęła ze zgrozy. - Mowy nie ma! Zostanę tu najwyżej jeden dzień!

Lucien zwrócił się do niej:

- W takim razie dziesięć dni. - Dwa!

- Dajże spokój, *cherie*/ Będziemy się świetnie bawić. Zostań choć osiem dni.

- Trzy i ani godziny więcej! - krzyknęła w panicznym strachu.

- W takim razie tydzień. Obiecuję, że nie będę zbyt natarczywy - dodał na pociechę z szelmowskim uśmiechem.

- Tydzień? - powtórzyła Alice i spojrzała na niego z rozpaczą. - Lepiej się zgódź, moja droga. Jak on się uprze... - Caro westchnęła wymownie. Alice rozdrażniona lekkim tonem bratowej odwróciła się do niej.

- Bardzo cię to bawi? Caro wzruszyła ramionami.

- Nie prosiłam, żebyś po mnie przyjeżdżała. Nie powinnaś była tego robić.

Alice wpatrywała się w nią, nie wierząc własnym uszom.

- Przyjechałam tu, żeby cię ratować!

- Ale tylko postawiłaś nas obie w głupiej sytuacji.

- Jak możesz pozwolić, by mnie tak krzywdził? To ty powinnaś z nim zostać!

- Być może. - Caro zerknęła na sufit, jakby szukając tam odpowiednich słów. Ale,

mówiąc szczerze, widzę, że choć jestem od ciebie starsza i gram rolę twojej opiekunki, nie okazujesz mi należnego szacunku. Jest to wyjątkowo irytujące, więc trzeba ci pokazać, jaka naprawdę jesteś. Nie wyobrażam sobie, by ktoś mógł to zrobić lepiej niż Lucien Knight. Mdl mi, kiedy się puszysz i spoglądasz na wszystkich z góry jak jakaś święta! Uważasz, że jesteś ode mnie o całe niebo lepsza, co? Zobaczymy, czy nie spokorniejesz, kiedy on z tobą skończy!

- Ty... ja... Ty jesteś jeszcze gorsza niż on!

- Może i tak - odparła z fałszywą słodyczą Caro. - Ale nie zapominaj, że mieszkasz pod moim dachem i jesteś na moim utrzymaniu, złotko! - Spojrzała na Luciena. - A co do ciebie, kochany, to baw się, ile chcesz, ale jedno nie ujdzie ci na sucho!

- Cóż takiego, *cherie*? - spytał, zwracając się do niej z szerokim uśmiechem.

- Jeśli zajdzie z tobą w ciążę, musisz się z nią ożenić.

Lucien przestał się uśmiechać. Czuł w uszach szaleńcze bicie własnego serca. Przez sekundę wpatrywał się w Caro, starając się zachować pozory nonszalancji.

- W porządku - odparł.

To, że zgodził się bez wahania, zaskoczyło jego samego i przeraziło Alice.

Nie mogła zaczerpnąć tchu i Lucien zląkł się, że zemdleje. Kiedy spojrzał na nią z niepokojem, okręciła się na pięcie, podkasła spódnicę i uciekła przed nim na górę. Wyminęła pędem portret ironicznie uśmiechniętego markiza, którego szare oczy, tak podobne do oczu Luciena, zdawały się spoglądać na praprapra... wnuka z szelmowską aprobatą, zupełnie jakby mówił: Dobra robota, mój chłopcze!

Lucien zgadzał się z nim w zupełności.

Caro rzuciła mu pogardliwe spojrzenie i oddaliła się, wołając, by powóz zajeżdżał.

Lucien wetknął ręce w kieszenie spodni i spoglądał na schody, po których wchodziła Alice.

Rozkoszował się w skrytości swoim triumfem, nieco zdziwiony, że tak mu to łatwo poszło.

Nie zwalniając ani na chwilę kroku, Alice dotarła do swej sypialni i zatrzasnęła drzwi. Następnie zamknęła je od wewnątrz i dodatkowo zablokowała ciężkim drewnianym krzesłem. Serce tłukło się jej w piersi. Przegarnęła rękami włosy i zaczęła nerwowo krążyć po pokoju. .. Jak coś takiego mogło się wydarzyć? Co teraz począć?...

- Niech to wszyscy diabli! - krzyknęła rozpaczliwie i z oczu popłynęły jej palące łzy gniewu. Rzuciła się z furią na poduszkę i zaczęła ze zgoła nieprzystojną zaciekłością okładać ją pięściami. Niemal żałowała, że nie jest to urodziwa, zarozumiała gęba Luciena Knighta. Okrutny, bezwzględny, zepsuty do szpiku kości! Przeszła się znowu parę razy po pokoju, tam i z powrotem, aż w końcu znieruchomiła. Z czołem przytkniętym do jednego ze słupków baldachimu toczyła wewnętrzną walkę, usiłując odzyskać równowagę ducha. Jak on mógł tak postąpić?! Przecież to woła o pomstę do nieba! Ale czego innego można oczekiwać od Smoka? Od Lucyfera?! W mózgu Alice wirowały tysiące pytań.

„Jeśli zajdzie z tobą w ciążę, musisz się ożenić”. Ożenić? Te złowieszcze słowa rozbrzmiewały w głowie Alice posępnym echem, jak dzwony pogrzebowe. A on miał czelność odpowiedzieć: „W porządku”. W porządku? Wobec kogo?! - pienila się w duchu.

Owszem, pragnęła kiedyś, w przyszłości, mieć dziecko... ale nie z władcą piekieł!

Kilka minut później dotarł do niej z dołu turkot odjeżdżającego powozu. Oderwała się od słupka baldachimu i podbiegłszy do okna, wsparła się obiema rękami o parapet.

Przyglądała się z rozpaczą, jak jej powóz wyjeżdża za żelazną bramę Revell Court. Stangret Mitchell siedział na koźle z zatroskaną miną i oglądał się przez ramię. Widząc to, Alice zaczęła machać chusteczką, chcąc przyciągnąć jego uwagę... ale on patrzył już tylko na rozciągającą się przed nim drogę. Ciekawe, jaką to bajeczkę opowiedziała jemu i Nellie ta podła, fałszywa Caro, by usprawiedliwić jej nieobecność?

Zrozpaczona stała w oknie, dopóki powóz nie przebył rzeki po drewnianym moście, by wjechał na strome zbocze, zniknąć wśród porastających je drzew. Nawet wtedy, gdy nie było go już widać, Alice stała tam nadal, powoli oswajając się z głęboką ciszą panującą w Revell Court - domu wzniesionym na odludziu, w niełatwej do odnalezienia dolince wśród gór. Wszyscy goście już się rozjechali. Nie słychać było rozmów, nikt nie kręcił się po korytarzach. Zastępy znakomicie wyszkolonej służby poruszały się bezszelestnie i nie rzucały się w oczy. Właściwie w dworze z epoki Tudorów pozostali tylko lord Lucyfer i Alice.

Przebiegł ją dreszcz. Rozejrzała się niepewnie dokoła i zaczęła rozcierać ramiona, skrzyżowane dotąd na piersi. Jakże jej brakowało paplaniny Harry'ego! Nawet jego najgorsze wrzaski byłyby lepsze od tej niesamowitej, martwej ciszy...

Wróciła do łóżka i usiadła na nim, opierając się o wezłowie. Podciągnęła kolana i objęła je ramionami. Nie ruszy się z tego pokoju! W końcu temu srebrnookiemu diabłu znudzi się czatowanie na zwierzynę zaszytą w norze! Ona zaś - przy odrobinie szczęścia - znajdzie może jakiś sposób ucieczki.

Nagły hałas na korytarzu sprawił, że spojrzenie Alice pomknęło ku drzwiom sypialni.

Serce w niej zamarło. Przytłaczającą ciszę zamącił odgłos ciężkich, rytmicznych kroków; ktoś zbliżał się nieubłaganie. Jakże szybko się zjawia! Pojęła, że nie może wiecznie się przed nim zamykać. Po cichu wstała z łóżka i zaczęła się rozglądać za czymś, co - w razie konieczności - mogłoby posłużyć do obrony cnoty. Podbiegła po cichutku do kominka i chwyciła pogrzebacz. Wywinęła nim w powietrzu i bezszelestnie podkradła się do zatarasowanych drzwi. Kroki były coraz bliższe. Alice wstrzymała dech, gdy rozległo się ciche stukanie do drzwi.

- Wyjdź z norki, Alice, moje złotko. Nudno mi bez ciebie! - poprosił całkiem grzecznie.

Spocona ręka Alice zacisnęła się mocniej na pogrzebaczku.

- Idź sobie! Nie chcę cię widzieć!

- No, no, kochanie! Nie będziesz się chyba wiecznie dąsać?

- Dąsać?! - huknęła i jednym susem znalazła się przy samych drzwiach. Pewność, że

Lucien nie zdoła sforsować barykady, a gdyby mu się to udało, dostanie w łeb pogrzebaczem,

nieślychanie dodawała jej odwagi. - To czyste kpiny, mój panie! Ja miałabym się dąsać na

kogoś takiego jak ty?! Jak nie celujesz do mnie z pistoletu, to mi czytasz poezje!

- Myślałem, że lubisz poezje.

- Dobrze wiesz, że nie o to chodzi! Wtrącasz się w moje sprawy, chcesz mi dyktować,

co mam robić... i jeszcze się spodziewasz, że zemdleję z zachwyty? !

- No, cóż... byłoby to doprawdy urocze podziękowanie...

- Jak śmiesz sobie z tego kpić?! - krzyknęła, aż zahuczało echo. Twarz poczerwieniała

jej z wściekłości.

Zapadła cisza. Potem Lucien westchnął z irytacją.

- Masz zamiar chować się jak tchórz do końca tygodnia? - spytał z wyraźnym

znudzeniem.

- Gadaj, co chcesz, wstrętny łotrze, nic mnie to nie obchodzi! I nie łudź się, że zostanę

tu do końca tygodnia!

- Rozumiem. No cóż, jeśli chcesz mnie znieważać i złamać dane słowo, to miej

przynajmniej odwagę powiedzieć mi to prosto w oczy.

- Jeszcze czego! - odparowała. Nie jestem taka głupia, żeby się nabrać na twoje

sztuczki! Dobrze wiem, czego ci się zachciewa! Jak tylko otworzę drzwi, rzucisz się na mnie!

- Dajże spokój! odparł z urazą. - Nigdy w życiu nie zniewoliłem kobiety... A może tak

się tego boisz, bo wiesz, że to nie będzie zniewolenie? Że sama mnie zapragniesz? - podsunął



głosem pełnym irytującej słodyczy.

- Co za bezczelność! Doskonale wiesz, że cię nienawidzę! Rozległ się cichy śmiech.

- No, dobrze! Niech i tak będzie. Ale miejże trochę litości, Alice, i wyjdź do mnie. Ja naprawdę nie gryzę. Albo jeszcze lepiej: wpuść mnie do środka!

- Do mego pokoju?!

Alice zaparło dech. Mieliby znaleźć się we dwoje w sypialni? Jak Lucien mógł zasugerować coś podobnego? Za kogo ją miał?! Nie pozwoliłaby żadnemu ze swych konkurentów, by wziął ją za rękę nieosłoniętą rękawiczką! A kogoś takiego jak Lucien Knight nie zaliczy do grona swych adoratorów... choćby ją błagał na kolanach!

- No, wyjdźże do mnie, kochanie! Obiecuję, że będę grzeczny - wabił ją Lucyfer zza masywnych dębowych drzwi. Alice spojrzała na nie morderczym wzrokiem. - Przejdziemy się po parku. Nie czeka nas tej jesieni wiele dni równie pięknych i ciepłych jak ten; niebawem nastaną mrozy. Wyjrzałaś choć przez okno? Drzewa całe w złotych liściach, trawa jeszcze zielona, a niebo błękitne jak twoje oczy. Czy to cię nie kusi?

Najbardziej kusi mnie twój głos, pomyślała, czując lekki dreszcz. Pieszczotliwe pomruki Luciena były niezwykle uwodzicielskie.

- Nie jesteśmy tu niczym skrepowani, Alice. Zakosztuj prawdziwej wolności!

Wolność? - zadumała się. Co właściwie oznacza to słowo?... Usiłując przemóc magiczny urok, jaki na nią rzucił, spojrzała w stronę okna i nagle przyszedł jej do głowy genialny pomysł.

- Chyba masz tu konie? Może znalazłbyś wierzchowca dla mnie? Pojeździlibyśmy sobie razem...

- Nie wstyd ci, spryciuło? - ofuknął ją i zaśmiał się cicho, ale z całego serca. Gdybym ci pozwolił dosiąść konia, popędziłabyś do Hampshire szybciej niż zwycięzca w Royal Ascot!

Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, tak ją ubawiło to porównanie. Pokręciła jednak głową zaniepokojona tym, że emocje wymykają się jej spod kontroli. Jakaś cząstka jej istoty tęskniła do towarzystwa Luciena. Alice postanowiła jednak wytrwać w swym oporze.

- Jest coś - rzuciła wyzywająco przez drzwi - co chciałabym jeszcze dodać do naszej rozmowy z ubiegłej nocy.

- Doprawdy?

- Tak. Rozmawialiśmy o ludziach, którzy nas kochają. Przypominasz sobie?

- A tak... O nich albo o ich braku. Oczywiście, że pamiętam.

Alice odłożyła pogrzebacz na blokujące drzwi krzesło. Oczy jej rozbłysły.

- Chciałabym cię poinformować, że mam kilku wielbicieli zakochanych do nieprzytomności.

Zaległa cisza.

- Wcale w to nie wątpię, *cherie* - powiedział uprzejmie, nieco protekcyjnym tonem.

Alice uśmiechnęła się z satysfakcją. Cios wymierzony temu zarozumiałcowi okazał się celny. Teraz ona się nad nim poznęca!

- Pierwszy z nich to Roger Manners, bratanek księcia Rutland. Oświadczał mi się już trzy razy. Ma zbyt wiele zalet, by je wyliczać. I przepiękne czarne oczy: jak spojrzę, kolana się pode mną uginają... Drugi to Freddie Foxham, niesłychanie elegancki i wyjątkowo dowcipny. Bliski przyjaciel Beau Brummella, przyjaciela księcia regenta.

- No, no! To nie byle co!

- A trzeciego, Toma de Vere, rokrocznie podczas polowania na lisa wybierają na króla łowów. Wszyscy asystują mi wiernie od dnia mego debiutu. To prawdziwi dżentelmeni! Żadnemu z nich nawet by do głowy nie przyszło porywać mnie lub zatrzymywać siłą!

- W takim razie nie pragnę cię tak bardzo jak ja! - dotarło do Alice gniewne

warknięcie przez szparę w drzwiach.

Żrenice jej się rozszerzyły, serce zamarło na sekundę.

- Ale ich intencje od samego początku były uczciwe!

- Tak? No to dlaczego do tej pory nie zdecydowałaś się na żadnego z nich? Gdy wpatrywała się w drzwi, próbując wymyślić ciętą odpowiedź, Lucien zaczął mówić miękkim, łagodnym głosem, urzekającym ją, odbierającym jej chęć oporu.

- Dobrze wiem, dlaczego! Pragniesz czegoś więcej. Czujesz, że żaden z nich nie dostrzega twojej prawdziwej wartości. Każdy mężczyzna, uświadomiwszy sobie, jak niesłychanie rzadkim, jak niezrównanie pięknym jesteś klejnotem, bez wahania postąpiłby tak jak ja. Posunąłby się nawet do przemocy czy porwania, nazwij to jak chcesz, gdyby to była jedyna szansa zdobycia ciebie. Nie wymagaj ode mnie, Alice, żalu i skruchy, gdyż nigdy nie pożałują tego postępuku! Wyjdź do mnie, kochanie! Przysięgam, że nie wyrządę ci żadnej krzywdy.

Zamilkł na chwilę i Alice opadła na ciężkie krzesło, którym zablokowała drzwi.

Oparłszy policzek na dłoni, spoglądała przez okno na cudownie piękny jesienny pejzaż.

Targały nią sprzeczne uczucia.

- Krzywdzisz siebie i mnie podejrzeniem, że to, co do ciebie czuję, jest wyłącznie fizyczną żądzą - podjął znów Lucien. - Mówiłem ci, że chcę pogłębić naszą znajomość. Chcę poznać twoje zapatrywania, dążenia, marzenia. .. - Zawahał się. - Chcę pozyskać twe zaufanie.

- Jak mogłabym zaufać komuś, kto mnie tak skompromitował i chce mnie skrzywdzić?

- Nigdy cię nie skrzywdzę. Wiem, co robię!

- Postąpiłaś jak ostatni egoista!

- Oczywiście, to nie ulega wątpliwości odparł niecierpliwie. - Ale gdybyś poznała

mnie bliżej... gdybyś dała mi szansę... może zrozumiałabyś, czemu tak postąpiłem.

Alice spuściła głowę i przez chwilę milczała.

- Wcale nie chcę poznawać cię bliżej - powiedziała cicho, lecz stanowczo.

Już w chwili, gdy wymawiała te słowa, wiedziała, że kłamie - z rozmysłem, tchórzliwie.

- Ach, tak?

Wzdrygnęła się, wyczuwając w jego głosie szczery ból, zamaskowany lekką ironią.

Mignęło jej wspomnienie z ubiegłej nocy: głęboka uraza na twarzy Luciena, gdy demonstracyjnie starła z warg jego pocałunek. Pojęła, że nie tylko rozgniewała go, ale i zraniła. A teraz zrobiła to raz jeszcze. Ogarnął ją nagle wstyd i żal, ale nie zdobyła się na to, by odwołać swoje słowa.

Co ja najlepszego robię, chowając się za tymi drzwiami? - myślała ze znużeniem, przyciskając rękę do czoła. Takie tchórzliwe uniki niczego nie rozwiążą. Nie zachowywała się jak należy w stosunku do Luciena. Nie była z nim całkiem szczerą. A jeśli czuła teraz wewnętrzny niepokój, to nie tylko z gniewu i braku zaufania, jak można by przypuszczać.

Była na siebie zła, bo słowne pojedynki z Lucyferem w pewnym sensie sprawiały jej przyjemność. Wątpliwe, by mogła mu dorównać, ale byli równie dumni... i równie samotni.

Podniosła się z krzesła i znów zaczęła krążyć po pokoju, załamując ręce w rozterce.

Może to ona była wszystkiemu winna? Może go nieświadomie sprowokowała? Ubiegłej nocy odwzajemniła przecież jego pocałunek!

- Alice?

Odwróciła się w stronę drzwi tak raptownie, że fałdy jej spódnicy zawirowały.

- Słucham? - wykrztusiła.

- Wiesz, co mam w ręku? - Nie.

- Spróbuj zgadnąć.
- Widły? - zażartowała z przymusem, chcąc wprawić go w lepszy humor.
- Nie, moja droga - odparł sucho. - Klucz do twego pokoju.
- Co takiego?! - wyszeptała zdumiona i przerażona.
- Wolałbym nie robić z niego użytku.
- Masz klucz do mego pokoju?! - Mhm.

Zrobiła krok w stronę drzwi. Paniczny strach ścisnął ją za gardło.

- Kłamiesz!
- Chcesz się przekonać?
- Nie!

Boże, zmiłuj się! Przyparł ją do muru. Będzie musiała zrobić to, co jej kazał... Ale przysiągł, że nie wyrządzi jej krzywdy... Co prawda nie wierzyła mu ani trochę, ale w tej sytuacji nie miała innego wyjścia. Musi mu zaufać. Może ten łotr dotrzyma słowa? Jeśli teraz wyjdzie sama i stanie przed nim twarzą w twarz, oko w oko, zachowa resztki godności.

Czując w całym ciele dreszczyk niepojętego podniecenia, odsunęła krzesło od drzwi, podeszła do nich i otworzyła zamek.

Postanowiła, że nie okaże po sobie strachu ani - tym bardziej! - niezwykle silnego pociągu do Luciena. Nie da mu tej satysfakcji! Zuchwałym gestem otworzyła drzwi na oścież i rzuciła swemu antagoniście mordercze spojrzenie.

Stał oparty o ścianę obok jej drzwi i odpowiedział czarującym uśmiechem.

- Otóż i ona, najpiękniejsza z młodych dam, jakie gościłem pod moim dachem! Włóż lepiej płaszcz, kochanie. Pogoda w tych stronach lubi płatać figle!
- Chcesz, bym ci towarzyszyła na spacerze? - spytała oficjalnym tonem. Oczy zwęziły jej się w gniewne szparki. - Doskonale, pójdziemy na spacer. Wszystko będzie tak, jak sobie

życzysz, milordzie. Ostatecznie to tylko kilka dni. Korzystaj z nich, bo kiedy się skończą, nie ujrzysz mnie nigdy więcej.

Odepchnęła wzgardliwie stojącego jej na drodze Luciena i kompletnie go ignorując, ruszyła słabo oświetlonym korytarzem.

- Wszystko będzie tak, jak sobie życzę, naprawdę? zawołał za nią figlarnym tonem.

Wzruszyła tylko ramionami i szła dalej.

Chwilę później dogonił ją, niosąc jej obszyte futerkiem okrycie. Przystanęła i raczyła je włożyć z jego pomocą. Choć nadal patrzyła na niego wilkiem, uśmiechnął się wyrozumiale i nie powiedział ani słowa.

Lucien był właścicielem Revell Court dopiero od niedawna i nie zadbał jeszcze o przywrócenie dawnej świetności zdziczałym ogrodom ani - tym bardziej - o należyte utrzymanie otaczających dworskie grunta lasów. Przede wszystkim zależało mu na tym, by doprowadzić stajnie do przyzwoitego stanu. Zarówno ogrody, jak i lasy dziczały coraz bardziej przez ostatnie dwa czy trzy lata, ponieważ z powodu pogarszającego się ciągle stanu zdrowia ostatni markiz Carnarthen nie mógł troszczyć się o nie tak jak przedtem. Zarządzał zaś posiadłością sam, gdyż specyficzny charakter działalności, której ośrodkiem był Revell Court, wykluczał obecność rządcy.

Przeszli więc przez taras, wokół którego rozrosły się wszelkiego rodzaju chwasty oraz bluszcz i nawłóć, zawładnąwszy klombami otaczającymi niegdyś ze wszystkich stron kamienną balustradę, nadkruszoną nieco przez wiatry i burze. Krzewy błękitnych hortensji, dorównujących niemal wzrostem Lucienowi, tłoczyły się wokół omszałych schodków wiodących do najbardziej niegdyś reprezentacyjnej części ogrodu. Lucien pierwszy skierował się w tamtą stronę. Alice podążyła za nim. Na ich drodze stała okazała kamienna fontanna. Dwa gołębie, które siedziały na kolistym obramowaniu, odfrunęły, trzepocząc skrzydłami i

gruchając. Alice przystanąła obok sadzawki, do której spływała woda z fontanny; z nieobecny wyrazem twarzy wpatrywała się w liście nenufarów, unoszące się sennie na powierzchni płytkiej wody jak miniaturowe żaglowce. Prawdę mówiąc, wszystkiemu w ogrodzie przyglądała się tak intensywnie, jakby chciała utrwalić to sobie raz na zawsze w pamięci. Za to Lucien nie odwracał oczu od niej. Widział jak wietrzyk porusza fałdami jej ubrania, igra z loczkami, które wymknęły się z upięcia.

Wijące się rudozłote włosy, błękitne oczy, kremowa cera... czystość rysów, mgiełka zadumy na pogodnej twarzy - wszystko to przywodziło mu na myśl Wenus Botticellego, wynurzającą się z morza na płaskiej muszli.

- Idziemy dalej? - mruknął wreszcie.

Odwróciła się do niego, nadal zafascynowana urokiem kwietno - wodnej kompozycji.

- To bardzo piękny ogród.

Wzruszył ramionami i rozejrzał się dokoła.

- Zdziczały i zachwaszczony.

- Tak, ale ma w sobie jakiś smutny, niesamowity urok, który chwyta za serce. Żałuję, że nie wzięłam ze sobą akwareli.

Lucien uniósł brwi.

- A więc ma pani talenty plastyczne, jak przystało na młodą damę, panno Montague?

Uśmiechnęła się i przyznała z ociąganiem:

- Tak, trochę się tym interesuję.

Zaśmiał się cicho, podniecony kolejnym odkryciem. Malarka! Ależ oczywiście! Że też się od razu nie zorientował. Te ręce artystki... to przenikliwe spojrzenie... te gwałtowne namiętności kłębiące się pod chłodną, spokojną powierzchnią...

- Co cię najbardziej interesuje? Jaka technika najbardziej ci odpowiada? dopytywał

się, gdy mijali wolnym krokiem cisy, niegdyś strzyżone w stożki, dziś - nieforemne ciemnozielone bryły.

- Twarze. Szkice portretowe.

- Naprawdę?

- Najlepiej lubię szkicować węglem, ale chętnie maluję też akwarelą... Interesuje mnie również rękodzieło artystyczne. Lakierowane drobiazgi, różne rodzaje haftu...

Odwrócił się nagle do niej.

- A pejzaże? Mamy tu niezwykły punkt widokowy, z którego mogłabyś podziwiać całą naszą dolinkę... prawdziwa rozkosz dla oczu artysty. Czekałby nas jednak dość daleki spacer: dwa i pół kilometra do celu i tyle samo z powrotem. Nie zmęczy cię to zbytnio?

- Ależ skąd! - Była wyraźnie zaintrygowana. - Przywykłam do codziennych spacerów.

- Doskonale! W takim razie chodźmy. Ja będę przewodnikiem, a ty trzymaj się mnie!

Starając się powściągnąć rozpierającą go radość, doprowadził Alice do wyrwy w nieprzycinanym od wieków żywopłocie z bukszpanu; dwa cierniste krzewy róż rosły obok, maskując częściowo to przejście z dworskiego parku na otaczające go ugory i lasy.

Zatrzymali się tam, by wciągnąć głęboko w płuca rozkoszną, miodową woń róż. Alice wydała okrzyk szczerego zachwytu, oczarowana pięknem tych jesiennych kwiatów. Dłonią w rękawiczce dotknęła delikatnie jednej z kremowo - białych róż. Lucien zerwał inną i wręczył Alice. Przyjęła ją bez słowa, wpatrując się nieco podejrzliwie w twarz ofiarodawcy, po czym odwróciła się i ruszyła dalej. Lucien przez chwilę stał, spoglądając za oddalającą się dziewczyną. Miał nadzieję, że nie popełnił błędu, wręczając jej różę.

Szli wolno przez łąkę, przyglądając się, jak wietrzyk buszuje wśród wysokich, złotawych traw, i słuchając, jak skowronki śpiewają w locie. Potem kręta ścieżka zawiodła ich w szumiący las. Ciekawskie ptaki towarzyszyły im, przeskakując z gałęzi na gałąź.



Unoszone wiatrem liście wirowały w powietrzu. Lucien spoglądał kompletnie zauroczony na Alice, zręcznie przeskakującą po omszałych kamieniach na drugą stronę leśnego strumyka.

Kiedy tak wędrowali wśród drzew, minuty mijały nieubłaganie, a czas zdawał się mknąć coraz szybciej. To przyspieszenie przyprawiało Luciena o zawrót głowy, podobnie jak obserwacja szarych, nieustannie zmieniających kształty obłoków, ścigających się po niebie tego popołudnia. Powoli, bardzo powoli Alice nieco się z nim oswajała.

Uśmiechała się znacznie częściej, gdy gawędzili o wszystkim i o niczym, wskazując sobie nawzajem to leśne kwiaty, to znów jakieś dzikie zwierzątko. Obserwowali puszyste wiewiórki na drzewach, bażanty w zaroślach, a nawet jelenia o wspaniałym porożu i jego płochliwe, pełne wdzięku łanie, przemykające bezszelestnie wśród leśnych cieni.

Lucien zauważył, że Alice trzykrotnie zatrzymała na nim wzrok dłużej, niż było to konieczne. Wpatrywał się w nią w to ciepłe jesienne popołudnie, olśniony przepychem jej miedzianozłoty loków. Jej niewinność zniewalała go, jej otwartość i prostota działały niczym cudotwórczy lek. Lucien czuł się jak chory, którego opuściła wreszcie gorączka, ogarnięty euforią z powodu pierwszych oznak polepszenia - nadal słaby, lecz pełen nadziei na całkowity powrót do zdrowia. Jednakże choroba trapiąca jego duszę nie zamierzała poddać się tak łatwo. Była jak gęste, deszczowe chmury, sunące złowieszczo nad ich głowami.

Padający od nich mrok zmieniał charakter otaczającego ich krajobrazu i spowijał postać Alice szarawą mgiełką. Lucien pragnął wówczas wziąć ją w ramiona, osłonić przed ponurymi chmurami, póki nie odpłynęły. Nie zrobił tego, bo na to było jeszcze za wcześnie. Alice wyrwałaby się mu. Wywabił ją z zamkniętego pokoju jedynie groźbą, że sam tam wejdzie. Wolał nie ryzykować czegoś, co mogło znów ją spłoszyć.

Przez cały ten czas słońce toczyło się ku zachodowi jak złota moneta, która wypadła z ręki skąpca. Dzień zamierał; rok też miał się ku końcowi. Woń opadłych liści nieustannie

przypominała Lucienowi o przemijaniu, gdy szedł za Alice stromą, krętą leśną ścieżką. Chcąc pozyskać zaufanie dziewczyny, ukrył swą niecierpliwość i odpowiedział przyjaznym uśmiechem, gdy obejrzała się przez ramię.

- Może byś się pospieszył, leniuchu? - powiedziała z buzią zaróżowioną od chłodnego wiatru i z wysiłku.

- Leniuchu?! - obruszył się.

- No pewnie! Czemu się tak guzdrzesz? Liczysz kamienie pod nogami, czy co?

Znów się odwróciła, by podjąć na nowo wspinaczkę. Podciągnęła nieco spódnicę i - nie zdając sobie z tego sprawy - zademonstrowała Lucienowi swe zgrabne łydki.

- Po prostu podziwiam widoki - odparł, rozkoszując się wdzięcznym kołysaniem jej dziewczęcych bioder. Kiedy jednak miłe wrażenia estetyczne przerodziły się w niepokojąco silne pokusy, z determinacją przyspieszył, wyminął Alice i ruszył przodem. Fałdy czarnego wełnianego płaszcza powiewały w rytm jego kroków. - Ale ty uważaj, kocie! Jak zostaniesz w tyle, szybszy zje twoją rację!

- Kocie?

- Tak się woła na rekrutów. Szybciej, szybciej! Jesteśmy już prawie na miejscu.

Zdążymy akurat na zachód słońca!

- Służyłeś w wojsku?! - wykrzyknęła, podbiegając do niego.

- Pięć lat.

- Chyba żartujesz!

- Nie - odparł z westchnieniem. - To wcale nie były żarty.

- Ty w wojsku! - roześmiała się. - Wcale do niego nie pasujesz!

- Też tak uważam.

- Nie wyglądasz na takiego, co słucha rozkazów! W którym byłeś regimencie?

- W 136. Pułku Piechoty. Ooo... - Spojrzała na niego niepewnie.

- Wiem, wiem: niezbyt dobrze się prezentował. Chwycił ją za rękę i pomógł

przeskoczyć przez sterczący korzeń, który zagroził jej znieczeka drogę. - Mieli nas wziąć do

Gwardii Królewskiej, ale Damien się uparł, że chce naprawdę walczyć na wojnie, a nie

paradować po Londynie w twarzowym mundurze. Mnie by to całkiem odpowiadało, możesz

być pewna.

- Razem wstąpiliście do wojska? Skinął głową.

- Odbiliśmy chrzest bojowy w Danii, pod Cathcart. Potem przerwali nas na

Półwysep Pirenejski.

Roześmiała się z niedowierzaniem.

- Jakiej rangi się dosłużyłeś?

- Kapitana.

- Lord Lucien kapitanem! - zawołała ze śmiechem. Naprawdę dosłużyłeś się tego

stopnia czy kupiłeś patent oficerski?

Jej pytanie zbiło go z tropu. Roześmiał się także, ale w jego śmiechu były zaskoczenie

i uraza.

- Bezczelna dziewczyno! Zasłużyłem uczciwie na ten splendor, słowo oficera! Jeśli

chcesz wiedzieć, Damien i ja mieliśmy pod rozkazami kompanie skrzydłowe... samą

śmietanką naszego regimentu. Ja dowodziłem...

- Nie mów mi! Sama zgadnę. - Zmierzyła go rozbawionym wzrokiem i w skupieniu

stuknęła palcem po ustach. - Na grenadiera mi nie wyglądasz. To wielkie chłopcy, nieugięci,

zawsze pierwsi do walki... tak mi przynajmniej mówiono.

Spoglądał na nią z uniesionymi brwiami, niepewny, czy uznać to za obrazę.

- Nie! - stwierdziła z przekonaniem. - To musiała być kompania lekkiej piechoty. Sami

spryciarze i strzelcy wyborowi.

- Jakim cudem się domyśliłaś?

- Trochę się na tym znam.

Zrobiła mądrą miną, odwróciła się i poszła dalej, bardzo z siebie zadowolona.

Lucien spoglądał za nią z uśmiechem zachwyty. Wielki Boże! Urzekła go na amen!

- Skąd masz tyle wiadomości o regimentach, kompaniach, w ogóle o wojsku? - spytał, dogoniwszy ją.

- Od mego brata! Służył w 43. Regimentcie - dodała z dumą.

- Któż by nie słyszał o tym regimentcie! - Lucien wyraźnie był pod wrażeniem. - Wiele też mówiono o bohaterskich czynach lorda Glenwooda w bitwie pod Vitorią. To był nieustraszony żołnierz i wybitny oficer.

- I dobry brat - dodała znacznie ciszej. - Czy ty również walczyłeś pod Vitorią, Lucienie?

- Nie. Opuściłem armię rok wcześniej, po Bajadoz.

- Oblężenie Bajadoz... - szepnęła Alice i twarz jej spochmurniała. - Według Phillipa była to najstraszniejsza batalia podczas tej wojny...

Lucien nie miał pojęcia, ile brat powiedział jej na ten temat. Gdy chwilę później łagodnym gestem położyła mu rękę na ramieniu, spojrzał na nią bez słowa. Uświadomił sobie, że po raz pierwszy Alice dotknęła go z własnej woli.

- Sposepniałeś nagle, kapitanie - szepnęła. - Czy i dla ciebie było to takie straszne?

- To było straszne dla wszystkich - odparł, wzruszając ramionami, i odwrócił się od niej. Był zły na siebie, że nie odpowiedział otwarcie, ale takie uniki weszły mu już w krew.

Stał wpatrzony w cienisty las, usiłując odsunąć od siebie wspomnienie klębiącego się czarnego dymu, który rozstał się na chwilę - wystarczająco długą, by Lucien mógł ujrzeć

stosy trupów w szkarłatnych mundurach pod rozpalonymi słońcem murami starej hiszpańskiej cytadeli. Armia brytyjska za ceną wielkich strat poskromiła miasto, które powazyło się sprzyjać Francuzom. - Nie tyle oblężenie - zdołał wykrztusić - ile to, co się stało potem... - Spojrzał badawczo w twarz Alice. - Brat mówił ci o tym? Spojrzała na niego chmurnym wzrokiem.

- Trochę.

- Zwykle nie opowiada się takich rzeczy młodej panie, ale postanowiłem nie ukrywać przed tobą prawdy o świecie...

Alice skinęła głową.

- Chcę wiedzieć o wszystkim.

- Zanim miasto poddało się, straciliśmy mnóstwo ludzi. Całe wojsko szalało z gniewu.

Żołnierze łaknęli zemsty, krwi. To byli nasi rodacy. Anglicy. Ale zamienili się w dzikie bestie. Rzucili się na miasto jak sępy. Rabowali, gwałcili, mordowali bezbronnych. Trzy dni trwało, zanim udało się nam, dowódcom, odzyskać kontrolą nad naszymi ludźmi. - Przyglądał się bacznie Alice. Nieźle to zniosła. Była wyraźnie przejęta, ale nie dostrzegał objawów hysterii. On zaś po prostu musiał komuś o tym powiedzieć. - Wznieśliśmy szubienicę i powiesiliśmy najbardziej winnych. A potem rozstałem się z armią. Uznałem, że tak będzie lepiej.

- Wybrałaś karierę dyplomatyczną zamiast wojskowej? Potwierdził skinieniem głowy.

Przez chwilą przyglądała mu się w milczeniu.

- Naprawdę cię podziwiam - stwierdziła nieoczekiwanie. - Jestem pewna, że wielu dawnych towarzyszy broni potępiło cię za tę decyzję, choć pokojowa działalność dyplomatyczna bardziej przystoi cywilizowanym narodom niż toczenie wojen. Trzeba mieć wielką siłę charakteru, by przeciwstawić się opinii ogółu. Żałuję, że mój brat nie dokonał

podobnego wyboru... i nie był tak silny jak ty. Opowiedzieć ci, czemu Phillip poszedł na wojnę?

- Opowiedz mi, co tylko zechcesz - odparł, wzdrygając się wewnątrz.

Zaufanie, którym Alice go obdarzyła, opierało się na fałszywych przesłankach. Jego działalność w korpusie dyplomatycznym nie była wcale pokojowa... ale przecież nie mógł jej powiedzieć, że jest szpiegiem, ani wyjaśnić, jakiego rodzaju zadania wykonuje. Gdyby Alice poznała prawdę, z pewnością odwróciłaby się od niego, podobnie jak Damien. Nie mógł podjąć takiego ryzyka. Zresztą byłaby to dla niej bardzo niebezpieczna informacja. Lepiej utrzymywać Alice w nieświadomości.

- Caro ustawicznie robiła kąśliwe uwagi, zarzucając Phillipowi, że „nie jest prawdziwym mężczyzną” - powiedziała Alice i po jej delikatnej twarzy przemknął cień goryczy. - Wcale nie z patriotycznych pobudek! Chciała po prostu pozbyć się męża z domu, by szaleć w Londynie bez skrępowania. Niestety Phillip nie domyślił się podstępu. Wziął sobie do serca słowa żony i poszedł na wojnę.

Lucien smutno pokręcił głową.

- Mężczyźni popełniają wiele głupstw w imię honoru - powiedział z żalem.

- Odesłali go w końcu do domu jako niezdolnego do dalszej służby, ze straszliwymi ciętymi ranami, w które wdało się zakażenie. We dwie z Peg, naszą dawną nianią, która teraz opiekuje się Harrym, czuwałyśmy przy nim dzień i noc, ale wiedziałyśmy, że Phillip nie wyzdrowieje. On też o tym wiedział. Dobrze chociaż to, że zobaczył znowu swojego synka... i że mogliśmy się z nim pożegnać.

- Byliście bardzo życzliwi? Skinęła głową.

- Wcześniej straciliśmy rodziców i to nas jeszcze bardziej zbliżyło. Lucien z napięciem wpatrywał się w jej twarz. Alice odwróciła głowę.

- Bardzo się męczył przez trzy tygodnie, zanim umarł... Miał dwadzieścia dziewięć lat.

- Współczuję ci... - szepnął.

Przez chwilę stała bez ruchu na silnym wietrze i wpatrywała się w Luciena, jakby chciała ocenić szczerłość tych słów. W końcu uśmiechnęła się gorzko.

- Gdyby Phillip żył, wyzwałby cię na pojedynek i zastrzelił za to wszystko, coś zrobił Caro i mnie!

Lucien westchnął z żalem, gdy odwróciła się od niego z lodowatym uśmiechem i ruszyła dalej.

Po chwili Lucien dogonił ją i wyprzedził. W miejscu, gdzie ścieżka się kończyła, odnalazł bez trudu swój znak rozpoznawczy: pień uschniętego drzewa, powykrzywiany, spróchniały w środku i zszarzały. Tuż za nim znajdował się skalny występ, cel ich wspinaczki. Temu, kto się nań wdrapał, zapewniał niezrównany widok na całą dolinę w przepychu jesiennych barw, oświetloną ognistą kulą zachodzącego słońca.

Podmuchy wiatru targały włosami Luciena i fałdami długiego czarnego płaszcza, gdy stanął na krawędzi skały.

- Racz spojrzeć, łaskawa pani - zwrócił się z szerokim, teatralnym gestem do Alice, która pojawiła się w chwilę później, zaróżowiona z wysiłku - na dziedzictwo mych przodków. Wyciągnął do niej rękę. Spojrzała niespokojnie na urwisko, nad którym się zatrzymał, lecz ujęła podaną dłoń i z ociąganiem zbliżyła się do niego. Skłonił ją, by stanęła u jego boku.

- Och, Lucienie, jakie to cudowne! - powiedziała cicho, napawając się widokiem górskich zboczy, mieniących się jak bursztyny, lśniących jak kasztany, odzianych w rdzawe, pomarańczowe i szkarłatne szaty.

- To prawda odparł szeptem, wpatrzony w jej delikatny profil o mlecznej karnacji, jeszcze piękniejszej w tym niezwykłym oświetleniu. Po chwili jednak zwrócił znów wzrok ku

dolinie, by Alice nie przyłapała go na gapieniu się na nią. - Nadal nie mogę uwierzyć, że to wszystko należy teraz do mnie... ale przyznam, że sprawia mi to ogromną radość.

Alice osłoniła ręką oczy od słonecznego blasku.

- Nie miałam pojęcia, że ród Carnarthenów jest spokrewniony z książęcym rodem Hawkscliffe'ów.

- Bo nie jest - odparł sucho. - Ściśle rzecz biorąc, rodu Carnarthenów już nie ma.

Wygasł wraz ze śmiercią dziesiątego markiza Carnarthena, gdyż nie pozostawił on legalnego potomka.

- Legalnego? Czyżby był jakiś... nielegalny? Lucien wziął się pod boki.

- Masz go przed sobą.

Alice zrobiła wielkie oczy i zakryła ręką usta.

- O! Bardzo przepraszam...

- Nie ma za co - odparł zupełnie szczerze, rozbawiony jej zakłopotaniem.

- Moim ojcem był Edward Merion, ostatni markiz Carnarthen. To całkiem interesujący jegomość i jestem dumny z tego, że mnie spłodził. Nieistotne, czy w grzechu, czy w małżeńskim łożu. Po śmierci dziesiątego markiza rodowa siedziba Carnarthenów w Walii oraz inne włości związane z tym tytułem wróciły oczywiście do Korony. Na szczęście dla mnie Revell Court nie podlega prawu majoratu, więc ojciec mógł zapisać posiadłość komu chciał. Wydajesz się zaszokowana, Alice.

- Prawdę mówiąc... tak! Myślałam, że twoim ojcem był książę Hawkscliffe.

- Tak głosi moje świadectwo urodzenia - odparł, wzruszając ramionami.

- Ale to oczywiście kłamstwo.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś... bękartem? Ostatnie słowo wyszeptała trwożnie.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.



- Owszem i cóż z tego? Równie dobre pochodzenie jak każde inne. Rodzina mego prawdziwego ojca pochodzi z okolic Mount Snowdon. Pamięć o moich przodkach przetrwała do dziś w walijskim folklorze. Ojciec wyjawiał mi, że wywodzimy się od wilkołaków i szalonych wikingów. No i co o tym myślisz? Zmierzyła go sceptycznym spojrzeniem.

- Myślę, że mnie nabierasz.

- To święta prawda, jak tu stoję! Ojciec powiedział kiedyś mojej matce, że Damien i ja jesteśmy ostatnim, najpiękniejszym kwiatem jego drzewa genealogicznego. Bliźnięta, jak wiesz, to istoty niezwykle, obdarzone siłą magiczną.

Alice wpatrywała się w niego tak, jakby sama nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Mówię ci, że to prawda. Damien i ja od dzieciństwa wierzyliśmy święcie, nie mam pojęcia, skąd przyszło to nam do głowy, że razem jesteśmy niezwycięzeni i żadnemu z nas nie stanie się nic złego, jeśli brat znajduje się w pobliżu. Tylko z tego powodu zaciągnąłem się do wojska. Byłem pewien, że Damien zginie, jeśli mnie przy nim nie będzie. Ale udowodnił po moim odejściu, że znakomicie sobie radzi sam! - dodał i roześmiał się, jakby rozdźwięk pomiędzy nim a bratem nie miał dla niego znaczenia. Nie był to jednak wesoły śmiech.

Alice nadal nie mogła się połapać, czy Lucien mówi poważnie, czy kpi sobie z niej. -

A więc kim ostatecznie jesteś? Wilkołakiem czy wikingiem?

- Nie bierz tego tak dosłownie, *cherie*, to tylko bajdy prostaków - powiedział, uśmiechając się z fałszywą skromnością. Podniósłszy rękę Alice do ust, musnął pocałunkiem jej paluszki. - Ale mimo wszystko to dość osobliwe, że moja matka pewnej nocy zeszła do groty, spotkała tam mego ojca i *yoila...*

Alice wciągnęła raptownie powietrze i wyrwała rękę z jego uścisku. Kiedy znów popatrzył jej w oczy, przypominały wielkie spodki z granatowej porcelany.

- Twoja matka zeszła do groty?!

- No, cóż... gdyby tego nie zrobiła, nie przyszedłbym na ten świat... Księżna

Georgiana była nieokiełznaną, olśniewającą latawicą, świeć Panie nad jej duszą, ale mówiła zawsze to, co myślała, i była wierna swojej naturze. Siły charakteru i oryginalności nikt by jej nie odmówił. Widzę, że znów przyprawiłem cię o szok?

Spojrzała na niego zmieszana.

Przysunął się jeszcze bliżej i zniżył głos do konspiratorskiego szeptu.

- Niech będzie, moja droga panno Montague! Zdradzę pani nasz rodzinny sekret...

który zresztą od dawna nie jest dla nikogo tajemnicą. Tylko mój najstarszy brat Robert, obecny książę Hawkscliffe, i moja mała siostrzyczka, lady Jacinda, są dziećmi jej ślubnego męża. Cała reszta to, że się tak wyrażę, kukulcze podrzutki w rodzinnym gniazdku. Mąż Georgiany za każdym razem uznawał nas oficjalnie za swoje potomstwo, by uniknąć hańby publicznego wyznania, że żona ponownie przyprawiła mu rogi.

Przez dłuższą chwilę Alice wpatrywała się w niego w napięciu, starając się ogarnąć umysłem dopiero co zdobyte bulwersujące informacje. Potem odwróciła głowę.

- Mam wrażenie - oświadczyła z powagą - że pora wracać na herbatę. Uśmiech

Luciena zgasł. Odziane w rękawiczki dłonie wsunął w głębokie kieszenie fałdzistego płaszcza. Wzrok wbił w czubki swych lśniących czarnych butów.

- Gardzisz mną z racji mego pochodzenia. - Ależ nie...

- Nie kłam! Masz to wypisane na twarzy.

- Nie, Lucienie, to wcale nie tak! Jestem po prostu... zażenowana. Przyglądał się jej podejrzliwie.

- I nie wiem, co o tobie myśleć - przyznała otwarcie. - Widzę przecież, że cię to boli...

pewnie zawsze cierpiałeś z tego powodu... a jednak obracasz wszystko w żart! Nie mogę tego pojąć! I w ogóle... rozmowa na tak intymne tematy... z mężczyzną, którego prawie nie znam...

- Alice... - Obrócił się znów do niej i spojrzał jej w oczy. Nie wyjmował rąk z kieszeni, choć tak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona. Spoglądała nań pytająco, z wielką powagą, bezradnie... - Naprawdę nie chciałem cię zaszokować ani zgorszyć. Po prostu... lubię z tobą rozmawiać.

Uśmiechnęła się niepewnie. Wiatr rozwiewał wijące się pasemka włosów, które wymknęły się z upięcia.

Lucien odwzajemnił uśmiech, a potem wyjął rękę z kieszeni i delikatnie odgarnął Alice włosy z twarzy. Tym razem jej uśmiech był spontaniczny, na policzki wystąpił rumieniec.

- Jak to można wytłumaczyć? powiedział cicho Lucien. - Niektórych ludzi znamy od urodzenia... a jednak nigdy nie stają się prawdziwie bliscy. Ale bywa i odwrotnie: są tacy... - Nie mogąc oprzeć się pokusie, przesunął leciutko końcem palca po jej policzku. W kobaltowej głębi oczu Alice coś zamigotało, nie powiedziała jednak nic. Chłonęła każde jego słowo. - Tacy, których spotkaliśmy zaledwie wczoraj, ale od pierwszej chwili mamy wrażenie, że znamy ich od dawna... od zawsze...

Patrzyła mu nadal w oczy, ale cofnęła się nieco. Palec Luciena zawisł w powietrzu.

- Ilu kobietom już to mówiłeś?

Wzdrygnął się i gniewnie zmarszczył brwi, choć wiedział, że zarzut był słuszny.

- Nie zamierzam igrać z twoim sercem - powiedział cicho, lecz dobitnie. - Kiedyś, dawniej, chętnie stosowałem takie sztuczki, ale już z tego wyrosłem. Teraz dobrze wiem, co to śmierć i cierpienie. Pragnę tylko... - Urwał, nie kończąc zdania.

- Czego, Lucienie? Czego pragniesz? - spytała cicho.

Spojrzenie jego przysłoniętych powiekami oczu koncentrowało się na jej ustach.

Palcem w rękawiczce dotknął znów policzka, ujął ją pod brodę, skłaniając do tego, by

odchyliła głowę do tyłu. Lucien zrobił jeszcze jeden krok naprzód i dzieląca ich przestrzeń znikła. Dostrzegł w błękitnej głębi jej oczu błysk pożądania i zmieszanie... a potem sam zamknął oczy, pochylił się i zaczął pieścić ustami jej usta. Objął ją delikatnie i zadrżał, gdy i ona przytuliła się do niego. Sama rozchyliła wargi, pozwalając mu sięgnąć językiem gorącego, słodkiego jak miód wnętrza swych ust. Lucien, coraz bardziej spragniony, objął jej twarz obiema rękami - nadal w rękawiczkach - i upajał się pocałunkiem, rozkoszował się Alice z tym większą czułością, że wiedział, jak bardzo jest niedoświadczona. Tuliła się do niego, gdy stali tak na skraju przepaści.

- Proszę... - jęknęła nagle, usiłując odwrócić głowę.

Policzki miała czerwone jak róże, błękitne oczy błyszczały gorączkowo spod złotawych rzęs.

- Spójrz na mnie. Wziął ją za brodę i zmusił, by spojrzała prosto w jego zgłodniałe oczy. Nie zrobię ci krzywdy. Nigdy bym cię nie skrzywdził - szepnął. Wolałbym umrzeć!

- To czemu mnie tak całujesz?...

- Bo nie mogę się doczekać, kiedy ty pocałujesz mnie. Jego szczerą odpowiedź pomieszała jej szyki.

- Liczysz na to, że ja pocałuję ciebie?! Zaparło jej dech z oburzenia.

- Nie liczę na to. Ale bardzo tego pragnę. Uśmiechnął się. - Ciałem i duszą.

Spoglądała na niego dziwnym wzrokiem, z fascynacją i trwogą.

- Ale ja... nie wiem jak...

- Doskonale wiesz - szepnął.

Nie cofnęła się w popłochu. Zaczerwieniona, bezradna, spoglądała to na jego usta, to w jego oczy. Przysunął się bliżej, przechylił głowę... Byli tuż przy sobie, tak blisko, że czuł na wargach powiew jej oddechu, ciepły i delikatny, kontrastujący z ostrymi podmuchami

zimnego wiatru.

Po upływie sekundy Alice, naśladowując jego ruch, przechyliła głowę. Przesłoniła oczy rzęsami, jej wargi znajdowały się najwyżej centymetr od jego ust, gdy zaprotestowała raz jeszcze, ledwie dosłyszalnie:

- Nie wiem jak...

Potem oparła dłonie na jego ramionach, zamknęła oczy i ucałowała go tak delikatnie, że było to jak musnięcie anielskich skrzydeł.

Lucien stał bez ruchu, przepełniony taką rozkoszą, że pragnął, by ta chwila nigdy się nie skończyła. Alice zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go znowu, tym razem mocniej. Czuł drzenie jej smukłego ciała przy swoim, gdy objął ją w talii. Była niepewna, miała się na baczności, ale pierś jej przylgnęła do jego piersi, a gdy spojrzała na Luciena, jej oczy przybrały zmysłową barwę ciemnego szafiru, nim zakryła je rzęsami. Dla niego zaś cały świat przestał istnieć, kiedy przyciągnęła jego głowę do siebie i wsunęła koniuszek języka do jego ust.

Zaskoczony i oczarowany poddał się całkowicie, pragnąc spełnić każdą jej zachciankę. Gdy pocałunek stał się bardziej namiętny, jęknęła, przegarniając palcami jego włosy. Wodziła dłońmi po jego twarzy i szyi, przesunęła ręką po fałdach fularu, odbierając Lucienowi resztki rozumu - i nagle zaprzestała pieszczot i się odsunęła.

Kiedy próbował znów przyciągnąć ją do siebie, odepchnęła się rękami od jego piersi.

- Nie! - Spojrzenie jej płomiennych, błękitnych oczu ostrzegało, by się nie zbliżał.

Wargi miała wilgotne i obrzmiałe, policzki zaczerwienione. - Dość tego!

Głos jej się rwał, pierś gwałtownie falowała.

Słynna chytrość i ostrożność Luciena nagle go opuściły. Umysł godny Machiavellego odmówił posłuszeństwa. Nie pozostało w nim nic oprócz pożądania. Upojony smakiem Alice

nie zdołał sklecić ani jednego sensownego zdania, by przywabić ją znów do siebie. Alice odjęła od jego piersi rękę, którą go odpychała, i niezbyt pewnym krokiem ruszyła w drogę powrotną.

- Alice! - zdołał wykrztusić.

Oddalała się coraz bardziej krętą ścieżką wśród drzew. Lucien próbował odzyskać panowanie nad sobą. Przeganiał ręką włosy i nagle wybuchnął cichym śmiechem. Boże! Jak mógł nie przewidzieć takiej reakcji?! Ruszył śladem Alice w głąb lasu, gdzie panował już szary zmrok. Wyprzedziła go dość znacznie; wracała do domu niemal biegiem.

- Alice!

Żadnej odpowiedzi. Nawet się nie zatrzymała.

- Zaczekaj!

Zbyła jego wołanie niecierpliwym wzruszeniem ramion. Musiał przyspieszyć kroku, gdy ją wreszcie dogonił, udała, że nie widzi jego pytającego spojrzenia. Maszerowała wytrwale, fałdy granatowej spódnicy wydymały się i trzepotały jak żagle na wietrze.

- Alice? - zagadnął ostrożnie.

- Nie zbliżaj się!

Dostrzegł szkarłatny rumieniec na jej policzkach i zrozumiał, że jest do głębi upokorzona własną zmysłowością, swoją reakcją na jego bliskość. Jego twarz się rozjaśniła.

- Kochanie, naprawdę nie masz się czego wstydzić!

- Zmusiłeś mnie, bym złamała dane bratu przyrzeczenie, że będę się opiekowała

Harrym! Czy ty rozumiesz, coś zrobił? Ale to ciebie wcale nie obchodzi, prawda?!

Chwycił ją za ramię i zatrzymał. Odwróciła się błyskawicznie.

- Daj temu spokój! powiedział stanowczym tonem.

Dostrzegł strach w jej oczach. Lękała się nie jego, ale własnych uczuć. Nie była w

stanie zaakceptować namiętności... W każdym razie nie tej, jaką on w niej budził.

- Ja nie jestem taka! Nie jestem twoją zabaweczką...

- Nie musisz mi tego mówić. Dobrze o tym wiem. Jestem z tobą absolutnie szczerzy, Alice. Jeszcze niczego nie traktowałem w życiu tak poważnie. A może tego właśnie się boisz?

- Boję się ciebie, rozumiesz? Ciebie, Luciena, Smoka, Lucyfera, kimkolwiek jesteś!

Obchodzą cię tylko własne przyjemności! Czy ty w ogóle wiesz, jaki z ciebie egoista?

Zdajesz sobie przynajmniej z tego sprawę? Wyrwała rękę z jego uścisku. - A jeśli nie, to pozwól, że ci przypomnę: zatrzymałeś mnie tu wbrew mojej woli. Nie chcę tu być, nie chcę mieć do czynienia ze zblazowanym rozpustnikiem, który uparł się mnie zdeprawować!

Oderwała od sukni białą różę, którą jej ofiarował, cisnęła ją na ziemię i pobiegła dalej.

- Jestem taki samotny, Alice.

Wymówił te słowa głośno, wyraźnie i zdumiał się, gdy dotarły do jego świadomości.

Alice, będąc już na łące, zatrzymała się, zerknęła podejrzliwie przez ramię. Jej cień padający na trawę jeszcze się wydłużył. Całe ciało Luciena sprężyło się w oczekiwaniu, gdy stał, wpatrując się w nią płomiennym wzrokiem. Czuł się jak nagi. Niecierpliwie czekający zmiłowania. Pozbawiony nadziei. I brnął coraz dalej, nie mogąc nad sobą zapanować.

Przecież musi jej to wyjaśnić!

- Nie rozumiesz? - Nie chciał jej błagać, ale nie zdołał ukryć swej desperacji. - Tak bardzo pragnę... tak potrzebuję... Sam nie wiem, czego pragnę. .. czego mi trzeba... Tylko jedno widzę wyraźnie: jestem sam. Zupełnie sam.

Powiedział jej to. Wyznał. Nie było już odwrotu.

Wpatrywał się w jej oczy, odsłaniał przed nią duszę, zdawał się na jej łaskę. Widział, że Alice drży, że zмага się ze sobą... Ale była uwięziona w swojej wieży z kości słoniowej.

Nie wyrwała się z niej.

Smagnęła go urągłym spojrzeniem.

- Jesteś sam? Wcale mnie to nie dziwi! Wzdrygnął się i oderwał od niej oczy. Obróciła się na pięcie i poszła dalej.



Kilka godzin później Lucien na grzbiecie andaluzyjskiego ogiera wypadł galopem za bramę Revell Court i pomknął w czarną, wietrzną noc. Końskie kopyta zatętniły na drewnianym moście, potem rumak popędził drogą tak ochoczo, że niemal unosił się w powietrzu.

Lucien jechał nisko pochylony w siodle, mocno dzierżąc wodze; wiatr rozwiewał włosy jeźdźca i końską grzywę. W lesie trzeszczały gałęzie, szeleściły zeschnięte liście. Ogier, słysząc to, parsknął ostrzegawczo i podrzucał łbem.

Wieśniacy wierzą, że w takie noce jak ta po lesie chodzą duchy. Lucien był w nastroju tak pośępnym i mrocznym jak niebo, na którym nie pojawił się dziś księżyc. Wełniste chmury, pędzone wichrem jak stada wielkich szarych owiec, mąciły harmonię gwiazdnych konstelacji. Chłód nocy i pęd wierzchowca stępiły nieco ostrze bólu i gniewu, ale Lucien nadal go odczuwał, a żar niezaspokojonej namiętności przepalał mu żyły. Słowa Alice zraniły go, a mimo to czekał jak ostatni głupiec, że wyjdzie ona w końcu ze swego ukrycia. Trawił całe godziny na błahostkach, nie mogąc skoncentrować się na niczym... aż wreszcie pokojówka powiedziała mu, że panią kazała podać sobie kolację do pokoju.

Zrozumiał wtedy, że Alice okopała się w twierdzy, przygotowana na oblężenie. Ale on miał już dość oblężeń. Zawsze kończyły się fatalnie. Bardzo wątpliwe, by zdołał Alice pokonać głodem lub wywabiać ją po raz drugi zręcznymi słówkami. Oczywiście miał nadal klucz do jej pokoju i mógłby w mgnieniu oka wygrać bitwę, ale nie byłoby to honorowe zwycięstwo. Gdyby po prostu wtargnął do jej schronienia, znenawidziłaby go jeszcze bardziej. Zaczynał pojmować, że nie pokona jej żadną ze swych zwykłych metod. W co on się wplątał, u diabła?! Powściągnął ogiera, czując, że jego początkowa energia i radość z powodu wyrwania się z boksu nieco osłabły.

Lucien poklepał wierzchowca po aksamitnej szyi; dobrze znał i rozumiał końskie fochy, podobnie jak ogier jego dziwactwa. Pozostawiając za sobą las, wyjechali na otwartą przestrzeń wrzosowiska.

Po półgodzniej jeździe oczom Luciena ukazał się cel wyprawy: przycupnięta na szczycie kolejnego wzniesienia samotna oberża Pod głową George'a. Był to dość duży prostokątny budynek z kamienia, kryty łupkiem; z wąskimi oknami, białymi framugami. Podawano tu najlepsze w całym hrabstwie jasne piwo z beczki. Dla Luciena jednak największymi walorami gospody były jej ustronne położenie i niezawodna dyskrecja oberżysty, Gusa Morgana. Dlatego właśnie superagent Argus miał tu swą skrzynkę kontaktową, gdzie odbierał tajne rozkazy i komunikaty od swego zwierzchnika, lorda Castlereagha, oraz wiadomości od swych rozrzuconych po szerokim świecie współpracowników. Czujność Luciena wzmogła się, gdy zbliżał się do oberży; w każdej chwili gotów był sięgnąć po szpadę lub ukryty w zanadrzu pistolet. Zawsze liczył się z możliwością zasadzki przygotowanej przez wrogów i zdołał już do tego przywyknąć. Gdy wjeżdżał na przysypany żdźbłami słomy i siana dziedziniec, rozgdakane kury w popłochu zmykały spod końskich kopyt. Omiótł wzrokiem najbliższe otoczenie, zsiadł z konia i powierzywszy go opiece wyrostka, który wybiegł mu naprzeciw - był to syn Morgana - ruszył ku drzwiom oberży, ściągając po drodze czarne rękawice do konnej jazdy. Poruszał się spokojniej i niespiesznie, ale spojrzenie miał twarde, a twarz skupioną. Zbliżając się do drzwi, słyszał szorstki, prostacki śmiech, czuł dym z płonącego na kominie ognia i zapach piekącej się na rożnie dziczyzny. Kiedy wszedł do ciepłej i jasnej, nisko sklepionej izby z szynkwasem, zapadła w niej kompletna cisza.

Rozejrzał się dokoła. W gospodzie wokół wielkich stołów zebrało się ze dwudziestu okolicznych mieszkańców, zarówno wieśniaków, jak i drobnych dzierżawców. Wszyscy

wiedzieli doskonale, kim jest nowo przybyły, i gapili się na niego, jakby był diabłem we własnej osobie. Lucien zamknął za sobą drzwi i wolnym krokiem przeszedł przez całą izbę, zmierzając do szynkwasu. Stał za nim Gus Morgan, przecierając brzegiem poplamionego fartucha kufle i szklanki, które odstawił na półkę za plecami. Oberżysta był roslym, potężnie zbudowanym mężczyzną; policzki miał rumiane, na łysinie perliły się krople potu. Złożył swe potężne łapy na szynkwasiu i skinieniem głowy powitał Luciena. Obaj znali na pamięć swoje kwestie.

- Można służyć kufelkiem, milordzie? zaczął zgodnie z ustalonym scenariuszem Morgan.

- Jasnego - odparł Lucien i kiwnąwszy głową, przysiadł na brzeżku najbliższego stołka. Zajął w ten sposób pozycję, dzięki której miał dobry widok na całą izbę i drzwi. Oparty łokciem o szynkwasa przyglądał się, jak oberżysta nalewa mu piwa z beczki. Po chwili Morgan postawił przed nim cynowy kufel zwieńczony czapką piany. Lucien podniósł go do ust, rozkoszując się dostalym, mocnym trunkiem.

Wieśniacy po pierwszym szoku zaczęli rozmawiać ze sobą szeptem. Morgan zajrzał do kuchni, by wydać kucharzowi jakieś dyspozycje, i wrócił po kilku minutach. Lucien wpatrywał się w zadumie w niedopite piwo. Niemal żałował, że nie zalicza się do tych mężczyzn, którzy potrafią zwierzać się ze swych sercowych kłopotów życzliwemu oberżyście... było to jednak absolutnie sprzeczne z jego naturą.

Czyż ta dziewczyna nie rozumie, że człowiek, który nieustannie ociera się o śmierć czyhającą na niego zewsząd, nie może zwlekać, musi natychmiast sięgnąć po taki dar od losu? Może to było z jego strony wygórowane żądanie, ale chciał, by Alice przyjęła go z otwartymi ramionami, bez zastrzeżeń. Żeby zaakceptowała go nawet jako Smoka, przywódcę bezbożnego kultu, jako despotę, który chciał ją uwięzić w złotej klatce. Tylko wówczas,

gdyby dowiodła, że kocha go pomimo wszystko, mógłby zaufać jej całkowicie, powierzyć jej swą tajemnicą, złożyć swoje życie w jej ręce.

W końcu odstawił opróżniony kufel ze słowami:

- Zaczny trunek, panie Morgan.

Łysina oberżysty błysnęła odbitym światłem niczym lustro, gdy kiwnął głową, potwierdzając z szerokim uśmiechem:

- A jakże, milordzie! Najlepsze piwo w West Country!

- Czym warto by je zakąsić?

- Polecam pasterską zapiekanką, milordzie.

Lucien nie dał po sobie poznać, jak ucieszyła go ta odpowiedź. Oznaczała bowiem, że nadeszły dla niego jakieś wiadomości. Zazwyczaj Morgan doradzał rybą z frytkami, co równało się stwierdzeniu: nie ma żadnych przesylek.

- Może się pan skusi, milordzie?

- Dzięki, innym razem.

Lucien wstał, czując na sobie ukradkowe spojrzenia wszystkich obecnych. Rzucił na szynkwias monetę, która była sowitą zapłatą za piwo, i bez pośpiechu ruszył ku drzwiom, naciągając po drodze rękawice. Wyszedł na wietrzną noc, rozgrzany piwem, ciekaw jakie to wieści przybyły. Uchylił drewniane wrota stajni i słabo oświetlonym przejściem dotarł do boksu, gdzie wyrostek nadal pilnował karego ogiera.

- Ojciec cię szuka, mój chłopcze - powiedział Lucien, dając mu parę groszy za opiekę nad koniem.

- Piękne dzięki, milordzie!

Chłopak uklonił się i czmychnął do oberży.

Lucien poklepał ogiera po szyi i sprawdził popręg. Chwilę później, gdy usłyszał

skrzygnięcie otwieranych drzwi, wynurzył się z boku, by odebrać od Morgana tajną przesyłkę.

- A to piwko jest jeszcze zaciejsze, panie Morgan - powiedział z uśmiechem, wsuwając szynkarzowi do ręki niepozorny woreczek, zawierający dwadzieścia złotych suwerenów.

Łysy oberżysta skłonił nisko głowę.

- Zawsze do usług, milordzie.

- Dziękuję. To na razie wszystko.

Morgan raz jeszcze skinął głową i pospieszył do kuchni. Sprawę załatwiono bardzo sprawnie i dyskretnie.

Lucien z niewielkim, zapieczętowanym woskiem listem w ręku podszedł do okienka w boksie jego konia. Przez chmury zdołało się przedrzeć kilka księżycowych promyków i twarz Luciena rozjaśniła się uśmiechem, gdy na adresie zwrotnym wyczytał *Espana*.

Nadawcą był niejaki Sanchez jedno z licznych nazwisk, jakimi posługiwał się jego stary przyjaciel Padre Garcia.

Po dziś dzień Lucien nie miał pojęcia, czy Padre Garcia był istotnie duchownym.

Chodziły słuchy, że to w rzeczywistości andaluzyjski hrabia Santiago, powinowaty króla Ascension. Lucien wiedział tylko, że Hiszpan potrafił walczyć jak sam diabeł!

Padre Garcia i jego banda obdartusów wspomagali armię brytyjską w jej szczytnym dążeniu do przepędzenia Napoleona z Hiszpanii. Garcia posiadał niezliczone źródła informacji, które zawsze okazywały się prawdziwe. Lucien uśmiechnął się na myśl o swym nieustraszonemu hiszpańskiemu przyjacielu, schował list do wewnętrznej kieszeni surduta i wyprowadziwszy konia ze stajni, zniknął znów w mroku nocy.

Śniło jej się, że każdy z płonących w koszach węgla przemienił się w szkarłatną różę, a

w grocie było tylko ich dwoje: Lucien i ona.

Senne majaki otaczały Alice ze wszystkich stron, wydobywając na jaw jej najskrytsze marzenia. Za oknami sypialni szalał gwałtowny wiatr.

Muskularne uda i smukłe biodra Luciena miały pod jej dłońmi twardość stali; były jednak ciepłe i żywe. Klęczała przed nim, dotykając ustami jego brzucha, podczas gdy duże, łagodne dłonie Luciena głaskały ją po ramionach i włosach. Wiedziała, że jej pożądał, i sprawiało jej to radość.

Sen pozbawiony był dźwięków; słyszała tylko jego nagłący szept: Oddaj mi się. Oddaj mi się cała!

Tak! - odpowiadała mu w myśli. Tak, tak...

Pod brunatnym habitem była naga i boleśnie pobudzona. Czowała wyraźnie szorstkość wełny raniącej delikatne ciało. Chciała zrzucić z siebie jak najprędzej zgrzebną szatę, ale czekała cierpliwie, okrywając girlandą pocałunków ciało Luciena. Wiedziała, że tylko on może zaspokoić trawiące ją pragnienie. Kiedy dotknął jej twarzy i delikatnie uniósł jej brodę, podniosła na niego oczy. Ich spojrzenia spotkały się ze sobą.

Potęga jego wzroku, udręka i naleganie w jego srebrnych oczach były tak ogromne, że Alice ocknęła się nagle ze snu. Z cichym okrzykiem siadła wyprostowana na łóżku, a serce biło jej jak szalone. W pokoju było ciemno. Skórę miała rozpaloną, a w sekretnym miejscu u zbiegu ud pulsowało pożądanie. Z trudem przełknęła ślinę i stopniowo, z wysiłkiem i drżeniem, wróciła do rzeczywistości. O Boże! W nagłym przypiływie wstydu zakryła twarz rękoma. Każdy najdrobniejszy szczegół tego grzesznego snu zachował się w jej umyśle - taki żywy, taki wyraźny... Przegarnęła ręką włosy, starając się odzyskać kontrolę nad swoim ciałem.

Musi wydostać się stąd! Jak najprędzej! Jeśli tego nie uczyni, popełni wkrótce coś

równie szalonego jak pozbawiona wszelkich hamulców Caro.

Nawet lawendowa woń i niezwykła miękkość pościeli rozpałały w niej namiętność i nienasycone pożądanie. Odrzuciła więc przykrycie i wynurzyła się z ciepłego gniazdka. Ogień prawie wygasł; pozostały na kominku tylko dopalające się węgielki. Chłodne powietrze złagodziło nieco jej podniecenie.

Spragniona po długim śnie, podeszła do biureczka, na którym stała taca z resztkami kolacji. Wzięła do ust łyk zimnej herbaty. Na dnie filiżanki pozostało nieco cukru. Gdy poczuła na języku słodycz, przebiegł ją dreszcz na wspomnienie cudownych ust Luciena. Nie ulegało wątpliwości: pragnęła tego łotra całym ciałem i całą duszą - i przerażało ją to.

„Jestem zupełnie sam”, powiedział jej, a ona wykpiła go bezlitośnie. Nikomu innemu na świecie nie odpowiedziałaby w taki sposób, ale gdy Lucien stanął przed nią, oddał się w jej ręce z taką zapierającą dech szczerością, prosząc o odrobinę uczucia, przeraził ją jeszcze bardziej niż wówczas, gdy mierzył do niej z pistoletu.

Alice odstawiła filiżankę na tacę i przymknęła oczy. Opadła na fotel i siedziała po ciemku, wsłuchując się w stłumiony świst wiatru, który próbował wdrzeć się przez szpary okienne. Szyby drżały, garstka gnanych wiatrem liści przylgnęła do szkła. Kilka wielkich, srebrnych kropel deszczu zastukało w szyby, wkrótce z ciemnych chmur lunie lodowaty jesienny deszcz. Alice czuła w powietrzu narastające napięcie. Miała nadzieję, że ulewa nie zaskoczy Luciena w drodze. Na samą myśl o nim ogarnął ją niepokój. Oparła czoło na dłoni i mocno zacisnęła powieki.

Do licha! Bardziej było jej wstyd okrutnych słów, które mu rzuciła, niż swego rozpustnego snu, a nawet szalonego pocałunku, jakim go obdarzyła na występie skalnym, gdy podziwiali widoki. Oskarżyła go o to, że igra z nią, choć widziała w jego oczach prośbę o coś

znacznie więcej niż chwila rozkoszy. Pragnął czegoś, czego ona nie mogła zrozumieć...

podobnie jak nie pojmowała własnej chęci spełnienia wszelkich jego życzeń.

Podciągnęła kolana pod brodę i objąwszy je rękami, wpatrywała się w zadumie w żarzące się węgielki. Nie wiedziała już, co jest słuszne, a co złe. Czuła, że winna jest Lucienowi przeprosiny... a przecież to absurd! Nic mu nie była winna. Ten człowiek zatrzymał ją tu wbrew jej woli. A ona ledwie mogła się zdobyć na odruch oburzenia, które zgodnie z regułami wielkiego świata oraz z jej własnym poczuciem godności było najwłaściwszą reakcją na podobne traktowanie. I w dodatku czyniła to nieszczerze, wbrew sobie samej!

Szczerze natomiast żałowała, że zraniła Luciena do żywego, gdy odsłonił przed nią swe uczucia, oraz tego, że nie była wobec niego równie szczerą. Czuła przecież łączącą ich więź, głęboką i mocną!

W oddali zahuczał grom i deszcz rozpadał się na dobre. Alice wstała z fotela i zaczęła krążyć niespokojnie po słabo oświetlonej sypialni. Pochyliła się nad kominkiem i gmerała pogrzebaczem w dogasającym ogniu, aż wreszcie różnobarwne płomyczki - złote, pomarańczowe, niebieskie i zielone - zaczęły pląsać po leżącej z wierzchu niedopalonej szczapie. I wtedy właśnie dobiegł z dołu tętent końskich kopyt. Porzuciwszy pogrzebacz, Alice podkradła się do okna. Lucien na wielkim karym koniu wjechał właśnie przez bramę. Pochodnie w ogromnym stojaku pośrodku dziedzińca rzucały - na przekór ulewie - jasne światło. Alice spoglądała w niemym podziwieniu na konia i jeźdźcę w tej niesamowitej scenerii. Lucien był ubrany na czarno, a zawzięty, posępny wyraz jego twarzy odpowiadał tej burzliwej nocy. Nieświadom tego, że jest obserwowany, zeskoczył z konia, oddał wodze stajennemu i zatrzymał się, by serdecznie objąć ramionami końską szyję. Ten gest świadczący o przyjaźni zwierzęcia i jego pana rozczulił Alice. Deszcz padał coraz mocniej, dudnił po



kamieniach dziedzińca. Lucien odwrócił się i nie skorzystawszy z parasola, który podsuwał mu służący, pobiegł do domu.

Nawet gdy zniknął jej z oczu, Alice pozostała przy oknie, oparta czołem o szybę.

Czuła wewnętrzny niepokój, świadczący wyraźnie o jej urzeczeniu. Przyglądała się, jak stajenny odprowadza na tyły domu konia Luciena. Westchnęła i szyba pokryła się mgiełką jej oddechu. W końcu odwróciła się z powrotem do kominka.

Teraz, gdy Lucien był znów w domu, powinien ogarnąć ją lęk. A nuż zechce skorzystać w nocy z klucza do jej pokoju? Z drugiej jednak strony bardzo wątpliwe, by po jej okrutnych słowach chciał jeszcze mieć z nią do czynienia. Czemu, u licha, kryła się w tym pokoju? Przecież pragnęła być z Lucieniem. Obawiała się jednak tego, co mogło się wydarzyć... na co mogła przyzwolić. Obawiała się pragnień, jakie mógł w niej rozbudzić. W aksamitnym mroku nocy, przy wtórze intymnych pomruków deszczu, pod wpływem wzajemnego zmysłowego pociągu bardzo wątpliwe, by pamiętali z Lucieniem o tym, co wypada, a co nie wypada. Jej własne pragnienia wprawiały ją w popłoch, kazały szukać dróg ucieczki, mimo zastępów bacznie śledzącej ją służby, mimo czarno odzianych wartowników, strzegących granic posiadłości. Lucien Knight był bardzo niebezpiecznym człowiekiem... a jednak to właśnie on poruszył jej serce, czego dotąd żaden mężczyzna nie zdołał dokonać. Jak mogła zamykać na to oczy tylko dlatego, że w ubieganiu się o nią nie przestrzegał konwencjonalnych reguł? Ci, co ich przestrzegali, nie zrobili na niej najmniejszego wrażenia. No, niech już będzie! - pomyślała, kapitulując przed tym, co nieuniknione. Dam mu szansę. Jutro rano spróbujemy raz jeszcze. Przecież nawet ten srebrnooki diabeł powinien w niedzielę zachowywać się przyzwoicie!

Wróciła do łóżka i wśliznęła się znów pod kołdrę tylko po to, by leżeć bezsennie, wsłuchiwać się w deszcz i czekać z otwartymi oczyma, kiedy nastanie nowy dzień.

Lucien wpadł w bramę Revell Court dosłownie w ostatniej chwili. Zaraz potem

wielkie krople, które nie oszczędzały jego i konia w drodze powrotnej, przerodziły się w potoki deszczu. Chowając głowę przed ulewą, nie osłonił jej jednak płaszczem w obawie, by nie przemókł ukryty pod nim, w kieszeni na piersi, list od Garcii. Drzwi wejściowe rozwarły się na powitanie pana domu, gdy zmierzał do nich wielkimi krokami.

Lucien ściągnął natychmiast ociekający wodą płaszcz i rzucił go majordomowi.

- Będę w swoim gabinecie, Godfrey. I niech mi nikt nie przeszkadza.

- Tak jest, milordzie - odparł z ukłonem majordomus.

Lucien pobiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. W rekordowym tempie pokonał labirynt korytarzy pierwszego piętra, by kolejnymi schodami, znacznie węższymi, dotrzeć na najwyższe piętro Revell Court.

Było ciemno, deszcz bębnił o dach tuż nad jego głową, a wicher świstał pod okapem.

Zakurzone, ponure poddasze nad pokojami służby przekształcił Lucien w swój prywatny, pilnie strzeżony gabinet. Otworzył zamknięte na klucz drzwi i rozejrzawszy się za krzesiwem, zapalił świecę. Potem znów starannie przekręcił klucz w zamku. Ze względu na ściśle tajny charakter wykonywanej tam pracy nikt prócz Luciena - nawet Godfrey nie miał wstępu do tego przybytku. Toteż nikt nie ścierał tu kurzu, o co półki pełne książek aż się prosiły. Lucien usiadł przy biurku, wyciągnął z kieszeni list Garcii i złamał pieczęć.

Zapoznawszy się z treścią listu, uśmiechnął się, rozbawiony nowym pomysłem przyjaciela. Garcia przesłał zaszyfrowaną wiadomość w formie fikcyjnego rachunku hotelarza, upominającego się o zapłatę. Pod pełną słusznego gniewu notatką seniora Sancheza znajdowały się trzy kolumny liczb; to właśnie w nich zaszyfrowane było tajne przesłanie.

Każda data, ilość zużytych lub zniszczonych dóbr oraz należna za nie kwota miały swój odpowiednik na stronach katolickiej Biblii, którą Garcia podarował Lucienowi, by pełniła rolę

klucza kodowego. Każda liczba oznaczała stronę, werset i słowo tekstu, odliczane w ustalonej kolejności. Rzeczowniki własne, zwłaszcza nazwiska lub pseudonimy postaci odgrywających czołową rolę w Europie oraz działających na jej terenie szpiegów, miały ustalony numer i były zaznaczone kółeczkiem. I tak na przykład jedynka w kółku oznaczała papieża, dwójka Napoleona, trójka króla Jerzego III, czwórka księcia regenta, piątka cara... i tak dalej.

Przeglądając rzekomy rachunek, Lucien zbladł na widok obwiedzionej kółeczkiem liczby 77. Każdy czynny agent wywiadu miał własny numer kodowy; na przykład on sam występował jako 21. Co prawda nie znał na pamięć numerów wszystkich szpiegów, ale wiedział, że 77 to Claude Bardou.

Zagłębiając się w gorzkie wyrzuty imię Sancheza, który domagał się zwrotu pieniędzy za wszystko, co niesolidny klient potłukł, pożarł lub w jakikolwiek inny sposób wykorzystał podczas swego pobytu w nieistniejącym hiszpańskim hoteliku, Lucien zanurzył gęsie pióro w atramencie i zaczął kartkować Biblię, zgodnie z zawartymi w liście wskazówkami. Sprawnie i dokładnie odtworzył treść przesłania Garcii. Pozostało już tylko przełożyć łaciński tekst na rodzimą angielszczyznę.

*Pozdrawiam Cię, przyjacielu. Mam nadzieję, że mój list zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Pragnę Cię ostrzec, że Claude Bardou żyje i przebywa na wolności. Co więcej, zebrał grupkę zwolenników. Z dwu różnych źródeł otrzymałem sprzeczne informacje co do celu ich działań. Jedni twierdzą, że Bardou planuje atak na uczestników Kongresu Wiedeńskiego. Inni zapewniają, że organizuje ucieczkę Napoleona z Elby. Musimy być przygotowani na każdą ewentualność. Bóg niech Cię ma w swej opiece. Garcia*

Lucien wyprostował się w fotelu, odruchowo gładząc brodę. Spojrzenie miał lodowate. Płomyk świecy zamigotał poruszony gwałtownym oddechem. Garcia nie wspominał o możliwości współpracy Bardou z Amerykanami, o czym napomknął

Leonidowicz. Lucien chwycił pióro, by niezwłocznie ostrzec swoich kolegów, działających na terenie Austrii i Włoch. Myśl o potajemnym wywiezieniu Napoleona z Elby i o jego powrocie do Francji była w najwyższym stopniu niepokojąca, ale groźba wisząca nad uczestnikami kongresu trwożyła Luciena jeszcze bardziej, gdyż w Wiedniu przebywały cztery bliskie jego sercu osoby.

Jego najstarszy brat, książę Hawkscliffe, jako jeden z asystentów lorda Castlereagha uczestniczył w obradach kongresu. Robert zabrał ze sobą do Wiednia nowo poślubioną żonę Bel, by mogła wziąć udział we wspaniałych imprezach towarzyszących kongresowi.

Pojechały z nimi również młodzianka lady Jacinda oraz jej przyjaciółka Lizzie Carlisle, podopieczna księcia, traktowana przez wszystkich braci Knightów jak druga siostra. Serce biło Lucienowi na alarm, gdy pisał zarówno do brata, jak i do Castlereagha (tym razem nie posługując się szyfrem), ostrzegając ich przed bardzo prawdopodobnym zagrożeniem.

Kiedy oba listy zostały napisane i zapieczętowane, Lucien zaczął zastanawiać się, czy nie nawiązać kontaktu z Sofią Wozniesienską, by przekonać się, co ona wie o wznowieniu działalności przez Claude'a Bardou oraz o jego obecnym miejscu pobytu. Ta ciemnowłosa piękność była rosyjskim szpiegiem, jednym z najgroźniejszych agentów cara Aleksandra. W przeszłości do jej zadań należało między innymi uwiedzenie Bardou w celu wydobywania od niego informacji o rozkazach, jakie otrzymał.

Od zawarcia pokoju tylżyckiego Bardou i Sofia współpracowali ze sobą przez pięć lat, gdy Rosję łączył sojusz z Francją. A choć potem ich kraje znalazły się znów w przeciwnych obozach, fascynacja Bardou piękną Sofią nie osłabła. A ona sama, choć twarda i bezwzględna, nie była w stanie wyzwolić się spod wpływu Francuza, który nadal rościł sobie do niej prawa. Lucien orientował się w sytuacji, gdyż i on miał kiedyś z Sofią przelotny romans. Po rozważeniu sprawy postanowił nie kontaktować się z nią, gdyż mogłoby to okazać

się dla niej zbyt niebezpieczne: Bardou był niesłychanie o nią zazdrosny i zaborczy. A poza tym Lucien nigdy nie miał do Sofii pełnego zaufania.

Gdy gorzkie wspomnienia zaczęły znów go dręczyć, zapragnął zwrócić się do Alice, poszukać ukojenia w jej ramionach. Jak bardzo tęsknił za tym, by skąpać się w bijącym od niej blasku niewinności, okrzepnąć dzięki jej kojącej łagodności... A jednak dziś zraniła go do żywego. Mężczyzna ma swoją dumę. Następnym razem to Alice musi przyjść do niego!

Kłębiąca się mgła przesłaniała londyńskie niebo wilgotnym całunem, gdy Rollo Greene - cały w nerwach - oczekiwał zapowiedzianego przybysza po drugiej stronie rzeki, na nabrzeżu węglowym w Lambeth, nieco poniżej Westminster Bridge. Widział już światło latarni na dziobie zbliżającej się łodzi. Z powodu mgły był to jedynie słaby blask, padający na ciemną, szklistą powierzchnię rzeki.

Zjawia się punktualnie co do minuty!

Rollo zsunął cylinder nieco bardziej na czoło, rad, że ma przy sobie broń: laseczkę z ukrytym wewnątrz ostrzem. Otaczające go budynki - magazyny, browary, składy drzewa - były puste i nieoświetlone. Jego powóz czekał w pobliżu pod osłoną mroku. W miarę jak łódź zbliżała się powoli, płynąc pod prąd, Amerykanin coraz wyraźniej widział jej maszty i zwisające sieci rybackie. Oblizwał wargi, kryjąc niepokój, uśmiechał się szeroko w typowy amerykański sposób.

Uśmiech przygasł mu nieco na widok zwalistej postaci, która wynurzyła się z ozłoconej blaskiem latarni mgły. Stojący na dziobie łodzi mężczyzna z cygarem w zębach miał około dwóch metrów wzrostu i musiał ważyć dobrze ponad sto kilo. Koniuszek cygara żarzył się w mroku. Łódź rybacka zakołysała się, gdy ten wielkolud zeskoczył z pokładu i z niezwykłą zwinnością wylądował na brzegu, przytrzymując plecak zawieszony na ramieniu. Rollo przełknął w milczeniu ślinę. Jasnowłosego olbrzym o kwadratowej twarzy sunął

prosto na niego, lekko utykając. Rollo sprężył się wewnątrz, wyprostował się na całą niezbyt imponującą wysokość i ruszył w stronę Francuza, pokrywając beztróskim uśmiechem autentyczną trwogę.

- Monsieur Bardou, jak tużę?

Wielkolud zerknął nań z lekceważeniem. Oczy miał bładniebieskie, pozbawione blasku, złe. Rollo ukłonił się mu.

- Nazywam się Rollo Greene, szanowny panie. Nasi czcigodni przyjaciele z Wirginii zobowiązali mnie, bym udzielił panu wszelkiej możliwej pomocy.

Bardou zmierzył laseczkę Rolla takim wzrokiem, jakby od razu się domyślił, co w sobie kryje. Wyjął z ust cygaro, wydmuchnął kłęb dym i rzucił niedopałek na ziemię.

- Ma pan dla mnie dokumenty? - spytał zgrzytliwym głosem z wyraźnym francuskim akcentem.

Rollo słyszał, że Bardou pochodzi z chłopskiej rodziny, ale zdołał w czasach przetaczającej się przez Francję zawieruchy zdobyć dość wysoką pozycję i jakie takie wykształcenie. Może dzięki temu będzie mógł udawać cudzoziemskiego dżentelmena, Szwaba. Angielska arystokracja była wyjątkowo łatwowierna, zwłaszcza w stosunku do rzekomych rodaków zasłużonego pruskiego weterana, generała Bluchera.

- Wszystko załatwione, szanowny panie. Jeśli zechce pan wsiąść do mego ekwipażu, odwiozę pana do najlepszego hotelu w tym mieście. Zarezerwowałem dla pana apartament w Pulteney. Sam car Aleksander zatrzymał się tam ostatniego lata podczas oficjalnej wizyty w Londynie.

Bardou zerknął na niego z niedowierzaniem, po czym przyjrzał się uważnie jego powozowi, zanim do niego wsiadł.

- A więc znalazł się pan na terytorium nieprzyjaciela. Dziwne uczucie, nieprawdaż? -

zagadnął Rollo w płynnej francuszczyźnie, gdy powóz ruszył. Wyciągnął ze schowka butelkę wina i dwa kieliszki, napełnił je ostrożnie i podał jeden wielkoludowi. - Szlachetne płody pańskiej ojczyzny, monsieur Bardou, specjalnie na pana cześć. Proszę się nie obawiać - zapewnił go z uśmiechem. - Nasi wirgińscy przyjaciele z pewnością nie byliby zachwyceni, gdybym pana otruł. Jestem całkowicie na pańskie usługi.

Bardou obrzucił go sceptycznym spojrzeniem i nie skosztował wina, póki Amerykanin nie napił się pierwszy.

- Załatwił mi pan nowe personalia i wszystko, co trzeba?

- Jak najbardziej, szanowny panie! Wejdzie pan na londyńskie salony jako baron Karl von Dannecker z Prus. Znalazłem młodego dżentelmena o doskonałych koneksjach, który pana wprowadzi do towarzystwa i pomoże w nawiązaniu znajomości z kwiatem tutejszej arystokracji.

- A pieniądze?

- Na pańskim rachunku. Wszystko zostało zaaranżowane.

Przez długą chwilę Bardou wyglądał przez okno powozu. Przejeżdżali właśnie przez Westminster Bridge.

- A co z moją Sofią? - spytał nieco ciszej. - Nadal jest w Londynie?

- Miałem przyjemność ją widzieć tydzień temu w Vauxhall. Piękna jak zawsze - westchnął Rollo.

- Co to takiego Vauxhall? - spytał całkiem serio Bardou.

- Park rozrywki, położony nad rzeką. Można tam obejrzeć przedstawienie, potańczyć, podziwiać fajerwerki. Zaprowadzę tam pana. Z pewnością się panu spodoba.

- Sofia będzie mi niezbędna - oświadczył Bardou. - Jest przydatna... pod każdym względem.

Rollo zmarszczył brwi. Claude Bardou został zaangażowany przez bardzo wpływową grupę plantatorów z Południa. Byli to przyjaciele prezydenta Madisona i podobnie jak on łaknęli zemsty na Anglikach za podpalenie Waszyngtonu. Choć amerykański skarb państwa świecił pustkami na skutek brytyjskiej blokady, puszczenie z dymem nowiutkiej stolicy nowego państwa było strasliwym ciosem dla dumy narodowej i dżentelmeni z Południa zgodzili się zapłacić za usługi Bardou z własnych kieszeni, które napychali sobie dzięki ciężkiej pracy niewolników. Rollo nie był jednak pewny, czy mocodawcy z Wirginii zechcą opłacać pomocników, których Francuz będzie sobie dobierał według własnego gustu.

- Z całym szacunkiem, panie Bardou, wysokość pańskiego wynagrodzenia została definitywnie ustalona. Czy sądzi pan, że w tej sytuacji madame Wozniesienska zgodzi się z panem współpracować?

- Sofia zrobi to, co jej każe.

Wypowiedziawszy te słowa, Bardou rzucił rozmówcy spojrzenie mówiące wyraźnie:

„A ty bierz z niej przykład!” i łyknął znów wina.

Rolo zbladł pod martwym wzrokiem tych bladoniebieskich oczu. Uznał, że należy zmienić temat.

- Gdzie się pan nauczył niemieckiego? - zagadnął dość niezręcznie.

- W Westfalii. Przez jakiś czas należałem do osobistej ochrony króla Hieronima.

- A, najmłodszego braciszka Napoleona! Chyba się nie mylę? Bardou potwierdził skinieniem głowy i zapytał:

- Czy zna pan lorda Luciena Knighta, panie Greene?

Rollo nie wiedział, co skłoniło go do kłamstwa. Kiedy jednak instynkt coś mu podszeptował, zawsze go słuchał.

- Nie osobiście, tylko ze słyszenia. Czemu pan pyta?



Znów zapadła przytłaczająca cisza. Rollo odchrząknął, przyjąwszy do wiadomości kolejne nieme przesłanie: „I nie zadawaj zbyt wielu pytań!” Wcale mu to nie odpowiadało.

Zebrał się na odwagę i odezwał się znowu:

- Panie Bardou, kiedy poznam dokładniej pańskie plany?

Bardou rozważał jego pytanie, wyglądając przez okno. Akurat mijali Westminster Abbey.

Piętnaście lat wiernej służby - mruknął - i co za to mam? Do Francji nie mogę wrócić, bo zostałbym oddany pod sąd i stracony. Nie robiłem nic złego; służyłem tylko ojczyźnie.

Czy pan to potrafi zrozumieć, panie Greene? Klęska ma gorzki smak. Ci pyszałkowaci, butni Anglicy powinni jej też zakosztować! Oto moje plany.

- No, tak...

Zręcznie się wywinął! - pomyślał Rollo. Osobiście nie żywił nieprzyjaznych uczuć wobec Anglików. Przebywał w Londynie od dwóch lat, a choć diabli go brali jak każdego porządnego Amerykanina na myśl o blokadzie i spaleniu Waszyngtonu, mimo woli nabrał sympatii do mieszkańców Wysp. W końcu jego przodkowie byli porządnymi, ciężko pracującymi Kornwalijczykami! Rollo polubił angielskie potrawy, angielskie kobiety i angielskie piwo.

Bardou łyknął znów wina.

- Przede wszystkim musi pan nawiązać kontakt z jakimś wytwórcą materiałów wybuchowych. Poda się pan za inżyniera, który zamierza zburzyć stary, przegniły most, by na jego miejscu wznieść nowy. Złoży pan zamówienie na saletrę potasową. Podam panu dokładną ilość, kiedy przyjrzę się dokładnie wybranym obiektom.

- O, wybrał pan już konkretne obiekty? - zdumiał się Rollo. - Wolno wiedzieć, jakie?

Ale Bardou odpowiedział tylko zimnym uśmiechem.

Alice była już na nogach, ubrana i gotowa do rozpoczęcia nowego dnia, gdy zjawiała się - punktualnie jak w zegarku - pulchna pokojówka. Jednak zamiast śniadania na tacy przyniosła nowinę: jego lordowską mość zarządził, żeby panience nie podawać żadnych posiłków do pokoju. A więc postanowił zmusić mnie głodem do uległości! - pomyślała Alice i roześmiała się cicho. Ależ by się zdziwił, gdyby wiedział, z jaką chęcią spełni tym razem jego rozkaz!

Zeszły obie do holu, gdzie pokojówka przekazała Alice pod opiekę lokaja w liberii, pełniącego służbę przy głównym wejściu.

- Zaprowadzę panią do jego lordowskiej mości wyjaśnił z ukłonem i otworzył przed nią drzwi. - Tędy, łaskawa pani.

- Jak to? Nie ma go w domu?

- Jaśnie pan jest na sali ćwiczeń, jak co rano - odparł grzecznie służący. - Może przynieść pani jakieś okrycie?

- Czy ta sala jest daleko stąd?

- Nie, panienko!

- To nie traćmy czasu.

Skinął głową i ruszył przodem. Poranek był jasny i rześki, napawał optymizmem.

Alice zatarła ręce, a z jej ust uniósł się obłoczek pary, gdy znów się odezwała.

- I ćwicz na tej sali? Jakież to ćwiczenia?

- Jaśnie pan ćwicz się tam w szermierce i w boksie.

- W boksie? W takim razie doprawdy nie powinnam tam wchodzić! Młode damy

nigdy nie odwiedzały, rzecz jasna, podobnych przybytków, gdzie mężczyźni popisywali się swą zręcznością i krzepą. A już w niedzielę rano miejsce młodej panny z całą pewnością było

w kościele, a nie w prywatnej sali sportowej młodego, nieżonatego amatora boksu! Służący spojrział na nią ze współczuciem.

- Nic na to nie poradzę, łaskawa pani: właśnie tam jego lordowską mość polecił podać śniadanie.

A więc Lucien znów rzucał jej wyzwanie, usiłując kawałkiem sera wywabić myszkę z bezpiecznej kryjówki. Alice wzruszyła ramionami z irytacją. A niech tam: oto jedyna okazja ujrzeć świat absolutnie niedostępny dla innych młodych dam! Bez dalszych sprzeciwów poszła za swym przewodnikiem. Poprowadził ją przez wysypany żwirem dziedziniec i podjazd wiodący wokół domu.

Tym razem w parku pracowali zawzięcie ogrodnicy, nadając właściwy kształt od dawna niestrzyżonym ozdobnym krzewom i przycinając pędy bluszczu, pnącego się po murach z czerwonej cegły. W tradycyjnym geście szacunku dotykali palcami czapek na widok Alice idącej za lokajem drogą biegnącą dalej ku zielonym łąkom, na których pały się stada, i polom zżętej już lucerny, gdzie złociste stogi stały dumnie niczym fortece. Jeszcze dalej, za polami, na skraju lasu, drzewa wystawiały ku słońcu swe korony w całym przepychu jesiennych barw.

Od stajni dolatywały z wiatrem nieco prozaiczne zapachy. Mimo to w Alice rosło radosne podniecenie, gdy spieszyła w tamtą stronę za lokajem. Kompleks stajenny, wzniesiony z czerwonej cegły podobnie jak dwór, prezentował się całkiem imponująco. Główny budynek miał zamiast zwykłego dachu niewielką, zgrabną kopułę. Kilka koni, które były niewątpliwie faworytami Luciena, wystawiało głowy z okien swoich boksów, jakby chciały się przekonać, co też się dzieje w najbliższej okolicy. Przeżuwając siano, obserwowały przechodzącą obok nich dziewczynę z typową dla tych zwierząt przyjazną ciekawością. Kiedy dotarli do wybiegu, Alice przystanęła, pełna podziwu dla niewątpliwego króla tych

wszystkich koni - wspaniałego karego ogiera, którego stajenny ćwiczył na lonży. Mięśnie grały pod czarną aksamitną skórą, a koń zdawał się unosić ponad ziemią przy każdym niewiarygodnie długim i płynnym kroku. Pełna zachwytu Alice z żalem porzuciła miejsce przy białym ogrodzeniu padoku i udała się za lokajem do innego budynku. Był kwadratowy, średniej wielkości, z wysokimi oknami. Zanim jeszcze służący otworzył drzwi tej prywatnej sali sportowej, do Alice dobiegł groźny szczęk białej broni.

Męski głos z cudzoziemskim akcentem rzucał ostre komendy. Lokaj otworzył drzwi przed Alice i przytrzymał je, by mogła wejść. Zawahała się w pierwszej chwili, ale gdy zajrzała do wnętrza, jej wzrok padł od razu na stół; błyszczała na nim srebrna zastawa do herbaty i stały półmiski pełne pasztecików i ciast. Oho! Otóż i przynęta. Poczucie przyzwoitości doszło do głosu i błagalnie zaklinało dziewczynę, by nie wchodziła do środka. Alice postanowiła jednak przemóc swoje tchórzostwo, które osoby pokroju Caro brały pomyłkowo za nieskalaną cnotę. Lucien pierwszy przejrzał ją na wylot. Alice zebrała się więc na odwagę i przekroczyła próg sali gimnastycznej, siląc się na tak obojętną minę, jakby wchodziła do sklepu z pasmanterią.

Śniady fehmistrz ani żaden z pięciu młodych zabijaków, którzy ćwiczyli wraz z Lucieniem, nie zwrócili większej uwagi na wchodzącą. Zupełnie jakby zostali z góry uprzedzeni, że Alice się tu zjawi i że nie należy się na nią gapić. Również Lucien, skoncentrowany bez reszty na treningu, *zdawał* się jej nie spostrzegać. Alice mignęła jednak w przelocie jego twarz. Dostrzegła gniewne spojrzenie srebrnych oczu, jaśniejących jak brylanty; poranne słońce błyszczało na ostrzu jego szpady.

Starając się nie wchodzić w drogę walczącym, Alice przemykała pod ścianami sali gimnastycznej w stronę stołu, na którym czekało na nią śniadanie. Lokaj przyniósł dla niej krzesło. Zanim jednak usiadła, naląła sobie herbaty z samowara. Alice starała się zachowywać

jak najbardziej obojętnie. Gdyby tak jeszcze można było kontrolować rumieńce! Słodząc herbatę, zdołała siłą woli opanować drzenie rąk. Wziąwszy filiżankę i spodek, odwróciła się z uprzejmym wyrazem twarzy w stronę walczących dżentelmenów. Jednak w chwilę później na widok Luciena opadła na krzesło, czując dziwną słabość w kolanach.

Jeśli podczas zwykłych ćwiczeń okazuje taką zaciekłość, co musi się dzieć, gdy walczy naprawdę! - pomyślała. Cała sala rozbrzmiewała metalicznym szczękiem krzyżujących się kling. Śniady fechmistrz, zapewne Hiszpan, odsunął się na bok, nadal rzucając zwięzłe wskazówki i komendy. Na ściągniętej twarzy Luciena malowało się najwyższe skupienie, gdy wykonywał z wdziękiem figury tego morderczego tańca; nie ulegało wątpliwości, że daje z siebie wszystko. Stanowił punkt centralny bitewnego kręgu. Pozostałych pięciu młodych ludzi, rozstawionych w regularnych odstępach, otaczało go kołem. Lucien sam jeden stawiał im wszystkim czoło, trzymał wszystkich w szachu, żadnemu nie dał spocząć. Tak się dwoił i troił, poruszał się z taką szybkością, że ani na sekundę nie był odwrócony plecami do żadnego z przeciwników.

Nic dziwnego, że ociekał potem! Dopasowane czarne spodnie podkreślały muskulaturę ud, a poniżej kolan ginęły w cholewach czarnych butów, bardzo szykownych. Na luźnej białej koszuli miał ochronną skórzaną kamizelkę, zapinaną na rzemyki na potężnych barkach i po obu stronach smukłej talii. Alice, obserwując walkę, mimo woli wstrzymała dech.

Po zakończonym treningu Lucien od niechcienia zasalutował szpadą swym przeciwnikom i odłożył broń, oddychając ciężko. Fechmistrz pogratulował mu znakomitej walki. Alice liczyła na to, że teraz Lucien do niej podejdzie, ale zamiast tego siadł na ławce w drugim końcu sali i zaczął ćwiczyć hantlami, podnosząc je bez końca najpierw prawą, potem lewą ręką. Było to doprawdy godne podziwu.

Wreszcie hantle zagrzechotały rzucone na ziemię, a Lucien uniósł ręce ponad głowę, rozprostował plecy i przeciągnął się jak kot. Wstał z ławki i wzięwszy od służącego ręcznik, ocierał sobie twarz z potu, słuchając fachowych uwag fehmistrza.

Alice z coraz większą niecierpliwością czekała, kiedy wreszcie Lucien do niej podejdzie. Czyżby zamierzał zignorować ją całkowicie? Ale po co wzywałby ją tu, gdyby nie chciał nawet otworzyć do niej ust? Uświadomiła sobie nagle, że gapi się na niego nieprzyzwoicie, i pospiesznie zwróciła wzrok na piątkę pozostałych mężczyzn. Oni również podnosili ciężary i wykonywali rozmaite ćwiczenia, choć z mniejszym zapałem niż Lucien; pozwalali sobie nawet na żarciki. Ciekawe, kim oni są? Dwaj wydawali się jej znajomi... Czyżby zetknęła się z nimi wcześniej w Londynie, a może zwróciła na nich uwagę w grocie? Spostrzegła, że zerkają na nią ukradkiem i coś do siebie szepczą, zapewne wymieniając komentarze na jej temat. Strasznie się zawstydziła i pospiesznie odwróciła wzrok.

Gdy pogodziła się już z myślą, że Lucien nie raczy dostrzec jej obecności, podziękował skinieniem głowy fehmistrzowi i ruszył wreszcie przez całą długość sali w jej kierunku, ocierając kark ręcznikiem, który potem przerzucił przez ramię. Alice zmierzyła go wzrokiem, kiedy szedł ku niej butnie, z niewzruszoną twarzą, z ogniem w oczach.

- Panna Montague? Cóż za uroczą niespodzianka!

Mówiąc to, wziął karafkę z wodą z rąk lokaja, którego właśnie mijał.

- I jakie efektowne widowisko! - odparła, gdy podszedł do niej.

- Dziękuję!

Odkorkował karafkę i zaczął pić, odchylając głowę do tyłu. Pot spływał mu po szyi, grdyka poruszała się rytmicznie przy przełykaniu. Nie odrywała od niego oczu, aż wreszcie zaspokoił pragnienie i oblizał wargi.

- Bardzo bym chciał - oświadczył - żebyśmy razem udali się dziś z wizytą...

- Do kogo?

- Do bardzo mądrego, starego człowieka odparł z wesołym błyskiem w srebrzystych oczach. - Za pół godziny będę mógł stąd wyjść. Tymczasem zostaniesz na sali i przyjrzyj się naszym ćwiczeniom. Zgoda?

Alice nic na to nie odpowiedziała. Odkryła z konsternacją, że dostosowanie się do życzeń Luciena sprawia jej prawdziwą przyjemność. Gdy odpiął rzemyki ochronnej kamizelki i ściągnął ją przez głowę, podał służącemu, zagryzła dolną wargę. Widok cienkiej białej koszuli, która przylgnęła do spoconego ciała, i jego piżmowy, zdecydowanie męski zapach sprawiły, że krew zaczęła pulsować w niej odwiecznym rytmem. Lucien mrugnął do niej i powrócił do reszty mężczyzn, szykując się do ostatniego etapu ćwiczeń.

Miejsce fechtmistrza zajął krępy, muskularny trener z ponurą twarzą, dawny mistrz bokserski. Alice wzdrygnęła się z niesmakiem. W walce na szpady mogła doszukać się jakiegoś piękna... ale wcale nie miała ochoty przyglądać się, jak Lucien i towarzyszący mu młodzieńcy tłuką się nawzajem pięściami do utraty przytomności! Potem jednak Lucien ściągnął koszulę i Alice osłupiała.

Z fascynacją malarki i z czysto kobiecym pożądaniem wpatrywała się olśniona w jego opalone, muskularne plecy. Ramiona miał potężne, pierś - gładka i lśniąca - przypominała rzeźbę z brązu... Zaczął owijać kłykiec rzemieniem, by je zabezpieczyć od skutków mocnych uderzeń.

Alice uświadomiła sobie, że podczas lekcji rysunku nie miała nigdy okazji do szkicowania najczęściej spotykanego w malarstwie i rzeźbie tematu: męskiego aktu. Przed przybyciem do Revell Court na samą myśl o rysowaniu czegoś podobnego sięgnęłaby pewnie po sole trzeźwiące. Odkąd jednak spotkała Luciena Knighta, nie było już rzeczy niemożliwych.

Gdy rozpoczął się trening bokserki, Alice wzdygnęła się raz czy drugi zaszokowana brutalnością tego sportu. Nie odwracała jednak wzroku, tym bardziej że niewiele by to dało. Odgłosy walki były jeszcze bardziej szokujące, a nie mogła przecież zatkać sobie oczu i uszu. Dudnienie pięści walących w żywe mięso. Zdławione stęknienie zawodnika ugodzonego w brzuch. Rynsztokowy język trenera, typowego londyńczyka z przedmieść, zagrzewającego młodych chojraków, by dali przeciwnikowi dobry wycisk. Lucien tak przyłożył komuś o przydomku „Zet” w nos, że zwałił go z nóg. I choć młodzieniec wstał z szerokim uśmiechem, Alice przysięgła sobie w duchu, że nigdy nie pozwoli Harry'emu używać w ten sposób rąk... podobnie jak nie zgodzi się na to, by wstąpił do wojska!

Następnym przeciwnikiem Luciena był rudowłosy Pe - de. Zaatakował z impetem i zdążył zaprawić Luciena w szczękę, zanim sam znalazł się na deskach. Powtarzało się to niezmiennie raz za razem i w końcu Alice nie mogła już dłużej wytrzymać.

Zerwała się na równe nogi.

- Przestańcie!

Wszystkich obecnych na sali zamurowało. Spojrzeli na nią z konsternacją.

- Naprawdę powinniście z tym skończyć, zanim komuś stanie się krzywda! - bąknęła zażenowana i poczerwieniała jak burak.

Lucien i stary bokser rozbawieni wymienili spojrzenia. Chłopcy usiłowali stłumić chichot. Ocierając ręką pot z czoła, Lucien podszedł do Alice. Mimo woli wbiła wzrok w jego lśniącą pierś i zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

- Nikomu nie stanie się nic złego, złotko. To tylko ćwiczenia sportowe.

- Bardzo brutalne!

- Ale niezbędne dla mężczyzny, by mógł bronić honoru swojej damy - odparł, a w oczach zamigotały mu iskielki śmiechu. - Jestem niewymownie wzruszony, że lękasz się o



moje bezpieczeństwo!

- Martwię się raczej o nich odparła, ruchem głowy wskazując młodzieńców, którzy bezwstydnie podsłuchiwali ich sprzeczkę; gdy Alice spojrzała na nich, uśmiechnęli się od ucha do ucha.

- Dajże spokój! Powinnaś lękać się o mnie! - zaproponował z urazą. - Jestem tylko jeden, a ich pięciu. A poza tym każdy z tych cholernych szczeniaków ma co najmniej o pięć lat mniej niż ja. Musisz przyznać, że daje im to zdecydowaną przewagę.

- Nie mam też ochoty patrzeć, jak biją cię na kwaśne jabłko! Uśmiechnął się szelmowsko.

- A widzisz? Troszczysz się o mnie! Chyba mimo woli nabierasz do mnie sympatii. A teraz siadaj, dziewczyno, i staraj się połapać w regułach gry. - Wykręcił się na pięcie i wrócił do swych kompanów. - Ona się boi, żebyście mi nie przefasonowali buzi, chłopaki. A już nie daj Boże, żeby mi warga pękła!

Zaśmiali się głośno. Alice niby to się naburmuszyła, ale i jej chciało się śmiać. On jest naprawdę niemożliwy! - pomyślała. I westchnęła cichutko.

Lucien nie miał pojęcia, który z aniołów przemówił tej nocy we śnie do Alice i nastawił ją przychylniej do niego. Nie ulegało jednak wątpliwości, że wydarzył się jakiś cud, gdyż dziewczyna była dziś dla niego naprawdę miła. A to diametralnie zmieniało sytuację.

Jeśli Alice zrobi choć krok w jego stronę, chętnie spotka się z nią w pół drogi! Kompromis nie leżał w jego naturze... ale może zbyt wiele wymagał od niej, żądając, by zaakceptowała go jako Smoka - uosobienie zła? Postanowił zaprezentować się z nieco lepszej strony.

Umył się więc pośpiesznie, ale bardzo starannie i włożył czyste ubranie, po czym poprowadził Alice przez las tą samą ścieżką którą wędrowali wczoraj. Tyle że po deszczu była znacznie bardziej błotnista. Tym razem szli do maleńkiej osady w dolinie, w odwiedzinie

do Seymoura Whitby'ego, dawnego gubernera braci Knightów.

Lucien poruszał się tego dnia w nieco wolniejszym tempie, z powodu porannego, wyjątkowo intensywnego treningu, który czuł dosłownie w każdym mięśniu. Świadomość, że Bardou grasuje gdzieś na wolności, sprawiała, iż Lucien dawał z siebie wszystko. Tym bardziej że Alice przyglądała się, jak walczy. Poczł na sobie jej spojrzenie od razu, skoro tylko weszła na paluszkach na salę. A tak się obawiał, że zamknie się na klucz w swoim pokoju i będzie się dąsała przez cały dzień! Zdołał jednak ukryć radość na jej widok. Przynęta poskutkowała!

Podziw i pożądanie w jej oczach sprawiły mu prawdziwą rozkosz. Wstyd pomyśleć, jak łaknął jej niepodzielnej uwagi... Zamierzał trzymać ją na dystans przez cały dzień, ale wystarczyło mu raz spojrzeć w te cudowne błękitne oczy z witraża w Chartres... i wszystkie postanowienia wzięły w łeb! Obecność Alice sprawiała, że nawet zapominał o powrocie Bardou.

Kiedy szli teraz przez las w milczeniu, Lucien poprawiał zwisającą z obolałego ramienia skórzaną torbę pełną książek. Były w niej najnowsze pozycje wydawnicze, które zamówił dla pana Whitby'ego u swego ulubionego londyńskiego księgarza. Alice natomiast niosła w koszyku maślane bułeczki, ciasto biszkoptowe oraz butlę mineralnej wody z gorącego źródła, które tryskało pod Revell Court. Pan Whitby niezłomnie wierzył w lecznicze działanie tych wód. Uważał je za cudowny lek na swój artretyzm.

Młoda para zatrzymała się na chwilę - podobnie jak wczoraj - na występie skalnym, by podziwiać widoki. Niebo było zaciągnięte chmurami. Zanosilo się na deszcz. Gdy tak stali obok siebie, spoglądając w dolinę, Lucien wyczuł niepokój Alice, jakby nękało ją żywe wspomnienie pocałunku, który tu właśnie gorąco odwzajemniła.

Spojrzał na nią z ukosa z wyraźną nadzieją na następny, ale jeśli nawet Alice wyczuła

jego spojrzenie, nie dała tego po sobie poznać. Lucien uśmiechał się w duchu, wpatrując się z zachwytem w dziewczynę. Jakie piękne długie rzęsy! Usta jak płatki róży... Zapragnął pochwycić ją znów w objęcia, lecz błyskawicznie wziął się w karby, by nie popełnić kolejnego błędu. Dziś jej pokaże, że potrafi być grzecznym chłopcem. Gdy odwróciła się i zeszła ze skalnego występu z powrotem na ścieżkę, bez sprzeciwu pospieszył za nią.

- Lucienie... - odezwała się w zadumie.

Gdy wymówiła jego imię, przejął go rozkoszny dreszcz.

- Słucham?

- Mogę cię o coś spytać?

- Tak - odparł z leciutkim wahaniem i wziął ją za rękę, by pomóc w przejściu przez pień zwałonego drzewa, które zagradzało ścieżkę.

Alice bez trudu pokonała przeszkodę; niesiony przez nią koszyk się zakołysał.

- Czemu wasz ojciec pozostawił Revell Court tobie, a lordowi Damienowi nic się nie dostało?

- No, niezupełnie. Damien otrzyma niebawem tytuł hrabiowski właśnie dzięki swemu pochodzeniu.

Doprawdy? - zdumiała się. - Jak najbardziej. Wspomniałem ci już, że Carnarthen nie pozostawił legalnego spadkobiercy. Był tak oddany mojej niezrównanej matce, że się nie ożenił - nawet dla podtrzymania rodu, który przetrwał czterysta lat. Georgiana była miłością jego życia i tylko to miało dla ojca znaczenie. Odmówił kategorycznie poślubienia innej. Miał na szczęście wielu przyjaciół w Izbie Lordów, którzy potrafili zrozumieć sytuację. Każdy z nich mówił sobie w duchu: „Gdyby nie łaska boska, ja też mógłbym tak zgłupieć!” Po śmierci ojca wystosowali petycję do Korony o ustanowienie nowego tytułu, by - jeśli nawet ród Carnarthenów przypadnie - przetrwało starożytne dziedzictwo krwi. A ponieważ Damien jest

starszy ode mnie o dwanaście minut, tytuł dostanie się jemu. Oczywiście wpływ na decyzję Korony miały też wojenna sława Damiena i ogólne przekonanie o jego niezłomnej odwadze i prawości... żeby nie wspomnieć o prywatnym przyrzeczeniu, jakie mój braciszek złożył premierowi, zapewniając, że zarówno on, jak i jego potomkowie przez co najmniej trzy pokolenia będą wiernie popierać torysów.

- Ach, tak? Markiz Carnarthen musiał doprawdy szaleć za twoją matką, jeśli znaczyła dla niego więcej niż ród, z którego się wywodził - powiedziała Alice tonem najwyższego podziwu.

- Owszem, szalał. Spotkał ją po raz pierwszy, kiedy była młodziutką dziewczyną, zanim wyszła za księcia Hawkscliffe'a, ale nie potrafił jej wówczas docenić. Opowiedział mi tę historię w ubiegłym roku, gdy był już bliski śmierci.

- Bardzo ci współczuję...

- Dzięki... ale śmierć okazała się dla niego wyzwoleniem. Trapiła go straszna choroba.

- Jak to dobrze, że miał cię wtedy przy sobie... Twój brat też był przy nim?

- Nie, Damien nie mógł opuścić Półwyspu Pirenejskiego. A poza tym mój bliźniak woli chować głowę w piasek i udawać, że jest synem starego Hawkscliffe'a.

Alice się wzdrygnęła.

- Za to ja wolę prawdę. Opowiedzieć ci historię naszych rodziców?

- Tak, bardzo proszę.

- Georgiana spędziła rok we Francji przed swym oficjalnym debiutem w towarzystwie.

Edward zaś, czyli nasz przyszły ojciec, był wówczas dwudziestoletnim elegancikiem, odbywającym tradycyjną Grand Tour po Europie. Ujrzał po raz pierwszy moją matkę w pewne słoneczne popołudnie, gdy w gronie rówieśniczek szkicowała coś w ogrodach Wersalu.

- Jakie to romantyczne! mruknęła Alice z uśmiechem.

- Owszem, ale niestety młody Edward nie zwrócił na nią większej uwagi. Uganiał się wtedy bez opamiętania za francuskimi kurtyzanami. Kiedy następnym razem spotkał Georgianę, była już młodą rozflirtowaną mężatką. Zdał sobie sprawę, że popełnił największy w swym życiu błąd, pozwalając, by wymknęła mu się poprzednim razem. Byli dla siebie stworzeni... ale zbyt późno to zrozumiał.

Lucien nie powtórzył Alice ostrzeżenia, którym markiz zakończył swą opowieść:

„Kiedy spotkasz tę jedną jedyną, chłopcze, chwyć ją mocno w ramiona i nie puszczaj, bo możesz już nie mieć drugiej szansy!”

Błagał ją, by rozwiodła się z Hawkscliffe'em - kontynuował Lucien - ale się nie zgodziła, wiedząc, że księżę nie odda jej dzieci, a urodziła już Roberta i Jacka. Tak czy owak, Damien i ja przyszliśmy na świat. Hawkscliffe miał swój legion kochanek, a Georgiana swego Carnarthena. Ta idylla trwała do czasu, gdy Damien i ja skończyliśmy cztery latka.

- I co się zdarzyło wówczas?

- Carnarthen był wysokim rangą oficerem marynarki i od czasu do czasu wyruszał w długie rejsy. Kiedy miałem cztery lata, wrócił z jednego z nich i przekonał się, że pod jego nieobecność moja matka pocieszała się z...

- Ze swoim mężem?! - jęknęła Alice.

- Ależ skąd! To by było za mało ekscytujące dla Georgiany odparł sucho Lucien. Tym razem był to sir Phillip Preston Lawrence. Aktor z Drury Lane, specjalizujący się w rolach szekspirowskich. Znany bardziej ze swej urody niż z talentu. A Georgiana znowu spodziewała się dziecka.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła Alice i spłonęła rumieńcem.

- Znasz mego młodszego brata Aleca?

- Oczywiście odparła. - Któż by go nie znał? Mój przyjaciel Freddie Foxham nie zamówi sobie nawet kamizelki bez aprobaty lorda Aleca.
- Alec lubi się popisywać, ma to we krwi odparł Lucien ze śmiechem. Ostrzeż lepiej swego przyjaciela, by nie siadał z Alekiem do kart. Mój braciszek ma niesamowite szczęście w grze.
- Uprzedzę Freddiego - odpowiedziała Alice i się uśmiechnęła. - Interesująca rodzinka! Ale czy nie czujesz się pokrzywdzony, że to lord Damien zostanie hrabią, a nie ty?
- Ani trochę - odparł bez wahania. - Damien zasługuje na to. A ja od dawna przywykłem do tego, że jestem jego bladym odbiciem. I nie mam nic przeciwko temu.
- Dajże spokój, Lucienie! - zaprotestowała. - Nie jesteś niczym bladym odbiciem.
- Ależ jestem, jestem! Nie musisz zaprzeczać. Zawsze nim byłem. Zatrzymał się i czekał na Alice, która obchodziła bokiem wyjątkowo grząski odcinek drogi.
- Dość tych kpín, Lucienie!
- Żadne kpiny. To szczerza prawda. Spytaj, kogo chcesz! Zawsze był Damien i „ten drugi”. Czyli ja. Naprawdę wcale mi to nie szkodzi... tyle że czasem czuję się... zbyteczny. Z cichym, pełnym czułości śmiechem podbiegła do niego i pogłaskała go po plecach. Ty? Zbyteczny?! Jeśli to cię pocieszy, wiedz, że dla mnie „tym drugim” będzie zawsze Damien!
- A jakże, panno Montague! Uśmiechnął się smutno. - To dla mnie ogromna pociecha.
- Doskonale. - Łobuzerski uśmieszek pojawił się na jej twarzy. Na gładką, kremową skórę padał cień rozedrganych liści. - W takim razie chodźmy dalej!
- A co z tobą?
- Co ma być ze mną?
- Nie zwierzysz mi się z czegoś, czego nikt inny nie wie o panie Alice Montague?

Spojrzała na niego krzywo.

- Masz na myśli jakieś grzeszne sekrety?

- Oczywiście!

- To się rozczarujesz, bo nie mam ani jednego.

Lucien uśmiechnął się i ruszył dalej. Nie wypowiedział głośno słów, które same cisnęły mu się na usta: Ja mam ich tyle, że starczy na nas oboje!

- No to opowiedz mi o czymś przyjemnym. Umiąłabyś wymienić najszcześniejszy dzień swojego życia?

- Pewnie! Moje dziesiąte urodziny. Ojciec podarował mi pierwszego konia. .. nie kucyka, rozumiesz? Czuję się okropnie dorosła! Wszyscy cieszyli się razem ze mną...

- Wszyscy?

- Mamusia, tatuś, Phillip, niania Peg. To były moje ostatnie urodziny przed chorobą mamy.

Wyczuł w jej głosie powściągany smutek i nagle podniósł na nią wzrok.

- Na co zachorowała?

Kiedy Alice zwróciła twarz w jego stronę, na widok jej smutnego, jakby nieobecnego uśmiechu serce mu się ścisnęło.

- Była taka pełna życia i energii, i taka piękna! Miała dopiero trzydzieści sześć lat... I ni stąd, ni zowąd nabawiła się kaszlu... Było z nią coraz gorzej i gorzej... Po kilku miesiącach nie mogła nawet wejść na piętro bez strasznej zadyszki. Lekarze nie mieli pojęcia, co jej dolega. Najpierw myśleli, że to suchoty, potem, że zapalenie opłucnej, choć nie miała innych objawów żadnej z tych chorób. W końcu odkryli, że to guz w piersi, który rozszerzył się na płuca. A na to nic już nie mogli poradzić. Dawali mamie wywar z szaleju, żeby zmniejszyć bóle. Ale tylko jej się po tym pogorszyło.

- Tak bardzo ci współczuję, Alice - powiedział.

- Mama była taka dzielna i pełna uroku... do samego końca. Pamiętam do dziś, jak siadywałam przy jej łóżku i czytałam jej ploteczki z kroniki towarzyskiej w „Morning Post”. Opowiadała mi zabawne anegdotki z wielkiego świata i zapewniała, że mój debiut będzie nieprawdopodobnym sukcesem... - Zamilkła na chwilę. - Ojca straciliśmy dwa lata później. Spadł z konia, na którym nie powinien był galopować ani tym bardziej brać przeszkód... po wypiciu całej butelki jałowcówki.

Rzuciła Lucienowi niepewne spojrzenie. Wyraźnie wahała się, czy mówić dalej.

- Mów, kochanie, mów - zachęcił ją łagodnie.

- Po śmierci mamy tatuś całkiem się załamał. Tak bardzo się kochali! Myślę, że chciał umrzeć. Tak mi ich brak... Odwróciła wzrok. - Ale nadal ich widzę, gdy patrzę na Harry'ego. Ma oczy po tatusiu... Jestem taka szczęśliwa, że on mi jeszcze został, Lucienie. Wszystko bym zrobiła dla tego smyka!

Głos jej się załamał, do oczu napłynęły łzy.

- Wiem szepnął i objął ją mocno.

Przygarnął Alice do siebie i trzymał tak długą chwilę. Wokół nich przelatywały gnane wiatrem brązowe, zeschnięte liście. Lucien zamknął oczy i przycisnął usta do jej włosów. Gdy tulił ją tak do siebie, czuł, że zachodzi w nim głęboka przemiana. Sam nie wiedział, jak to się stało. W jednej sekundzie ogarnęło go żarliwe pragnienie ulżenia Alice w jej bólu, a już w następnej poczuł, że jakiś potężny młot uczynił wyrwę w grubym murze, którym on sam odgrodził się od reszty świata. Do wnętrza wdarło się światło - bolesne i uzdrawiające. Odsunął się nieco i objąwszy rękami z dwu stron delikatną twarzyczkę Alice, uniósł ją ku sobie, by musiała spojrzeć mu w oczy. Otarł kciukami łzy spływające jej po policzkach.



- Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy... pociechy... czegokolwiek. .. -

szepnęła żarliwie - masz z tym przyjść do mnie! Rozumiesz?

- Och, Lucienie... - szepnęła, próbując wysunąć się z jego objęć. Ale on trzymał ją zdecydowanie, choć łagodnie.

- Mówię szczerze. Nie jesteś sama, rozumiesz? Zawsze będę przyjacielem... twoim i Harry'ego.

- Dlaczego? - szepnęła z nutką wyzwania, choć głos jej drżał. - Po co miałbyś się nami przejmować?

To pytanie uprzytomniło mu, że nadal nie pozyskał jej zaufania. Pokręcił głową. Jego słynna elokwencja ostatnio zawodziła go, kiedy był sam na sam z Alice.

- Bo cię lubię - odparł po prostu.

- Prawie mnie nie znasz.

- Znam cię wystarczająco dobrze. Teraz mi nie wierzysz, Alice, ale z czasem przekonasz się, że to prawda. No, chodź! - burknął, zmuszając się do wypuszczenia jej z objęć. Był zaszokowany siłą instynktu opiekuńczego, który nakazywał mu bronić tej dziewczyny przed każdym. Nawet przed nim samym. - Jesteśmy prawie na miejscu!

Alice, nadal oszołomiona zdumiewającą deklaracją Luciena, dogoniła go chwilę później. Nie ulegało wątpliwości, że jest nią coraz bardziej zajęty, i Alice sama nie wiedziała, czyją to trwoży, czy raduje. Niewiele by sobie robiła z jego deklaracji lojalności, gdyby nie to, że chciał otoczyć opieką także Harry'ego. Czegoś podobnego zupełnie się nie spodziewała!

Wyszli z lasu na gruntową drogę, która skręcała w stronę pobliskiej osady, złożonej zaledwie z pięciu czy sześciu domków. Swojski zapach dymu z kominów docierał do nich z wiatrem, który przybrał na sile. W lesie byli przed nim osłonięci. Przytrzymując kraciatą serwetkę, by wiatr nie zdmuchnął jej z koszyka, Alice spojrzała na ołowiane chmury

nadciągające z zachodu; potem dostrzegła niepokój wron, wzbijających się z trzepotem w niebo, które okryło się posępną szarością.

- Nie możemy zabawić tu długo - mruknął Lucien. - Znosi się na deszcz.

Kiedy dotarli do wioski, Lucien zaprowadził ją do ślicznego domku o ścianach z wikliny i gliny. Dach był kryty słomą, okna obramowane białymi okiennicami. Ogrodową ścieżką, otoczoną z obu stron chryzantemami, Lucien dotarł wraz z Alice do drzwi. Zastukał i nie czekając na zaproszenie, zajrzał do środka, wołając:

- Panie Whitby!

- A, to panicz Lucien - odezwał się starczy głos, słaby i drżący, a mimo to budzący respekt. - Tutaj jestem! Wybacz, drogi chłopcze, widać znów się zdrzemnąłem.

Stojąca z tyłu Alice usiłowała również zajrzeć do wnętrza, ale cały widok przesłaniały jej szerokie plecy Luciena.

- Bardzo przepraszam, że pana obudziłem.

- Nic nie szkodzi, mój drogi, nic nie szkodzi.

- Pańskie książki przybyły już z Londynu obwieścił Lucien. I przyprowadziłem panu gościa.

- Doprawdy? Bardzo proszę!

Lucien otworzył drzwi szerzej, zapraszając Alice do wnętrza. Ogromnie zaciekawiona weszła pierwsza i ujrzała schorowanego starca w okularach, skulonego w wyściełanym fotelu.

- Panie Whitby, mam zaszczyt zaprezentować pannę Alice Montague, córkę barona Glenwooda. Panno Montague, z najwyższą radością przedstawiam pani opokę mego niezbyt poza tym udanego dzieciństwa - powiedział z leciutką ironią. - Mój najczcigodniejszy mentor, pan Seymour Whitby.

Alice dygnęła wdzięcznie. Bardzo mi miło... Jakże się pan miewa?

Z wyraźnym trudem, wspierając się na lasce, pan Whitby podniósł się na nogi. Alice już chciała zaprotestować, by nie zadawał sobie tyle trudu z jej powodu, ale Lucien dotknął jej ramienia i lekko pokręcił głową. Serce jej się ścisnęło, gdy zrozumiała to milczące przesłanie. Kurtuazja wobec dam obowiązuje prawdziwego dżentelmena, choćby miał sto lat. Alice podeszła więc szybko do niego i dyskretnie go podtrzymała, podając rękę w powitalnym geście. Starzec uścisnął jej dłoń i skorzystał z podpory.

- Taka jestem rada, że mogę pana poznać - powiedziała Alice. Podniósł głowę i przyjrzał się jej badawczo zza okularów. Wąskie usta powoli wygięły się w płynącym z głębi serca uśmiechu.

- Widzę, moje dziecko, że jest pani równie dobra jak śliczna. Czy wolno mi poczęstować panią filiżanką herbaty? Moja gospodyni, niestety, jest akurat w kościele, ale jakoś sobie poradzimy... Doprawdy, mój paniczku! Znów zostawiłeś drzwi otwarte!

- Przepraszam... - wymamrotał Lucien z uśmiechem i zamknął energicznie drzwi.

- Od dwudziestu pięciu lat użeram się z tym chłopakiem - zwierzył się Alice pan Whitby, a jego niebieskie oczy skrzyły się wesołością. - Całki, różniczki, greka - wszystko to chwyta w lot... ale zamykania drzwi nie nauczył się do tej pory!

Alice roześmiała się zachwycona jego pogodą ducha i rzuciła Lucienowi porozumiewawczy uśmiech. Starszy pan zacisnął zreumatyzowane palce na rączce laski.

- Pan Whitby piastował niełatwą funkcję guwernera wszystkich braci Knightów, zanim posłano nas do szkoły wyjaśnił Lucien.

Musiało to być zadanie godne Herkulesa! - zauważyła Alice.

- No cóż... on chlubnie wykonał swoich dwanaście zadań, a ja ucywilizowałem jako tako pięciu młodych Knightów.

Alice śmiała się, coraz bardziej oczarowana starszym panem.

- Ogromnie bym chciała usłyszeć jak najwięcej o pańskich heroicznym trudach, ale niechże pan siądzie, bardzo proszę! Z przyjemnością napiję się herbaty i zaparzę ją, jeśli tylko pan pozwoli. Przynieśliśmy maślane bułeczki i ciasto biszkoptowe... a raczej to ja przyniosłam, gdyż pański wychowanek taszczył książki. Czy nie wygodniej byłoby panu z poduszką, panie Whitby? Lucienie, podaj mi tamtą z kanapy! - Gdy posłusznie wykonał jej rozkaz, podłożyła ją pod plecy starszego pana, który rozsiadł się wygodnie. Może troszkę bliżej ognia? Lucienie, przesun fotel!

- Mój Boże, narobiłem wam kłopotu - protestował pan Whitby, wyraźnie zachwycony, że tak się nim opiekują.

- Jaki tam kłopot! - ofuknęła go łagodnie Alice.

Lucien posłał jej spojrzenie pełne wdzięczności. Przyciągnął starego nauczyciela wraz z fotelem bliżej ognia, potem przysunął wyściełany taboret i usadowiwszy się na nim, zabrał się do wydobywania książek z torby. Kiedy obaj mężczyźni zaczęli je przeglądać i komentować, Alice przeszła do kuchni i stwierdziła, że duży kociołek pełen wody stoi na ledwie tłącym się ogniu. Właśnie tak powinna go zostawić doświadczona gospodyni, wychodząc z domu! Alice znalazła miech i podsyciła ogień; woda powinna się niebawem zagotować. Caro gardziła domowymi zajęciami, ale ona nie widziała w nich nic poniżającego. Lubiła troszczyć się o innych.

- Ależ wczoraj była wichura, prawda? - zagadnął właśnie starszego pana Lucien, gdy Alice wróciła do saloniku po puszkę z herbatą.

- Jeszcze jaka! Wiatr zerwał okiennicę - oznajmił pan Whitby. - Naprawdę? Gdzie?

- A tu. Z okna saloniku. Pani Malone ustawiła ją dziś rano pod ścianą domu.

Lucien wstał.

- Zaraz ją przymocują.

Pan Whitby chciał zaprotestować, ale jej wychowaniek zbył wszelkie protesty gestem ręki. Alice uśmiechnęła się do niego z aprobatą.

- Herbata lada chwila będzie gotowa.

- Uwiną się z tym raz dwa.

Posłał jej przez ramię uśmiech, od którego Alice zrobiło się ciepło na sercu, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Uświadomiła sobie, że nadal się uśmiecha i czerwieni jak pensjonarka, gdy zauważyła, jak bacznie obserwuje ją pan Whitby.

- No, no... To doprawdy niezwykle stwierdził stary nauczyciel, zerkając na nią zza okularów.

- Co takiego, proszą pana?

Chcąc ukryć swe zażenowanie, Alice zaczęła wykladać bułeczki i biszkopty.

- Panicz Lucien nigdy dotąd nie przyprowadził tu żadnej młodej damy. Uniósł krzaczaste siwe brwi i spojrzał wyczekująco. - Już się zadeklarował?

- Słucham?

- Pytam, czy się już oświadczył. Poprosił panią o rękę, moje dziecko? Spoglądała na niego całkiem zbита z tropu. Przeszył ją dreszcz radości.

Zadrżała leciutko, spuściła wzrok i zaczerwieniła się jeszcze mocniej. Nic miała odwagi wyjaśnić niezwykłych okoliczności, w jakich zawarła znajomość z Lucieniem.

- Ależ, panie Whitby! Lord Lucien i ja zaprzyjaźniliśmy się trochę... o niczym więcej nie ma mowy.

Odpowiedziało jej prychnięcie. Widać pani nie zauważyła, panno Montague, jakim wzrokiem on na panią spogląda! Nie uwierzyła chyba pani w te wszystkie brednie, jakie opowiada dla zamydlenia ludziom oczu?

Spojrzała na niego, uśmiechnęła się i przyznała z ociąganiem:

- Prawdę mówiąc, sama nie wiem, co myśleć o tym, co Lucien mówi i robi.

- Przyznaję, że chłopakowi prawda nie chce przejść przez gardło... ale to dlatego, że zawsze czuł się niezbyt pożądanym dodatkiem do tego świata. Od dzieciństwa porównuje się z paniczem Damienem - wyjaśnił starszek w odpowiedzi na pytające spojrzenie Alice. I wbił sobie do głowy, że nigdy bratu nie dorówna... Całkiem zresztą zrozumiałe: w dzieciństwie wiecznie chorował, a Damien był zawsze zdrowy jak rydz.

- Lucien chorował w dzieciństwie? - spytała Alice ze zdumieniem.

- Można by rzec, że cudem się uchował. Nie wspominał pani o tym? Wpatrująca się w niego wielkimi oczyma Alice pokręciła tylko głową.

- Ależ się rozgadałem! Lucien nawymyślałby mi pewnie od starych intrygantów, gdyby się dowiedział, że pani o tym wszystkim opowiadam... Chorował w dzieciństwie na astmę, i to bardzo ciężko. Od najwcześniejszych lat ta przypadłość nie pozwalała mu dotrzymywać kroku Damienowi ani pozostałym braciom. Spędzał wiele czasu w samotności... albo w moim towarzystwie. Nigdy się nie nauczył żyć w gromadzie, a przynajmniej nigdy nie czuje się wśród ludzi swobodnie. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przez tę chorobę przeczytał mnóstwo książek. Kiedy poszedł wreszcie do Eton, zasobem wiedzy prześcignął swych rówieśników o dobre trzy lata. Damien miał imponujące mięśnie, ale Lucien znacznie więcej rozumu - dodał starszy pan z uśmiechem spiskowca. Alice spoglądała na niego zaszokowana.

- Ale on nie jest już chyba ciężko chory, prawda?

- Nie, nie! Wyrósł z dziecięcej astmy w okresie dojrzewania, Bogu dzięki.

- Nauczyciel pokręcił smutno głową. - Ale do tego czasu pewne schematy i przekonania utrwaliły się raz na zawsze. Damien od samego początku przejął rolę jego opiekuna... Zawsze byli do siebie ogromnie przywiązani, ale może sobie pani wyobrazić, jak

ucierpiało na tym poczucie własnej wartości Luciena. Odkąd odzyskał zdrowie, na każdym polu, zwłaszcza w sporcie, stawia sobie niezmiennie zawyżone wymagania. Nie wystarcza mu, że dorówna innym. Duma nakazuje mu wszystkich przewyższać.

- Wiecznie sobie udowadnia, że jest coś wart?

- Właśnie! Musi więc pani, drogie dziecko, być w stosunku do niego bardzo łagodna i bardzo cierpliwa... ale on po stokroć na to zasługuje! Nie Ignie do każdego, niełatwo się przywiązuje, ale jeśli kogoś pokocha, to na zawsze. Szczerze lubiłem wszystkich moich wychowanków, ale muszę przyznać, że Lucien zawsze był moim faworytem. Bóg świadkiem, że mało kto tak jak on potrzebuje akceptacji innych!

Alice rozważała te słowa, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Lucien. Proszą zwrócić uwagę, jak starannie zamykam drzwi! - powiedział. - Melduję posłusznie, że okiennica wisi na swoim miejscu. Pogoda, niestety, nadal się pogarsza.

Zdjął płaszcz i rzucił go na kanapę.

Alice chwyciła puszkę z herbatą i spieszenie wróciła do kuchni. Woda w kociołku wrzała na wolnym ogniu, więc przepłukała ją najpierw porcelanowy czajnik, żeby się ogrzała. Następnie odmierzyła cztery łyżeczki cejlońskiej herbaty w myśl zasady „po jednej na osobę i jedna dla imbryczka”. Potem, gdy herbata już się parzyła, Alice zaczęła myszkować po kuchni w poszukiwaniu filiżanek, spodków i łyżeczek, a także cukru i mleka.

Niebawem wróciła do saloniku z pełną tacą.

Ogarnięta nagłą nieśmiałością unikała wzroku Luciena, podając mu filiżankę na spodeczku. Starszy pan uśmiechał się domyślnie, obserwując młodą parę. Alice usiadła, rozkoszując się aromatem herbaty, i z uprzejmym wyrazem twarzy przysłuchiwała się uczonej dyspacji obu panów. W duchu jednak nadal rozważała wszystko, czego dowiedziała się od pana Whitby'ego o samotnym dzieciństwie Luciena. Ręce lekko jej drżały od

gwałtownych emocji, które ogarnęły ją pod wpływem zaskakującej opowieści starego gubernera. Uświadomiła sobie, jakie szczere i jak bardzo osobiste było wyznanie Luciena: „Jestem zupełnie sam”. Jej wzrok, utkwiony dotąd w herbacianych fusach na dnie filiżanki, jakby chciała sobie z nich wróżyć, spoczął na twarzy Luciena.

Uśmiechał się ciepło, dyskutując ze starym nauczycielem na temat teorii Hipokratesa.

Pojęła, że choć mogło się to wydawać nieprawdopodobne, wyraził wówczas swe uczucia niezwykle jasno. Ten piękny, urzekający mężczyzna rozpaczliwie pragnął, by ktoś go pokochał!

Wzruszenie ścisnęło ją nagle w gardle. Gorzko pożałowała słów, którymi go wczoraj tak zraniła. Teraz wiedziała, jak trudno mu było otworzyć się przed kimkolwiek. A jednak zdobył się na to właśnie przed nią... a ona jak mu się odwdzięczyła? Z rozmysłem zadała mu ból podłym, tchórzliwym kłamstwem!

Alice ledwie mogła usiedzieć przy ogniu: instynkt nakazywał jej podbiec do Luciena i uściskać go z całej siły. Nagle spojrzał na nią. Straszliwie się zmieszała, ponieważ całkiem ją zaskoczył i mógł wyczytać z oczu wszystkie jej uczucia.

- Lepiej ruszajmy w drogę powrotną, jeśli chcemy zdążyć do domu przed burzą.

Spojrzał wymownie w stronę okna. Zarumieniona Alice zerknęła w tym samym kierunku i stwierdziła, że niebo bardzo pociemniało.

Skinęła głową bez słowa, starając się ukryć targające nią uczucia podczas pożegnania z panem Whitbym. Gdy Lucien dorzucił jeszcze jedno polano do ognia, Alice pod wpływem impulsu ucałowała dobrodusznego staruszkę w pergaminowy policzek.

Kiedy wyszli na dwór, Lucien otulił się szczelniej płaszczem i spojrzał na niebo niespokojnym wzrokiem.

- Wyraźnie się ochłodziło. Kto wie, czy burza nie zaskoczy nas w drodze? Może



powinniśmy ją tu przeczekać?

- Pan Whitby był już wyraźnie zmęczony, Lucienie. Co tam! Najwyżej trochę zmokniemy!

Spojrzał na nią, zastanowił się i przytaknął ruchem głowy. Poszli ścieżką do furtki, przy której spotkali panią Malone, gospodynię starego nauczyciela. Wracała właśnie z kościoła. Przywitali się z nią i pożegnali równocześnie, po czym ruszyli szybko polną drogą, ramię przy ramieniu.

W oddali dzwony kościoła parafialnego rozdzwoniły się jak na alarm. Powiał gwałtowny wiatr; Alice miała wrażenie, że ta wichura niesie na swoich skrzydłach tajemnicze zmiany, że ulatuje z nią całe jej dotychczasowe życie. Wystawiła twarz na działanie nieubłaganego, oczyszczającego wichru. Wpatrywała się we wronę, która z zawziętym krakaniem, wściekle wymachując skrzydłami, leciała pod wiatr. I w tym momencie spadły na nich pierwsze krople deszczu. Spojrzeli po sobie zaskoczeni.

- Chodźmy szybciej!

Nie ciążyły im już książki ani koszyk. Lucien chwycił Alice za rękę; czarne włosy powiewały mu na wietrze. Deszcz zaczął padać coraz mocniej, a oni biegli ręką w rękę po piaszczystej drodze. Wreszcie dotarli do leśnej ścieżki i zagłębili się w ciemną gęstwinę drzew.

Prędzej, prędzej! - powtarzał Lucien, ciągnąc ją za rękę. Biegli przez las, przeskakując zwalone pnie, wymijając skalne występy. - Właź! - popędzał Alice, popychając ją od tyłu na najbardziej stromych podejściach.

Korony drzew stanowiły początkowo wystarczającą osłonę przed siąpiącym deszczem.

Liście wirowały wokół Alice w podmuchach zimnego wiatru, który atakował ją ze wszystkich stron. Potem w lesie zrobiło się zupełnie ciemno, wichur jeszcze się wzmógł. Drzewa gięły się w jego podmuchach, sypały się liście, z trzaskiem łamały się gałęzie. Alice nie odrywała oczu od Luciena, którego widok dodawał jej odwagi. Przemierzał las bez lęku, w poczuciu własnej mocy, a czarny płaszcz łopotał za nim na wietrze. W opanowaniu Luciena było coś nadnaturalnego - jakby sam wywołał tę burzę i mógł ją w każdej chwili uciszyć.

Alice wyobrażała sobie Luciena - nieustraszonego wojownika - ruszającego do boju w kłębach czarnego dymu. Przypomniała sobie, że jednym z podstawowych zadań lekkiej piechoty był zwiad. Zwiadowcy szli przodem, przed kolumnami marszowymi swego regimentu, uprzedzając o możliwych zagrożeniach. Nic dziwnego, że byle burza nie była w stanie przerazić kapitana Luciena! O sobie, niestety, Alice nie mogła tego powiedzieć, zwłaszcza gdy w oddali zahuczał grom. Coraz bardziej zdenerwowana trzymała się jak najbliżej swego towarzysza. Tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. Spostrzegła, że niebo, od czasu do czasu ukazujące się nad ich głowami spoza rozkołysanych konarów, przybrało ołowianą barwę - podobnie jak oczy Luciena.

Byli niemal w połowie drogi do Revell Court, gdy nagle, bez ostrzeżenia, siąpiący kapuśniaczek przemienił się w ulewny deszcz. Puścili się biegiem, ale i tak po kilku minutach byli przemoczeni. Lodowata ulewa z głośnym szumem smagała kobierzec opadłych liści i przemieniła stromą ścieżkę w rzekę błota, w którym grzęzli, z najwyższym trudem wspinając

się pod górę. A w pobliżu nie było żadnego schronienia! Alice przemokła już do suchej nitki. Obramowane futerkiem okrycie, suknia, rękawiczki i buty - wszystko to było nieodwracalnie zniszczone. Podobnie jak jej reputacja, gdyby wyszło na jaw, że gościła bez przyzwoitki w domu Luciena Knighta.

Nagle nad ich głowami rozległ się ogłuszający grzmot. Z piskiem przerażenia Alice instynktownie rzuciła się do przodu i wpadła na Luciena. Objął ją ramieniem i pomógł odzyskać równowagę.

- Już wszystko dobrze - zapewnił.

Przywarła do niego, lecz wycie wichru i odgłosy burzy niemal zagłuszyły jego kojące słowa. Uniosła ku niemu poszarzałą twarz.

- Uciekajmy stąd!

Skinął głową i chwycił ją mocno za rękę. Droga była teraz mniej stroma, ale ścieżka wiła się w prawo i w lewo. Biegli uparcie dalej. Wiatr atakował ich jak horda rozwścieczonych diabłów, ścigał ich w leśnym mroku, ciskał w nich garściami liści, kawałkami kory, drobnymi gałązkami. Złośliwie łamał grube gałęzie, które spadały na ziemię tuż obok nich. Następny odcinek drogi znów był bardzo stromy. W dodatku tu i ówdzie sterczały wielkie głazy, niczym wysepki w morzu błota.

Lucien prowadził. Wspinał się przed Alice, co kilka kroków odwracając się do niej, by podać jej rękę i podciągnąć wyżej. Uparcie szła naprzód, choć strach krępował jej ruchy, a zęby szczękały z zimna; twarz miała opryskaną błotem, nogi drżały pod nią. Burza przewalała się nad doliną, rycząc i wyjąc niczym zły duch uwięziony we wnętrzu góry. Kiedy błyskawica przeszła niebo, a równocześnie piorun uderzył tak, że zatrzęsała się ziemia, Alice krzyknęła ze strachu i odskoczyła. Pośliznęła się na błocie, tracąc równowagę.

Lucien odwrócił się błyskawicznie. Zdążyła jeszcze dostrzec jego przerażoną twarz,

nim runęła do tyłu. Boleśnie uderzyła się o ziemię i pokoziołkowała w dół po błotnistym zboczu. Poczula paskudny ból, trafiając kolaniem na jakiś kamień. Spadała jednak nadal i zatrzymał ją dopiero pień rosnącego obok ścieżki smukłego drzewka. Uderzyła w nie lewym barkiem. Wstrząs był tak silny, że pozbawił ją tchu.

Lucien z zadziwiającą szybkością zsunął się po zboczu i w mgnieniu oka znalazł się obok Alice. Leżała na boku. Deszcz siekł ją po nieruchomej twarzy.

- Alice!

Runął na kolana obok niej. Gdy tylko jej dotknął, odzyskała świadomość. Wciągnęła powietrze do płuc i spojrzała na Luciena, zatrwożona i upokorzona. Twarz miał białą jak papier, pełną bólu.

- Nic nie mów. Tylko oddychaj! - powiedział, z trudem zachowując spokój. Wciągnęła znów powietrze w płuca; drżała przy tym lekko, zbierało jej się na płacz. Podniosła się do pozycji siedzącej i z najwyższym obrzydzeniem spojrzała na oblepiające ją błoto i liście, które do niej przylgnęły.

- Nie ruszaj się...

- Jestem brudna!

- Bogu dzięki, że nie jesteś martwa... - szepnął. - Uderzyłaś się w głowę?

- Nie, w bark - odparła.

Usta jej drżały. Chwyciła się za lewy bark i zaczęła go rozcierać.

- Najpierw sprawdzę, czy nie złamany - powiedział Lucien.

Trochę popiskiwała, gdy obmacywał jej staw barkowy i obojczyk aż do nasady szyi.

Czynił to z ogromnym skupieniem. Jego ściągniętą twarz zalewały strugi deszczu, oddech na zimnie zmieniał się w obłoczek pary. Alice obserwowała go, pogrążona w skrajnej rozpacz.

Czuła się niezdarną idiotką i była od stóp do głów oblepiona błotem!

Po chwili zaciśnięte wargi Luciena nieco się rozluźniły. Odczuł wyraźną ulgę.

- Co cię jeszcze boli?

- Kolano.

Była zbyt wstrząśnięta, by oponować, gdy zadarł wysoko jej spódnicę. Zaciśnął znów usta na widok krwi, która przesączała się przez białą pończochę na jej prawym kolanie.

- Możesz poruszać nogą?

Ostrożnie zgięła kolano kilka razy, po czym potwierdzająco skinęła głową.

- Chyba jest to tylko powierzchowne zranienie. - Podniósł wzrok i ujrzał łzy w oczach

Alice. Twarz mu od razu złagodniała. - Kochanie... - szepnął, obejmując ją. - Cicho już,

cicho... Nie płacz... - Gdy ją tak tulił, osłaniając od deszczu i burzy, czuła, jak mu wali serce. -

O Boże! Aleś mi napędziła stracha! Odsunął się nieco i wyjął z wewnętrznej kieszeni

chusteczkę. Była mokra. Otarł nią błotniste smugi z twarzy Alice. Czuła, że ręka mu drży. -

Obejmij mnie za szyję! polecił.

Sądząc z tonu jego głosu i z tego, jak unikał jej wzroku, Alice skłonna była

przypuszczać, że rozgniewała go swą niezdatnością. Spełniła więc bez słowa jego rozkaz.

Lucien wziął ją na ręce i wstał. Zmrużył oczy i ze stanowczym wyrazem twarzy zaczął ze

swym ciężarem wspinać się pod górę. W pierwszej chwili Alice chciała zaprotestować, choć

zdawała sobie sprawę, że z tak paskudnie potłuczonym kolaniem o własnych siłach nie

pokonałaby tego zbocza. Wkrótce jednak zorientowała się, że jest w dobrych rękach.

Obserwowała z podziwem, w jak szybkim tempie się posuwają. Lucien szedł z pochyloną

głową, by deszcz nie zalewał mu oczu, a jego muskularne ciało nie znało zmęczenia.

Alice spoglądała na niego z podziwem i wdzięcznością. Policzki miał zaczerwienione

od zimna, czarne włosy ociekały wodą. Na szczycie wzgórza przystanął na chwilę dla

złapania oddechu. Potem przymrużył znów oczy i z nową energią ruszył w dalszą drogą.

Alice obejmowała go za szyją, a głowę oparła na jego ramieniu. Ilekroć zagrzmiało, tuliła się do niego jeszcze bardziej. Wreszcie dotarli do skały, z której roztaczał się wczoraj taki wspa-  
niały widok. Lucien wyraźnie zamierzał wejść na skalny występ.

Alice zmarszczyła brwi.

- Czy musimy akurat teraz podziwiać...

- Cicho! I nie wierć się.

Niesione z wichrem krople deszczu siekły ją po twarzy. Nie ulegało wątpliwości, że mokry, śliski wapień nie jest pewnym oparciem dla stóp. Nim zdążyła spytać Luciena, po co to robi, ruszył niebezpieczną wąską ścieżką, która biegła wokół skalnego występu. Nie dostrzegła jej poprzednio. W pewnym miejscu niemal pionowo schodziła w dół. Oczy Alice rozszerzyły się z przerażenia; przywarła jeszcze mocniej do szyi Luciena, gdy ujrzała zionącą pod nimi przepaść, sięgającą dna doliny. Choć w głowie się jej kręciło, zerknęła w dół i odkryła pod skalnym występem wąską kamienną półkę. Niewątpliwie właśnie tam zmierzał Lucien. Owszem, mogło to być schronienie przed deszczem, ale gdyby Lucien się pośliznął, gdyby zrobił jeden fałszywy krok... byłoby po nich! On sam zdołałby się może uratować, ale trzymając ją w ramionach, z pewnością wylądowałby na dnie przepaści.

Lucien zdawał się nie dostrzegać grożącego niebezpieczeństwa. Alice wstrzymała więc dech na przerażająco długą chwilę, aż wreszcie Lucien znalazł pewne oparcie dla jednej, potem drugiej nogi i stanął szczęśliwie na kamiennej półce.

Kiedy postawił na niej ostrożnie Alice, spojrzała na niego morderczym wzrokiem, przerażona tym, że byli o włos od śmierci.

- Popatrz! - powiedział, wskazując coś za jej plecami; oczy lśniły mu srebrem w ubłoconej twarzy.

Alice odwróciła się i spostrzegła, że tuż za skalną półką znajdowało się wejście do

jaskini. Wyżej położony wapienny występ tworzył nad tym wejściem coś w rodzaju dachu.

- Jest połączona z grota, a pośrednio z Revell Court - wyjaśnił Lucien, ciężko dysząc. -

Ciemno w niej jak w grobie, ale przynajmniej burza nas tu nie dogoni. Jak tam twój bark?

- Boli.

Lucien zmarszczył brwi. Potem, schyliwszy się, wszedł do jaskini i zapalił znajdującą się tam latarnią. Alice stała przez ten czas na skalnej półce, przemoczona i drżąca. Lucien uniósł do góry rękę z latarnią, drugą zaś wyciągnął do dziewczyny.

- Zdołasz iść o własnych siłach czy mam cię wziąć na ręce?

- Mogę iść. Kolano mnie aż tak nie boli.

- Oprzyj się na mnie, jeśli chcesz. Będziemy szli ze dwadzieścia minut.

- Jak tu ciemno! - mruknęła, biorąc go pod ramię i zerkając w głąb wykutego w skale korytarza; wiele nie zobaczyła, gdyż światło latarni miało bardzo niewielki zasięg.

- Nie bój się, kochanie! - szepnął Lucien.

Nagle coś mu przyszło do głowy; ściągnął płaszcz i otulił nim Alice. - Nie zdejmuj płaszcza, Lucienie! - zaprotestowała. - Przeziębisz się!

- Cicho, cicho! Zęby ci szcękają. Idziemy! Trzymaj się mnie.

Alice już nie protestowała. Cieszyła się ciepłem jego ciała, które zachowało się w fałdach wełnianego płaszcza.

- Uważaj pod nogi! ostrzegł, podnosząc latarnię jeszcze wyżej.

Zniknęli w skalnym otworze, zupełnie jakby góra ich połknęła. Szli naprzód, posuwając się po wilgotnym, śliskim dnie jaskini. Alice tuliła się do swego towarzysza, słysząc trzepot skrzydeł jakichś latających stworów. Łatwo się domyśliła, co to takiego.

- Jaka jest twoja ulubiona piosenka? - spytał pogodnym tonem Lucien, wyczuwając jej zdenerwowanie.

- Bo ja wiem? Czemu o to pytasz?

- O ile mi wiadomo, każda dobrze wychowana panienka powinna mieć w swoim repertuarze co najmniej jedną piosenkę, która pozwoli jej zabłysnąć na muzycznym wieczorku lub proszonym obiedzie. Jestem pewien, że i pani, panno Montague, musiała przejść taką ogniową próbę.

Alice zdobyła się na uśmiech.

- Zapewniam cię, że ilekroć zanosilo się na coś podobnego, brałam nogi za pas!

- Nie możesz być mniej muzykalna niż ja! Słoń nastąpił mi na ucho. Bardzo energicznie.

- Nie wierzę!

- No, dobrze... Trochę przesadziłem - przyznał z łobuzerskim uśmieszkiem. -

Naprawdę nie lubisz piosenek?

- Nie mam nic przeciwko piosenkom ani muzyce wszelkiego rodzaju. Ale nie znoszę wystawiać się na pośmiewisko!

Roześmiał się, a i ona się uśmiechnęła. Śmiech odbijał się od ścian jaskini i budził wesołe echo w ciemnym korytarzu przed nimi.

- Choćbym miała tylko jednego świadka swojej kompromitacji - uzupełniła ze smutkiem w głosie, spoglądając w twarz Luciena, taką złocistą w ciepłym blasku latarni. - Jak wówczas, gdy turlałam się z górki!

Znów się roześmiał i objął ją ramieniem.

- Nie przejmuj się tak, moje biedactwo! - mruknął, głaszcząc ją delikatnie. - Bogu dzięki, żeś się bardziej nie potłukła! No, zaśpiewaj mi coś, to czas szybciej nam zleci!

- Mowy nie ma! Wystarczy, że raz się przed tobą zblądziłam. Ojej! Ile jest w tej pieczarze nietoperzy? Jak myślisz, Lucienie? Setki? - Poczowała ściskanie w gardle, gdy coś



czarnego przeleciało z łopotem i piskiem tuż nad ich głowami. - Tysiące?

Zamiast odpowiedzi Lucien zaczął cicho śpiewać. Głos miał ciemnej barwy, słodki, gorący. Alice nigdy dotąd nie słyszała tak pięknej ballady. Miała tęskną melodię i opowiadała o zakochanym rycerzu, który wraca z wyprawy krzyżowej do pani swego serca. Alice słuchała jak urzeczona, zapominając o panujących wokół ciemnościach, o nietoperzach, o przejmującym do szpiku kości zimnie, a nawet o swym bolącym barku. Kiedy ostatnia zwrotka dobiegła końca, echo w tunelu powtarzało jeszcze ostatnie tony melodyjnym szeptem.

Alice wpatrywała się w oświetlonego blaskiem latarni Luciena. Po chwili rzucił ku niej z ukosa niepewne spojrzenie, jak nieśmiały chłopiec, ale gdy wyczytał zachwyt w jej wzroku i uśmiechu, oczy mu rozbłysły.

Obiema rękami chwyciła się mocno jego dłoni.

- Zaśpiewaj coś jeszcze!

- Chętnie bym to zrobił, kochanie, ale już jesteśmy na miejscu.

Z trudem oderwała wzrok od jego pięknej twarzy i spojrzała w mrok przed nimi. Gdy Lucien uniósł w górę latarnię, Alice zobaczyła, że dalszą drogę zagraudzają starannie wpasowane w skalny otwór wielkie, drewniane drzwi. Lucien wysunął łagodnie rękę z uścisku dziewczyny i podszedł do nich. Sięgnąwszy do szczeliny w ścianie jaskini, wydobyl klucz, otworzył drzwi i przepuścił Alice przodem.

Dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy dotarło nagle do niej, że tym tunelem mogłaby uciec z Revell Court. Skoro tylko pogoda się poprawi, może już nazajutrz, łatwo będzie wymknąć się tędy rankiem, kiedy Lucien wraz ze swymi ludźmi zajmie się szermierką na sali ćwiczeń. Na tę myśl serce Alice gwałtownie zabiło. Wiedziała, że z domu zdoła dotrzeć do grotty. Potem zaś wystarczy otworzyć drzwi do tunelu i wyfrunąć na swobodę. Z pewnością w

wiosce pana Whitby'ego znajdzie kogoś, kto zaprowadzi ją do najbliższego zajazdu, gdzie zatrzymują się dyliżanse. W ten sposób będzie mogła wrócić do Glenwood Park i do Harry'ego!

Potraktowała ten pomysł z całą powagą i przez resztę drogi do groty rozglądała się dyskretnie. Potem z wyraźnym poczuciem winy obejrzała się na Luciena. Zmierzył ją bystrym, przenikliwym wzrokiem. Z pewnością dostrzegł jej reakcję, kiedy przechodziła przez drzwi. Teraz zdawał się czytać w jej myślach, odgadywać plan ucieczki. Nie powiedział jednak ani słowa.

Kiedy znaleźli się w grocie, Alice przypomniała sobie erotyczny sen, w którym Lucien grał główną rolę. Stały jej jak żywe przed oczyma wszystkie rozpustne szczegóły. Spłonęła rumieńcem i odwróciła wzrok. Lucien spojrział na nią z łagodnym wyrzutem i z latarnią w dłoni ruszył przodem w stronę wielkiego posągu smoka.

Zanim wprowadził mnie do tunelu, powinien był zastanowić się nad tym, że wskazuje mi drogę ucieczki! - myślała Alice. A potem uświadomiła sobie, że podjął świadomie to ryzyko, by osłonić ją przed deszczem i wichrem. Słodki czar śpiewanej przez niego pieśni nadal działał, gdy rozglądała się po grocie. Oświetlały ją promienie perłowszarego światła, które przedostawało się, podobnie jak cienkie strużki deszczu, przez szczeliny w wysokim skalnym sklepieniu. W szarawym świetle widać było kłęby podobnej do mgły pary, która unosi się nad wodą tryskającą z gorących źródeł. Rytmiczne bębnienie spadających kropeł rozbrzmiewało łagodnym echem w wielkiej jaskini niczym kojąca muzyka. Alice oglądała grotę nie po raz pierwszy, ale teraz wszystko wyglądało tu inaczej... a właściwie panowała tu całkiem odmienna atmosfera Alice miała wrażenie, że wszedłszy do podziemnego tunelu, wkroczyła w jakiś inny świat - pozornie identyczny z tym, który znała wcześniej, a w istocie całkiem od niego różny. A może to ona spoglądała na wszystko odmienionymi oczyma?

Tagrotanie jest wcale otchłanią piekieł! To jaskinia pełna ukrytych skarbów, myślała, wodząc wzrokiem po fantastycznej postaci smoka i strzelistych kolumnach korynckich.

Spojrzała na Luciena, który skończył zapalanie świec w wysokim metalowym kandelabrze, po czym postawił go w pobliżu basenu, wypełnionego wodą tryskającą z gorącego źródła.

- Co robisz? - spytała podejrzliwie Alice.

- Hm... Jakby to wyrazić taktownie? - Obrócił się do niej i ściągał zniszczone skórzane rękawice, udając, że się głęboko namyśla. - Szanowna panno Montague, co najmniej od pół godziny dygocze pani z zimna; nadwreżyła sobie pani bark i jest unurzana w błocie od stóp do głów. Nie ma rady, moja droga, trzeba wleźć do wody!

Zrobiła wielkie oczy. Spojrzała na basen pośrodku groty, a potem znów na Luciena.

- Do tej wody?!

- Właśnie. - Ależ...

- Nie zamierzam z tobą dyskutować. Tutejsze wody mineralne mają równie dobroczynne działanie, jak lecznicze kąpiele w Bath. Ściągaj te mokre łachy, nim się zaziębisz, i nie zapomnij przemyć jak należy swoich obrażeń! Zostawię cię tu samą i pobiegnę po mydło, ręczniki i suche ubranie. Mam nadzieję, że przywiozłaś suknię na zmianę? A pokojówka powinna wiedzieć, co jeszcze z damskiej garderoby będzie ci potrzebne.

Odwrócił się i ruszył wielkimi krokami, z nieugiętym wyrazem twarzy.

- Ależ, Lucienie!

Kiedy zatrzymał się i obejrzał na nią, dostrzegła wyraz udręki i dojmującej tęsknoty w jego srebrnych oczach.

- O co chodzi? - spytał niecierpliwie. Zauważyła, że Lucien drży tak samo jak ona.

- Chyba nie powinnam tego robić - powiedziała w rozterce.

- Miejże rozum, Alice! Zresztą rób, co chcesz.

I z tymi słowy pozostawił ją samą.

Przygryzła wargę i spojrzała na basen, bijąc się z myślami. Perląca się woda z gorącego źródła wprost zapraszała do kąpieli... unosił się nad nią obłoczek białej pary...

Alternatywę zaś stanowiła płytka wanienska pokojowa, napełniona letnią wodą, w której z pewnością nie zdoła porządnie umyć włosów. Alice popatrzyła po sobie z obrzydzeniem.

Była przemoczona, posiniaczona i okropnie zziębnięta. Suknia i buciki grubo oblepione błotem. Podgrzanie wody i napełnienie wanny potrwa co najmniej pół godziny. A ona do tego czasu złapie przeziębienie!

Ściągnęła rękawiczki i zeszła ostrożnie po kamiennych stopniach nad samą wodę.

Obejrzała się niespokojnie po pustej, mrocznej grocie, jakby z któregoś kąta mogła wyrzeć z groźną miną jej matka lub dawna guwernantka, bardzo surowa dama, by zbesztać ją za

podobne pomysły. Potem zerknęła na barwną mozaikę na podłodze wokół basenu, przykucnęła i zanurzyła na próbę dłoń w wodzie. Poczowała kojące ciepło w całym ramieniu.

Przynajmniej się nie przeziębnię! - powiedziała sobie w duchu. Z determinacją zaczęła się rozbierać, najszybciej i najdyskretniej jak mogła - w obawie, że Lucien wróci przed czasem i zobaczy więcej niż wypada. Najpierw zdjęła jego gruby czarny płaszcz i swoje obszyte futerkiem okrycie. Następnie drżącymi rękami rozpięła stanik upaćkanego błotem stroju podróżnego. Wysunąwszy ramiona z obcisłych, mokrusieńkich rękawów, ściągnęła suknię przez biodra, po czym wyskoczyła z ciepłej flanelowej halki i zdjęła zniszczone trzewiczki z koźlej skórki.

Ostrożnie odpiąwszy podwiązki i zrolowawszy pończochy, przyjrzała się dokładnie krwiakowi na kolanie. Wreszcie, odziana jedynie w białą koszulkę bez rękawów, zanurzyła

stopę w wodzie. Czysta rozkosz! Nie знаła dotąd podobnych luksusów. Pokusa była zbyt silna, by wahać się dłużej, toteż zeszła po schodkach, powoli zanurzając się coraz głębiej w tym rajskim basenie. Odblaski świec ze stojącego w pobliżu kandelabra tańczyły na powierzchni wody. Alice nie miała jeszcze odwagi zanurzyć się głębiej i oddalić poza zasięg światła.

Kiedy stanęła na najniższym stopniu, przekonała się, że basen ma tu głębokość około stu dwudziestu centymetrów. Bark i kolano Alice przestały boleć jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Ciało jej stało się nieważkie i poddawało się rozkosznej pieszczocie wody. Odprężyła się całkowicie. Po krótkiej chwili, oswoiwszy się z kąpielą w tym naturalnym kotle, w którym gorąca woda burzy się ustawicznie, Alice zatkała nos i dała nurka, spłukując z włosów wszelkie ślady błota i zimnego ulewnego deszczu.

Z każdą chwilą nabierała więcej śmiałości, raz po raz zanurzając się pod wodą. Pływanie w tym podziemnym basenie było niezrównanym przeżyciem, równie ekscytującym jak podniebny lot. Wynurzając się na powierzchnię, Alice miała zapierające dech poczucie wolności. Tak, była wolna jak jeszcze nigdy w życiu! Nie zdając sobie z tego sprawy, wyfrunęła z klatki, której nie opuszczała od lat. Poszukała znów stopami dna i stojąc po pas w wodzie, zaczęła starannie wyzymać długie, sięgające talii włosy o barwie czerwonego złota. I właśnie wtedy z mroku u podnóża schodów wykutych w wapiennej skale po przeciwnej stronie basenu błysnęły ku niej srebrne, świecące jak u wilka oczy. Wśród gęstych cieni coraz wyraźniej rysowała się maska postaci. To był Lucien! Nie odrywał od niej oczu, co jednak nie napawało Alice lękiem. Stała bez ruchu i także wpatrywała się w niego, gdy zbliżał się ku niej leniwym krokiem drapieżnika.

Jego rozpalony do białości wzrok błędził po jej ciele, by zatrzymać się wreszcie na piersiach. Alice zerknęła w dół i aż jej zaparło dech: cienka muślinowa koszulka stała się

zupełnie przezroczysta! Widać było przez nią dokładnie każdą linię ciała oraz ciemnoróżowe krążki sutków. Serce biło jej jak szalone, ale uniosła dumnie głowę i powściągnąwszy naturalny odruch osłonięcia się rękami czy choćby opuszczenia powiek, spojrzała prosto w zgłodniałe oczy Luciena.

Nie odwracając od niego wzroku, wypuściła z rąk skręcone w gruby sznur włosy, które opadły na jej plecy. Jawne pożądanie Luciena ustąpiło miejsca pełnemu czci uwielbieniu. Alice nie czuła ani zażenowania, ani strachu. Stała bez ruchu i pozwoliła mu patrzeć na siebie, gdyż w tej zakłętej chwili wzajemnego duchowego rozpoznania uświadomiła sobie, że nie tylko nie spotkała dotąd mężczyzny takiego jak Lucien Knight, ale - co ważniejsze nigdy nie spotka nikogo, kto będzie mógł się z nim równać.

Kiedy wpatrywał się w nią w niemym zachwycie, miał wrażenie, że świat nagle zatrzymał się w biegu. Była najpiękniejszą istotą jaką kiedykolwiek widział, dziewczyną nimfą wodną o delikatnej skórze, zaróżowionej i lśniącej, z długimi splotami rudozłotych włosów, wijących się wokół ramion i sięgających smukłej talii, w cieniutkiej muślinowej koszulce, unoszącej się na wodzie wokół jej kształtnych bioder jak białe płatki nenufarów, którym przyglądała się tak uważnie podczas spaceru po ogrodzie. Lucienowi zapierało wprost dech z zachwyty. A jednak w następnym momencie ogarnęła go trwoga na myśl o ryzyku, jakie podjął, by osłonić Alice przed burzą. Znała już tajemnicę tunelu; wiedziała, jak wymknąć się z Revell Court. Myśl o tym, że mogłaby od niego uciec, napełniała Luciena rozpaczą.

Zmusił się do oderwania oczu od Alice i zszedł nad samą wodę. Twarz miał skupioną, a ruchy opanowane, gdy układał na brzegu basenu ręczniki i ubranie, które dla niej przyniósł. Serce tłukło mu się w piersi. Poczul się nagle zmieszany, niepewny, co ma robić. Przyklęknął na jedno kolano nad wodą i podał Alice bez słowa kostkę pachnącego mydła.

Podpłynęła i stanęła przed nim. Woda spływała po jej ciele, błękitne oczy jaśniały jak

na witrażu z Chartres. Zadrżał pod dotykiem jej rozgrzanej mokrej ręki, gdy brała mydło leżące na jego dłoni.

Chciał spytać, czy bark mniej ją boli, ale nie mógł wykrztusić ani słowa. Próbował wymyślić jakiś zręczny komplement na temat jej niezwyklej urody, ale żadne słowa nie mogły oddać jego zachwytu. Był do głębi wstrząśnięty własną reakcją; sam już nie wiedział, kto tu kusi, a kto jest wodzony na pokuszenie.

- Dziękuję - powiedziała cicho. Ze zmysłową powolnością zanurzyła się znów w basenie; na jej ustach ujrzał zapraszający uśmiech. Pożądanie zapierało mu dech, gdy przyglądał się, jak Alice mydli swe nagie, wdzięczne ramiona. Pragnął czerpać uzdrawiającą wodę ze źródła jej ust, zlizywać ożywcze krople z jej ciała.

Jego pierś wznosiła się i opadała w ciężkim oddechu, spoglądał na Alice zgłodniałym wzrokiem i wiedział, że w tej chwili mógłby ją mieć.

To było takie proste. Wszedłby do wody i ostrożnie, umiejętnie uwiódłby ją, odurzył nieznanymi, rozkosznymi doznaniem. Odebrałby jej niewinność i dzięki temu zatrzymałby ją przy sobie na zawsze... Odrzucił jednak z odrazą takie rozwiązanie, zaskakując znów samego siebie. Nie w ten sposób przecież to była ona, Alice! Nie tu, nie w grocie to byłby jej pierwszy raz... nie była jeszcze gotowa! Oczywiście, że mógł wprowadzić ją w świat rozkoszy, o jakich nie miała pojęcia... ale pożałowałyby tego z pewnością, gdy minęłoby krótkotrwałe zauroczenie. Znienawidziłyby go. A on znienawidziłby siebie jeszcze bardziej. Choć pragnął Alice jak szalony, nie chciał zdobyć jej tanimi sztuczkami. Skończyłoby się na tym, że zniszczyłby ją, uczynił kimś równie zblazowanym jak on. Jeśli miał jakąś szansę udowodnienia samemu sobie, że on - szpieg, podły gad - nie stracił do cna honoru, musi dowieść tego w postępowaniu z Alice. Jedyna nadzieja odrodzenia polegała na wyrzeczeniu się wszelkich nędznych sztuczek i sięgnięciu do najgłębszych, najczystszych i najbardziej

wrażliwych zakamarków własnej duszy. Może wówczas okaże się godny jej zaufania?

Wiedział, że teraz nie jest go wart. W tej straszliwej chwili, gdy Alice runęła ze zbocza, z oślepiającą jasnością uświadomił sobie, że nie była jego nową zachcianką ani kolejną upatrzoną zwierzyną, tylko piękną i godną szacunku kobietą, z której życiem ośmielił się igrać. Cokolwiek się z nią stanie, on będzie za to odpowiedzialny.

- Nie wejdiesz do basenu? spytała zachęcająco, padając na wznak na wodę.

Oczy rozbłysły mu na widok jej białego, dojrzałego do miłości ciała, osłoniętego jedynie mokrym, cieniutkim muślinem. Z ogromnym wysiłkiem zdobył się na odpowiedź:

- Nie.

Uśmiechnęła się, na jej rzęsach rozbłysły kropelki wody.

- Przecież jesteś tak samo zmarznięty i ubłocony jak ja! A pewnie w dodatku bolą cię mięśnie po szermierce i boksie!

- Poczekam, aż się wykąpiesz - wykrztusił.

- Czemu?

Wstał z klęczek i patrzył na nią bez słowa, aż zgasł jej niewinny uśmiech, a w

błękitnych oczach błysnęło zrozumienie. Oblała się szkarłatnym rumieńcem i w jednej sekundzie odzyskała swą dziewiczą skromność.

Lucien przymknął oczy i modlił się o wytrwanie w swym postanowieniu. Tymczasem

Alice dała nurka i odpłynęła od niego, by zakończyć kąpiel na drugim końcu basenu, przy kamiennych stopniach oświetlonych blaskiem świateł.



Godzinę później Alice siedziała przed lustrem w swojej sypialni wypoczęta, odświeżona, ubrana w strojnniejszą z dwóch pozostałych sukien, które ze sobą przywiozła do Revell Court. Jej strój podróżny był - rzecz jasna - całkowicie zniszczony. W drugiej, prostej sukience z jasnoniebieskiego muślinu mogła chodzić rano po domu albo przed snem w zaciśniętej sypialni. Do obiadu z Lucieniem ubrała się w trzecią, którą można by określić jako wieczorową: z ciemnozielonego aksamitu, z nieco większym dekoltem. Alice bardzo lubiła tę aksamitną, miękką w dotyku suknię ze spódnicą gustownie udrapowaną z tyłu, z kwadratowym wycięciem pod szyją, obszytym kremową koronką, z podwyższoną talią, zaznaczoną czarną atłasową wstążką i kokardą pod biustem. Długie, wąskie rękawy wykończono również koronką. Na nogi Alice włożyła czarno - zielone aksamitne pantofle, nie tylko znakomicie dobrane do sukni, ale i ciepłutkie. Mimo to machała stopami w powietrzu, instynktownie unikając zetknięcia z zimną posadzką, gdy powoli rozczesywała włosy, wpatrzona w lustro nieobecny, rozmarzonym wzrokiem. Oczyma duszy widziała Luciena takiego, jaki mignął jej w chwili, gdy opuszczała grotę: rozbierał się właśnie, by zażyć kąpieli w basenie. Ściągał koszulę przez głowę, obnażając muskularne plecy, smukłą talię i potężne ramiona. Na samą myśl o tym kolana się pod nią uginały.

Wyrwało ją z marzeń stukanie do drzwi sypialni. Wstała i je otworzyła. Służący w liberii zwrócił się do niej z ukłonem:

- Dobry wieczór, madame. Jego lordowska mość prosi, by zechciała pani przed obiadem zajrzeć do biblioteki. Czeka tam na panią. Poleciał mi też wręczyć to łaskawej pani.

Wyciągnął ku niej trzymaną w obu rękach atłasową poduszeczkę, na której spoczywał klucz. Alice zmarszczyła brwi i biorąc do ręki dziwny prezent, spytała:

Co to za klucz? Twarz lokaja pokraśniała.

- To... hm... klucz od pani pokoju, madame.

- Ooo... - westchnęła, oblewając się szkarłatem. Serce jej nagle się rozszalało. Co to ma być? Wstęp do kolejnej intelektualnej zgadywanki w bibliotece? - Czy lord Lucien powiedział coś więcej?

- Nie, madame. Czy mam wskazać pani drogę do biblioteki? Alice się skrzywiła.

- Wiem już, jak tam trafić.

Gdy kilka minut później weszła do biblioteki, w pierwszym momencie ujrzała tylko nogi Luciena w wysokich butach oraz jego rękę opartą na poręczy fotela; od niechcienia obracał w palcach kieliszek z resztką czerwonego wina. Lord Lucyfer siedział twarzą do płonącego na kominku ognia. Fotel z narożnikami rzucał rogate cienie na ściany słabo oświetlonej biblioteki. Alice ostrożnie obeszła podejrzany mebel i spojrzała w twarz Luciena. Siedział w niedbałej pozie w wielkim skórzanym fotelu, z policzkiem opartym na dłoni. Popatrzył Alice w oczy, ale nie poruszył się ani nie odezwał do niej. W blasku ognia widziała wyraźnie pożądanie w jego oczach. Delikatnie zarysowane, miękkie wargi były lekko nadąsane i aż się prosiły o pocałunek.

- Dobry wieczór! - szepnęła i założywszy ręce do tyłu, stanęła przed nim. Spojrzał na nią bez słowa.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Jak tam twój bark? - mruknął wreszcie.

- Znacznie lepiej. Lucienie...

- Słucham? - odpowiedział, mając się wyraźnie na baczności.

- Czemu dałeś mi ten klucz?

- Mam go zabrać z powrotem? - spytał, po czym spuścił wzrok i potarł czoło. - Dałem

ci go, bo nie chcę, żebyś się mnie bała. - Spod ocieniającej czoło ręki rzucił Alice błagalne

spojrzenie.

- Wcale się nie boję - odpowiedziała. Podniósł głowę.

- Już wiesz, że możesz się stąd wymknąć tunelem. A teraz dostałaś klucz. Jeśli chcesz uciec, nie będę cię zatrzymywał.

Przez chwilę rozważała sprawę w milczeniu.

- Przestałam ci się podobać?

Oczy, przed chwilą wpatrzone w płomienie, zwróciły się znów ku niej z wyrazem nieskrywanej udręki.

- O czym ty mówisz, do licha?!

- Mogłeś się zrazić tym, że taka ze mnie niezgraba... Przewróciłam się na zboczu jak skończona idiotka...

- To ja jestem skończonym idiotą, Alice. Ja ponoszę całą winę - wymamrotał i usiadł prosto, cofając wyciągnięte nogi.

- Ty?

- Powinniśmy byli przeczekać burzę w domku Whitby'ego. Powiniennem być pilnować cię w trakcie wspinaczki. I nie należało zmuszać cię, byś tu została - dodał ciszej. - Ale nie mogłem się oprzeć...

Alice zbliżyła się o krok.

- Wiem. Dokucza ci samotność. Powiedziałeś mi o tym.

- Co ty tam wiesz! - odparł niemal wrogo i pokręcił głową. - Nawet ja sam nie wiem, co się ze mną dzieje, gdy jesteś przy mnie... Nie przypominasz nikogo, z kim się dotąd stykałem... - Urwał nagle. - Zdarzyło ci się kiedyś przebrać miarę w picciu, Alice?

Obracał trzymany w ręku kieliszek; rubinowy płyn wirował.

- Nie mam takiego zwyczaju.

- Oczywiście, to nie w twoim stylu - zauważył cierpko. - Pozwól więc, że cię oświecę:

im więcej się pije, tym większe ma się pragnienie. A potem już całe wino świata nie może ugasić tego pragnienia i marzy się o wodzie. O wodzie, rozumiesz? Wino rozwesela, ale do życia niezbędna jest woda. Czysta, słodka, źródłana woda. - Westchnął i zamilkł na chwilę.

Zapatrzył się w ogień. - Jestem straszliwie spragniony, Alice, spieczony żarem, trawiony ogniem jak potępiona dusza. Pragnę wody.

- Wiem - szepnęła.

Przyklękła obok jego fotela, wzięła Luciena za rękę i spoglądała na niego z naiwną szczerością. Chłonał wzrokiem każdy jej ruch, ale mocno trzymał się w ryzach.

- W porządku, Alice. Jeśli się boisz i chcesz uciekać, to uciekaj. Nie wezmę ci tego za złe.

- Nie boję się.

- A powinnaś! - W jego głosie zabrzmiała ostra cyniczna nuta. - Jeśli zostaniesz przy mnie, będzie to igranie z ogniem. Uciekaj, póki możesz!

- Cicho, Lucienie... Pozwól, że teraz ja coś ci powiem. - Przyłożyła końce palców do jego ust i po chwili poznała po oczach, że nieco się uspokoił i gotów jest jej słuchać. -

Winnam ci przeprosiny za moje wczorajsze zachowanie. Podalesz mi serce na dłoni, a ja... brutalnie je odtrąciłam.

Uniósł brwi ze zdumieniem. Odjęła rękę od jego ust.

- Przez cały dzień szukam odpowiednich słów, żeby ci powiedzieć, jak bardzo wstydzę się moich wczorajszych słów. Tego „nie dziwią się, że jesteś sam”. Co za bzdura!

Przecież dziwią się, i to bardzo, że jeszcze żadna z tych wszystkich dziewczyn, które na pewno się za tobą uganiają, nie zdołała cię zaciągnąć do ołtarza! A jeśli mam być zupełnie

szczera, Lucienie... ~ Spuściła wzrok i zwiesiła głowę. - Ja też jestem zupełnie sama. - Czują

na siebie jego spojrzenie. Zebrała się na odwagę i spojrzała na niego niepewnie. - Bardzo się na mnie gniewasz? Ani przez sekundę nie wierzyłam w to, co mówię...

Wychylił się nagle z fotela i wzięwszy delikatnie Alice pod brodę, zamknął jej usta pocałunkiem.

Kiedy ich wargi się zetknęły, wydała cichutki jęk. Przesłoniła oczy powiekami. Lucien objął jej głowę od tyłu i skłonił Alice do rozchylenia ust. Serce jej się rozszalało. Nie potrzebowała wiele zachęty do okazywania czułości: z zapalem przyjmowała jego pocałunki, obejmowała dłońmi jego gładko ogoloną twarz. Dziś pieszczoty Luciena miały smak porto. Rozkoszowała się nim, wabiła jego język w głąb swoich ust w zmysłowej radości powitania. Ręce jej drżały, gdy głaskała go po policzkach i przeczesywała palcami jego jedwabiste, czarne włosy. Z cichym jękiem pożądania objął ją ramionami w pasie, wyczuwając dziewczęcą talią pod kunsztownie udrapowanymi fałdami aksamitu i wodząc dłońmi po biodrach Alice. Starła się panować nad płomienną namiętnością, którą w niej rozniecił.

- Nie zniosą tego dłużej. Dość tych podchodów, tego udawania! - wyszeptał nagle i w chwilą później oderwał się od niej. W przejrzystej głębi jego oczu Alice dostrzegła obok gwałtownej namiętności nieklamany lęk. - Muszą wiedzieć, czego naprawdę chcesz! Zostać tu z własnej nieprzymuszonej woli czy uciec tym cholernym tunelem? Jeśli ty nie chcesz mnie, to i ja nie chcę ciebie, jasne? Nie będą cię tu więzić! Po tym, co się dziś stało! Ale jeśli nic do mnie nie czujesz, nie chcę przywiązać się do ciebie!

Urwał nagle, zaszokowany gwałtownością własnych słów.

- Czego naprawdę byś chciał?

- Żebyś została! - burknął zniecierpliwiony; twarz mu poczerwieniała. - Żebyś została cały tydzień, jak się umówiliśmy. Ale nie z musu, tylko z własnej woli... Dlatego że tak jak ja chcesz się przekonać, czy naprawdę coś nas łączy, czy to tylko... piękny sen.

Spojrzała na niego z prawdziwą czułością, ale i ze zdumieniem. Bez trudu mogła uwierzyć, że zależało mu na przelotnym romansie. Teraz jednak pojęła ze zdumieniem, że zainteresował się nią poważnie. Nie mieściło się jej to w głowie.

Odwrócił wzrok od jej twarzy, na której malowało się osłupienie, i westchnął z wyraźnym zażenowaniem.

- O Boże! Uważasz mnie pewnie za wariata, co? Lepiej zmykaj od razu! Mam kazać, by zaprzęgali do powozu?

- Nie! - zaprotestowała pospiesznie. Klęcząc nadal na podłodze między szeroko rozstawionymi nogami Luciena, zarzuciła mu ręce na szyję i wycisnęła gorący pocałunek na jego policzku. Zamknął oczy i pochylił nieco głowę, poddając się pieśczości, ale na jego twarzy malowała się udręka, a szerokie plecy się przygarbiły. Z ustami przy jego uchu wyszeptała: - Wiesz co, Lucienie...

- Co, Alice?...

Serce jej biło na alarm, ale zdobyła się na odwagę. To nic, że Lucien był nieprzewidywalny i niebezpieczny. Musi do niego dotrzeć!

- Myślę, że to coś... między nami... jest prawdziwe.

Słyszając te ciche, nieśmiałe słowa, zadrżał w jej objęciach. Otworzył oczy i przeszył ją pełnym bólu spojrzeniem. Wyszeptała jego imię, a on przyciągnął ją do siebie na kolana i ucałował z niezwykłą zachłannością. Gdyby Alice wątpiła jeszcze o jego szczerości, ten palący pocałunek rozwiałby ostatecznie jej obawy.

- O Boże! Dziewczyno, co ty ze mną wyrabiasz?! - szepnął po kilku minutach, zdoławszy się nieco opanować. Objął rękoma twarz Alice i delikatnie głaskał kciukami jej policzki. - Nie chcę zrobić ci krzywdy. Ani napędzić ci strachu.

- Wcale się nie boję. Ja też chcę cię poznać, wiesz?

- Wiem - odparł cicho i z namysłem skinął głową, nie odrywając od niej spojrzenia, które działało jak magnes.

Objął ją i skłonił do tego, by położyła się na jego kolanach, z nogami przewieszonymi przez poręcz fotela. Obsypywał ją pocałunkami i przez aksamit sukni pieścił jej udo.

- Jak się miewa biedne, kochane kolanko? - szepnął, pochylając głowę, by delikatnie ucałować.

Oczarowana tą pełną zmysłowości grą nie mogła wydobyć z siebie głosu. Uśmiechnął się chytrze i przesunął pieszczotliwie dłonią po jej nodze od kolana do kostki... po czym ręka zabłądziła pod spódnicę. Alice zarumieniła się lekko, ale nie protestowała. Miała wrażenie, że w tej chwili stanowią z Lucieniem jedność, i wiedziała, że on czuje to samo. Czytała w jego oczach bezmierną wdzięczność, jakby zgadzając się pozostać w Revell Court, wyrządziła mu wielką łaskę. Nie podejrzewał, że teraz nie wyjechałaby stąd za żadne skarby! Sięgnął palcem w głąb jej aksamitnego pantofelka i zaczął łaskotać ją przez pończochę. Alice chichotała i podskakiwała.

- Wiesz, moja panno, że jesteś cudownie piękna w każdym calu, od stóp do głów? -

szepnął i pochylił się, by pocałować ją w szyję. Nie przestawał jej przy tym łaskotać.

Alice całowała jego włosy, gdy drobnymi, gorącymi pocałunkami zmierzał w dół jej szyi, ku piersiom, przyprowadzając ją o zawrót głowy.

- Mogłabym to samo powiedzieć o tobie.

- Nie miałaś okazji przekonać się o tym jak ja - mruknął znacząco.

- Na razie.

Uniósł na moment głowę znad jej piersi. Alice rzuciła mu wyzywający uśmiezek.

- Mam ochotę naszkicować twój portret. Mógłbyś mi pozować *au naturel*.

- Cóż za szokujący pomysł! - wycedził ze słodką ironią.

- Tylko mi nie wmawiaj, że jesteś na to zbyt wstydlivy! Za dobrze cię już znam!

- Nie mam zamiaru wmawiać ci nic podobnego. Rzecz w tym, jak bardzo ty jesteś wstydliva... Tak się składa, że i ja miewam szokujące pomysły.

- Ty? Niemożliwe!

- A żebyś wiedziała! - szepnął, przesuważąc końcami palców po staniku jej sukni w czułym i prowokacyjnym geście.

Krew napłynęła Alice do twarzy, gdy poczuła, jak jej pierś pręży się pod lekkim dotknięciem przez aksamit. Nagle całe jej ciało stało się gorące, niezwykle wrażliwe.

- Jakież to szokujący pomysł strzelił ci do głowy, mój panie?

Gdyby go skarciła, może nie posunąłby się dalej... ale najwyraźniej Alice doskonale się bawiła, toteż nie ustępował. Dotknął jej sutka końcem palca i zataczał nim drobniutkie kręgi, pieszczotliwe i drażniące.

- Chcę ci sprawić rozkosz. Zaufasz mi? - szepnął, spoglądając Alice w oczy.

Jego ręka wśliznęła się pod spódnicę dziewczyny i sunęła powoli w stronę kolana.

- Co masz na myśli? - wykrztusiła, drżąc pod dotykiem gorącej dłoni, która z kolana przesunęła się już na udo.

- Pozwolisz się pieścić bez obawy, że stracę nad sobą panowanie? Zapewniam, że nic ci nie grozi. Chcę, żebyś w moich objęciach czuła się bezpieczna.

Z trudem przełknęła ślinę; serce zaczęło jej bić jeszcze mocniej.

- Może... jeśli mi obiecasz...

- Masz moje słowo.

- No to... chyba tak - wyraziła zgodę słabym głosem.

Otworzyła szeroko oczy, gdy poczuła jego rękę między swymi udami. Przeszył ją nagły, rozkoszny dreszcz. Oczy Luciena płonęły srebrnym ogniem. Alice sama już nie



wiedziała, czy powinna się wstydzić, czy nie. Wyczuł dotykiem, jak bardzo jest pobudzona.

Wciągnęła raptownie powietrze i zadrżała na całym ciele. Muskał ją końcami palców, aż wreszcie Alice jęknęła cichutko i opadła bezwładnie na jego ramię, dysząc ciężko.

Przy gorących, rozkosznych pieszczotach Luciena czuła się taka słaba... Objęła go ramionami za szyję. Tuliła się do niego, zdyszana i obolała. Wydała nieartykułowany okrzyk zdumienia i zaspokojenia, gdy zanurzył palec w tętniącym źródelku kobiecości, osłoniętej kępką wilgotnych kędziorów.

- Przyjemnie? - spytał gardłowym głosem, bacznie obserwując jej zachowanie.

Mogła tylko cicho jęknąć w odpowiedzi. Usta Luciena wygięły się w uśmiechu - ucieszyła go reakcja Alice. Pochylił się i ucałował ją namiętnie w usta. Ich języki splatały się, czuła jego oddech na swych ustach. Nie zaprzestawał leniwych pieszczot, aż wiercąc się na jego kolanach Alice instynktownie rozchyliła nogi.

- Chcesz więcej? - spytał chrapliwie.

Wydała cichutki jęk, zadygotała i objęła go jeszcze mocniej za szyję, gdy poczuła dotyk dwóch pieszczotliwych palców. O Boże... to było cudowne! O tym właśnie marzyła... nie, to było sto razy wspanialsze od wszystkich jej marzeń! A jednak ze zdumieniem uświadomiła sobie, że jest to ledwie zapowiedź pełnego szczęścia, jakie daje zespolenie się mężczyzny i kobiety.

Rytm baraszkującego w jej ustach języka zgadzał się z rytmem pieszczącej ją ręki.

Alice czuła, jak bardzo Lucien jest pobudzony, i to ją ogromnie podniecało. Był jednak wiemy danemu słowu i trzymał mocno swą namiętność na wodzy. W poczuciu

bezpieczeństwa Alice oddała się rozkosznym nowym doznaniom, których jej nie szczędził, podobnie jak żarliwych pocałunków. Serce tak się w niej tłukło, jakby miało wyskoczyć z piersi. Ogarnął ją zawrót głowy, wydawało się jej, że unosi się w powietrzu. Czyżby stanęła

na progu jakiegoś nieodkrytego dotąd raj? Czuła łagodną pieśczętę poruszających się wewnątrz niej palców - i nagle doznała orgazmu. Oślepijąco białe światło ogarnęło ją, wchłonęło w siebie... Krzyknęła i przywarła do Luciena. Urwanym głosem szeptał jej w jakimś nieznanym języku słowa miłości.

Namiętność przetoczyła się przez Alice jak rozszalały żywioł, pozostawiając ją bez tchu, wyczerpaną do cna.

- O Boże... - zdołała wykrztusić kilka minut później. Oparta o poręcz fotela odchyliła głowę do tyłu i oddychając ciężko, popatrzyła Lucienowi prosto w oczy. - To było... niesamowite!

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Polecam się na przyszłość, łaskawa pani! Uniosła się na łokciach.

- Jakim cudem nie zawłaszczyła cię dotąd żadna kobieta?

- Próbują, ciągle próbują... ale umiem uciekać. - Końcem palca kreślił małe gwiazdki

na jej brzuchu. - A może po prostu czekałem na ciebie? Popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Ależ z ciebie złotousty czarus!

- Dzięki za komplement.

Uśmiechnęła się i odgarnęła kosmyk włosów, który opadł jej na czoło.

- To wcale nie był komplement.

- Doprawdy? Mówię to z całą szczerością. Alice pokręciła głową.

- Sądziłam, że chodzi ci o zwykłą przygodę bez znaczenia... I to mnie nie dziwiło. Ale teraz, gdy traktujesz sprawę tak serio... nie mogę w to uwierzyć.

- Szczerze mówiąc, Alice, traktowałem cię serio od samego początku.

Zrobiła wielkie oczy.

- Naprawdę?!

Przytaknął, bawiąc się czarną atlasową wstążką wokół jej talii.

- Rozumiem! Grałeś rolę rozpustnika, który udaje, że ma najuczciwsze intencje...

podczas gdy w rzeczywistości miałeś najczystsze zamiary, tylko nie chciałeś się do nich przyznać?

- No właśnie!

Roześmiała się cierpko i pokręciła głową z niedowierzaniem. - Cóż za skomplikowane rozumowanie! Jedna prawda pod drugą, druga pod trzecią... jak warstwy cebuli! Spojrzał na nią z lekką urazą.

- Wolę, żeby było to rajske jabłko! Którym wąż kusił Ewę.

- Ono też do ciebie pasuje - przyznała z czułym uśmiechem, muskając palcami jego brodę. - Tylko mi obiecaj, że odtąd już nie będziesz odgrywał przede mną żadnych ról. Kręci mi się od tego w głowie! - powiedziała cicho. - Jesteśmy teraz przyjaciółmi, prawda?

Powinniśmy być ze sobą szczerzy.

Lucien skinął głową. Twarz mu spoważniała.

- Chciałabym ci zadać tyle pytań...

- Daj temu spokój, bardzo proszę.

- Co takiego?!

- Po prostu... nie pytaj mnie o nic. Ani o grotę, ani o uzbrojonych strażników, ani o nic innego.

- Czemu?! wykrzyknęła zdumiona, że tak od razu domyślił się, co ją najbardziej niepokoiło.

- Żeby nie musiał cię okłamywać - odparł. Spoglądała na niego, nie wierząc własnym uszom.

- Zaufaj mi - szepnął.

- Zaufaj mi i tyle? To wszystko, co masz mi do powiedzenia? Znów bez słowa skinął głową.

- Nie wiem, czy potrafię!

- W takim razie uciekaj stąd, Alice! warknął. Twarz pociemniała mu w mgnieniu oka.

- Decyzja zależy od ciebie. Ja byłem z tobą szczery. Zdjął ją ze swych kolan i posadził na fotelu, a sam ruszył ku drzwiom.

- Lucienie!

Odwrócił się. W blasku ognia widziała tylko jego sylwetkę wysoką i dumną.

- Wielu ludzi na tym świecie ma... zobowiązania, o których małej dziewczuszcze z Hampshire nawet się nie śniło.

- Uważasz, że jestem głupia? zachnęła się i zerwała na równe nogi.

- Nie głupia, tylko naiwna. Chowana pod kloszem. Na tym zresztą polega twój urok.

Nie chcę z tobą prowadzić wojny, Alice. W moich oczach jesteś... - Szukał odpowiednich

słów. - ...Aniołem, boginią... Ale niektóre moje sprawy nie mają, nie mogą mieć z tobą nic

wspólnego. Jeśli chcesz zostać ze mną, musisz spełnić ten jeden jedyny warunek: nie wtrącaj się do moich prywatnych spraw.

- Do twoich prywatnych spraw czy do twoich mrocznych tajemnic?

- Nazywaj to jak chcesz. Czy nie możesz dostosować się do tego przez tydzień? Nawet nie spróbujesz?

Alice skrzyżowała ramiona na piersi i wpatrywała się w niego przymrużonymi oczyma.

Westchnął ciężko i odwrócił wzrok.

- No cóż... W takim razie sprawa skończona. Idę na obiad. Zechcesz mi dotrzymać towarzystwa?

Kiedy Alice nie odpowiedziała, wpatrując się w niego z wyrzutem, odwrócił się i wyszedł.

Parsknęła z irytacją, gdy zniknął za drzwiami. „Mała dziewczuszka z Hampshire”! Nie wolno zadawać pytań?! Potraktował ją, jakby była dzieckiem... a ona, głupia, mimo wszystko nie chciała się z nim rozstać! Pragnęła go! Zatrzymał ją tu przemocą, wołającą o pomstę do nieba, a ona licho wie czemu w ciągu jednego dnia doszła do wniosku, że to będzie wspaniałe przeżycie! Przypomniawszy jej się Harry, chory na ospę wietrzną, i poczuła wyrzuty sumienia... Ale przecież malec miał przy sobie mamę i nianię. A to, co powiedziała Lucienowi o swej samotności, było w gruncie rzeczy zgodne z prawdą. Owszem, miała konkurentów, ale niewiele o niej wiedzieli. W dodatku byli zbyt egocentryczni albo zbyt tępi, by zdawać sobie sprawę z tego, że wcale jej nie znają. Z każdym z nich mogłaby wieść wygodne życie, ale żaden nie rozbudził w niej namiętności. A Lucienowi to się udało... Może z czasem nabierze do niej zaufania i powierzy jej swoje sekrety?

Jeszcze przez kilka minut stała w bibliotece, rozważając ten dylemat, aż wreszcie głośnie burczenie w brzuchu poderwało ją do działania. Ruszyła w kierunku jadalni, gdy nagle jej wzrok padł na stół, koło którego przechodziła. Układ figur na szachownicy nie uległ zmianie od wczorajszego ranka, kiedy to Lucien zastawił pułapkę na nią i na Caro. Spojrzenie Alice spoczęło na czarnym skoczku, którym Lucien zbił białą królową. Zauważyła teraz, że wykonując ten manewr, Lucien odsłonił się: byłby bezbronny wobec kontrataku przeciwnika. Na jej ustach pojawił się chytry uśmiešek. Że też on tego nie przewidział! Alice wzięła do ręki niepozorny biały pionek i jednym ruchem zbiła czarnego skoczka. Lucien miał słuszość. Była istotnie chowana pod kloszem. Ale spokojne, sielskie życie w Glenwood Park nauczyło ją cnoty nad cnotami: cierpliwości. Cierpliwością - jak mawiała niegdyś jej matka - można wygrać każdą batalię. A dziś ten przemiły staruszek, pan Whitby, ostrzegł ją, że postępowanie

z Lucienem wymaga ogromnej cierpliwości i łagodności. Wzięła hebanową figurkę do ręki i ucałowała czarnego skoczka, zanim odłożyła go ostrożnie na brzeg szachownicy. Potem z chytrym, lisim uśmiechem, którego nie powstydziliby się sam Lucien, udała się do jadalni. W eleganckim apartamencie hotelu Pulteney Rollo Greene spoglądał w osłupieniu na pozbawionego ludzkich uczuć jasnowłosego olbrzyma, który poprawiał przed lustrem biały krawat, a następnie ukrył nabity pistolet pod galowym czarnym frakiem.

- Nie piątego listopada, Bardou, na litość boską! - wykrztusił wreszcie. - To wielki festyn w rocznicę spisku prochowego. Na ulicach pełno będzie Bogu ducha winnych cywilów... i dzieci!

- Przydzielono mi ciebie do pomocy, Greene. Nie po to, byś mnie pouczał, jak mam wypełnić swoje zadanie - odparł zimno Bardou.

- Do licha, człowieku! Nie wiem jak u was we Francji, ale my w Ameryce nie załatwiamy porachunków, mordując bezbronnych ludzi!

Bardou wybuchnął śmiechem. Odwrócił się od Greene'a i twardym krokiem przeszedł w drugi koniec luksusowo urządzonego pokoju, do Sofii. Z ramionami skrzyżowanymi na piersi rosyjska piękność, oparta o stojącą pod ścianą konsolę, wydawała się gładka i lśniąca, czujna i zagadkowa jak syjamska kotka. Rollo dostrzegł błysk trwogi i nienawiści w jej migdałowych oczach, gdy Francuz zbliżał się do niej. Nie próbowała jednak, jak dawniej, uniknąć jego karesów; pogodziła się widać z tym, że została całkowicie zdominowana przez tego człowieka. Wzdrygnęła się tylko lekko, gdy Bardou chwycił ją za biodra, przyciągnął do siebie i ukrył twarz w zagłębieniu jej szyi.

Rollo skrzywił się i wbił wzrok w podłogę. Żałował, że nie jest w stanie pomóc Sofii, ale nie mógł sobie pozwolić na otwarty konflikt z Bardou z takiego powodu. Wszystkie swe siły musiał poświęcić sprawie akcji zaplanowanej na rocznicę spisku prochowego. Co roku na

terenie całej Anglii odbywały się wówczas festyny i wszędzie palono kukłę Guya Fawkesa.

Piątego listopada. Za dwa tygodnie.

Bardou do tej pory nie wtajemniczył Rolla w szczegóły swojego planu, ale

Amerikanin zdołał się już połapać, że dawny szpieg Napoleona zamierza dokonać w

Londynie znacznie więcej zniszczeń, niż sobie tego życzyli jego mocodawcy. Nie ulegało

wątpliwości, że nienawiść Claude'a Bardou do Anglików była o wiele głębsza niż uraza

plantatorów z Wirginii. Oni życzyli sobie akcji na znacznie mniejszą skalę, wymierzonej w

brytyjską armię, najlepiej w marynarkę wojenną.

Tymczasem Rollo Greene wiedział, że jeśli ktoś nie powstrzyma Bardou, zginie

mnóstwo niewinnych ludzi. Jeśli zaś świat odkryje, że za tą masakrą kryje się grupa

amerykańskich potentatów, będzie to straszliwa hańba dla prezydenta Madisona. Opłakane

skutki dla całej ojczyzny Rolla. No i koniec jego własnej kariery, jeśli spartaczy powierzone

mu zadanie.

- Bardou, proszę, żebyś zastanowił się nad przesunięciem terminu swojej akcji

powiedział jak najśłodszy tonem. - Jestem pewien, że nasi mocodawcy z Wirginii nie mieli

w planie rzezi londyńczyków...

- Zamknij się! - warknął Bardou, odrywając się od kochanki. Francuz w trzech susach

podbiegł do Rolla, chwycił go za kłapy i walnął nim z całą siłą o ścianę.

- Ja tu rozkazuję, a ty masz słuchać! Nie wchodź mi w drogę, bo wylądujesz na dnie

rzeki! - Puścił raptownie swą ofiarę. - A teraz wynocha stąd!

Serce Rolla tak waliło ze strachu, że w każdej chwili mogło pęknąć. Cały był

poobijany od zderzenia ze ścianą. Zerknął na Sofię. Odpowiedziała spojrzeniem równie

milczącym i obojętnym jak wzrok kotki. Potem napotkał pełne szaleństwa, bladoniebieskie

oczy Bardou.

- Powiedziałem: wynoś się! - warknął Francuz. Rollo nie zwlekał ani chwili dłużej.

Zwiął.

Claude Bardou wpatrywał się przez chwilę w drzwi, które zatrzasnęły się za Greene'em, po czym zwrócił się do Sofii.

- Nie ufam temu typkowi.

- Ty nikomu nie ufasz, Claude. Nawet mnie.

- Tobie najmniej! - odparł z bladym uśmiechem. - Idź za nim. No, już! Westchnęła z irytacją.

- Muszę?

- To śmierdzący tchórz i sprzedawczyk. Jeśli spróbuje mnie wydać, zabij go.

- Nie mogę go zabić, Claude. Przecież to twój łącznik!

- Już mi nie jest potrzebny. Rób, co mówię, Sofio. Bądź grzeczna - mruknął z pozorną łagodnością, za którą kryła się groźba.

Spojrzała na niego z niechęcią, ale wyciągnęła pistolet i sprawdziła, czy jest nabity.

Potem ukryła znów broń w pochwie na biodrze, tuż obok śmiercionośnego sztyletu.

- Informuj mnie o wszystkim. I nie próbuj uciec ode mnie, Sofio.

- Co też ty mówisz, kochanie!

Zarzuciła na ramiona długą, obrzeżoną futrem pelerynę i wyszła. Zatrząskując drzwi, rzuciła mu spojrzenie pełne nienawiści.

Kilka minut po odejściu Sofii rozległo się stukanie do drzwi. Ależ ci angole

punktualni! - pomyślał z ironią Bardou. Uzbroidł oko w monokl i przygładził krótko

przystrzyżone włosy. Gdy podszedł do drzwi, każdy by przysięgł, że to Prusak z krwi i kości - baron Karl von Dannecker.

Claude Bardou nie uznał za stosowne wyjaśnić Amerykanom, którzy opłacili to



przedsięwzięcie, że pod pozorem rozgrywki politycznej zamierza załatwić prywatne porachunki. Do tego właśnie potrzebny był mu Ethan Stafford, mogący wprowadzić go do najwyższych sfer. Dwukrotnie już Bardou brał udział w spotkaniach towarzyskich londyńskiej elity i Bardou, zasięgnąwszy dyskretnie języka, zdołał zebrać wstępne informacje na temat znenawidzonego wroga. Uznał, że tylko jedno może mu wynagrodzić osobistą klęskę, jaką był dlań upadek Napoleona: ostateczne zwycięstwo w prywatnej, nierozstrzygniętej dotąd wojnie z Lucienem Knightem. Jedynym przeciwnikiem, którego nie zdołał złamać. Jeńcem, który - nie do wiary! - przechytrzył go i wziął nad nim górę! Gdyby udało mu się unicestwić Argusa, Bardou byłby w stanie znieść wszystkie ciosy, jakie nań spadły: klęskę wielkiej sprawy, której poświęcił życie, sromotną abdykację Napoleona, wygnanie z ojczyzny. Lucien Knight uosabiał te wszystkie angielskie cechy, które doprowadzały Bardou do pasji. Nieznośna brytyjska duma Knighta i jego nieugięta postawa nie załamały się nawet pod wpływem tortur, których Bardou mu nie szczędził.

Agent Napoleona nie mógł znieść myśli o tym, że jego waleczny, szlachetnie urodzony przeciwnik, błękitnokrwisty szpieg, miałby żyć długo i szczęśliwie na tej nędznej wysepce, która ośmieliła się zatriumfować nad Francją, gdy jego własne życie i kariera legły w gruzach. By osaczyć wroga, musiał przy pomocy Stafforda przeniknąć do świata bogatych i utytułowanych londyńczyków. Musiał dowiedzieć się więcej na temat Knighta, by tym łatwiej go zniszczyć. Choć przez pięć tygodni Lucien - Argus był jego więźniem, Bardou nie wydobył z niego prawie nic. Ponieważ jeńiec okazał się wyjątkowo odporny na ból fizyczny, Bardou obmyślał najbardziej skuteczne tortury psychiczne. Wróg nie miał niestety żony ani dzieci... ale z jego czterech braci dwóch znajdowało się teraz w Londynie. Bardou był zbyt przebiegły, by porywać się na bliźniaka Argusa groźnego pułkownika, lorda Damiena Knighta. Ale najmłodszy z pięciu braci, zawadiaka lord Alec, wydawał się znacznie

łatwiejszą zdobyczą. Wielka szkoda, że ich młodziutka siostrzyczka, lady Jacinda, przebywa w Wiedniu. Nadawałaby się idealnie do jego celów! Pod jej nieobecność trzeba będzie posłużyć się którąś z kochanek Argusa. Tego wieczoru miał nadzieję zawrzeć znajomość z jego najnowszą flama, lady Glenwood.

Ukrywając swe zamiary pod obojętnym uśmiechem, Bardou otworzył drzwi.

- Dobry wieczór, Herr Stafford. Ethan Stafford skłonił się lekko.

- Witaj, von Dannecker! Gotów na łowy w Vauxhall?

- Od rana czekam na to z utęsknieniem - odparł Bardou, wkładając płaszcz, po czym starannie zamknął drzwi apartamentu hotelowego.

Anglik uznał swą nową znajomość za dość osobliwą... ale opłacalną. Toteż jeśli nawet przemknęło mu przez myśl, że baron von Dannecker nie jest tym, za kogo się podaje, był zbyt dobrze wychowany (a może zbyt wyrachowany?), by zadawać krępujące pytania.

Kilka minut później pędzili eleganckim powozikiem Stafforda przez ulice Londynu.

Mając znów pełne kieszenie złota, młody arystokrata nabrał animuszu i popisywał się zręcznością w powożeniu czwórką koni. Jechał tak brawurowo, że w mgnieniu oka znaleźli się nad rzeką, skąd promem przeprawili się na drugi brzeg, do słynnego parku rozrywki.

Stafford pokazywał swemu towarzyszowi oświetlone lampionami alejki, w cieplejsze wieczory pełne zakochanych par, oraz sztuczną kaskadę, która tryskała co wieczór punktualnie o dziewiątej, wprawiając w zachwyt wszystkich gapiów. Zajrzeli też do urządzonego z przepychem głównego pawilonu, który tętnił muzyką i jaśniał feerią świateł.

Bardou lustrował wzrokiem barwny tłum, nie zapominając o zachowaniu germańskiej wyniosłości i pychy.

Otóż i lady Glenwood! - rzucił półgłosem Stafford, chytrze zerkając z ukosa na swego towarzysza. - Nie mówiłem, że ją tu spotkamy?

Bardou spojrział na damę, której uklonił się Stafford. Była to skąpo odziana brunetka z lokami podrygującymi po obu stronach twarzy w kształcie serca. Miała nieprawdopodobnie wprost piersi! Wyraźnie zainteresowany Bardou uniósł brew. Baronową otaczał rój łaszących się mężczyzn.

- Ale ciało, co? - mruknął Stafford, trącając swego towarzysza w żebra. Bardou odwzajemnił się podejrzliwym spojrzeniem.

- Słyszałem, że jest z kimś związana... Jak mu tam? Lucien Knight, zdaje się. Znasz go, Stafford?

Ethan Stafford zamrugnął oczami ze zdumienia.

- No pewnie! - Zniżył głos. - To na przyjęciu u lorda Luciena Rollo Greene skontaktował się ze mną i poprosił, żebym się tobą zaopiekował.

- Doprawdy? - mruknął Bardou, starając się ukryć ogarniającą go wściekłość.

Czułem to! - pomyślał. Ten podły, obrośnięty sadłem szczur okłamał mnie! Łgał w żywe oczy, że nie zna Luciena Knighta! Całe szczęście, że posłałem za nim Sofię. No, no! Los się jednak czasem do mnie uśmiecha.

Odczuwał prawdziwą satysfakcję na myśl, że Lucien Knight baluje w swej wiejskiej rezydencji, zamiast mieć się na baczości. Bardou uznał, że dopóki będzie wiedział, gdzie jego wróg przebywa i czym się zajmuje, pozostanie panem sytuacji i zdoła wymierzyć mu cios w najodpowiedniejszej chwili. Nie zamierzał atakować Argusa w jego posiadłości; każdy czuje się pewniej na własnym gruncie. Lady Glenwood nadaje się w sam raz na przynętę. Zwabi Knighta do Londynu, gdy będzie w pełni gotów na jego przyjęcie.

- Bardzo się w niej kocha? - spytał od niechcienia Stafforda.

- No... chyba tak, jeśli odbił ją własnemu bratu. Nie dałbym głowy, że to miłość, ale coś do niej czuje. Osobiście mam wrażenie, że nasza ślicznotka wygrywa obu braci przeciw

sobie. Z takimi... atutami może sobie pozwolić na różne sztuczki! dodał najcichszym szeptem. Bardou zgodził się z nim całkowicie i obaj bez pośpiechu skierowali się w stronę pięknej damy. Jej uróżowane usteczka poruszały się nieustannie w beztrudnej paplaninie. Kiedy przyłączyli się do kręgu otaczających ją wielbicieli, Bardou zmarszczył brwi. Gadała stanowczo za szybko jak na jego znajomość angielskiego. Musiał sobie przekładać wszystko w głowie na francuski, a to zajmowało trochę czasu!

- Nie mogłam wytrzymać na wsi... przysięgam, że próbowałam! Ale przecież dziecko może równie dobrze wyzdrowieć w Londynie, jak w Hampshire, nieprawdaż?

Otoczający ją dandysi śmiali się, potakiwali wszystkiemu, co powiedziała, i gapili się na jej biust.

- Kiedy pani ładniutka Szwagierka wróci do Londynu? - zagadnął jeden z nich.

- O, panna Montague jest ciężko chora, biedactwo! - odparła, cmokając językiem na znak współczucia. - Nie może opuścić swego pokoju w Glenwood Park. Influenza. Doktor powiedział, że powinna pozostać w domu jeszcze tydzień... Będziesz się musiał zadowolić mną, *mon cheri*.

- Lady Glenwood - odezwał się Stafford. - Przybył właśnie do Londynu mój przyjaciel z Prus...

- Z Prus? - zainteresował się jeden z otaczających baronową podpitych dżentelmenów.

Reszta powitała przybysza, wołając z aprobatą:

- Zdrowie generała Bluchera!

- Dziękuję w imieniu Prus - odparł Bardou ze sztywnym ukłonem; uśmiechał się nadal, choć nienawiść aż w nim kipiała, gdy ci durnie wznosili kieliszki, by uczcić pruskiego generała, wiernego sprzymierzeńca Anglii.

Stafforda rozśmieszyły te błazeństwa pijaczków. Z niezrównanym wdziękiem

prawdziwego dżentelmena skłonił się lekko lady Glenwood.

- Jak już wspomniałem, mój przyjaciel baron bawi po raz pierwszy w naszym kraju i zamierzam olśnić go pięknnością naszych angielskich róż. Chyba żadna nie zrobi na nim większego wrażenia niż pani, lady Glenwood. Czy mogę zatem przedstawić go pani?

- Co za pochlebca z ciebie, Stafford! Oczywiście, że możesz. Uśmiechnęła się promiennie do Bardou. Nawet jego, zapiekłego w swej wrogości, zbiła z nóg. Mogła być znenawidzoną Angielką, ale od razu wyczuł, że to kobieta tego pokroju, jaki mu najbardziej odpowiadał. A poza tym może się przydać...

- Lady Glenwood, mam honor przedstawić barona Karla von Danneckera z Berlina - dokonał oficjalnej prezentacji Stafford. Panie von Dannecker, oto nasza najpiękniejsza róża, lady Glenwood.

- Miło mi pana poznać, baronie. Witamy w naszym kraju - powiedziała z uśmiechem. - Nie wiem, czy zdołam pana olśnić, jak sobie życzy Stafford.. . ale zrobię, co w mojej mocy.

- Lady Glenwood, udało się to już pani w zupełności - odparł Bardou, skłonił się i pocałował ją w rękę.

- Te urocze kontynentalne maniere! - szepnęła z wyraźnym zainteresowaniem. - Proszę mi mówić Caro. - Obrzuciła zuchwałym spojrzeniem jego szerokie bary i potężną postać. Potem ich spojrzenia zwały się; wyczytali w nich nagłe wzajemne pożądanie. - Zawsze podziwiałam Prusaków - mruknęła jak kotka. - Tacy ogromni... Tacy... mocarni. Stojący obok niej chuderlawy młodzieniec o brudnych, przetłuszczonych włosach skrzywił się ironicznie na te uniesienia. Caro spojrzała na niego krzywo.

- Panie baronie, niech mi wolno będzie przedstawić mego nieznośnego braciszka: wicehrabia Weymouth. Nilesie, to baron von Dannecker.

Bardou skinął głową wycieńczonemu, niechlujnemu młodzieńcowi, który z trudem

trzymał się na nogach. Cera wicehrabiego miała niezdrowy odcień, małe ciemne oczka były dziwnie szkliste.

- Jesztem oszarowany... - wymamrotał i stłumił chichot, podnosząc do ust kieliszek.

Opium, pomyślał Bardou, starając się ukryć wżgardliwy uśmiech.

- Jak ty się zachowujesz, obrzydliwcze? Proszę nie zwracać na niego uwagi, baronie!

Jest kompletnie zalany - strofowała brata Caro, głaszcząc go równocześnie po szczeciniastej brodzie, jakby był dzieckiem. - A poza tym każdego próbuje naciągnąć na pożyczkę.

Wzdrygnęła się z obrzydzeniem, gdy jej brat, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje i co robi, podrapał się po od wieków niemytej głowie i zaczął oglądać brud za paznokciami.

Nawet Claude Bardou patrzył na to z niesmakiem.

- Czy zgodzi się pani zatańczyć ze mną, lady Glenwood?

- Z miłą chęcią!

- Tak, tak, siostrzko... rób, czo ci każe - wymamrotał Weymouth. - Z Prusakami...

lepiej nie żartować...

Bardou rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie i podał ramię baronowej. Wsparła się na nim z uśmiechem. Chichot Weymoutha ścigał ich, gdy ruszyli w stronę parkietu do tańca.

Caro zauważyła, że jej towarzysz nieznacznie utyka. Spojrzała na niego ze zdziwieniem, po czym się zatrzymała.

- Nie musimy tańczyć, jeśli pan za tym nie przepada - zauważyła.

- Nie chciałbym sprawić pani zawodu - odparł przyciszonym głosem. Rzuciła szybkie, znaczące spojrzenie w dół, poniżej jego pasa, a potem zerknęła na niego spod rzęs.

- Drogi baronie! - wymruczała po kociemu. Nie sądzę, by to było możliwe.

Minęły trzy dni. Cudowne dni! Lucien i Alice byli nierozłączni. Jeśli nawet istniał jakiś świat poza otaczającymi dolinę skalnymi szczytami, nie chcieli o nim wiedzieć. Alice dostosowała się do życzenia Luciena i nie zadawała mu żadnych pytań; on ze swej strony powstrzymywał się od uwiedzenia jej. Razem dostąpili szczęścia, które - choć niepewne jutra - było szczerze, proste i niewinne. Wspólne dni, przesycone łagodnym słońcem jesieni, upływały im na wiejskich rozrywkach: łowili ryby, jeździli konno, polowali na bażanty i zajęce. Żyli po królewsku, korzystając ze szczodrych darów ojczystej ziemi, pili dużo wina i siedząc przy kominku, gadali bez końca - nieraz do świtu. Niekiedy grywali w szachy. Czasami wspólnie czytali poezje. We wtorek, kiedy przez cały dzień padało, grali w kręgle na pokrytym kurzem parkiecie dawnej sali balowej. Potem ruszyli na zwiedzanie dworu, wzniesionego w epoce Tudorów, a następnie rozbudowywanego w sposób dość chaotyczny. Nawet Lucien nie znał wszystkich pomieszczeń w swoim domu. Kiedy indziej siedzieli tylko jedno przy drugim w radosnym milczeniu, trzymając się za ręce i spoglądając sobie w oczy. Każde z nich zastanawiało się nad zagadką, jaką stanowiła ta druga osoba. Alice często myślała o tym, jak łatwo mogli się pierwszego wieczoru rozminąć w tłumie i nie doszłoby wówczas do przypadkowego spotkania.

Nie wyobrażała już sobie życia bez Luciena. Widocznie spała przedtem zaklęta jak królewna z bajki, czekając na pocałunek, który ją obudzi. Teraz miała wrażenie, że Lucien był zawsze częścią jej istnienia - miała go we krwi i w sercu. W środę wieczorem leżała na skórzanej kanapce w słabo oświetlonej bibliotece, z głową na kolanach Luciena, który śpiewał jej do snu i głaskał ją po włosach. Ostatnią jej myślą przed zaśnięciem było: pokochałam go całym sercem, na wieki! Radość płynącą z tego objawienia mąciło przeczucie, że pod pozornym spokojem Revell Court i zagadkowym milczeniem jego właściciela ukrywają

się niebezpieczne prądy i wiry.

„Nie zadawaj pytań, to nie będę cię okłamywać”.

Wiedziała, że Lucienowi zależy na niej, ale zainteresowanie jej osobą nie osłabiło w nim apetytu na wyuzdane uciechy; trwały w najlepsze przygotowania do kolejnej orgii w grocie. Sprowadzano nieprawdopodobne ilości wina. Na dziedzińcu Alice spostrzegła kilku strażników w czarnych płaszczach; zajęci byli czyszczeniem broni. Napawało ją to lękiem, że kryje się za tym jakaś tajemnica, coś jeszcze bardziej mrocznego i groźniejszego niż bachanalia w grocie. Coś złowieszczonego. A jej ukochany z oczyma pełnymi niewypowiedzianych sekretów stanowił siłę napędową tego wszystkiego.

Alice nie była pewna, czy należy podejrzewać Luciena o czyny przestępcze, czy bezbożne. Nie wiedziała też, która z tych dwu ewentualności byłaby gorsza. Bała się go pytać, by nie zniweczyć czaru ich rozkwitającej miłości. Nie chciała ujrzeć ponownie przerażającego oblicza Luciena, które poznała tamtego pierwszego wieczoru w niewielkim pokoiku wewnątrz smoczej głowy. Lucien był idealnym kochankiem... o ile nie protestowała przeciw postawionym przez niego warunkom. Prawdę mówiąc, warunek był tylko jeden i tylko jednego jej zabroniono... Nękana tymi obawami Alice krążyła nerwowo po swej sypialni, podczas gdy Lucien ćwiczył się w szermierce z piątką swych niezmordowanych towarzyszy. Próbowала się z nimi zaprzyjaźnić poprzedniego dnia, wkrótce jednak odkryła, że wszelkie próby wydobywania z nich informacji są daremne. Nadal też nie umiała określić, jaką rolę odgrywają ci młodzieńcy w Revell Court. Na służących byli zbyt dobrze urodzeni, na przyjaciół Luciena trochę za młodzi. Wydawali się ściśle związani z tym, co się działo w grocie.

Niech to wszyscy diabli! Po co mu w ogóle te koszmarne przyjęcia? Lucien, którego znała, był wrażliwy, obdarzony wybitną inteligencją i siłą. Musiała powstrzymać się z



wydaniem ostatecznej opinii na jego temat do chwili, gdy sam, z własnej nieprzymuszonej woli, zdecyduje się wyznać jej wszystko. Gdyby zamierzał wiecznie ją oszukiwać, wymyśliłby jakąś bajeczkę dla uspokojenia wszelkich jej obaw. Ale on zbyt ją szanował, by zbywać kłamstwami. Chyba to o czymś świadczy?

Tak czy inaczej koniec tygodnia, który mieli spędzić razem, zbliżał się wielkimi krokami. Co będzie potem? Rozejdą się w różne strony... czy zostaną razem? Alice nie wyobrażała sobie, by mogła pozostać z Lucieniem, gdyby nie udzielił odpowiedzi na wszystkie jej pytania. Choćby nawet zdecydował się na oświadczyzny, nie zamierzała pójść na oślepa za mężem, który licho wie czym się zajmuje. Ta niepewność przysparzała jej stale bólu, podobnie jak obecność Luciena była źródłem nieustającego szczęścia. Wiedziała, że nie powinna tolerować jego wiecznych sekretów, ale nie potrafiła się go wyrzec. Ktoś taki jak on działał na kobiety niczym narkotyku: mógł stać się im równie niezbędny jak krople laudanum dla chorego.

Czepiając się kurczowo nadziei, Alice odsunęła od siebie wszelkie obawy i wybiegła, by spotkać się z Lucieniem na sali treningowej. Nic nie rozpraszało jej obaw skuteczniej niż jego uśmiech. Gdy obserwowała go podczas ćwiczeń, jego męska uroda budziła w niej pożądanie. A jednak na widok błyskawicznych ruchów jego szpady i wilczego uśmiechu na jego twarzy Alice zadawała sobie pytanie, czemu Lucien wkłada tyle pasji w rutynowe ćwiczenia. Gdyby walczył z jednym tylko przeciwnikiem, porąbałby go chyba na kawałki! Nie ulega wątpliwości, że Lucien podczas treningu zmaga się nie z nimi, ale z kimś innym, ze zniechęconym wrogiem. Gdybyż się jej zwierzył! Wiedziała, że cierpi, ale nie wyjawiał jej przyczyny swego cierpienia. Z czasem zorientowała się, że jest w stanie pomóc Lucienowi, gdy pogrążony w myślach i nieobecny duchem wpatrywał się w ogień, przywoływać go z powrotem z mrocznej otchłani. Przyciągała go łagodnie do siebie i obsypywała najgorę-

szymi, najczulszymi pocałunkami. Może właśnie to, co go nękało w chwilach takiej zadumy, leżało u podstaw muru, który ich rozdzielał?

Kto wie... - zastanawiała się, spoglądając na Luciena z przepelniającym ją grzesznym pożądaniami. Gdybym oddała mu się z własnej woli, może obdarzyłby mnie w zamian zaufaniem? Jednak myśl o podjęciu takiego ryzyka napełniała ją trwogą. Mogła albo zdobyć ukochanego na zawsze... albo stracić wszystko. Wpatrywała się więc nadal w Luciena, nie mogąc oprzeć się myśli, że walczy z zawiązanymi oczami o jego duszę. Zdobył właśnie kolejny punkt w walce z przeciwnikami, którzy otaczali go kręgiem. Otarł ręką czoło i znów rzucił się do ataku.

Lucien wiedział, że Claude Bardou jest blisko, coraz bliżej. Wyczuwał to instynktownie. Sam nie umiałby tego wytłumaczyć, ale przez te wszystkie lata potajemnych działań na terytorium wroga szósty zmysł uprzedzał go z coraz większą precyzją o zbliżającym się niebezpieczeństwie. W ciągu kilku dni spędzonych w towarzystwie Alice Lucien czuł, że jego życie rozdzieliła się na dwa nurty - ciemny i jasny - płynące równocześnie całkiem odmiennym torem. Od tak dawna był tylko mrocznym stworem w krainie cienia... Czuł jednak, że tej dwoistości nie wytrzyma długo. Wkrótce będzie musiał dokonać wyboru. Dwie siły przyciągały go w dwóch różnych kierunkach. Tylko otaczające Alice światło nie pozwalało mu pograć się ostatecznie w mroku, by pokonać emanujące z Bardou zło potęgą własnego zła. Jedynie miłość Alice stanowiła przeciwwagę, wyłącznie ona powstrzymywała go od stoczenia się w otchłań z krawędzi, po której stąpał od tak dawna. Jedno było pewne: z całego serca nienawidził okłamywania Alice. Pragnął wyznać jej wszystko, ale nie wiedział, jaka będzie jej reakcja. Jakże by mógł zaryzykować utratę dziewczyny, dzięki której utrzymywał się jeszcze na brzegu przepaści?

Każda chwila z Alice była bezcennym, niezmiernie kruchym darem losu, podobnie jak

złocista wspaniałość słońca zamknięta w kropli rosy. Lucien pragnął nade wszystko zapewnić Alice niezmacone szczęście. Powierzono mu jednak zadanie niezwyklej wagi, związane z bezpieczeństwem ojczyzny. Miał też obowiązek pomszczenia przyjaciela, którego krew splamiła niestety także i jego ręce. Tak więc Lucien po raz pierwszy w życiu doświadczał prawdziwej miłości i uczył się ją okazywać, a równocześnie sprzeciwiał się jej najświętszym zasadom, chwytając innych w sieci ich własnych grzechów, gotów na wszystko, byle dostać w swoje ręce Claude'a Bardou.

We czwartek po południu skończył pisanie listów w gabinecie na poddaszu Revell Court i wyruszył na poszukiwanie swej pięknej towarzyszki. Znalazł ją na pierwszym piętrze w dużym, utrzymanym w wiejskim stylu salonie, w towarzystwie jego pięciu towarzyszy. Z zapałem pracowała nad szkicem, do którego pozował Marc Skipton (Zet); czterej pozostali młodzieńcy obsiedli ich dokoła, dogadując i sypiąc żarcikami, popijając kawę i wychwalając talenty Alice, a zwłaszcza doskonale uchwycone podobieństwo na każdym z portrecików. Niezauważony przez nikogo Lucien zatrzymał się w drzwiach, obserwując Alice w milczeniu, z prawdziwą rozkoszą.

- Ani rusz nie mogę zrozumieć, czemu używacie tych niemądrych przezwisk - zastanawiała się głośno.

Starła się pociągnąć chłopców za język, ale niczego z nich nie wydobyła.

Podcieniowała nieco mocniej ciemne, kędzierzawe włosy Zeta i ukończywszy swe dzieło, starannie wyrwała kartkę ze szkicownika i wręczyła portretowanemu.

Marc uniósł brwi ze zdumienia.

- Panno Montague, jest pani genialna!

- Żeby mi się jeszcze udało namówić lorda Luciena do pozwania... - powiedziała z westchnieniem i uśmiechnęła się na jego widok.

- I bez ciebie wiem, jak wyglądam. Mam brata bliźniaka, nie pamiętasz? Swobodnym krokiem podszedł do niej od tyłu i oparłszy dłonie na jej ramionach, uściśnął je delikatnie.

Alice pogładziła go lekko po ręce.

- Ale to nie ma być twój bliźniak, tylko ty! Mój Lucien. Tamten drugi nic mnie nie obchodzi. Pozwól mi naszkicować twój portret! - nalegała, odchylając głowę do tyłu i spoglądając na niego przymilnie.

Zarumienił się lekko, gdy wypowiedziała te pełne miłości słowa w obecności jego towarzyszy. A oni poparli ją jak jeden mąż.

No, Smoku, nie daj się prosić - przekonywał z szerokim uśmiechem Marc, pokazując swój portret. - Zobacz, jak mnie wspaniale naszkicowała!

- Nawet z Talberta potrafiła zrobić przystojniaka - zauważył O'Shea (Pe - en).

A na to trzeba geniusza!

- Wypraszam sobie! - obruszył się Talbert.

- Daj sobie zrobić portret, Smoku - wtrącił Jenkins (Pe - de). - Będziemy mieli do czego celować na strzelnicy!

Bardzo dowcipne - odparł Lucien.

- No, Smoku, ustąp damie! - namawiał ze śmiechem Marc.

- Nie daj się prosić! - zachęcała go Alice.

Lucien opierał się jeszcze, ale nie potrafił jej niczego odmówić.

- A niech ci będzie! - burknął w końcu, gotów zapłacić każdą cenę za to, by znaleźć się w centrum jej uwagi.

Alice klasnęła w dłonie z radości, a chłopcy zaczęli wiwatować. Pociągnęła go za rękę i zmusiła, by usiadł naprzeciw niej.

- I przestań się wykrzywiać, bo tak cię uwiecznię na portrecie!

Lucien westchnął. Zgodziłby się wcześniej na pozowanie, ale nie lubił, gdy ktoś mu się zbytnio przypatruje w pełnym świetle. Teraz jednak zdjęła go ciekawość. Jak też wygląda w oczach Alice? Nie macie nic innego do roboty, panowie?

Młodzieńcy wymienili znaczące uśmiechy i skierowali się do wyjścia. Wychodząc, raz jeszcze podziękowali Alice i bardzo starannie zamknęli za sobą drzwi.

- Tak będzie lepiej, nieprawdaż? - mruknął Lucien.

- Oni są bardzo mili!

- A ja jestem bardzo zaborczy. Chcę cię mieć tylko dla siebie.

- O ja nieszczęsna! - zrobiła minę uciśnionej niewinności i usadowiwszy się na taborecie, sięgnęła po węgiel i szkicownik. Zdmuchnęła drobnutki pył węglowy i zaczęła uważnie studiować twarz modela. Zauważywszy płomienne spojrzenie Luciena, prychnęła:

- Nie kuś mnie, Lucyferze! Nie widzisz, że pracuję?

Uśmiechnął się z żalem i przerzuciwszy rękę przez oparcie fotela, przybrał swobodną pozę. Jesienne słońce, wpadające do pokoju przez rozdzielone słupkami okna, mile go rozgrzewało, a delikatny szmer węgla sunącego po papierze działał relaksujące. Siedzieli tak przez kwadrans w milczeniu.

Spoglądając na Alice zaborczym wzrokiem, Lucien napawał się pięknem jej twarzy, na którą padał słoneczny promień. Te czerwone błyski w złotych włosach... nic dziwnego, że taka z niej złośnica! Zmarszczyła płowe brwi w skupieniu, pochłonięta pracą... Rzęsy miała niezwykle gęste... a spojrzenie tych kobaltowych oczu zawsze zbijało go z nóg. Na policzkach i delikatnym, arystokratycznym nosku garstka bladozłotych piegów. Jej piersi były szczytem doskonałości, a doskonale kształtne biodra wydawały się stworzone do rodzenia dzieci. Jego dzieci.

Dobry Boże! Nigdy się nie spodziewał, że ta dziewczyna urzeknie go do tego stopnia!

Nagłość i ogrom tej miłości przerażały go, ale nie mógł się jej oprzeć. Pragnął Alice coraz bardziej...

Nagle zerknęła na niego, pochyliła głowę na bok i wyraźnie się nad czymś zastanawiała.

- Coś tu jest nie w porządku...

Odezwało się w nim poczucie winy; zdrętwiał niepewny, co Alice ma na myśli.

Odłożyła szkicownik i węgiel, wytarła ręce w szmatkę i podeszła do niego.

- O co chodzi? - spytał z niepokojem. Pociągnęła żartobliwie za fular.

- O to... i o to - wyjaśniła, chwytając rękaw surduta. - Masz na sobie za dużo ubrania.

- No, no! - mruknął z szerokim uśmiechem.

- Mógłbyś zdjąć z siebie co nieco?

- Czego się nie robi dla sztuki? - odparł, a serce zamarło mu z wrażenia.

- Zostaw, lepiej ja się tym zajmę.

Obdarzyła go figlarnym spojrzeniem i zaczęła rozwiązywać mu fular. Z leniwym uśmiechem odchylił się do tyłu na krześle.

- Rób ze mną, co chcesz!

- Żebyś wiedział, że zrobię!

Trąciła go w kolana, by rozstawił nogi, i stanąwszy między nimi, ściągnęła rozwiązany fular, spoglądając Lucienowi w oczy. Następnie rozpięła mu surdut i zsunęła z ramion. Kiedy pochylił się do przodu, by pomóc przy zdejmowaniu, otarł się twarzą o jej piersi. Alice cofnęła się o kilka kroków, starannie złożyła surdut i przewiesiła go sobie przez ramię.

Lucien, nie mogąc złapać tchu z podniecenia, nie odrywał oczu od jej wdzięcznie kołyszących się bioder, potem zaś od uroczych pośladków, gdy Alice schyliła się, by

przewiesić surdut przez oparcie najbliższego fotela.

- Zadowolona? - spytał.

- To jeszcze nie koniec!

Odwróciła się i znów skierowała się ku niemu. Bez słowa zajęła dawne miejsce między jego rozstawionymi nogami i energicznie wyszarpnęła mu koszulę zza paska.

Lucien się uśmiechnął. Boże, ależ go podniecała!

Alice bez pośpiechu rozpięła wszystkie guziczki i ściągnęła mu koszulę z ramion, sunąc przy tym pieszczotliwie dłońmi po jego ciele. Lucien wpatrywał się w nią zafascynowany i uległy. Był pobudzony w najwyższym stopniu. Alice pochyliła się i uporawszy się z koszulą, ucałowała go w nagie ramię, a następnie drobnymi całuskami przemierzyła całą drogę od barku aż do szyi. Lucien odrzucił głowę do tyłu. Jego tętno rozszalało się pod dotykiem warg Alice. Pieściła jego tors jedwabistymi dłońmi, głaskała go po ramionach, przeczesywała palcami włosy Luciena, zniewalała go każdym żarliwym dotknięciem. Objęła go w pasie delikatnymi rękoma, przytuliła na moment i ucałowała w czoło.

- Jakiś ty piękny, Lucienie! - szepnęła.

Chwycił ją za nadgarstek, przygarnął znów do siebie i spojrzał jej w oczy z bolesnym pożądaniem.

- Kiedy, Alice? Jak długo jeszcze każesz mi czekać?

Zmierzyła go podejrzliwym spojrzeniem i zwinnie wysliznęła się z jego uścisku.

- To zależy.

Wlepił w nią wzrok, oczekując wyjaśnień, gdy usiadła z powrotem na taborecie naprzeciw niego.

- Powiedz tylko, czego chcesz!

- Obawiam się, że gdybym poszła z tobą do łóżka, uznałbyś mnie za drugą Caro.

- Nigdy w życiu!

Przesłoniła rzęsami oczy i rozważała jego słowa ze skromną minką. - Lucienie...

- Słucham?

- Jeżeli dam się przekonać... co się wtedy stanie? Uniosła powieki i spojrzała w jego osłupiałe oczy.

- Co się stanie? - powtórzył, chcąc zyskać na czasie i sformułować najwłaściwszą odpowiedź.

Uważaj! Nie spłosz jej! Na litość boską, powiedz to, co trzeba! - pomyślał.

- Właśnie.

Rozpaczliwie szukał odpowiednich słów. Całe jego ciało tętniło dzikim pożądaniem, odkąd pojął, że Alice naprawdę rozważa taką możliwość.

- No cóż, *cherie*, przez chwilę będzie cię bolało, ale potem zaznasz prawdziwej rozkoszy...

- Mówię o tym, co będzie jeszcze później! - wykrzyknęła, zasłaniając twarzyczkę szkicownikiem w odruchu urażonej skromności.

- Jeszcze później? - Pozwolił sobie na butny uśmiezek, ale serce biło mu na alarm. - Chyba będę musiał ożenić się z tobą.

Zerknęła na niego zza szkicownika.

- Będziesz musiał?!

- Daj spokój, Alice - powiedział z nutką łagodnego wyrzutu. - Dobrze wiesz, że szaleję za tobą!

- Czyżby to miały być oświadczyzny? Wpatrywał się w nią przez chwilę z bijącym sercem.



- No... chyba tak. Czemuż by nie? - Z trudem przełknął ślinę. - Co ty na to? To

znaczy... zgodzisz się wyjść za mnie?

W jej uśmiechu był cień współczucia, ale oczy iskrzyły się humorem.

Powiedz no, iloma językami władasz? W każdym jesteś taki wymowny? Skrzywił się okropnie.

- Pewnie mnóstwo razy proszono cię o rękę... i założę się, że moje oświadczyzny były najmniej efektywne ze wszystkich...

- Istotnie - potwierdziła.

- Ale ja się oświadczam po raz pierwszy w życiu, łaskawa pani, więc proszę o odrobinę wyrozumiałości!

- Możesz na nią liczyć - zapewniła z całą powagą, sznurując usta, by nie wymknął się jej ironiczny uśmieszek.

Lucien zmrużył oczy. - Ty mała jędzo!

Wstał z krzesła, podszedł do niej i nachyliwszy się, ucałował ją mocno. Potem z czułą troską starł smugę węgla z czubka jej nosa.

- Tylko sobie nie wyobrażaj, że możesz mi dać kosza! Wiem, że nabrałaś w tym dużej wprawy, ale tym razem masz do czynienia ze mną! - dodał, spozierając na nią groźnie.

- Z jego diabelską mością lordem Lucyferem?

- We własnej osobie. - Rzucił okiem na szkic Alice i zdumiał się podobieństwem. - A

niech mnie! - Chwycił szkicownik za rożek i obrócił, żeby lepiej widzieć, ale ona trzepnęła go po ręce.

- Nie podglądaj!

- Znakomity szkic! powiedział z zachwytem.

- Jeszcze nieukończony! burknęła, przyciągając do siebie blok rysunkowy, bardzo

ostrożnie, by nie zamazać portretu.

Na ustach Luciena igrał uśmiech. Alice była tak cudowna, nawet gdy się wściekała.

Delikatnie wziął ją pod brodę i spojrzał badawczo w oczy.

- Słuchaj no, mała! W sobotę, kiedy tylko moi goście się wyniosą, wyruszymy do Szkocji i w środę będziemy już po ślubie.

Zrobiła wielkie oczy.

- Do Szkocji?!

- Tak! Do Gretna Green.

- Jak te wszystkie panienczki, co spuszczaają się po drabince z okna sypialni?!

Wyrwała się z uścisku Luciena i spojrzała na niego z niesmakiem.

- Tak - powtórzył mniej już pewnie.

Zmienna jak angielska pogoda Alice stała się nagle uosobieniem poprawności.

Wskazała Lucienowi fotel, z którego się przed chwilą podniósł.

- Siadaj! - poleciła ze spojrzeniem nieznoszącym sprzeciwu. Zmarszczył brwi w odruchu buntu, ale zrobił, co mu kazano.

- Ależ z ciebie będzie sekutnica, jak się zestarzejesz!

- A z ciebie stary zbereźnik!

- Wiem, że specjalna licencja byłaby lepsza, ale biskup nigdy mi jej nie wyda. Uważa mnie za Antychrysta!

- A co masz przeciwko tradycyjnym ślubom z zapowiedziami? - spytała wyniosłym tonem. - Czyżby taka ceremonia była według ciebie w złym guście?

Lucien pokręcił głową i uśmiechnął się ironicznie.

- To dobre dla kmiotków.

W rzeczywistości drżał na myśl o zapowiedziach, przez trzy tygodnie z rzędu

ogłaszających wszem wobec kto i z kim się żeni. Claude Bardou już go z pewnością szuka!

- Rozumiem. - Alice opadła na taboret z westchnieniem rezygnacji; oparła policzek na dłoni i mierzyła Luciena wzrokiem. - No cóż... bywają gorsze nieszczęścia niż ślub w Gretna Green. Przystąpmy zatem do następnej kwestii.

- A mianowicie?

Usiadła prosto, z rękoma splecionymi na kolanach. Wbiła wzrok w podłogę i z rumieńcem na policzkach spytała z ociąganiem:

- A jeśli... będziemy mieli dziecko?

Spojrzał na nią zbity z tropu. Jako zatwardziały kawaler powinien wpaść w panikę i uciekać, póki jeszcze czas... On jednak, diabli wiedzą czemu, uśmiechał się tylko. Spoglądał na Alice, sam zdumiony własną reakcją.

- To by nie było takie złe! A ty jak sądzisz? Do oczu Alice napłynęły łzy radości.

- No to jak, Alice? Zafundujemy sobie paru maluchów, żeby się nam plątały pod nogami?

Roześmiała się przez łzy i zasłoniła usta ręką.

- Jasne, że tego byś chciała! - szepnął, odczytując jej myśli. - Straciłaś najbliższych i nade wszystko pragniesz mieć własną rodzinę. Prawda?

Omam nie wybuchnęła płaczem. Lucien przyklęknął obok niej, objął ją ramionami i przymknął oczy.

- Sama nie wiesz, ile dla mnie znaczysz, skarbie! Odsunęła się i pospiesznie otarła łzy.

- Wiem, jak lubisz życie towarzyskie... Nie sądziłam, że zechcesz wziąć sobie na głowę taki kłopot...

Przerwał jej pełne niepokoju słowa lekkim pocałunkiem i musnął jej nosek czubkiem własnego nosa.

- Nie rozumiesz, że pragnę tego wszystkiego, czego ty chcesz? Jeśli masz ochotę zostać wzorową mamą, ja będę wzorowym tatą! A poza tym... - Spojrzał jej w oczy i dodał z wahaniem: - Dobrze wiem, jak się czuje dziecko, kiedy ojciec je traktuje niczym powietrze. Nigdy bym nie pozwolił tak cierpieć własnemu maluchowi! - Urwał i pokręcił głową. - Dobry Boże! Kto by pomyślał, że będę wygadywać takie rzeczy!

- I naprawdę myślisz to, co mówisz?

- Mówię z głębi serca. - Poglaskał ją po ramieniu. - Jeśli naprawdę sobie tego życzysz, postaram się, żebyś co roku miała dziecko. Zaczniemy od razu. Kiedy się spodziewasz miesięcznej słabości?

- Ależ, Lucienie!...

- Nie masz się czego wstydić. Powiedz mi! Niewiele brakowało, a zostałbym lekarzem, zamiast iść do wojska... No więc?

- Za dzień lub dwa...

- Wielka szkoda - powiedział z czułym uśmiechem. - Nie najlepsza pora na zapoczątkowanie dynastii.

- Tak się cieszę, że podobnie patrzymy na te sprawy... Ujął jej dłoń i ucałował.

- Ale, Lucienie, jest jeszcze jeden problem...

- Co takiego, kochanie? Mów otwarcie, a ja na pewno go rozwiążę szepnął. - Jesteśmy już prawie u celu!

Spojrzała mu głęboko w oczy.

- Czy naprawdę chcesz, żeby nasze dzieci były świadkami takich rzeczy, jakie się dzieją w grocie?

Jego pewny siebie uśmiech zgasł.

- Lucienie, nie wyjdę za kogoś, o kim nic prawie nie wiem! Oto moja odpowiedź na

two oświadczyły: jeśli spełnisz trzy moje życzenia, poślubię cię bez wahania. Po pierwsze - powiedz mi, co się tu dzieje? Obawiam się, że grozi ci poważne niebezpieczeństwo... albo uwikłałeś się w jakąś zbrodnię...

- Uważasz mnie za kryminalistę?! - krzyknął, zrywając się na równe nogi.

- A nie mam racji?

- Alice!

- Lucienie, twojej posiadłości pilnuje zastęp uzbrojonych strażników! Żaden uczciwy człowiek nie potrzebuje takiej ochrony...

- Do wszystkich diabłów! - Skoczył jak oparzony i wlepił w Alice wzrok pełen buntu; był zaszokowany, że wtrąca się w jego sprawy i stawia mu takie wymagania. - Zamierzasz mi dyktować, co mam robić?!

Wzdrygnęła się i spuściła oczy.

- Chcę ci tylko pomóc.

- Pomóc?! Chyba wziąć pod pantofel, ale ci się to nie uda! Jeśli nie możesz zaakceptować mnie takim, jaki jestem, tracimy tylko czas!

- Jesteś... jesteś nie do zniesienia! Skarżysz się na samotność, ale ani rusz nie chcesz wyleźć ze swej skorupy... choć mógłbyś zrobić to bez trudu, gdybyś tylko spróbował!

- Strażnicy są mi potrzebni w Revell Court, bo mam wrogów. Ale to jeszcze nie powód, żebyś robiła ze mnie kryminalistę!

- Niebezpiecznych wrogów? Prychnął pogardliwie.

- Myślisz, że tak ostro trenuję szermierkę i boks dla samej przyjemności?!

- Czy oni chcą cię zabić, Lucienie?

Westchnął ciężko i trochę zmiękł; sumienie go ruszyło na widok jej bladości.

- Czy twoja rodzina nie mogłaby ci pomóc? Damien albo Hawkscliffe...

- Niech cię o to głowa nie boli, Alice. Potrafię zadbać o siebie... i o ciebie. Moja rodzina nie ma z tym nic wspólnego. No, dalej! Podaj resztę tych twoich warunków. Nie mogę się już ich doczekać!

Zamrugnęła oczyma i odzyskała panowanie nad sobą.

- Po drugie, życzę sobie, żeby jutrzejsze spotkanie w grocie było już ostatnim!

Rozwiąż to wstrętne stowarzyszenie! Nie chcę, żeby ci okropni ludzie mieli jakiś udział w życiu naszych dzieci i w naszym... jeśli mamy być razem. A po trzecie, proszę, byś odbył poważną rozmowę z Damienem i żebyście sobie wszystko wyjaśnili... Wiem, jak bardzo cię boli rozdźwięk między wami...

- To doprawdy wspaniałe propozycje... ale dziękuję, nie skorzystam! Alice cisnęła szkicownikiem o ziemię i zerwała się z miejsca. Krzyżując ramiona na piersi, zmierzyła Lucienę zimnym spojrzeniem.

- A co będzie, jeśli się uprę przy tych warunkach? Jeśli powiem, że nie ma mowy o łóżku, a tym bardziej o małżeństwie, póki nie zamkniesz groty na cztery spusty i nie przysięgniesz, że żaden z tych okropnych typków nie wróci do Revell Court?

Zapanowało długie milczenie. Lucien rozważał jej ultimatum.

- To byłaby sztuczka w stylu Caro. Ta Alice Montague, którą kocham, nie posłużyłaby się własnym ciałem, żeby postawić na swoim.

Oczy Alice rozszerzyły się ze zdumienia.

- O co chodzi? - spytał zaczepnym tonem.

- Powiedziałeś... że mnie kochasz... A ty?

Spoglądała na niego z lekko rozchyłonymi ustami. Nie odpowiedziała mu wprost, tylko słabym głosem zapytała:

- Czy nie za wcześnie na takie wielkie słowa?

Spojrzał na Alice twardym wzrokiem, ale w jego oczach błysnął ból.

- Chyba masz rację - odparł.

Odwrócił się, by ukryć swe upokorzenie i pozbierać części garderoby, które z niego ściągnęła. Przerzucił sobie koszulę przez ramię i wyminął Alice, zmierzając ku drzwiom.

Może go nie kochała - bez wątpienia nie zasługiwał na to - ale w jej oczach, gdy spoglądała za nim, wyczytał bolesne zaskoczenie. I wiedział już, że jej pożądanie nie było udawane. Miał przynajmniej tę satysfakcję. Tego jednego zawsze mógł być pewien. Wychodząc, zatrzasnął za sobą drzwi.

Niech piekło pochłonie tę przeklętą babę! Sofia Wozniesienska to wilczyca w ludzkiej skórze, myślał Rollo. Ściagała go nieubłaganie od samego Londynu, choć dążył do celu najbardziej okrężną i zawiłą trasą, jaką zdołał obmyślić. Od dwóch dni Rollo Greene odgrywał rolę tropionego lisa i doprawdy mógł sobie pogratulować, że wyprzedzał w tej chwili o jeden postój swą prześladowczynię, przed którą uciekał jak szalony. Palce Amerykanina, które sterczały z rękawiczek, gdy napełniał swą manierkę przy miejscowej studni, były czerwone z zimna i otarte do żywego mięsa. Uzupełniwszy zapas świeżej wody, udał się do pobliskiej karczmy na kieliszeczek czegoś mocnego, by rozgrzać wnętrzości i uspokoić nerwy. Zwlekał najdłużej jak mógł, zanim umieścił znów swe biedne, posiniaczone dupsko w skrzypiącym siodle.

Wracając na główny trakt pocztowy, obejrzał się ze strachem przez ramię. Bogu dzięki, nie było na horyzoncie czarnookiej Walkirii, pędzącej na długonogim siwku jak burza. Zmuszając swego konia do kurcgalopu, Rollo wspominał z niesmakiem, zdumiony własną głupotą, jak kiedyś gapił się na kuszące kształty Sofii. Minęło dobrych kilka dni, nim zauważył jej zimne, martwe spojrzenie. Zastanawiał się teraz, czy nie warto zaczekać na nią i namówić, by wraz z nim spróbowała stawić czoło Bardou. Obawiał się jednak, że francuski

kochanek budzi w Sofii zbyt wielki strach, by ośmieliła się zbuntować przeciw niemu. Nie było więc wyboru: Rollo musiał wiać przed nią, jeśli chciał jeszcze trochę pożyć. Z dwojga złego lepiej, że to ona depcze mu po piętach, a nie Bardou we własnej osobie!

Rosjanka musiała się już domyślić, że Rollo zmierza do Revell Court. Szybko sobie wykalkulował, że ani rusz nie zdąży skontaktować się na czas ze swymi mocodawcami i powiadomić ich o przerażających planach Bardou, by mogli je udaremnić. Wiedział jednak, że musi coś z tym zrobić. Nie wolno dopuścić, by doroczny festyn piątego listopada przekształcił się w masakrę kobiet i dzieci! W ostatecznej desperacji Amerykanin postanowił zwrócić się do Luciena Knighta. Kilka dni temu otrzymał od niego zaproszenie na kolejne przyjęcie. Bez wątpienia Argus wyniuchał już, że coś się szykuje. Początkowo Rollo zamierzał zignorować go, zmienił jednak zamiar, zorientowawszy się, jaką krwawą łaźnią przygotowuje ten francuski psychopata.

Teraz Argus był ostatnią nadzieją Amerykanina. Tylko on wysłucha rewelacji takiego ładaco jak Rollo Greene i potraktuje je poważnie. I tylko on może pokrzyżować szyki Bardou, nie dopuścić do spustoszenia Londynu w rocznicę spisku prochowego. Rollo modlił się, by dotrzeć do Revell Court, nim go doścignie ten rosyjski anioł śmierci. Powierzając się opiece boskiej, grubasek spał zmęczonego konia, ponaglając go do jeszcze szybszego biegu.

Tejże nocy Lucien siedział w swej sypialni, spoglądając na dobrze widoczną za oknami czarną linię horyzontu i rozgwieżdżony firmament. Czuł ból i złość na samego siebie, ilekroć wspominał, jak poniżył się tego popołudnia przed Alice. Nie zorientował się, że od kilku dni to ona grała pierwsze skrzypce w ich wzajemnych stosunkach. Cały ich romansik miał być jego przelotnym kaprysem... ale nieoczekiwanie uwodziciel został uwiedziony.

Ciekawe, czy sprawiło jej to przyjemność, że powaliła mnie na kolana? - zastanawiał się, sącąc dziwnie gorzki koniak. Wiedział, że pod względem emocjonalnym był nadal od niej



uzależniony i przejmowało go to panicznym strachem.

Gdyby choć powiedziała, że go kocha. No cóż... jego mała artystka wolała zranić go swą szczerością niż ukoić kłamstwem. Godna szacunku prawdomówność. A jednak coś mówiło mu - choć może były to pobożne, życzenia - że Alice w gruncie rzeczy go kocha. Siedział tak, zmagając się ze sobą w milczeniu... i nagle postanowił przekonać się, czy to prawda.

Wypił duszkiem resztę koniaku dla dodania sobie odwagi, wstał i wyszedł z pokoju.

W przytłaczającej ciszy przekradał się przez mroczny labirynt Revell Court. Poczul w uszach gwałtowne pulsowanie krwi, gdy skręcił w korytarz wiodący do jej pokoju. Nie mógł znieść tej niepewności, tego wewnętrznego zamętu! Własna bezbronność doprowadzała go do furii. Była zaprzeczeniem tego wszystkiego, czego nauczył się na wojnie: zawsze miej się na baczności, nie okazuj po sobie uczuć... Jeśli Alice go nie kochała, nie było sensu tak się zdręczać. Muszę wiedzieć! - powtarzał sobie w duchu, zbliżając się do jej drzwi. Jeśli nie zechce pozostać z nim na zawsze, nie będzie przedłużał swoich cierpień. Rano odeśle ją do Glenwood Park i jej ukochanego bratanka.

Kiedy tak stał pod drzwiami pokoju Alice, z ręką na klamce, wiedział, że właśnie w tej chwili rozstrzygają się ich losy. Z własnej woli dał Alice klucz. Teraz zależało tylko od niej, czy pozwoli mu wejść, czy zabroni wstępu.

Zimny pot wystąpił mu na czoło. Zamknął oczy w pełnej strachu udręce, serce tłukło mu się w piersi. Boże, zlituj się! Tak bardzo mi to potrzebne...

Był to akt desperacji: z otchłani swej przerażającej samotności, na oślep, wyciągał do niej rękę. Jeśli Alice jej nie pochwyci, nie przyjmie go do siebie, wiedział, że już nigdy nie odważy się na podobny gest.

Przygotowany na najgorsze, nacisnął klamkę. Nie zamknięte na klucz drzwi

skrzypnęły, pozwalając mu wejść do mrocznego, oświetlonego jedynie blaskiem księżyca pokoju.

Kiedy drzwi zaskrzypiały, Alice siadła na łóżku; serce biło jej gwałtownie. Wyczuła już wcześniej obecność Luciena na korytarzu i leżała z szeroko otwartymi oczyma, ledwie śmiać odetchnąć, niepewna, co też on uczyni. Widziała teraz w drzwiach zarys jego postaci - z jedną nogą na progu, drugą już w jej pokoju.

Niemal bez tchu, jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jego jaśniejące oczy.

Przerażały ją. Twarz Luciena była teraz naga, pozbawiona maski. W księżycowej poświacie w jego oczach Alice dostrzegła błyski namiętności. Powiodła wzrokiem po całej postaci Luciena i poczuła skurcz pożądania. Czarne spodnie ściśle przylegały do jego długich nóg. Nie miał surduta, kamizelki ani fularu. Biała koszula była rozpięta pod szyją, rękawy podwinięte. Był niepokojąco groźny i piękny.

Powoli, jak we śnie, uklękła na łóżku, nie odwracając oczu od ukochanego.

Spostrzegła, że lekko drżał, wyczuwała jego pragnienie. Wiedziała, co go tu przywiodło.

Wiedziała też, że jeśli go odtrąci, nigdy już do niej nie wróci. Serce jej biło jak szalone. Bez słowa wyciągnęła do Luciena rękę takim gestem, jakby wabiła dzikiego wilka.

Nie poruszył się.

- Chodź - szepnęła. - Chodź do mnie!

Zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem, jakby chciał zbadać szczerść jej słów. Po chwili zamknął drzwi i bezszelestnie podszedł do niej. Stał obok łóżka, na którym klęczała w nocnej koszuli. Trzymał się sztywno, z rękami po bokach, ale w świetle księżyca i czerwonym blasku ledwie tłącego się ognia poznała po jego oczach, jak bardzo pragnie, by go dotknęła.

- Nie powinienem żądać od ciebie ślepej wiary we mnie... zwłaszcza że oboje wiemy,

jak mało na nią zasługuję - przemówił pełnym napięcia głosem. - Zamknę grotę, kiedy tylko będzie to możliwe. Nie mogę ci tego wytłumaczyć... ale nie opuszczaj mnie!

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy. Przyłgął policzkiem do wnętrza jej dłoni, potem przycisnął usta do nadgarstka.

- Lucienie - szepnęła. - Nie powinnam ci była wmawiać, że moja miłość do ciebie jest zależna od jakichkolwiek warunków. To nieprawda! Wybacz, że cię zraniłam. Kocham cię. I bardzo cię pragnę.

Z cichym, zdławionym jękiem pochwycił ją w ramiona, wpił się w jej usta w szalonym pocałunku, zaborczym i dzikim. Poddała się bez najmniejszych oporów, ochoczo, z ogromnym zapałem. Pragnęła ofiarować mu siebie, nie oglądając się na nic. Czekwała z zapartym tchem, gdy ściągał koszulkę z jej ramion, obnażając piersi.

Kiedy wtulił w nie twarz, odrzuciła głowę do tyłu z namiętym westchnieniem. Ciało jej było chłodne jak jesienna noc, ale jego usta płonęły, gdy ssał chciwie dziewczęcą pierś. Odurzona namiętnością Alice wpatrywała się w niego, głaszcząc go po czarnych, lśniących włosach.

Ręka Luciena wędrowała po jej udzie, potem dostała się pomiędzy jej nogi, darząc ją gorącą, rozkoszną pieśczęcią. Alice ściągnęła z niego koszulkę i rozpostartymi dłońmi sunęła po jego muskularnych plecach, póki nie oderwał się od jej piersi, zaczerwieniony i potargany. Czowała gwałtowne bicie jego serca, gdy gładziła jego imponujący tors i dotykała twardych jak stal ramion, czując mrowienie w palcach. Potem skierowała rękę - a z nią i spojrzenie - niżej, na jego płaski brzuch. Zatrzymała się na pasku spodni i podniosła głowę. Jej pytające spojrzenie zwarło się z jego płonącym wzrokiem.

Drżącymi rękami rozpiął spodnie, ona zaś zsunęła mu je na biodra. Wyrwał mu się cichy jęk, gdy ręka Alice wśliznęła się pod ubranie i ostrożnie dotknęła go tak, jak tego

najbardziej pragnął. Zamknął oczy, kiedy go głaskała, gdy zarzucała mu ręce na szyję, gdy z rosnącą namiętnością całowała, gdzie popadnie... Przebiegł go dreszcz i szybko zakończył te igraszki, odciągając ją za ramiona.

- Połóż się - rozkazał chrapliwym, rwącym się szeptem.

Rozedrgana, spragniona usłuchała go, kładąc się na wznak z rękoma za plecami.

Lucien ściągnął jej koszulę przez biodra, okrył pocałunkami jej uda i przyłgął ustami do wzgórka Wenery. Alice wyprężyła się w łuk i zadrżała z niewypowiedzianej rozkoszy.

Myślała, że oszaleje. Jej biodra zaczęły poruszać się w tym samym zmysłowym rytmie co ciało Luciena. Serce jej waliło, czuła, że lada chwila rozsiale się w jej wnętrzu od dawna nadciągająca burza.

Kiedy Lucien odsunął się od niej, poczuła się tak, jakby zabrano cząstkę jej samej.

Miała wrażenie, że umrze. Wpatrywała się w niego w dzikim pożądaniu, gdy ukląkł pomiędzy jej nogami. Potem pochylił się i oparł rękoma o łóżko po obu jej bokach. Twarz jego pozostawała w cieniu, ale ich oczy wpatrzone były w siebie, gdy powoli opadał na nią, by wreszcie nakryć ją swoim ciałem.

Chwila bezpośredniego zetknięcia, gdy poczuła na sobie ciężar ukochanego, była dla Alice rajem. Potężna klatka piersiowa, pokryta warstewką potu, przywarła do jej nagich piersi. Twarz Luciena była także mokra, gdy szukał jej ust i je całował. Objęła go mocno za szyję. Pieścił ją tak jak dawniej, aż była kompletnie odurzona. Potem, całkiem nagi, osunął się między jej uda; Alice instynktownie objęła go nogami. Całując ją namiętnie w usta, Lucien gładził ją po policzkach i po włosach. Głowa jej spoczywała w zgięciu jego silnej, delikatnej ręki. Na chwilę przestał ją pieścić i tylko się w nią wpatrywał błyszczącymi, spragnionymi oczyma; kryła się w tym spojrzeniu cała jego dusza. Nie było już mowy o pozorach czy udawaniu. Otaczająca ich cisza promieniowała miłością.

Urzeczona spojrzeniem swego zaklinacza Alice wyszeptala jego imię gardłowym głosem, pożądliwie, sunąc dłońmi po jego atlasowo gładkich plecach i pośladkach, przyciągając go do siebie z dziką natarczywością. Z cichym jękiem Lucien obdarzył ją tym, czego pragnęła, ostrożnie wchodząc w nią.

Jego pocałunek był tak namiętny, tak zachłanny, że Alice nawet nie krzyknęła, gdy jednym szybkim pchnięciem przebił jej dziewiczą błonę. Usta kochanka stłumiły krzyk zdumienia i bólu. Lucien wyteżył wszystkie siły, by nie poruszyć się wewnątrz niej, zanim ból nie minie. Nie wypuszczał Alice z objęć, nie przestawał jej całować, głaskać po twarzy i włosach, każdym dotknięciem prosząc i nakazując, by wytrwała dzielnie do chwili, gdy jej ciało przywyknie do jego obecności. Wreszcie pomógł jej unieść się nieco i zaczerpnąć powietrza; przez cały czas gładził kciukami jej policzki.

- Odpręż się - przekonywał ją rwącym się szeptem. - Zrób to dla mnie, kochanie. Nie bój się. Jeżeli się odprężysz, nie będzie cię bolało. - Całował ją bez przerwy. - Jesteś taka cudowna. Niczego już się nie musisz bać. Teraz jesteś moja. Na zawsze. Wszystko, co mam, należy do ciebie. Moje ciało, moje serce, co tylko zechcesz...

- Mój zbłąkany aniele... - Objęła dłońmi jego twarz i popatrzyła mu w oczy. - Chcę tylko twoich sekretów.

Spoglądał na nią przez chwilę, po czym przymknął oczy i lekko pokręcił głową. -

Nieprawda, chcesz całkiem czego innego! - szepnął i zaczął ją znowu całować.

Przez chwilę były to tylko zmysłowe igraszki - muskał wargami jej policzki i nosek.

Kiedy jednak powrócił znów do jej ust, rozchyliły się pożądliwie, a jej język zgotował mu najśłodsze powitanie. Czuł, jak Alice drży pod nim, cała rozgorączkowana. Odblaski ognia połyskiwały na ich złączonych ciałach, gdy Lucien z pochyloną głową całował jej ramiona i piersi, szepcząc słowa miłości. Zaciśnięte mięśnie Alice zaczęły się rozluźniać. Pieścił jej

włosy, ramiona, boki, brzuch... Obsypywał ją leciutkimi, cudownymi pocałunkami. Jego czarodziejskie wargi wywoływały rozkoszne dreszczyki, delikatnie muskały skórę.

Stopniowo pod wpływem tych subtelnych pieścizn Alice odprężała się, aż wreszcie jej ciało samo rozwarło się, przyjmując go znacznie głębiej w siebie.

- O Boże! - jęknęła cicho, obejmując kochankę ramionami, z najwyższym zdumieniem odnajdując znaną już rozkosz, przeistoczoną w coś niezmiernie głębokiego, bogatego, życiodajnego. - Lucienie!...

- Tak - odparł szeptem. - Nareszcie i ty tego zaznałaś.

Lucien wpatrywał się w nią ze zbożnym podziwem. Czuł, że oddając mu się, wybawiła go z otchłani. Kremowa skóra Alice zaróżowiła się lekko, długie rzęsy rzucały cień na jej policzki, gdy poddawała się sennie jego czułym i cierpliwym dłoniom. Miedzianozłote włosy, długie i gęste, rozsypały się po poduszce jedwabną przędzą promieni słonecznych. Kochał jej włosy. Kochał ją caluteńką - od stóp do głów.

Splótłszy palce z palcami Alice, unieruchomił jej ręce nad głową, zamknął jej usta gorącym pocałunkiem i wsunął się pomiędzy jej nogi. Jęknęła z rozkoszy i oswobodziła ręce z niezbyt mocnego uścisku, by go popieścić. Ciało, które czuł pod sobą, było smukłe i szlachetnie piękne, ręce urodzonej artystki sunęły po jego wyprężonych ramionach, palce błądziły mu we włosach. Lucien trzymał w karchach swe namiętności i poświęcił się bez reszty spełnianiu każdej zachcianki Alice. Przyglądał się z zachwytem, jak jej sprężyste, młode piersi, które gładził, podskakują w tym samym rytmie, w jakim jego ciało porusza się między jej białymi udami. Dostrzegł przelotny grymas na twarzy Alice i zrozumiał, że jego ukochana ma ochotę na coś więcej. Jęknęła cichutko i uniosła biodra, pozwalając mu wreszcie zanurzyć się w niej całkowicie. Przez chwilę trwał w bezruchu. Oddech mu się rwał, tyle wysiłku kosztowało go to opanowanie. Uniósłszy się na łokciach, przytulił ją do siebie. Zarzuciła mu

ramiona na szyję i szepnęła do ucha:

- Kocham cię!

Spojrzał na nią zaskoczony.

- O mój skarbie! - wykrztusił pospiesznie. - Ja też cię kocham!

Alice uniosła się ku niemu i pocałowała go. Dla Luciena czas przestał istnieć, kiedy kochali się, poruszali w jednym rytmie, zatracali w sobie. Pożerał Alice pocałunkami, pieścił jej rozkoszne ciało. Serce waliło mu jak szalone. Gdy wziął ją znowu, nie był tak delikatny jak poprzednio. Uniósł się na rękach nad nią, pogrążył się w niej - i zapomniał o samokontroli. Alice pojękiwała, przyciągała go do siebie nienasycona, z twarzą promieniejącą szczęściem.

Lucien! O Boże... jakie to... Och!... Proszę cię...

- O tak, aniołku!... Wzleć ze mną wysoko... wysoko... - szeptał bez tchu, niezbyt przytomnie, urzeczony bez reszty tym połączeniem niewinności i namiętności.

Oświetlony blaskiem ognia pokój rozbrzmiewał ich okrzykami, gdy oboje równocześnie osiągnęli szczyt. Kiedy Alice zacisnęła się wokół niego, Lucien doznał oszołamiającej rozkoszy; czuł się tak, jakby łączyły się nie tylko ich ciała, ale i dusze. Gdy zaś opadła na łóżko, wyczerpana i nasycona, tulił ją do serca i gładził po włosach, czekając, aż tętno jego krwi uspokoi się i wróci do normy.

Wówczas wysunął się ostrożnie z jej ciała i znów objął ją ramionami. Przez długi czas leżeli tak spleceni ze sobą, milczący, wpatrzeni w siebie. Alice dotykała jego twarzy i piersi, jakby chciała nauczyć się ich na pamięć. Lucien owijał sobie wokół palca lok jej szczerozłotych włosów.

- Do Gretna Green? - wyszeptała wreszcie w ciemności. Do Gretna Green - potwierdził i energicznie skinął głową.

- Och, Lucienie! Czy naprawdę wszystko dobrze się ułoży? Z sennym uśmiechem pochylił się i ucałował ją w czoło.

- Kochanie moje, będzie cudownie, zobaczysz!



Przespali noc, tuląc się nawzajem w ramionach, i obudzili się późno. Jesienny ranek skrzył się złotem i promieniał nadzieją. Choć południe było już blisko, a sypialnia pełna słońca, choć czekało ich wiele roboty, nie spieszyli się ze wstawaniem, baraszkując i rozkoszując się ciepłem nowo odkrytej miłości.

- Chciałabym, żebyśmy dziś poszli do pana Whitby'ego i powiadomili go o naszym szczęściu - oświadczyła Alice, splatając palce z palcami Luciena.

Ależ będzie rad! Dobrze wiedział, co się święci.

- Co też mówisz! O niczym nie wiedział! - obruszył się Lucien, nadal rozczochrany i senny.

- Właśnie że wiedział! Pamiętasz, jak wyszedłeś na dwór, żeby przymocować okiennicę? Powiedział mi wtedy, że jesteś we mnie zakochany.

- Co takiego?! - zawołał Lucien.

Roześmiała się i przytuliła do niego.

- Powiedział mi, przysięgam!

- Skąd mógł wiedzieć?!

Alice wzruszyła ramionami, spoglądając na ukochanego roziskrzonymi oczyma.

- Mnie pytasz? Sam mówiłeś, że jest bardzo mądry!

- Niech to diabli! Już ja sobie pogadam z tym wścibskim staruchem! A taki byłem pewny, że potrafią wszystkim zamydlić oczy!

- Ze mną ci się udało - odparła szelmowskim tonem, pod osłoną kołdry ocierając się stopą o jego nagę, z lekka owłosioną nogę. Bardzo jej się podobała w dotyku.

Lucien chwycił ją i wciągnął na siebie. Siadła na nim okrakiem, opierając się rękoma o jego ramiona.

- No, no! Kto by pomyślał! Mała panna Skromnisia! - wykrzyknął i z szerokim uśmiechem opadł znów na poduszki. - Rób ze mną, co chcesz!

Zrewanżowała mu się piorunującym spojrzeniem i sójką w bok.

- To o której pójdziemy do pana Whitby'ego?

- Mam dziś strasznie dużo roboty...

- Lucienie! - Pochyliła się i objęła go za szyję. - Przynajmniej dziś musisz spełnić każdą moją prośbę... bo pomyślę, że jesteś skończonym łotrem!

- Ja ci pokażę łotra! - syknął, przewracając ją na wznak. Alice wybuchnęła śmiechem, gdy opadł na nią. - Prawdziwy łotr - instruował ją szeptem - zaczyna jakby nigdy nic... właśnie tak!

Schylił głowę i ucałował rowek między jej piersiami.

- Dajże spokój, Lucienie! I tak już jestem obolała od stóp do głów! Pociągnęła go energicznie za ucho, jakby karciła nieznośnego uczniaka.

- Auuu! Puszczaj, wiedźmo! - protestował rozbawiony. Uśmiechnęła się do niego.

Ucałował ją w czubek noska i odsunął się z wyraźnym żalem.

- Chyba już dość igraszek. Zapowiada się diabelnie męczący dzień!

Z westchnieniem podniósł się z łóżka i podszedł do stosu garderoby, którą z siebie zrzucili.

Alice z najwyższym trudem oderwała się od kontemplacji jego nagiego ciała.

- Chcesz powiedzieć, że musisz się szykować na przyjęcie w grocie? Kiwnął głową, wkładając obcisłe czarne spodnie.

- Czy to będzie ostatnie takie przyjęcie? - spytała.

- Mam nadzieję, że tak.

Wciągnąwszy koszulę przez głowę, wrócił do Alice, pochylił się nad nią i obejmując

jej twarz dłońmi, pocałował ją w usta. Przez chwilę spoglądał na nią, uśmiechając się łagodnie. Odpowiedziała spojrzeniem pełnym miłości.

- Nigdy, do końca życia, nie zapomnę tej nocy, tego, jaka byłaś cudowna - szepnął.

Zadrżała, słysząc te czułe słowa. Lucien ucałował paluszki ukochanej i z żalem odsunął się od łóżka, wypuszczając jej rękę z uścisku. Alice przytuliła do serca dłoń naznaczoną jego pocałunkiem. Lucien otworzył drzwi i odwrócił się do niej.

- Odpuść sobie jeszcze trochę - poradził. - I przywyknij do myśli, że w nocy nie będziesz miała spokoju!

Mrugnął do niej szelmowsko i wymknął się z sypialni, zamykając drzwi za sobą.

Po tej aluzji Alice zarumieniła się westchnęła i opadła z powrotem na łóżko, oszołomiona szczęściem. W przypiływie miłości tuliła do siebie poduszkę i dziękowała Bogu za nowy dzień, za słońce, za piękno wszystkich pór roku - i za Luciena. Niestety, po tym promiennym początku dzień z godziny na godzinę stawał się coraz mniej pomyślny.

Po południu czuła już wyraźnie wiszące w powietrzu napięcie. Lucien pięciokrotnie zapewniał ją, że ma jeszcze tylko jedną sprawą do załatwienia i zaraz wybiorą się do pana Whitby'ego. Ale sprawy do załatwienia mnożyły się jak króliki i Alice była pozostawiona samej sobie właśnie wtedy, gdy najbardziej potrzebowała zapewnienia miłości od mężczyzny, któremu ostatniej nocy oddała swój wianuszek.

Zjadła lekki lunch w zaciszu swego pokoju i spakowała rzeczy, żeby jutro mogli skoro świt wyjechać do Gretna Green. Potem ucięła sobie drzemkę. Kiedy się obudziła, Lucien w dalszym ciągu był zajęty. Porządnie już zirytowana Alice zeszła na dół i cierpkim tonem spytała Godfrey'a, gdzie się podziewa jego lordowska mość. Majordomus poinformował ją natychmiast, że Lucien znajduje się na sali ćwiczeń. Alice przypomniało się, jak jej kochanek usprawiedliwiał swe nieustanne treningi tym, że ma niebezpiecznych wrogów. Narzuciła

luźną wełnianą pelerynę, którą musiała pożyczyć od służącej, kiedy jej własne okrycie zostało nieodwracalnie zniszczone podczas burzy. Widząc, że okropni goście zaczynają się już zjeżdżać, odwróciła się do nich tyłem i poszła w kierunku stajni i położonej za nią sali gimnastycznej.

Niechętnym wzrokiem zmierzyła szare chmury, płynące nisko po niebie. Żeby tylko nie padało! Żeby rozmyte drogi nie zatrzymały tu na dłużej tych odrażających ludzi! Chciała jak najszybciej pojechać do Gretna Green.

Kiedy dotarła do celu, otworzyła drzwi sali treningowej i ujrzała ze zdumieniem, że oprócz pięciu nieodłącznych towarzyszy Luciena znajdują się tu także czarno ubrani strażnicy i większość lokajów. Stojąc twarzą do zebranych, Lucien władczym tonem wydawał im rozkazy na najbliższą noc.

- Uważajcie też na Rosjankę... - Urwał nagle i jego ostre spojrzenie padło na Alice, stojącą niepewnie na progu. - O co chodzi, moja droga?

Dostrzegła w jego oczach błysk zniecierpliwienia, jakby chciał powiedzieć: „Nie zwracaj mi teraz głowy!” Zawahała się.

- Idę do pana Whitby'ego - powiedziała ze spojrzeniem pełnym wyrzutu; była onieśmielona widokiem wszystkich tych wielkich, potężnie zbudowanych mężczyzn.

- Doskonale, moja droga. Pozdrów go ode mnie.

Uśmiechnął się uprzejmie i najwyraźniej oczekiwał, że Alice zaraz sobie pójdzie.

Spiorunowała go wzrokiem, obróciła się na pięcie i wyszła. To było nie do zniesienia!

Jeśli nawet służba wie, co się tu święci, to czemu ona, przyszła pani tego domu, nie jest dopuszczona do sekretu?! Jak Lucien może okazywać więcej Zaufania tym pięciu młodym zawadiakom niż jej?! I dlaczego spojrzał teraz na nią tak, jakby mu zawadzała?

Poczuła, że myśli jej się mącą i ogarniają panika. Czyżby teraz, kiedy ją zdobył, chciał się jej

czym prędzej pozbyć?

Co za okropny dzień! Alice wiedziała, że bezsensownie ulega najgorszym obawom.

Ale czuła się osamotniona, markotna i niepotrzebna, a w dodatku rozboleła ją głowa. Pewnie z powodu miesięcznej słabości; często tuż przed nią bywała przewrażliwiona. Ale teraz pragnęła tylko jednego: żeby Lucien objął ją i przytulił.

Zła na siebie za brak zdecydowania i zmienne nastroje wyruszyła w długą drogę do domku pana Whitby'ego. Perspektywa spotkania z przemiłym staruszką podniosła ją na duchu. Spacer sprawił, że w głowie trochę się jej rozjaśniło. A rozpoczynające się w Revell Court bachanalie nie obchodziły jej nic a nic.

Kiedy wreszcie zastukała do drzwi dawnego guwernera, powitała ją pani Malone, jego gospodyni. Starszy pan siedział jak poprzednio w saloniku, przy trzaskającym ogniu. Z okularami na wydatnym nosie czytał jedną z książek, które przyniósł mu Lucien.

- Panna Montague? Cóż za miła niespodzianka! - wykrzyknął stary nauczyciel, gdy Alice podeszła do niego i pochyliła się, by pocałować go w policzek. Obejrzał się z nadzieją na drzwi. - A gdzie pani wierny cień?

- Dziś mi nie towarzyszy - odparła z niewesołym uśmiechem, zdejmując rękawiczki. Z jej twarzy można było od razu wyczytać, jak bardzo ją smuci nieobecność Luciena. - Jego lordowską mość urządza kolejne przyjęcie. Przez cały dzień prawie go nie widziałam.

- Mój Boże! - jęknął skonsternowany staruszek.

- Teraz pan rozumie, czemu ośmieliłam się złożyć panu wizytę: chciałam zamienić choć kilka słów z prawdziwym dżentelmenem. - Przewiesiła pelerynę przez oparcie kanapy i usiadłszy na taborecie obok starego nauczyciela, ujęła jego zniekształconą artretyzmem rękę i delikatnie ją uściśnęła. - Panie Whitby, mam dla pana dobre nowiny!

- Jakież to nowiny, drogie dziecko? Alice poczuła, że się czerwieni.

- Miał pan całkowitą słuszość... Lucien mi się oświadczył. Pobrużdżona twarz rozjaśniła się radością tak wielką, że na jej widok Alice zapomniała o własnych niepokojach.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj! A jutro wyruszamy do Gretna Green. Przesiedziała u starszego pana pół godziny, opowiadając z ożywieniem o swoim przysłym życiu u boku lorda Luciena Knighta. Wyciągnęła też od staruszka mnóstwo anegdotek na temat książęcej rodziny, do której miała niebawem wejść. Strasznie jej zależało na tym, by nowi krewni polubili ją, choć była zaledwie córką barona.

- Ależ, drogie dziecko, nie ma się czego obawiać uspokajał ją nieco rozbawiony pan Whitby. - Przyjmą panią z otwartymi ramionami!

Zauważywszy po pewnym czasie, że starszy pan jest już zmęczony, Alice uściskała go na pożegnanie, otuliła się peleryną, włożyła rękawiczki i pospieszyła z powrotem przez las do Revell Court. Wczesny jesienny zmierzch przerodził się już w gęsty mrok.

Wracając przez ogród, Alice minęła po drodze krzewy róży i pobiegła do domu w pelerynie powiewającej za nią na wietrze, z twarzą osłoniętą kapturem. Gdy wchodziła tylnymi drzwiami, natknęła się na lokaja. Na jej wyraźną prośbę zaprowadził ją na górę kuchennymi schodami, dzięki czemu uniknęła spotkania z rozpustnikami, którzy znów pchali się do Revell Court frontowym wejściem.

- Proszę zawiadomić lorda Luciena, że wróciłam i chcę się z nim zobaczyć - rzuciła lokajowi, wbiegając do swego pokoju i ściągając rękawiczki.

- Tak jest, ale... Bardzo mi przykro, łaskawa pani, ale jego lordowską mość zszedł już do groty i wydał specjalne polecenie, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Czy to jakiś nagły wypadek?

- To nie jest nagły wypadek - westchnęła. - Nieważne!

- Jeszcze raz najmocniej przepraszam, ale jaśnie pan kazał też przekazać łaskawej pani, że przez cały wieczór nie powinna pani opuszczać swego pokoju.

- Doprawdy? zwróciła się do służącego, krzyżując ręce na piersi. - Do licha z jego rozkazami! Zresztą nie mam najmniejszej ochoty oglądać znów tego niesmacznego widowiska - burknęła pod nosem, po czym powiedziała głośniej do lokaja: - Chętnie bym coś zjadła. I czy mógłbyś przynieść mi proszek od bólu głowy?

Oczywiście, łaskawa pani! - odparł służący i skłonił się z wyraźną ulgą Alice odprawiła go skinieniem głowy. Nie miała już wątpliwości: taki ból głowy nawiedzał ją, gdy - jak to się mawiało w damskim gronie - „ciocia przyjechała”. Przybyła jak zwykle - regularnie jak w zegarku. Alice westchnęła cicho z pewnym rozczarowaniem i podeszła do okna. Stała tam, spoglądając na podpitych już rozpustników, wysiadających z powozów na oświetlony blaskiem ognia dziedziniec - tak samo jak tydzień temu, gdy po raz pierwszy przybyła w to dziwne miejsce.

Płomienie strzelały wysoko w nocne niebo z pochodni umieszczonych w żelaznym stojaku; odbłask ich padał także na szybę, za którą można było dostrzec niewyraźną sylwetkę Alice.

Minęło kilka godzin. Zabawa w grocie była w pełnym toku. Lucien znajdował się w swoim punkcie obserwacyjnym za czerwonymi szybkami smoczycy oczu i spoglądał w zadumie na kłębiący się w dole tłum. Postanowił za wszelką cenę zdobyć informacje na temat Claude'a Bardou - gdzie jest i co knuje. Powinien mu ich udzielić mały, gruby Amerykanin, Rollo Greene.

Strażnicy powiadomili Luciena, że Greene przekroczył bramę, lecz zawieruszył się gdzieś w podziemnych zakamarkach. Lucien uzbroidł się w cierpliwość, podejrzewając, że jurny cap zaszył się w jakimś kącie z pijaną babą.

Smok przyglądał się z obrzydzeniem rozgrywającym się w dole orgiastycznym scenom. Po nocy miłosnej z Alice to parzenie się z byle kim wydawało mu się jeszcze bardziej bezsensowne i paskudne. Stokroć wolał wracać myślą do Alice, niewinnie baraszkującej w gorącej źródlanej wodzie w przekonaniu, że nikt jej nie widzi. Jakże by chciał znajdować się w tej chwili razem z nią, a nie tutaj! Ale im prędzej wykona swoje zadanie, tym szybciej będzie mógł wycofać się z branży i poświęcić się bez reszty Alice. Miała całkowitą słuszność. Jego praca łączyła się z nieustannym zagrożeniem i Lucien gotów był zrezygnować z niej bez mrugnięcia okiem, żeby nawet cień niebezpieczeństwa nie padł na Alice ani na ich przyszłe potomstwo.

Zastanawiał się właśnie, czy nie mógłby nadal pracować dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych, tym razem wyłącznie w roli dyplomaty, gdy nagle wpadli do kwatery głównej Marc i O'Shea.

- Znaleźliśmy Greene'a!

Lucien odwrócił się do nich błyskawicznie.

- Gdzie on jest? - spytał.

- Już po nim! - odparł O'Shea. - Pływa martwy w kanale. Lucien zaklął siarczyście.

- Jak go dopadli?

- Ktoś go dźgnął od tyłu - odparł Marc spiętym głosem. - Nóż został w ranie. Ostrze ze stali, na rękojeści zielony kamyk. Znak firmowy Sofii Wozniesińskiej, nieprawdaż?

- Niech to szlag! - zaklął znów Lucien. - Musiała jakoś zmylić wartowników! Trzeba ją odnaleźć. Natychmiast! Widać Bardou ją wysłał, by uciszyła Rolla, zanim się skontaktuje ze mną. - Odetchnął głęboko. - Zablokować wszystkie wyjścia. Ostrzec strażników na całym terenie, żeby się mieli na baczności! Sofia już wykonała zadanie, teraz spróbuje się stąd wymknąć. Bądźcie wyjątkowo ostrożni! Wysoka, ciemnowłosa, czarnooka. Bardzo piękna.



Niech was to nie zwiedzie! Sekunda wahania czy nieuwagi, a poderżnie gardło każdemu.

- Tak jest, szefie.

Rozbiegli się, by przekazać innym jego rozkazy. Lucien opuścił swą kwaterę główną i odbył pospieszną inspekcję miejsca zbrodni przed przyłączeniem się do pościgu za Sofią.

Ciało Amerykanina unosiło się na wodzie, twarzą w dół, pomiędzy dwiema przycumowanymi gondolami. Zabarwione na czerwono fale biły o burty łodzi i o skalisty brzeg.

Lucien polecił wartownikom pogrzebać ciało Greene'a w lesie jeszcze przed świtem.

Nie obawiał się żadnych nieprzyjemności ze strony władz lokalnych. W czasie wojny z Ameryką nikt się nie przejmie śmiercią amerykańskiego szpiega, działającego na terenie Anglii.

Po dwudziestu minutach gorączkowych poszukiwań dowódca straży, nieustraszony Szkot McLeish, i dwaj jego najlepsi ludzie przywlekli opierającą się zażarcie Sofię do kwatery głównej w głowie smoka.

- Schwytaliśmy ją, jak próbowała przeleźć przez mur - burknął Szkot do Luciena, usiłując poskromić wyrywającą się kobietę.

Sofia Wozniesienską była kobietą wysoką, uderzająco piękną. Na widok zbliżającego się Luciena strach błysnął w jej ciemnych oczach. Podwoiła swe wysiłki, tak że musiało ją teraz trzymać trzech strażników.

Stanąwszy przed nią, Lucien chwycił ją za śliczną białą szyję, przypierając do ściany.

Nie spuszczał z niej oczu, gdy klęła po rosyjsku.

- Oj, Sofio, Sofio! Co za okropne maniery! Przychodzisz do mnie nieproszona i bierzesz się do zabijania moich gości! Czy to zachowanie godne rosyjskiej damy?

- Nie twój interes!

- Czyżby twój *cher ami* Bardou stracił do reszty ikrę? Posyła swoją babę, żeby go

wyręczyła w mokrej robocie?

- Odpieprz się, Argus! - syknęła. - Niczego ze mnie nie wyciągniesz! Jeśli wdam się z tobą w pogawędki, zabije mnie jak psa! Wiesz, że nienawidzi cię bardziej niż wszystkich innych Angoli razem wziętych!

- Powiesz mi, czemu zadźgałaś Rolla Greene'a - odparł spokojnie. - I to natychmiast, bo pożałujesz!

- Nie skrzywdziłbyś kobiety! - rzuciła wyzywająco.

Lucien zacisnął mocniej palce na jej szyi i wyczuł przyspieszony ze strachu puls.

- Mylisz się, moja droga. Nie skrzywdziłbym damy. Ale taką jak ty gadzinę zatłukę bez odrobiny żalu. Panie McLeish, mam nadzieję, że zrewidował pan madame Wozniesienską i odebrał jej broń?

- No... jeszcze nie, milordzie - odparł Szkot. - Zbyt się szamotała.

- Przytrzymać ją jak należy - rozkazał Lucien pozostałym strażnikom. - A teraz proszę, McLeish, niech pan czyni honory domu.

- Oj, Argus! - nadąsała się Sofia, zmysłowym ruchem, wyginając ramiona do tyłu, jakby podsuwała mu biust do specjalnej inspekcji. - Czemu sam się do tego nie weźmiesz? Masz takie delikatne ręce!

- Nie próbuj na mnie swoich sztuczek, Sofio! Kiedyś może służyłaś ojczyźnie, ale teraz wysługujesz się tej świni Bardou.

- A myślisz, że mam jakiś wybór?! - odparowała ostro, uderzając równocześnie Szkota grzbietem ręki. - Won z łapami! Jak Bardou prosi cię o przysługę, to albo mu dogodzisz, albo pójdziesz do piachu - kontynuowała, zwracając się do Luciena. - Będziesz mnie musiał zabić, bo jakbym go zdradziła, to już po mnie - podsumowała i celnie kopnęła McLeisha w krocze. Szkot jęknął i zwałił się na ziemię.

- Sofio! - ofuknął ją Lucien z irytacją.

- Nie pozwól im dobierać się do mnie, Lucien! Sam mnie zrewiduj. Będę grzeczna, słowo honoru! - szepnęła, splatając ręce na czubku głowy i przysuwając się do niego.

Lucien obrzucił ją wzrokiem, a potem, zmrużywszy oczy, raz jeszcze popatrzył jej w twarz. Doskonale wiedział, na co Sofia liczy. Miała nadzieję, że ich dawny przelotny romans coś dla niego znaczył. Myliła się.

- Powiedz mi, co wiesz, a ja cię obronię przed zemstą Bardou.

- Nie obronisz. Nikt mu nie poradzi.

- Masz teraz szansę, żeby się wyzwolić od niego. Jaką robótkę zlecili mu Amerykanie?

Jaką wiadomość chciał mi sprzedać Greene? Zaufaj mi, Sofio! Zapewnię ci bezpieczeństwo.

- Oj, nie zapewnisz! Nie zapewnisz... - Opuściła nagle splecione na głowie ręce, gdy zaczął ją obmacywać. - Puśćcie mnie! Jestem carską agentką! Odstawcie mnie natychmiast do rosyjskiej ambasady w Londynie! Mam swoje prawa!

- Nie masz żadnych praw! - warknął Lucien.

Przekrzykiwali się w dwóch językach, rosyjskim i angielskim. Sofia ciągle miała nadzieję uwieść Luciena i wymigać się w ten sposób z trudnej sytuacji. Sprytnie udaremniała wszelkie próby odebrania jej broni, a diabli wiedzą, jaki arsenał miała pod spódnicą. Lucien nie chciał zbyt mocno naciskać, bo nadal żywił nadzieję, że zdoła przeciągnąć ją na swoją stronę. Był jednak coraz bardziej zdenerwowany, kiedy czas mijał, a żadne jego prośby i groźby nie dawały rezultatu. Sofia w dalszym ciągu odmawiała współpracy.

Była tak konsekwentna, że nie uzyskał od niej ani strzępka informacji. Zaczął się poważnie obawiać, że będzie musiał potraktować tę kobietę z całą brutalnością.

- Czemu zabiłaś Greene'a? Cóż on takiego wiedział?

- Nie mam pojęcia - odparła ze stoickim spokojem i wrogim spojrzeniem.

- Gdzie jest teraz Bardou? W Anglii? - A bo ja wiem?

- Dlaczego osłaniasz tego potwora?! - ryknął jej prosto w twarz.

- Siebie osłaniam, durak! On mnie zabije!

- A ja nie?! Rozejrzyj się dokoła! Gdzie twój kochanek, Sońka? Tu go nie ma, nie obroni ciebie! Nikt cię tu nie obroni, ani Claude, ani nikt. Tylko ja!

- Nie strasz, bo nie nastraszysz! - odszczeknęła się. - Nie jesteś taki jak on. Nigdy nie byłeś. W największym gniewie nie zrobiłbyś mi tego, co on robi dla zabawy. - Przymknęła oczy, jakby nagle sił jej zabrakło, i oparła się głową o ścianę. - Pocałuj mnie tak po swojemu, Lucien. Tak delikatnie... Ciągle pamiętam tamtą noc w Pradze... Od dawna z nikim nie było mi tak dobrze...

- Nie zgrywaj się, Sońka!

Otworzyła oczy i wybuchnęła śmiechem - gardłowym, zmysłowym i pełnym rozpacz. Spojrzała na niego pustym wzrokiem.

- Nie męcz mnie, Argus - powiedziała. - Tak czy owak, już po mnie.

Alice zdołała zmylić służbę. Wymknęła się na korytarz z twarzą ukrytą pod obszernym kapturem brunatnego domina. W odróżnieniu od podobnej wyprawy sprzed tygodnia tym razem dobrze wiedziała, dokąd idzie i w jakim celu. Czyżby Lucien naprawdę się łudził, że będzie potulnie siedziała w swoim pokoju, podczas gdy on króluje w tej swojej grocie i pozwala się obmacywać bezwstydnym neofitkom?! Tylko ostatnia idiotka stałaby na uboczu, gdy jej przyszły mąż był oblegany przez hordy natrętnych rozpustnic! Nie zaszkodzi sprawdzić, jak się zachowuje. Kolacja i proszek od bólu głowy usunęły niemal całkowicie zmęczenie i złe samopoczucie. Była teraz gotowa walczyć o swego mężczyznę.

Gdy tym razem zeszła po wykutych w skale schodach do groty, nic zrobiły na niej żadnego wrażenia popisy Talberta na kamiennej platformie. Ignorowała też kompletnie

postacie splecione ze sobą w najdziwniejszych pozach, poszukujące rozkoszy w tych zdumiewających wygibasach. Z twarzą nadal ukrytą pod kapturem, w milczeniu, starając się nie zwracać niczyjej uwagi, przemykała się przez tłum zapełniający grotę. Chciała się przekonać, co robi jej ukochany, zanim zdradzi mu swą obecność. Zdawała sobie sprawę, że Lucien będzie jej miał za złe wścibstwo... ale gdyby jej nie ignorował przez cały dzień, może nie przysłaby go tu śledzić jak zazdrosna żona.

Ponieważ nigdzie nie mogła go dostrzec, skierowała się w stronę posągu smoka, by sprawdzić, czy nie znajdzie go w pokoiku, skąd miał widok na całą grotę. Czarno odziani wartownicy zastąpili jej drogę. Musiała im przypomnieć wyniosłym tonem, że jest przyszłą żoną ich chlebodawcy. Wtedy ustąpili. Odrzuciwszy kaptur na plecy, tak pędziła po spiralnych schodach, że strażnicy z trudem dotrzymywali jej kroku. Choć była zła na Luciena, że zanieczyścił ją od rana, radość ogarniała ją na myśl, że za chwilę znów będą razem. Gdy zbliżała się do szczytu schodów, dotarły do niej jakieś krzyki.

Znalazłszy się na górnym podejściu, zobaczyła, że drzwi do kwatery głównej Luciena są otwarte. Z twarzą zaróżowioną z podniecenia rzuciła się ku nim, chcąc jak najprędzej zobaczyć ukochanego. Kiedy go jednak ujrzała, stanęła jak wryta i zapało jej dech na widok pięknej brunetki wyrywającej się z objęć Luciena. Stał za nią i jedną ręką obejmował ją w pasie, drugą zaś sięgał pod jej spódnicę, zadartą wysoko na lewym udzie.

Alice spoglądała na tę scenę szklistym wzrokiem. Tydzień temu znajdowała się w niemal identycznej sytuacji jak ta brunetka. Nic dziwnego, że ten widok przyprawił ją o szok. Lucien poczuł widać na sobie spojrzenie Alice, gdyż zerknął w jej stronę i skamieniał. W jego oczach błysnęło przerażenie. Wyglądał, jakby przyłapała go in flagranti.

Potem wszystko wydarzyło się tak błyskawicznie, że nikt nie zdążył zareagować.

Korzystając z chwili ogólnego zaskoczenia, nieznajoma błyskawicznie wydobyła spod

spódnicy sztylet, zamachnęła się nim i zraniła Luciena w bok. Potem z jakimś dzikim okrzykiem popędziła prosto na Alice.

- Nie - krzyknął Lucien i rzucił się za Sofią.

Alice uskoczyła przed napastniczką i godzące w jej twarz ostrze chybiło celu.

Nieznajoma pomknęła w kierunku spiralnych schodów i zniknęła za ich zakrętem, zanim strażnicy i towarzysze Luciena zdążyli zareagować. W następnej sekundzie rozpętało się piekło.

- Lucienie! - krzyknęła Alice. - On krwawi!

- Raniła go! - zawołał dowódca straży.

- Za nią! - ponaglał ich rozwścieczony Lucien.

Czterech jego przybocznych i kilku wartowników pomknęło po schodach za uciekającą. Lucien ruszył w przeciwną stronę i przepchnąwszy się jakoś pod prąd, dotarł do Alice, uciskając ręką zraniony bok.

- Nic ci się nie stało? - zapytał.

Zapewniła go ruchem głowy, że nic jej nie jest. Wpatrywała się z przerażeniem w krew wyciekającą spod jego palców i w powiększającą się plamę na białej koszuli.

- O mój Boże!

- Co ty tu robisz, do diabła?! - wrzasnął na nią, aż się wzdrygnęła.

- Strasznie krwawisz, Lucienie...

- Powiedziałem wyraźnie: masz trzymać się od tego z daleka! O mało cię nie zabiła!

Zabierz ją stąd! - polecił wartownikowi.

- Tak mi przykro...

Wyminął ją pospiesznie, zaklął i popędził za swoimi ludźmi, nadal trzymając się za bok.

- Lucienie! - krzyknęła, ale on zbiegał już ze schodów.

Ruszyła więc jego śladem, wyrwawszy się wartownikowi. Lucien jest ranny!

Poprzednie podejrzenia przestały się liczyć. Musi być przy nim - i nikt jej nie powstrzyma!

Zbiegła ze schodów. Pędem opuściła grotę. Dostrzegła Luciena: zbiegał szybko po stopniach wykutych w skale. Zaczęła się przedzierać przez ciżbę, by go dogonić.

Lucien zbiegał po kamiennych stopniach, zaciskał zęby, starając się nie zwracać uwagi na piekący ból w boku. Wypadł przez ozdobione podobizną Priapa drzwi i schylony, by nie uderzyć głową w skalne sklepienie, popędził wąską kamienną półką, biegnącą wzdłuż ściany podziemnego kanału. Niech to szlag! Sofia zaczęła mięknąć, lada chwila mógł przełamać jej opór... a tu zjawia się Alice! Lucien zrozumiał natychmiast, jak wytłumaczyła sobie scenę, którą ujrzała. Na mgnienie oka zdekoncentrował się... i o mały włos nie przypłacił tego życiem. Sofia mogłaby zadać śmiertelny cios, gdyby tylko chciała, dumął posępnie, wbiegając po schodach z dawnej piwnicy na wino do wnętrza domu. Z powodu utraty krwi kręciło mu się w głowie. Zanim dopadł do drzwi, usłyszał głos jednego ze swych ludzi:

- Zabić to ścierwo! Zadźgała Luciena! Huknął strzał. A zaraz potem drugi.

Lucien ryknął z wściekłości i wypadł z domu. Spostrzegł natychmiast, że Sofia biegnie prosto do zamkniętej bramy Revell Court. Wyglądało na to, że uda jej się wspiąć na żelazne ogrodzenie, ale choć krzyczał: „Nie strzelać!”, rozległo się równocześnie kilka strzałów.

Sofia wyrzuciła ramiona w górę i padła do przodu, ścięta salwą w połowie wspinaczki.

- Nie strzelać! - wrzasnął raz jeszcze Lucien.

Podbiegł do rannej i rzucił się na kolana obok niej. W ostrym blasku pochodni płonących w żelaznym stojaku pośrodku dziedzińca ujrzał na plecach Rosjanki kilka broczących krwią ran.

- O Boże... Sofio!



Serce było mu jak szalone. Wiedział, że nie zdoła jej już pomóc.

Leżała z twarzą na bruku i wpatrywała się w niego. Żyła jeszcze. Struzka krwi sączyła się z kącika jej ust. Oczy miała szkliste z trwogi. Wiedział, że pozostało jej zaledwie kilka minut życia. Obawiał się dotknąć jej, poruszyć, by jeszcze nie pogorszyć sprawy.

- Argus... - szepnęła bez tchu.

- Jestem przy tobie - odpowiedział cicho po rosyjsku. Dotknął jej włosów. - Wybacz, Soniu... - wykrztusił.

Usłyszawszy te słowa, zamknęła oczy; wydawało się, że poczuła ulgę.

- Teraz jestem... wolna od niego, Argus...

Nakrył dłonią jej rękę.

- Co on chce zrobić? Powiedz mi, Soniu! Zrób to... dla mojej i twojej ojczyzny!

Śmierć malowała się wyraźnie na jej pięknej, szarej jak popiół twarzy.

- Zdobył... materiał wybuchowy... - odezwała się z najwyższym wysiłkiem. - To będzie... piątego listopada... Amerykanie chcą pomścić... Waszyngton. Nie wiem... co on wysadzi... Może... parlament...

Głos jej się rwał.

Dobry Boże! Piąty listopada? Rocznica spisku prochowego! Festyn! W następną sobotę! Za osiem dni! Czyżby Bardou chciał wskrzesić dawne tradycje? - dumiał posepnie

Lucien.

W 1605 roku grupa przeciwników Jakuba I Stuarta zwerbowała weterana wojennego, Guya Fawkesa, który podjął się wysadzić gmach parlamentu wraz z obradującą w nim Izbą Lordów, czyli uśmiercić króla i parów Anglii. Spisek zdołano jednak wykryć, zanim doszło do tragedii. Daj Boże, żeby było tak samo i tym razem!

- Bardou jest już w Londynie? Niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

- Gdzie ma centrum operacyjne?

- Skład... nad rzeką...

- Nad Tamizą pełno jest różnych składów!

- Uważaj, Argus! On tobie... zaprzysiągł... śmierć... Wysilony szept zakończył się bolesnym jękiem.

- Cicho, Soniu, już dobrze... - szeptał po rosyjsku, trzymając ją za rękę i głaszcząc po włosach; wiedział, że to już koniec.

Gdy rozległo się straszne rżenie - Sofia dusiła się własną krwią. - Lucien zamknął oczy i skłonił głowę. W ciszy nocnej ciągle słyszał słowa umierającej: „On tobie zaprzysiągł śmierć...”

Kiedy Lucien otworzył znów oczy, miały płomienie. W sercu miał gorejące piekło, w żyłach ogień. Niechże wróg przybywa! Nienawiść zalewała mózg Luciena, budząc znów drapieżną, dziką bestię, która zrodziła się w nim po pięciu tygodniach straszliwej niewoli. Stał się wówczas dzikim zwierzęciem w klatce: głodzoną, katowanym, cuchnącym... Sadyzm jego oprawców doprowadził do tego, że rozprawił się z nimi równie okrutnie, zanim w końcu wyrwał się stamtąd. W ciemności podkładał się do nich po kolei, by poderznąć im gardła. Stał i przyglądał się, jak ginie każdy z jego katów, i dopiero potem przechodził do następnego. Wybił ich co do jednego. Z wyjątkiem Bardou. Nie było go tamtej nocy: pojechał zabić Patricka Kelleya. Wykorzystał informację, którą zdobył, torturując swego więźnia. Tak uniknął pomsty i kary.

A teraz nadarza się okazja, by mu ją wymierzyć! Kiedy Lucien podniósł głowę, ujrzał Alice; zbliżała się do niego niepewnym krokiem. Muszę ją uchronić przed nim! - pomyślał. Gdyby Bardou odkrył, kim jest dla niego ta dziewczyna, zabiłby ją bez wahania. Zwłaszcza teraz, kiedy ludzie Luciena zastrzelili Sofię. Dostrzegł zaskoczenie w oczach Alice. Nie

pojmwowała, skąd w oczach jej ukochanego taka żądza mordy... Lucien spuścił wzrok. Nie chciał, by poznała to jego drugie ja”.

Wyciągnął rękę i delikatnie zamknął szkliste, niczego już niewidzące oczy Sofii.

Przeraźliwą ciszę mącił tylko trzask iskier strzelających z pochodni w wielkim stojaku. Języki ognia falowały na tle czarnego nocnego nieba, oświetlając dziedziniec i otaczając złotą poświatą głowę i ramiona Luciena, który klęczał przy rannej. Miał nieobecny wyraz twarzy, twarde, zastygłe rysy. Wszystko to sprawiło, że Alice bała się odezwać.

Wpatrywała się tylko w niego, zapomniawszy o poprzednich podejrzaniach.

Na kamieniach wokół leżącej kobiety widniała kałuża krwi. Coraz większa. Strażnicy stali dokoła z niepewnymi minami, z opuszczoną bronią. Kiedy Lucien powoli podniósł głowę, Alice uświadomiła sobie z przerażeniem, że nieznajoma nie żyje.

Zaszokowana zakryła usta ręką. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. To wszystko przeze mnie! - mówiła sobie.” Gdyby nie ogarnęła mnie zazdrość, nie wpadłabym tam i nie wytrąciłabym Luciena z równowagi! Tej kobiecie nie udałooby się zranić go... i sama by nie zginęła podczas ucieczki! Wpatrzonyj w martwe ciało Alice zrobiło się słabo z przerażenia. Ktoś stracił życie, a ona była temu winna.

Lucien zerwał się na równe nogi.

- Kto z was ją zabił? - spytał zimnym, cichym, budzącym grozę głosem. Alice przeszły ciarki po plecach.

Nikt nie odpowiedział na to pytanie.

- Kto wam pozwolił strzelać?

- M... mówili, że p... pana zadźgała! - ośmielił się wydukać jeden ze zwalistych strażników.

- Wyglądam na trupa?! - wrzasnął Lucien.

Alice wzdrygnęła się, gdy wicher podchwycił jego krzyk i powtórzył kilka razy.

- N... nie, m... milordzie - odparł wartownik i zwiesił głowę. Alice podeszła pospiesznie.

- Lucienie...

- Wracaj do domu! Mam z tobą do pogadania. Złamałaś moje rozkazy. - Głos miał twardy jak stal. Zwracając się do swoich ludzi, dodał: - Winowajcy do jutra ma tu nie być.

Pan Godfrey wypłaci mu, ile się należy, i niech się stąd wynosi. McLeish, uprzątnij zwłoki. I to szybko!

- Tak jest, milordzie.

Wchodząc do domu wraz z Lucieniem, Alice spostrzegła, że krwawa plama na jego białej koszuli jest coraz większa.

- Twoja rana...

- Na górę! - rozkazał, zbywając jej słowa wzruszeniem ramion.

Alice zacisnęła wargi, kiedy nie zważając na nią, wbiegł na schody. Spotkanej na korytarzu pokojówce poleciła przynieść gorącą wodę, nożyczki i bandaże do sypialni jego lordowskiej mości, po czym poszła za Lucieniem.

Znalazłszy się w swoim pokoju, Lucien wydobył z kufra podręczną apteczkę i postawił ją na komodzie.

- Początkowo chciałem zamknąć cię w twoim pokoju, żebyś nam w czymś nie przeszkodziła... Ale ponieważ sam ci wręczyłem klucz, powiedziałem sobie: Nie, powinienem okazać jej zaufanie! Na tym właśnie polega cały problem, Alice: czy mogę ci zaufać? W tej chwili wcale nie jestem tego pewien! - Gniewnymi ruchami rozpiął koszulę i oderwawszy splamione krwią płótno, które przywarło do jego boku, odsłonił ranę. - Lucienie... - zaczęła Alice i urwała nagle.

Przeszedł ją dreszcz na widok dziesięciocentymetrowego poziomego cięcia na wysokości żeber.

Widok krwi i zapach brandy, którą Lucien polał obficie czystą szmatką, wydobytą z apteczki, przywołał koszmarnie, niezwykle żywe wspomnienia opatrywania ran brata Lucien przycisnął nasączone alkoholem płótno do boku i wyrzucił z siebie stek przekleństw.

Popchnęło to Alice do działania. Trzeba mu pomóc, z jego zgodą lub wbrew jego woli!

Zmusiła go, by usiadł na szerokim, masywnym blacie kredensu, zanim padnie zemdłony na podłogę.

- Podaj mi igłę i nici! - burknął. - Muszę to zaszyć.

- Ja to zrobię.

- Jeszcze czego! To nie hacik na chusteczce. I w ogóle nie rozczulaj się nade mną! To zwykle draśnięcie. Chcę usłyszeć, co masz mi do powiedzenia!

- Nie teraz. Najpierw trzeba opatrzyć twoją ranę. Pozwól, że ci pomogę!

- Sam sobie poradzę.

- Nie sięgniesz!

- Właśnie że sięgnę! Dawaj tę cholerną igłę!

- Milcz! I połóż się na zdrowym boku! - rzuciła ostro.

- Znasz się na tym? - zdumiał się.

- Co się tak dziwisz? Jak myślisz, kto opatrywał mojego brata, kiedy wrócił z wojny cały pokryty ranami?!

Przez chwilę spoglądał na nią wahając się, potem burknął:

- Niech ci będzie!

Skrzywił się, raz jeszcze zerknął na ranę, pociągnął łyk z butelki i nie stawał dłużej

oporu. Gdy pokojówka przyniosła wodę i przedmioty, o które prosiła Alice, Lucien położył

się wsparty na łokciu i niechętnie pozwolił Alice, żeby go pocerowała.

Żadne z nich nie odzywało się, gdy przemywała mu ranę, a potem przyciskała do niej jeden kawałek płótna po drugim, aż wreszcie krwawienie ustało na tyle, że mogła zabrać się do zszywania. Nawlokła igłę, zanurzyła ją w brandy. Odsunęła od siebie wszelkie myśli na temat własnej winy i ewentualnych konsekwencji, skupiła się bez reszty na wykonywanym zadaniu.

Czuła, że Lucien bacznie się jej przygląda. Zrobiła pierwszy szew, zawiązała supełek i obcięła nitkę. Spojrzała na swego pacjenta i odetchnęła głęboko.

- Czeka nas jeszcze dziewiętnaście szwów, lekko licząc.

Odpowiedział pogardliwym prychnięciem, ale się nie wyklócał. Przez następne pół godziny Alice pracowała najsprawniej jak mogła, często przemywając ranę zmoczoną w alkoholu szmatką. Ręce miała unurzane we krwi Luciena. O Boże! Niewiele brakowało, a byłoby po nim... i to wyłącznie z jej winy!... Tak bardzo pragnęła objąć go i przytulić... ale powstrzymywała się, wiedząc, że całkiem by się rozkleiła. W tej chwili potrzebne jej były przede wszystkim jasność myśli i opanowanie. Otarła czoło z potu grzbietem ręki i zabrała się do następnego szwu.

- A zatem - odezwał się Lucien po chwili - uznałaś, że lepiej będzie sprawdzić, jak się sprawuję. Warto było?

Rzuciła tylko okiem na niego i nawlokła znów igłę.

- Nie zdradzałem cię.

- Domyśliłam się tego, gdy poczęstowała cię nożem - odparowała Alice z równą ironią. - Bądź tak dobry i nie przeszkadzaj mi w robocie. I tak jestem już wytrącona z równowagi.

- Ani mi w głowie było ciebie zdradzać. Rewidowałem ją w poszukiwaniu broni.

- Tak jak mnie w zeszłym tygodniu?

Zerknęła na niego podejrzliwie i ukłuła go igłą nieco mocniej.

- Au! Zrobiłaś to naumyślnie! - mruknął.

W końcu dzieło zostało ukończone. Starannie sprawdziła każdy z dwudziestu zgrabnych szwów. Wszystkie supełki trzymały się mocno.

- Teraz cię obandażuję... - Dość już tego!

Odprowadził ją kapryśnym gestem, przypominającym niecierpliwe pacnięcie kociej łapy.

Nie wkładając koszuli, zsunął się z kredensu i wyminął Alice. Odblask ognia oświetlał jego nagą pierś i atletyczne ramiona.

- Oj, Lucienie! - westchnęła. - Przecież to trzeba zabandażować. Oparł ręce na biodrach i zwrócił się do niej.

- Od tej pory, jeśli każę ci coś zrobić, masz być posłuszna! Rozumiesz? - Nie!

Odrzuciła ręcznik, którym wycierała ręce. Sięgnęła po brandy i prosto z butelki pociągnęła spory łyk dla ukojenia nerwów, po czym odstawiła ją zdecydowanym ruchem na stół.

- Co takiego?!

Oczy Luciena niepokojąco pociemniały.

- Nie jestem twoją marionetką na sznurku, Lucienie. - Skrzyżowała ramiona na piersi.

- Kim była ta kobieta?

- Zapomnij o niej!

Podszedł do apteczki i zaczął sobie opatrywać bok bez pomocy Alice.

- Mam o niej zapomnieć?! Ależ Lucienie, ta kobieta zginęła z mojej winy! Musimy powiadomić o tym władze!

Rzucił jej przez ramię nie wróżące nic dobrego, ostrzegawcze spojrzenie.

- Nikogo nie będziemy powiadamiać - powiedział dobitnie. Nie odrywała od niego oczu; krew odpłynęła jej z twarzy.

- Słyszałam, jak poleciłeś swoim ludziom, żeby się pozbyli ciała. Nie możesz tak postąpić, Lucienie! Musimy posłać po sędziego pokoju. Kimkolwiek była, zasługuje na to, by pochować ją jak należy, w poświęconej ziemi, a nie zakopywać cichaczem gdzieś w lesie!

Trzeba też powiadomić jej rodzinę...

- Nie mieszaj się do tego, Alice!

- Nie mogę patrzeć obojętnie na takie rzeczy!

- Nie uważasz, że dość już narobiłaś zamieszania?

Po jej twarzy przemknął wyraz bólu. Zbliżyła się o krok do Luciena.

- A ty nie masz już dość tych tajemnic? Do czego się jeszcze posuniesz, by ukryć to, co się dzieje w grocie?! W czasie jednego z twoich przyjęć zabito kobietę, Lucienie! Jeśli natychmiast nie wezwiesz sędziego pokoju, nie wyjaśnisz mu, co się tu wydarzyło, prawda wyjdzie na jaw, wcześniej czy później. To nieuchronne! A kiedy pewnego dnia dowiedzą się, że to ty kazałeś ukryć zwłoki, będą cię podejrzewać, może nawet oskarżać o morderstwo!

Czyżbyś tego właśnie chciał?!

- Nikt mnie nie oskarży o morderstwo - powiedział cicho groźnym tonem i odwrócił się do niej plecami.

- A to dlaczego? Ponieważ jesteś jednym z potężnych braci Knightów?! Nie stoisz ponad prawem! Wszyscy mu podlegamy! Nie odpowiedział wpatrzony w ogień.

Widząc, że nie wstrząsnęła jego zatwardziałym sumieniem, spróbowała z innej beczki.

- Lucienie, jutro rano jedziemy do Szkocji, żeby się pobrać. Nie chcę, by tajemnica tej śmierci wisiała nad naszymi głowami, kiedy zaczniemy wspólne życie...

Czekała, co jej odpowie; gdy nadal milczał, jej oczy napełniły się łzami. Zacisnęła



ręce i ruszyła ku drzwiom na uginających się nogach. Lucien odwrócił się błyskawicznie i zmierzył ją płonącym wzrokiem.

- Dokąd to?

- Jeśli ty nie chcesz postąpić jak należy, ja to zrobię - wykrztusiła przez zaciśnięte gardło. - Ta kobieta zginęła z mojej winy...

Błyskawicznie zagroził jej drogę. Oparł się o drzwi, uniemożliwiając jej wyjście. Spoglądał na nią z drapieżnym błyskiem w szarych, wilczych oczach.

- Przestań obwiniać siebie! - rzucił cicho i szorstko. - Ja za to odpowiadam. Nie ty!

Do oczu znów napłynęły jej łzy, gdy spojrzała na niego.

- Co z ciebie za człowiek, jeśli próbujesz sobie wmawiać, że nic się nie stało?! Zejdź mi z drogi! Zwrócę się do sędziego...

- Ja jestem w tej sprawie sędzią Alice - powiedział bardzo cicho, z naciskiem. Jego oczy były rozpalone do białości.

Wpatrywała się w niego, nic nie pojmując.

- Słuchaj mnie uważnie. - Głos Luciena był cichy jak powiew wiatru. - Ta kobieta to rosyjski szpieg. Popełniła w moim domu morderstwo. Zabiła w podziemiach amerykańskiego agenta. Z tego właśnie powodu ją przesłuchiwałem.

- Co takiego?!

- Nie należę do korpusu dyplomatycznego, Alice. Jestem tajnym agentem Korony.

Szpiegiem. A orgie w grocie to tylko przykrywka dla brytyjskiego kontrwywiadu. Dzięki nim nasze ministerstwo zgromadziło mnóstwo cennych informacji.

Spoglądała na niego w osłupieniu.

- Chciałaś prawdy, to ją masz! - Srebrne oczy Luciena nie były oknami duszy,

przypominały raczej nieprzeniknioną powierzchnię lustra. - Złożyłem w twoich rękach swe

życie. Jeśli zdradzisz komuś mój sekret, może się to dla mnie fatalnie skończyć.

- Szpieg... - powtórzyła jak echo. - Jesteś szpiegiem? Skinął głową.

Alice opadła na stojący najbliżej drzwi fotel i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w podłogę. Powoli wszystko stawało się jasne.

- Szpiegiem? - powtórzyła raz jeszcze w oszołomieniu i spojrzała na niego tak, jakby widziała go po raz pierwszy.

Przyklęknął obok jej fotela. Dostrzegła w jego oczach lęk, kiedy wpatrywał się w jej twarz.

- Ta Rosjanka wykonywała rozkazy groźnego francuskiego szpiega, który przybył do Londynu i działa na szkodę naszego państwa. Rozumiesz? Nie jestem pozbawiony ludzkich uczuć. Chodzi o to, że Sofia pomagała wrogowi Anglii. Dlatego jej śmierć nikogo tu nie obejdzie. Kiedy tajny agent ginie na nieprzyjacielskim terenie, nikt sobie nim nie zawraca głowy. Gdybym poległ we Francji, też by mnie pochowano w nieoznaczonym grobie. Tak to już jest szepnął, gładząc Alice po nodze, jakby chciał w ten sposób złagodzić szok, jakiego doznała. - Nie powinnaś o nic się obwiniać ani przejmować tym, co może się wydarzyć w przyszłości. Ważne jest tylko to, żebyś była bezpieczna. Patrzyła na niego przez chwilę, a potem objęła go nagle ramionami i przytuliła się do niego, zaciskając mocno powieki.

- Kochany mój! - Pocałowała go w policzek. - Dziękuję ci, żeś mi się wreszcie zwierzył! - szepnęła.

- Nie jesteś na mnie zła? - Nie.

- Nie czujesz do mnie... odrazy? - spytał z wahaniem.

- Wielki Boże! Z jakiej racji?! Jeszcze bardziej cię podziwiam! Całowała jego włosy i czuła, jak Lucien drży w jej ramionach. Przycisnął usta do jej szyi. Jego rwący się oddech łaskotał ją w ucho.

- Nie wiedziałem, jak na to zareagujesz. Damien do dziś nie wybaczył mi, że obrałem taki haniebnny zawód - powiedział gorzko. Tym razem, gdy na nią spojrzał, w jego oczach odbijała się cała dusza. - Tak się bałem, że i ciebie utracę...

Przyłożyła dłoń do jego policzka i nachyliwszy się, ucałowała go w czoło.

- Mój najdroższy głuptasie! - szepnęła. - Nigdy nie lękaj się mówić mi prawdy! -

Przytuliła go znowu, uważając, by nie urazić zranionego boku. - j Nie mogę wprost uwierzyć, że ta podła kobieta omal mi ciebie nie zabiła! Bogu dzięki, że nie jesteś ciężiej ranny!

- Nic mi nie będzie! - Odsunął się troszkę i wpatrywał się z zachwytem w jej oczy. -

Nie mamy dużo czasu. Jutro rano muszę cię odesłać na północ, do Hawkscliffe Hall. To nasz rodzinny dom w Krainie Jezior. Zostaniesz w nim, póki nie uporam się z zagrożeniem w Londynie. Powinnaś być tam całkiem bezpieczna, zwłaszcza że kilku moich ludzi będzie nad tobą czuwać.

- A co z Gretna Green?

- Musimy to odłożyć. Bardzo mi przykro, ale sytuacja jest krytyczna i muszę schwytać tego człowieka.

- W takim razie pojedę z tobą do Londynu...

- Mowy nie ma! To wyjątkowy drań, a ta kobieta była jego kochanką. Kiedy zorientuje się, że ona nie żyje, będzie chciał ją pomścić... A gdyby dowiedział się o nas, mógłby wyrządzić ci krzywdę lub posłużyć się tobą, by dostać mnie w swoje łapy.

Wpatrywała się w niego z rosnącym przerażeniem.

- Taki bezlitosny?

Lucien posępnie skinął głową.

- Bardziej niż myślisz.

- W takim razie... chyba nie powinieneś dalej go ścigać. Jeśli jego kochanka tak cię

urządziła... - ruchem głowy wskazała jego ranę - to co zrobi ten potwór?! Czemu nie pošlesz wiadomości do swego zwierzchnika z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, kimkolwiek on jest...

- To lord Castlereagh.

- No to poproś lorda Castlereagha, żeby przydzielił to zadanie komu innemu, ponieważ zostałeś zraniony... a poza tym zamierzasz się ożenić. Jestem pewna, że nie brak innych zdolnych agentów, którzy mogą zająć się tym szpiegiem! A my wyruszmy od razu do Gretna Green.

- Ależ, Alice! - uśmiechnął się kwaśno. - Po pierwsze, Castlereagh jest w Wiedniu. Po drugie, otrzymałem rozkaz i muszę go wypełnić. A po trzecie... - Twarz mu pociemniała. - To jest walka na śmierć i życie między mną a Claude'em Bardou.

Nie podobał się jej okrutny grymas, który wykrzywił twarz Luciena, gdy wymówił to nazwisko. Przyglądała mu się z niepokojem, kręcąc głową.

- Pomyśl o tym, co omal cię nie spotkało tej nocy! Jako twoja przyszła żona, Lucienie, muszę zaprotestować. Nie życzę sobie, żebyś nadal się tym zajmował!

- Muszę - odparł chłodno, ale w jego oczach była żądza mordy. - I chcę.

- Chcesz?!

- Tak - wymamrotał. - Chcę zabić tego człowieka!

- O! A jeśli to on ciebie zabije? Co mam wtedy zrobić?

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, w końcu wzruszył ramionami.

- Nie wiem. - Nie wiesz?!

Być może oczekiwała od Luciena zapewnienia, że nie ma mowy, by zginął podczas tej akcji. On jednak nie pocieszył jej kojącym kłamstwem.

Wstała raptownie z fotela i wyminąwszy bez słowa Luciena, przeszła na drugi koniec

pokoju. Czują zamęt w głowie i lodowaty skurcz strachu w dole brzucha. Potarła czoło, usiłując pogodzić się z rzeczywistością, choć była nie do zniesienia.

- Alice! Dobrze się czujesz?...

- Nie! - Odwróciła się do niego gwałtownie, bliska hysterii. - Wiesz, Lucienie, ile wycierpiałam. Straciłam matkę, ojca, brata... a teraz ty mówisz: całkiem możliwe, że stracisz i mnie! Ja tego nie zniosę, rozumiesz?!

Podniósł się ostrożnie z klęczek i zwrócony w jej stronę nie odrywał od niej wzroku.

Oczy Alice napełniły się łzami.

- Czy ty mnie nie kochasz?

- Wiesz, że cię kocham. Nade wszystko.

- Więc jak możesz robić mi coś takiego?!

- Zrozum, Alice: to mój obowiązek. Kocham moją ojczyznę... i kocham ciebie.

- Ale jeszcze bardziej nienawidzisz tego człowieka! Spojrzał na nią niespokojnie.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Miłość czy nienawiść, Lucienie? Nie możesz mieć jednego i drugiego. Wybieraj!

- Alice, nie bądź uparta...

- Wybieraj! - zawołała, drżąc na całym ciele. Tydzień temu kazałeś mi wybierać, która z nas ma wrócić do domu, do Harry'ego. Teraz moja kolej! On czyja?

- Nie stawiaj sprawy na ostrzu noża, Alice! Kochaliśmy się... kto wie, może nosisz pod sercem moje dziecko?

- Nie łudź się, Lucienie! Mój organizm działa jak zegarek. Już mi się zaczęła miesięczna przypadłość. Wybieraj!

- Nie zmuszaj mnie do tego - wyszeptał.

- Nie zniosę kolejnej żałoby! Wiecznych czarnych sukien! Patrzenia jak składają do

grobu kogoś najbliższego, młodego i pełnego życia! Nie zniosę tego, rozumiesz? Nie zniosę!

Wydał okrzyk bezsilnego gniewu.

- Jeśli nie zabiję Bardou, nie da nam nigdy spokoju! Nie masz pojęcia, Alice, do czego

ten człowiek jest zdolny! Trzeba go powstrzymać za wszelką cenę i to ja go powstrzymam!

To mój śmiertelny wróg! Nie rozumiesz? Jeśli ja go nie zaatakuję, on uderzy pierwszy,

zgotowawszy przedtem Anglii jakieś straszliwe nieszczęście! Bardou łaknie mojej krwi tak

samo jak ja jego.

- O mój Boże! - jęknęła. - W takim razie musisz schronić się wraz ze mną w

Hawkscliffe Hall!

- Miałbym się przed nim chować?! Tego się nie doczeka! Wzdrygnęła się.

- A więc dokonałeś wyboru.

- Tak jest, Alice! Wybieram zemstę! wykrzyknął porywczo.

- A ja rozstanie. Nie chcę cię widzieć nigdy więcej - odparła z najwyższym trudem.

Wyminęła go i wybiegła z pokoju, oślepiona łzami.

Szary, mglisty dzień wstawał w przytłaczającej ciszy. Lucien wpatrywał się w powóz, który zaraz miał opuścić Revell Court; wewnątrz siedziała skulona, okutana peleryną Alice. Nie pożegnała się z nim, zdawała się go nie dostrzegać, jakby był ze szkła. Ten zimny, pusty wzrok zabolął go tak, jakby ktoś wbił mu nóż w serce. Lucien nie mógł wprost uwierzyć, że ukochana zdołała go zmusić do podjęcia takiej decyzji. Postanowił nie przyjmować do wiadomości tego, że utracił Alice raz na zawsze.

Wyjechawszy z dziedzińca, lando znów się zatrzymało: trzeba było poczekać, aż wartownicy otworzą imponującą bramę z żelaza. Lucien, otulając się szczelniej płaszczem, zmagął się z pragnieniem zatrzymania odjeżdżającej. Wytrwał jednak i stał bez ruchu z przymrużonymi oczyma i pozornie spokojną twarzą. Odzyskają, kiedy już będzie po wszystkim!

McLeish zsalutował mu, przejeżdżając na kasztanowatym wałachu. Lucien w odpowiedzi skinął głową. Wysłał tego dzielnego Szkota i dwóch jego najbardziej godnych zaufania podkomendnych, by odwieźli Alice do Glenwood Park i strzegli jej tam, póki sprawy z Claude'em Bardou nie zostaną załatwione tak czy owak. Zdecydowanie wolałby odesłać Alice do bardziej odległego od Londynu i trudniej dostępnego Hawkscliffe Hall, lecz Alice kategorycznie się temu sprzeciwiła. On zaś czuł, że nie ma prawa odwozić jej od powrotu do rodzinnego domu. Jedyne Glenwood Park i ukochany Harry mogły być dla niej teraz pociechą. Zdawał sobie sprawę, że jego ostrożność graniczy niemal z paranoją.

Prawdopodobnie nie było żadnego powodu do obaw o bezpieczeństwo Alice. O jej pobycie w Revell Court wiedzieli tylko oni dwoje i Caro. Senna mała miejscina w Hampshire, Basingstoke, leżała na uboczu i Alice powinna być tam całkiem bezpieczna. Zwłaszcza że McLeish będzie nad nią czuwał.

Kiedy brama Revell Court otworzyła się ze skrzypieniem, woźnica strzelił z bata i lando znów ruszyło. Lucien zacisnął zęby i zmusił się do pozostania na miejscu, choć gardło ścisnęło mu się z rozpacz, gdy powóz uwoził Alice coraz dalej od niego.

Odzyskam ją, kiedy będzie po wszystkim! zapewnił raz jeszcze samego siebie. O ile, rzecz jasna, wyjdę z tego cało.

Nie próbował jej przejednać po tej straszliwej nocnej awanturze, bo gdyby zginął, Alice łatwiej zniesie wiadomość o jego śmierci.

Odprowadzał wzrokiem powóz, który przejechał po drewnianym moście, a potem zaczął się wspinać na zbocze góry. Nawet wówczas, gdy zniknął mu już sprzed oczu, Lucien stał nadal w posępnym szarym brzasku nowego dnia. Głowę zwiesił na piersi, zimny wiatr zacinał go po twarzy, ręce trzymał głęboko w kieszeniach płaszcza. Dreszcz powściąganego dotąd gniewu przebiegł go od stóp do głów. Podniósł zasępione oczy, jego rysy stwardniały.

Pora zapolować na Bardou i go zabić!

Lucien był gotów. Bestia drzemiąca w jego ciele ocknęła się i łaknęła krwi.

Serdecznie witające ją światła rodzinnego domu przyprawiły Alice o łzy, gdy lando toczyło się ciemnym podjazdem w stronę Glenwood Park. Cały dzień spędziła, wyglądając smętnie przez okno powozu, starając się utulić swe zbolełe serce. Kilka razy zatrzymywali się w przydrożnych zajazdach, by zmniejszyć nieco uciążliwość długiej podróży. A teraz wreszcie była znów w domu! Nie mogła się doczekać chwili, gdy przytuli Harry'ego. Na samą myśl o tym łzy napłynęły jej do oczu. Nawet po tym wszystkim, co się wydarzyło, miała przecież swój rodzinny dom i ludzi, którzy ją szczerze kochali - Harry'ego, Peg, Nellie i innych. Nigdy dotąd nie była tak wdzięczna losowi za ten często niedoceniany dar: życzliwość domowników.

Ciekawe, jaką to bajeczką usprawiedliwiła Caro jej nieobecność? Alice pospiesznie



otarla łyzy, gdy powóz Luciena zatrzymał się przed frontem wytwornej wiejskiej rezydencji - Glenwood Park. Nie bardzo wiedziała, jak wytłumaczyć obecność McLeisha i jego dwóch gburowatych towarzyszy. Ledwie lando się zatrzymało, drzwi domu otworzyły się na oścież i wybiegła z nich Peg, a kilka kroków za nią Nellie i Mitchell. Kiedy Alice wysiadła z powozu, obstąpili ją, radując się z jej powrotu.

- Nareszcie do nas wróciłaś, kochanie! Bogu dzięki, żeś już zdrowa! Tak się martwiłam! Niech no ci się przyjrzę, biedulko! - Peg odsunęła Alice na odległość ramienia i przyjrzała się jej bacznie w świetle powozowych latarni. - Nie wyglądasz najlepiej... Strasznie cię męczyły wymioty?

- Nie ma nic gorszego niż nieświeży łośoś - orzekł Mitchell z posępnym grymasem.

A więc tak wygląda bajeczka Caro! - pomyślała Alice.

- Ojej, panienko! Czy mi panienka kiedyś wybaczy, że ją tak zostawiłam? Zaklinałam lady Glenwood, żeby i mnie pozwoliła zostać, ale się zacięła: nie i już! - tłumaczyła się Nellie. - Jak można chorą zostawić w takim dziwnym miejscu? Ale jaśnie pani powiedziała, że jak będę pyskować, to mnie wyrzuci... Alice spostrzegła, że Peg skarciła Nellie ostrym spojrzeniem. O co tu chodzi?

- Wcale się na ciebie nie gniewam, Nellie... Czuję się zupełnie dobrze. Tacy jesteście kochani, że troszczyliście się o mnie! Jak to miło być w domu... - wykrztusiła wzruszona, ściskając Mitchellowi rękę i obejmując Peg i Nellie. Wkrótce jednak opanowała się i zwróciła do woźnicy, który ją przywiózł. - Dziś już za ciemno, byście mogli jechać z powrotem. Przyjmijcie gościńą pod naszym dachem.

Wymieniła znaczące spojrzenia z McLeishem.

- Piękne dzięki, łaskawa pani powiedział Szkot, przykładając rękę do kapelusza.

- Bądź tak dobry, Mitchell, i wskaż ludziom lorda Luciena miejsce do spania... Pomóż

im też przy koniach, dobrze?

Mitchell skłonił się i wyszedł, by przygotować nocleg dla ludzi i koni.

- Chodźmy wreszcie do domu, kochanie! - odezwała się Peg rzeczowym tonem. -

Ledwieś wydobrzała, po co masz się przeziębic?

- Jaśnie pani mówiła, że od tego łososa pochorowało się wielu gości, którzy byli na przyjęciu u lorda Luciena - oznajmiła Nellie poufnym tonem, gdy zmierzały do domu.

- No, tak... wszyscy się pochorowali - odparła Alice i poczuła do siebie obrzydzenie.

Okłamywała wierną służącą i kochaną starą nianię... ale czy miała inne wyjście? Nie mogła przecież przyznać się przed nimi, że była przez ten tydzień kochanica lorda Luciena!

- A sąsiadów to trzeba było kijem odpędzać, tak się pchali! - poinformowała ją Peg. -

Wszystkim powtarzamy, że od tygodnia nasza panienka leży w łóżku, bo ją zmogła influenza.

- Bardzo mi przykro, że musieliście kłamać ze względu na mnie.

- Nie mogliśmy przecie powiedzieć prawdy! Tu chodzi o panienki reputację: chorować w obcym domu, i to u kawalera?! Ale zaraz zobaczysz coś, co ci z pewnością poprawi humor

- oznajmiła Peg z nieco wymuszoną wesołością, gdy były już w przedsionku.

- Moje kociątko?! - wykrzyknęła Alice.

- Nie, nie, kochanie. Spójrz tylko!

Peg otworzyła drzwi i przepuściła Alice przodem.

- Co to takiego? - Alice weszła do rzęsiście oświetlonego holu, ozdobionego sześcioma ogromnymi bukietami. - O, jakie piękne! - Po posępnej szarości dnia żywe kolory i słodki zapach kwiatów podniosły ją nieco na duchu. Były tam cieplarniane róże, storczyki, irysy, goździki i ostróżki. - Od kogo to?

- Od twoich kawalerów. - Peg zamknęła drzwi i mrugnęła do Alice, dodając z pobożaniem: - Ci to zawsze wszystko robią na wypródki, starając się popisać przed

panienką!

- Roger, Freddie i Tom? - spytała, zdejmując pelerynę.

- A któż by inny? Nazwałam te wyścigi z bukietami „wojną róż” - odparła niania i zachichotała. - Jak tylko się dowiedzieli o influenzy, byli niepokieszeni! Kilka panienek też przysłało kwiatki: panna Patterson i panny Sheldon z Londynu.

- Jak to miło z ich strony!

Alice aż ścisnęło w sercu. Był to niewątpliwy dowód ludzkiej pamięci i życzliwości.

Zrobiło jej się okropnie wstyd, że okłamała przyjaciół... a raczej pozwoliła Caro uczynić to w jej imieniu. Ale było to konieczne ze względu na jej reputację. Należało też utrzymać więzi łączące ją z Lucieniem w tajemnicy przed tym Francuzem, którego teraz tropił. Zresztą wieść o chorobie nie była daleka od prawdy, gdyż miłość do Luciena ścięła ją z nóg jak złośliwa gorączka...

Nellie wzięła z rąk jej pelerynę i powiesiła na kołku.

- Dziękuję! Jak to cudownie być w domu! Możesz mi zaparzyć herbaty, Nellie?

- Już się robi!

- Przynies mi ją na górę - poprosiła Alice. - Będę albo w swoim pokoju, albo w dziecinny, z Harrym.

- O Boże! - mruknęła pokojówka, wymieniając z Peg niespokojne spojrzenia.

W Alice serce zamarło. O co chodzi? Czy Harry'emu się pogorszyło?

- Ależ nie, kochanie! - powiedziała Peg. Tyle tylko, że go tu nie ma Alice spojrzała na nią w osłupieniu.

- Lady Glenwood zabrała go do Londynu.

- Naprawdę nic mu nie jest? Może zawiozła go do londyńskich specjalistów?

- Gdzie tam! - zapewniała ją Peg, mnąc brzeg fartucha, co zawsze było u niej oznaką

zdenerwowania.

Alice dopiero teraz uświadomiła sobie, że służba jest wyraźnie wytrącona z równowagi.

- W takim razie co się stało?

- No... dla lady Glenwood tu na wsi jest trochę za nudno - starała się mówić oględnie

Peg. - Dobrze, że udało się ją tu zatrzymać na czas kwarantanny panicza Harry'ego...

- O Boże! - Alice przycisnęła rękę do czoła i popatrzyła na Peg z niedowierzaniem. -

Chcesz powiedzieć, że zabrała chore dziecko do Londynu i tłukła się z nim przez cztery godziny w powozie tylko dlatego, że jej się tu nudziło?!

- Dokładnie tak.

- Dlaczego z nimi nie pojechałaś, Peg?! - spytała Alice z wyrzutem.

- Bo mnie wyrzuciła, kochanie. Alice aż zaparło dech.

- Co takiego?!

- Panienska chyba nie będzie mieć mi za złe, że mimo wymówienia zaczekałam tu na nią?

Alice jęknęła. Wpatrywała się w nianię bez tchu, z otwartymi ustami.

- Wymówiła ci pracę? - wyjąkała.

Peg kiwnęła tylko głową, ale w tym powściągliwym geście widoczny był cały jej ból i oburzenie.

- Jak do tego doszło? Dlaczego?

- No... od kilku dni kłóciłyśmy się o to, jak należy opiekować się chłopcem. Udało mi się postawić na swoim kilka razy i zapobiec nieszczęściu, ale... takiej głupiej matki jeszcze nie widziała!

- Jak panicz Harry miał gorączkę i popłakiwał, to pani baronowa mu przyłała, żeby nie

marudził - uzupełniła relację Nellie. - I powiedziała coś okropnego, panno Alice: „Nie chcę, żeby Harry wyrósł na takiego mazgaja jak jego tatuś”!

- Powiedziała coś takiego o moim bracie?!

- A jakże, kochanie - potwierdziła Peg. - No więc, jak usłyszałam, że mówi takie rzeczy o naszym biednym, kochanym paniczku Phillipie, jużem nie strzymała! Wyrąbałam jej prosto z mostu i to, że lord Glenwood był zawsze dzielny, a za ojczyznę zginął jak bohater... i to, za przeproszeniem, co myślę o samej pani baronowej!

Nellie kiwnęła głową z prawdziwą satysfakcją.

- Wygarnęła jej pani aż miło, pani Tate!

- Zrobiła się straszna awantura... no i wtedy lady Glenwood mnie wyrzuciła. A następnego dnia rano zabrała dziecko do Londynu.

To po prostu nie mieściło się w głowie! Alice podbiegła do niańki i uściskała ją z całej siły.

- Tak mi przykro, Peg! To wszystko moja wina! Jestem ci taka wdzięczna, że zaczekałaś do mego powrotu! Co ja bym zrobiła, gdybym nie zastała cię tutaj?!

- Jakże bym mogła odejść? - odparła Peg i łzy napłynęły jej do oczu. - Stara już jestem... Nie miałabym dokąd pójść...

- Cicho, najdroższa nianiu! - Alice pocałowała ją w pomarszczony policzek. - Zawsze byłaś ostoją mego życia. A Glenwood Park jest twoim domem tak samo jak moim. Nikt nie ma prawa wyrzucić cię stąd i nigdy do tego nie dojdzie! O tym w ogóle nie ma mowy! - Czule objęła Peg i patrząc jej w oczy, powiedziała z determinacją: - Jutro skoro świt jedziemy do Londynu. Osobiście porozmawiam z lady Glenwood i powiem bez ogródek, co myślę o tym i o jej bezmyślnym okrucieństwie w stosunku do Harry'ego.

Wypowiedziawszy te słowa, ponownie objęła Peg, zaciskając przy tym powieki, bo

poczucie winy dławilo ją w gardle. Podczas gdy ona w Revell Court bezwstydnie oddawała się grzesznym rozkoszom z Lucienem Knightem, jej bratowa zniszczyła spokojne życie mieszkańców Glenwood Park.

Co prawda Lucien ostrzegał, że w Londynie grozi jej niebezpieczeństwo... ale nie będzie już tańczyć tak, jak on jej zagra! A o pobycie w jego domu nie wiedział nikt oprócz Caro. Zresztą gotowa była podjąć takie ryzyko. Musi wymóc na bratowej, by ponownie zatrudniła Peg. A poza tym instynkt opiekuńczy i miłość do Harry'ego żądały, by czym prędzej do niego jechać. Biedne małeństwo. Jaki musi być przerażony i samotny w Londynie bez swojej niani i bez cioci Alice! Ospa wietrzna, nieznajomi lekarze, wielkomiejskie luksusy... i ani odrobinki matczynej miłości. Uderzyła go za to, że płakał!

- Zła z niej matka, ale kim ja jestem, żeby jej zwracać uwagę? - chlipnęła Peg.

- Kim jesteś?! Wspaniałą kobietą, która mądrze wychowywała dzieci, zanim lady Glenwood przyszła na świat! - odparła Alice, głaszcząc staruszkę po rękę. - Obiecuj, że pojedziesz ze mną jutro do Londynu! Harry na pewno czuje się zagubiony bez ciebie.

- Niech ci Bóg błogosławi za te słowa, dziecino wyszeptała Peg, ocierając oczy brzegiem fartucha. - To by było straszne, gdybym już na nic się nie mogła przydać! Do licha!

- pospiesznie wytarła nos i wygładziła fartuch, biorąc się znów w karby. - Pora na herbatę.

- Ja zaparzę - wtrąciła Nellie.

- Zapomnijcie o herbacie! Wszystkim nam przyda się odrobina koniaku - oświadczyła Alice, zmierzając do szafki, w której przechowywano trunki. Zastanawiała się, jak się wymknąć spod opieki McLeisha i jego ludzi. Lucien zapowiedział im, żeby jej strzegli i nie pozwolili opuścić Glenwood Park. Nie zamierzała jednak być więźniem we własnym domu!

- Naprawdę nie powinnam... - certowała się pokojówka.

- Potraktuj to jako lekarstwo. No, śmiało!

- Bardzo dziękuję, panienko powiedziała z wahaniem Nellie.

Alice dodała jej odwagi spojrzeniem i trąciły się kieliszkami. Służące czy nie służące, obie należały do rodziny!

- Trzeba posłać kolację ludziom lorda Luciena. Znajdzie się dla nich piwo?

- Piwa nie ma, ale jest wino.

- Doskonale! - odparła Alice i pozwoliła sobie na tajemniczy uśmiezek, całkiem w stylu Luciena. Wiedziała, że w domowej apteczce znajdzie laudanum. Zapewni tej nocy dzielnemu McLeishowi i jego towarzyszom głęboki, spokojny sen.

Gęsta londyńska mgła przyćmiewała światła latarni ulicznych; jej długie, wijące się pasma unosiły się wokół Luciena, gdy z trudem trzymając się w siodle, jechał stępą przez Pall Mall. Nierówny stukot kopyt karego ogiera, który ledwie powłóczył nogami, rozbrzmiewał dziwnie głucho tej mglistej nocy. Zarówno koń, jak i jeździec byli skrajnie wyczerpani.

Gdy wjechali do miasta, Lucien rozstał się z Marcusem i resztą swych towarzyszy.

Rozjechali się do swoich kawalerskich mieszkań, on zaś skręcił od razu na prawo, w St.

James's Street, zmierzając do Knight House. Imponująca rezydencja w stylu palladiańskim w pobliżu Green Park była jednym z najcenniejszych rodzinnych skarbów. Oficjalnie należała do Roberta, najstarszego z braci, obecnego księcia Hawkscliffe'a, ale reszta rodziny była tu zawsze mile widziana. Zarówno Lucien, jak i Damien mieszkali tutaj od swego powrotu z wojny przed kilkoma miesiącami.

Nowożeńcy - Robert i Belinda - nadal przebywali w Wiedniu, nie było więc obawy, że obecność bliźniaków zakłóci ich małżeńskie szczęście. Lucien nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie pozna swoją bratową. Belinda była kochanką Roberta, zanim została jego żoną i księżną. Wszyscy zapewniali, że jej uroda dosłownie zapiera dech w piersi.

Lucien westchnął, a jego westchnienie pod wpływem zimna przybrało postać

mglistego obłoczku. Jakże pragnął pochwalić się przed rodziną swoją Alice! Teraz przyjdzie mu na to poczekać, ale ją odzyska! O ile Alice zechce przyjąć go z powrotem... Głowa zbyt go bolała, by mógł się wdawać w rozważania, co pocnie, gdyby Alice go nie zechciała.

Przejechawszy kawałek jedną z najwytworniejszych ulic w Londynie, Lucien skręcił w lewo na St. James's Court, gdzie Knight House stał w całej swej okazałości za wysokim ogrodzeniem z kutego żelaza. W tej chwili Lucien pragnął tylko jednego: położyć się do łóżka. Z pewnością trzeba też będzie zmienić opatrunek. Był pewien, że bandaż przesiąkły krwią. Cały bok piekł go żywym ogniem. Każdy krok galopującego konia nadweręzał dwadzieścia cennych ściegów, ale Lucien zmuszał siebie i wierzchowca do najwyższego wysiłku. Czas był na wagę złota!

Tak się gryzł zerwaniem z Alice, że nie mógł nic jeść. Opróżnił za to w ciągu dnia prawie całą butelkę whisky, by złagodzić nieco cierpienia, jakich mu przysparzała rana. Tym sposobem nabawił się monstrualnego bólu głowy. Oczy go piekły, serce mu pękało, a w dodatku wszystko bolało go od całodziennego trzęsienia się w siodle.

Lucien z trudem zsiadł z konia, by otworzyć bramę. Stwierdził, że nie została zamknięta. To ten cholerny Alec! - pomyślał. Jego najmłodszy brat był lekkomyślnym hulaką ze szczególnym upodobaniem do gry w karty przy zawrotnie wysokich stawkach. Lucien spojrzał spode łba na dom. Okna na parterze były rzęsiście oświetlone. Gwar dolatujących aż do bramy głosów świadczył niezbicie, że odbywa się tam jakaś popijawa. Ależ by się zgorszył nasz pruderyjny Robert! - pomyślał, zamykając za sobą bramę własnym kluczem. Skrzypienie żelaznych wrót wywabiło ze stajni masztalerza. Lucien przekazał mu cugle i z wdzięcznością poklepał po karku swego wierzchowca, równie zmęczonego jak on. Potem wspiął się resztką sił na ganek i wszedł do domu, pod osłoną przemoczonego płaszcza przyciskając rękę do zranionego boku. Zmrużył oczy oślepiiony jaskrawym blaskiem



żyrandola, znalazłszy się w wykładanym lśniącym białym marmurem holu na wprost cudownie lekkich, spiralnych schodów, które zdawały się unosić w powietrzu.

- Dobry wieczór, wasza lordowska mość - powitał go Walsh, niezrównany majordomus, chluba Knight House. Jego uprzejmy powitalny uśmiech niemal natychmiast zgasł, a na czole pojawiła się zmarszczka. Obrzucił Luciena zatroskanym spojrzeniem. - W czym mogę być pomocny, milordzie?

Lucien uświadomił sobie, że wygląda jak obraz nędzy i rozpaczy. Ze znużeniem przeczesał ręką włosy.

- Kolacja, proszek od bólu głowy, gorąca kąpiel, bandaże i maść na rany, jeśli się jakaś znajdzie w apteczce. Trochę mnie poharatali.

- Bardzo mi przykro to słyszeć. Bezzwłocznie wydam stosowne polecenia.

- Czy to Alec gra w karty ze swymi przyjaciółmi? spytał Lucien, wskazując ruchem głowy jadalnię i oddając równocześnie Walshowi płaszcz.

Może złośliwe dowcipy młodszego braciszka nieco go rozweselą i pomogą otrząsnąć się z chandry?

- Nie, milordzie, to lord Damien i kilku oficerów z Klubu Gwardzistów.

- Ach, tak? Herosi spod Bajadoz - mruknął ironicznie pod nosem. - Będę w swoim pokoju.

Kiedy Lucien wspinał się po schodach, goniły za nim odgłosy dolatujące z jadalni.

Każdy wybuch chrapliwego śmiechu zwiększał jeszcze jego poczucie osamotnienia. Dotarł wreszcie do swego pokoju i nie zapalając świecy, usiadł na łóżku, ściskając rękami bolącą głowę. To dziwne... w ciągu ostatniego tygodnia spędzonego z Alice niemal zapomniał, jaką pustkę nosi w sercu człowiek samotny... Towarzysze Damiena uświadomili mu znów z całą ostrością, jak bardzo jest sam. Popatrzył na łóżko. Czy zdoła w nim zasnąć, nie mając Alice w

ramionach?

Głodówka wpłynęła zbawiennie na jego umysł: myślał jasno, potrafił się skupić.

Podczas całodziennej jazdy opracował plan odnalezienia i pojmania Bardou. Miał bardzo wiele do zrobienia, ale dziś było na to za późno. Zabierze się do tego od jutra.

Opadł na wznak wyczerpany do cna i leżał po ciemku, czekając, aż służba przyniesie mu jedzenie i wszystko, o co prosił. Zastanawiał się, czy w tej chwili gdzieś w Hampshire Alice cierpi tak samo jak on.

- Ależ to panna Montague! - wykrzyknął Hattersley, witając ją i Peg na progu wytwornej rezydencji przy Upper Brooke Street następnego dnia po powrocie Alice do rodzinnego domu. Było wczesne niedzielne popołudnie.

- Co za miła niespodzianka! Serdecznie witamy! - Majordomus był niezwykle schludny, łysawy, niski i miał żywe niebieskie oczy. - Bogu dzięki, już pani wyzdrowiała. Tak się wszyscy niepokoiiliśmy!

- Dziękuję, panie Hattersley. Mnie również miło pana widzieć - odparła Alice.

Tego ranka o świcie wyruszyli do Londynu: ona, Peg, Nellie i Mitchell na koźle.

Strażnicy Luciena spali mocno po sporej dozie laudanum.

- Dzień dobry, pani Tate - powitał ją majordomus.

Dwoje wiernych, starych domowników wymieniło spojrzenia świadczące o wzajemnym zrozumieniu i współczuciu.

- Przyjechałam wyjaśnić to bzdurne nieporozumienie - powiedziała Alice, zniżając głos. - Czy lady Glenwood jest w domu?

- Tak, panno Montague. W małym salonie.

- A jak się miewa nasz mały pacjent? Majordomus się uśmiechnął.

- Mogą oznajmić z przyjemnością, że wysypka panicza Harry'ego już przysycha.

Alice w końcu korytarza dostrzegła jasnowłosą główką, zerkającą zza drzwi. Oczy jej się zaświeciły.

- To ty, Harry? - spytała, zdejmując kapelusz z szerokim rondem.

Stanął w drzwiach z palcem w buzi. Ku jej zdziwieniu miał na sobie chłopięce ubranko zamiast prostej, luźnej sukienki, jakie nosiły zgodnie z tradycją dzieci do czwartego roku życia, zarówno dziewczynki, jak i chłopcy. Harry ubrany był w spodenki i surducik, nie zabrakło nawet wykrochmalonej chustki na szyję Alice nigdy w życiu nie widziała nic równie czarującego; był jednak stanowczo za mały na takie krępujące ruchy ubranie. Wyraźnie obawiał się podejść bliżej.

- Wielkie nieba! Kim jest ten przystojny młody dżentelmen?! - wykrzyknęła Alice. -

To chyba nie może być mój mały koteczek? Chodź no tu, Harry, daj mi buzi! Czyżbyś już zapomniał o cioci Alice? To przecież ja... i spójrz, kto tu stoi koło mnie: twoja niania Peg!

Malec podbiegł do nich. Alice prędko przykucnęła i schwyciła go w objęcia. Czuli ścislenie w gardle. Ucałowała delikatnie dwa przysychające już czerwone ślady ospy na delikatnym jak płatek róży policzku.

- Tak bardzo za tobą tęskniłam - szepnęła.

- Ty też leżałaś w łóżecku - powiedział poważnie.

Alice wzdrygnęła się wewnątrz na myśl, że oszukiwała także Harry'ego. Jak Lucien mógł znieść takie życie w wiecznym kłamstwie... nawet jeśli wymagało tego dobro ojczyzny?

Harry obdarzył ją wilgotnym całusem (zupełnie jakby szczeniaczek liznął ją po policzku!) i dumnie zaprezentował kilka łuszczących się „klostek”, po czym pobiegł uściskać Peg.

- Moja niania!

- Dzień dobry, paniczku Harry - odparła spokojnym tonem Peg, jakby wszystko wróciło

znów do normy. Alice podziwiała opanowanie starej służącej. Kiedy malec wyciągnął rączki, domagając się, by wzięła go na ręce, Peg roześmiała się i go podniosła. Objął ją kurczowo za szyję, jakby już nigdy nie zamierzał jej puścić. - A teraz opowiedz mi, co widziałeś ładnego w Londynie - zagadnęła.

Gdy Harry zaczął paplać o bezpańskich kotach, które mieszkają w ogrodzie, Peg spojrzała znacząco na Alice. Ta skinęła w odpowiedzi głową, gotując się do boju. Pogłaskała bratanka po miękkich jak puch włoskach.

- Powiem twojej mamie, że już jesteśmy.

Harry spojrzał na nią jakoś dziwnie.

- O co chodzi, kociątko? Oparł główkę na ramieniu Peg. - Mama jest zła!

Alice zrobiła wielkie oczy. Nie wiedziała, co dziecku odpowiedzieć. Zerknęła na Peg.

- Może razem z Nellie zabierzecie Harry'ego na górę do dziecinnego pokoju?

Peg domyślnie kiwnęła głową. Gdyby rozmowa z baronową przerodziła się w kłótnię, krzyki mogłyby zatrwożyć chłopca.

- Pani Tate, proszę pozwolić, że panią wyręczą - zaprotestował majordomus. - Nie może pani taszczyć panicza na najwyższe piętro!

- O, panie Hattersley, jestem silna jak koń! - odparła stanowczo Peg, nie pozwalając sobie pomóc.

- Nadweręży sobie pani grzbiet!

Nellie poszła też na górę, żeby rozpakować rzeczy swojej pani.

Stojąca u podnóża schodów Alice odprowadzała ich pełnym czułości spojrzeniem.

Kiedy zniknęli jej z oczu, zebrała siły i udała się do małego salonu. Przed drzwiami zatrzymała się, by umocnić się w swym postanowieniu. Zachnęła się w duchu na

wspomnienie Caro takiej, jaką widziała w grocie: pijanej, rozmamłanej, narzucającej się

Lucienowi. Ta kobieta zaatakowała ją, wrzeszczała na nią, pozostawiła ją na łasce losu w Revell Court.

Niełatwo będzie zachować opanowanie wobec Caro, która tak skrzywdziła ją i tych, których Alice kochała... Ale przede wszystkim trzeba skłonić Caro do zatrudnienia na nowo Peg. To było najistotniejsze. Nie tylko ze względu na nianię, ale i na Harry'ego. Wkroczyła więc do saloniku, nie zwracając sobie głowy stukaniem do drzwi, wykorzystując element zaskoczenia.

- Dzień dobry, lady Glenwood!

Spoczywająca na szeszlengu Caro zerknęła znad gazety. Zmrużyła oczy i kryjąc zaskoczenie, stwierdziła z kocim uśmiechem:

- Punktualnie jak w zegarku! Po tygodniu - dokładnie tak, jak zapowiedział nasz wspólny przyjaciel!

Odłożyła gazetę.

Trzymając nerwy na wodzy, Alice odwróciła się i zamknęła drzwi.

Caro wyglądała całkiem inaczej. Zamiast loków upodabniających ją do lalki miała teraz włosy upięte w gładki, lśniący kok. Jej suknia mogła być wzorem skromności i przyzwoitości. Z aksamitu w kolorze mahoni, wykończona czarną lamówką, ozdobiona dyskretną falbanką z kremowej koronki przy mankietach długich, wąskich rękawów oraz wokół stójki pod szyją. Nareszcie sobie uświadomiła, ile ma lat! pomyślała Alice. I nagle zdała sobie sprawę, czym jeszcze różni się ta suknia od poprzednich. Caro zrezygnowała z wdowiej żałoby! Zgodnie z uświęconym zwyczajem wdowa przez dwa lata od śmierci męża ubierała się wyłącznie w czerń, a od zgonu Phillipa minął zaledwie rok. Alice uznała decyzję Caro za ostatnią zniewagę wyrządzoną pamięci jej brata.

Z najwyższym trudem powstrzymała się od gorzkich uwag. Sam Phillip z pewnością

zgodziłby się, że w chwili obecnej najważniejsze było dobro Harry'ego, on zaś potrzebował niani. Alice założyła ręce do tyłu i dumnie uniosła głowę.

- Muszę z tobą porozmawiać o Peg Tate!

- Co za ponura mina, moja droga! Czegoś tu wyraźnie brakuje... hm... - Caro uniosła nagle ręce do twarzy, udając zdumienie. - O, nie! Czyżby to twoja cnota gdzieś się zapodziała? Gdzie ta aureola świętości?

Alice spojrzała na nią zimno.

Caro wybuchnęła perlistym śmiechem i podniosła się wdzięcznie z szeszlona.

- Niech no ci się przyjrzę, złotko! Nasza panna Skromnisia nie jest już taka skromniutka, co? Nie martw się! Nikt nie wie, jak się zabawiałaś. Z wyjątkiem mnie, ma się rozumieć! Ach, biedna mała Alice... upadła tak samo jak jej bratowa, ta grzesznica! Poznaję to po twoich oczach, ale możesz być spokojna, nie pisnę ani słowa. To będzie taki mały sekrecik między nami dziewczętami i Lucieniem Knightem! Powiedz mi, przypadło ci do gustu?

- Co takiego? - spytała Alice cicho, z nutką rezerwy.

- Pieprzenie się z nim - szepnęła Caro.

Alice ugryzła się mocno w język, by nie wyrwać się z czymś, czego by potem żałowała.

- Prawda, że on jest w tym znakomity? Ubóstwiam te jego drapieżne pomruki, kiedy jest o włos od... no, sama wiesz, czego... - szepnęła z udaną skromnością.

Ugodzona prosto w serce Alice Spiorunowała ją wzrokiem. Oczy płonęły jej bólem i wściekłością, policzki oblały się pasem.

- No, no... o cóż chodzi?... Och, ty głuptasie! - mruczała Caro. - Nie zakochałaś się chyba w tym donżuanie?

Alice nie odpowiedziała. Wpatrywała się w nią tylko z gniewem.

- A jednak się zakochałaś! No, tak! To było do przewidzenia! - Caro złożyła dłonie, odchyliła głowę do tyłu i roześmiała się czarująco. - Ach ty, biedna idiotko!

Alice głos uwiązał w gardle. Usiłowała wymyślić coś na poczekaniu, by skierować rozmowę na inne tory, zanim wybuchnie płaczem. Nie! Nie da bratowej tej satysfakcji!

- Słyszałam, że uderzyłaś Harry'ego - wykrztusiła przez zaciśnięte zęby.

- O... Widzą, że plotkowałaś z tą staruchą z gębą buldoga! Nie troszcz się aż tak o mego syna, Alice! To mój syn, nie twój! Czas najwyższy nauczyć go dyscypliny.

- I właśnie ty zamierzasz go uczyć? Trudno o gorszą nauczycielką! Caro rzuciła jej przez ramię ostrzegawcze spojrzenie, zmierzając do stołu, na którym stał srebrny serwis.

Nalała sobie filiżanką herbaty.

- Owszem, ja. Być może przy pomocy kogoś, kto w niedługim czasie zostanie drugim papą Harry'ego. W moim życiu pojawił się nowy mężczyzna, Alice - i to jaki mężczyzna!

Wielki, jasnowłosy barbarzyńca! Prusak. Jeśli zechcę, wyjdą za niego i wówczas zamieszkam razem z Harrym w Berlinie z von Danneckerem.

Alice spojrzała na nią z przestraszeniem i pobladła.

- Nie mówisz chyba poważnie! Nie wywieziesz Harry'ego z Anglii!

- Nie martw się, moja droga. Możesz jechać z nami, jeśli chcesz. Tylko sobie nie wyobrażaj, że odbijesz mi von Danneckera tak, jak uczyniłaś to z Lucieniem!

Alice opuściła oczy, usiłując za wszelką cenę zachować równowagę ducha.

Postanowiła zapomnieć na razie o zwariowanych planach bratowej i skoncentrowała się na głównej przyczynie ich spotkania.

- Caro, musisz zatrudnić na nowo Peg Tate! Jak mogłaś wymówić jej pracę? Służy naszej rodzinie od dwudziestu pięciu lat, a Harry ją ubóstwia! Nie możesz pozbyć się jej...

- Owszem, mogą. I ciebie również, Alice. Chyba po ostatnich przeżyciach przekonałaś się wreszcie, gdzie twoje miejsce! Spadłaś z piedestału, co?

Nozdrza Alice zafalowały niepokojąco; omal jej nie poniósł porywczy temperament.

Wyprostowała się dumnie, lecz powstrzymała się od riposty.

- Pod twą nieobecność dokonałam kilku zmian - ciągnęła dalej Caro. - Pora, żebyś się o nich dowiedziała. - Z filiżanką i spodeczkiem w ręku odwróciła się do szwagierki i spojrzała jej w twarz. - Zamierzam być znowu panią swojego życia i swego domu. Żądam, by traktowano mnie z należnym respektem. Macie mi okazywać szacunek, zarówno ty, jak i Harry i ta stara wiedźma!

- Na szacunek trzeba sobie zasłużyć - burknęła Alice.

- Wstrzymaj się na przyszłość od takich bezczelnych uwag, głupia dziwko! - odparowała Caro z oczyma płonącymi gniewem.

- Jak śmiesz?!

- A co, może nią nie jesteś? Wiem, co wyprawiałaś, więc nie zadzieraj nosa... albo fora ze dwora i radź sobie sama! Nie zapominaj, że ode mnie zależy, czy będziesz się widywać z Harrym, czy nie!

Alice wpatrywała się w nią w osłupieniu.

- Nie możesz mi tego zabronić!

- Chcesz się przekonać?

Alice zamrugła oczyma, nie mogąc uwierzyć w realność tej straszliwej groźby.

- Czego chcesz ode mnie?

- O, teraz już lepiej! Widzisz, jak to miło, gdy idziemy ręka w rękę? Alice spojrzała na nią z nienawiścią.

Caro uśmiechnęła się obojętnie i wypła łyk herbaty.



- A więc posłuchaj! Przede wszystkim musisz się pokazać na kilku najbliższych spotkaniach towarzyskich, by wszyscy mogli zobaczyć, że przyszłaś już do siebie po influenzy. Dla kobiet takich jak my najważniejsze jest zachowanie pozorów.

Alice powstrzymywała się z całej siły, by nie odpowiedzieć jej tak, jak na to zasługiwała.

Nie jestem taka jak ty! - myślała. Żebyśmy nie wiem co robili z Lucienem, nigdy nie będę taka jak ty!

- W Londynie jest teraz dość pusto... ale dziś odbędzie się wieczór muzyczny u hrabiny Lieven, a w piątek bal w Argyll Rooms. Pokażesz się na jednym i drugim.

- Nie mogę. Mam miesięczną przypadłość - wymamrotała Alice.

- Ach, tak? No, dobrze, darujesz sobie dzisiejszy koncert, ale w piątek idziesz ze mną na bal, zrozumiano? Do tego czasu wszystko powinno już być w porządku.

- A co z Peg?

Caro zrobiła pogardliwą minę i utkwiała wzrok w filiżance. Wyraźnie delectowała się swoją przewagą.

- Przysięgnij, że nigdy w życiu nie zdradzisz nikomu, co wydarzyło się w Revell Court, a ja tym razem wybaczę tej starej czarownicy.

Alice popatrzyła na bratową z niesmakiem. Baronowa niewątpliwie zorientowała się, że gdyby w wielkim świecie rozeszła się wieść, iż Alice została kochanką Luciena, a Caro, jej opiekunka, przyczyniła się do tego, a w każdym razie nie zrobiła nic, by ocalić swą podopieczną od upadku, wszyscy odwróciliby się od nich obu. Londyńska elita mogła patrzeć przez palce na to, że młoda wdówka szuka skandalicznych przygód, gdyby jednak dowiedziano się, że z małostkowej zawiści popchnęła swoją niewinną szwagierkę do zguby, nie uszłoby jej to na sucho... A poza tym Caro nie chciała pokazać się swemu nowemu

kochankowi od tak złej strony.

- Przysięgasz?

- Nie mam najmniejszego zamiaru przyznawać się do znajomości z Lucienem

Knighem - odparła Alice zimno. - Uzgodniłam z nim, że będziemy traktować się odtąd jak ludzie całkiem sobie obcy.

Wymawiając te słowa, poczuła w sercu nagły ból. Nie spuściła jednak oczu, a twarz nawet jej nie drgnęła.

- Doskonale! - odparła Caro. - A więc pozostanie to naszym sekretem. Ja też dam dowód dobrej woli i pozwolę zostać tej okropnej starej babie. Tylko pilnuj, żeby nie wchodziła mi w drogę! I oczywiście oczekuję od niej przeprosin.

Peg będzie wściekła, że przyjdzie jej się poniżyć przed lady Glenwood. Ale dla dobra Harry'ego zdobędzie się i na to. Alice była tego pewna. Caro uśmiechnęła się promiennie i przygładziła włosy.

- No i co? Dogadałyśmy się bez trudu, prawda?

W tej właśnie chwili ktoś zastukał do drzwi frontowych.

- O, to z pewnością von Dannecker! Wybieramy się do Hyde Parku. Caro odstawiła filiżankę i podbiegła do lustra wiszącego nad kominkiem.

Poszczypała policzki, żeby się zaróżowiły, i pospieszyła do frontowego holu.

Majordomus otwierał właśnie drzwi.

Alice z pewną rezerwą podążyła za bratową. Ciekawa była, jak wygląda mężczyzna, który - jeśli Caro mówiła prawdę - mógł wkrótce zostać ojczymem Harry'ego. Von Dannecker był chyba nawet jeszcze wyższy od Luciena, a z pewnością potężniej zbudowany. Ramiona miał jak wykute z granitu. Choć jego ciemne ubranie cechowała dyskretna elegancja, Alice pomyślała kwaśno, że do tego ogorzałego osiłka bardziej by pasował strój rzezimieszka.

- Karl!

Caro wydawała się niemal karliczką, gdy podbiegła wdzięcznie do gościa, objęła go i stanąwszy na paluszkach, ucałowała go kontynentalnym zwyczajem w oba policzki. Twarz miał szeroką, kwadratową, z wydatnym czołem i dołkiem w brodzie. Żółte jak słoma włosy były zaczesane do tyłu i gładko ulizane. W jego prawym oku tkwił monokl, który opadł nagle i zakołysał się na wstążeczce, gdy von Dannecker dostrzegł Alice stojącą w drzwiach salonu. Ich spojrzenia spotkały się i Alice cofnęła się mimo woli, oparła o framugę drzwi. Przebiegł ją dreszcz na widok bladoniebieskich oczu nowo przybyłego. Usta miał wąskie, okrutne, oczy głęboko osadzone.

- Pozwól, Karl: to moja Szwagierka, panna Montague. Alice, przedstawiam ci barona von Danneckera powiedziała z dumą Caro i zaborczym gestem wsunęła mu rękę pod ramię, bezwstydnie głaszcząc rozsadzające rękawy bicepsy.

Alice skinęła baronowi głową. On skłonił się, po czym zwrócił wzrok w stronę schodów. Właśnie schodził po nich ostrożnie Harry, czepiając się każdego balaska.

- Ciociu! Chodź zobaczyć kotki w ogrodzie! - zawołał.

- Już idę, Harry! Państwo wybaczą. - Skłoniła się lekko i pobiegła czym prędzej do chłopczyka stojącego na schodach. Wzięła go mocno za rączkę. Wiesz przecież, że nie wolno ci schodzić samemu.

- Zobaczyłem kotki za oknem i niania powiedziała, że damy im mlecka, bo nie mają domu, wieś?

- O, jesteś, Harry! zawołała Caro. Chodź tutaj i przywitaj się ładnie z panem baronem. I daj mamusi buziaka.

Caro pochyliła się i wyciągnęła ręce do dziecka, chcąc pokazać kochankowi, jaka z niej dobra matka.

Harry umilkł nagle i spojrzał żałośnie na Alice, która dyskretnie skinęła głową. Każde dziecko należy uczyć posłuszeństwa i szacunku wobec matki, choćby była nią zdradziecka dziwka. Chłopczyk westchnął ciężko i posłusznie podszedł do swojej mamy. Alice serce się ścisnęło, gdy ujrzała, jak nieśmiało ją obejmuje. Niewątpliwie dostał nieraz porządną burę za potarganie jej włosów czy pogniecenie sukni.

- Grzeczny chłopczyk z ciebie - pochwaliła go Caro, głaszcząc synka po główce z przesadną czułością. - A teraz ukłoń się panu baronowi!

Harry ledwie sięgał von Danneckerowi do kolana, ale zwrócił się do niego z powagą, przyłożył rączkę do pasa i wykonał całkiem poprawny ukłon, po czym zwiął w te pędy do Alice. Chwyciła go w ramiona i mocno przytuliła.

Jakiś instynkt nakazywał jej osłaniać to dziecko przed nieczułym wzrokiem von Danneckera.

Do piątego listopada pozostało już tylko sześć dni, ale przygotowania Claude'a Bardou szły zgodnie z planem. Jego kanonierzy przybyli do Anglii dzięki uczynności irlandzkich rybaków, którzy przesmuglowali ich w swojej łodzi. Ludzie Bardou przywieźli ze sobą błyszczące, odlane z brązu działo (osiemnastofuntówkę) i pokaźny zapas amunicji oraz przenośną nagrzewnicę, niezbędną przy strzelaniu rozżarzonymi do czerwoności kulami.

Będzie się tu ładnie palić! - pomyślał, wychodząc razem z lady Glenwood z jej domu, i uśmiechnął się krzywo. Nie podobało mu się zuchwałe spojrzenie jej szwagierki, gdy patrząc mu w oczy, objęła dziecko i obronnym gestem przytuliła je do siebie. Choć panna Montague wyglądała równie delikatnie i skromnie jak większość angielskich pań, wyczytał z jej czujnych niebieskich oczu siłę charakteru, która nakazywała mu trzymać się na dystans. Przyszła mu do głowy dziwaczna myśl, że ta dziewczyna przejrzała go i wie, iż nie jest żadnym pruskim arystokratą. Co za absurd! Chcąc jednak czym prędzej znaleźć się poza

zasięgiem tych zimnych, błękitnych oczu, poprowadził lady Glenwood do czekającego przed domem powozu, który pożyczył od Stafforda.

Ledwie do niego wsiedli, Caro objęła swego towarzysza i zaczęła go obsypywać zmysłowymi pocałunkami. Bardou nigdy nie przepadał za całowaniem, ale zastosował się do życzeń baronowej, gdyż była cenną zdobyczą. Postanowił, że użyje jej w charakterze przynęty, by wywabić Argusa z Londynu przed wieczornym festywnem piątego listopada. A jednak czuł przez skórę, że w jej stosunkach z Lucieniem Knightem jest coś, o czym woli mu nie opowiadać. Ilekroć skierował rozmowę na jej niedawny sukces, który narobił tyle szumu zawojowanie obu bliźniaków - baronowa zmieniała temat z fałszywą skromnością i irytującą bez troską.

Bardou nie chciał zbytnio naciskać, by nie usposobić jej nieprzychylnie względem siebie. Kiedy jednak przekonał się, że Caro jest coraz bardziej pod jego wpływem, postanowił z większą stanowczością poruszyć tę sprawę. Przerwał więc całowanie i spojrzał w jej zamglone namiętnością oczy.

- Wiesz, że za tobą szaleję, najdroższa - mruknął.

Był to doprawdy niezły wyczyn jak na rodowitego Francuza: mówić po angielsku z pruskim akcentem!

- Och, Karl! - mruzczała jak kotka, a jej ręce błądziły po całym jego ciele. - Ja za tobą też! Czuję się przy tobie taka pełna życia!

- Wiesz, że traktuję cię poważnie, Karolino - kontynuował, głaszcząc ją. Na widok promiennej radości na twarzy Caro omal go nie ruszyło sumienie. Cóż za idiotka! - Jeśli jednak mamy być razem - kontynuował surowo - muszę wiedzieć, ile jest prawdy w plotkach na twój temat, które słyszę na każdym kroku. Nie pozwolę wystawić się na pośmiewisko! Muszę wiedzieć, co było naprawdę między tobą a tymi przekłętymi Knightami!

Caro przesłoniła oczy rzesami.

- Omal się nie wydałaś za Damiena Knighta, nieprawdaż?

- Dla mnie to był tylko zwykły flirt, Karl!

- I właśnie dlatego pozwoliłaś się wykorzystać temu drugiemu?

- Lucien Knight wcale mnie nie wykorzystał! - zaprzeczyła i oczy zapłonęły jej

oburzeniem. - Jeśli chcesz wiedzieć, pragnął mnie tak rozpaczliwie, że zachował się

nietojalnie wobec rodzzonego brata... Ale muszę przyznać, że i on szybko mi się znudził. Był

tym bardzo urażony... Prawdę mówiąc, jest nadal na mnie wściekły, ale co ja na to poradzę?

Przestał mnie interesować, i tyle.

- Ale on nadal cię kocha? - nalegał, czując, że Caro coś kręci. - Pytam, bo wolę być

przygotowany, gdyby cię przypadkiem niepokoił!

Uśmiechnęła się i znów objęła go ramionami.

- Och, Karl, jakiś ty słodki! Naprawdę byś mnie bronił od zakusów eksamanta?

W tym właśnie momencie przyszło mu do głowy, co się zapewne kryje za jej

przesłodzonym uśmiechem. Ależ oczywiście! Nadal za jego plecami spotyka się z Lucieniem

Knightem.

A więc to ukrywa przede mną ta suka! - dumał. - I myśli pewnie, że jest taka sprytna,

bo nas obu wodzi za nos!

Gdyby Bardou naprawdę był von Danneckerem, takie postępowanie kochanki

rozwścieczyłoby go. Teraz jednak uśmiechał się pod swą maską, zadowolony z tego, że

baronowa nadal sypia z jego wrogiem. Stanowiło to rękojmię, że jego plan się powiedzie.

- Naprawdę skoczyłbyś mi na ratunek, jak rycerz swej damie? - przekomarzała się,

prowokacyjnie oblizując wargi. - Obroniłbyś mnie, mój wielki, dziki wikingu?

- Nawet z narażeniem własnego życia - powiedział, zzymając się wewnątrz na jej

ignorancję: przecież wikingowie byli Skandynawami, a nie Niemcami!

Pomrukiwała rozkosznie, tuląc się do niego i znów go całując. Gdy sięgnęła dłonią niżej, Bardou poczuł podniecenie, ale jego myśli pobiegły ku Sofii. Nadal jej nie było i zaczął już podejrzewać, że jego ognista ruska pieszczotka dała nogę.

Przekonywał samego siebie, że nie ośmieliłaby się. Przesłała mu kilka słów z drogi, kiedy pędziła za Rollem Greene'em do wiejskiego domu Argusa. Przecież tak by się nie zachowała kobieta knująca zdradę! A jednak w tym maleńkim zakątku duszy Bardou, gdzie zachowała się jeszcze odrobina ludzkich uczuć, zrodził się niepokój, czy nic złego nie przydarzyło się Sofii. Nie było drugiej takiej jak ona! Nikt inny nie rozumiał go naprawdę, nikt tak jak ona nie odgadywał jego mrocznych pragnień... Ofuknął się w duchu za te bezsensowne obawy: Sofia potrafi zadbać o siebie! Bardou nie wątpił, że zabiła tego odrażającego Amerykanina. Zawsze dopadała swoją ofiarę! Mógł być pewien, że wykonała zadanie, które jej zlecił, a przecież tylko o to chodziło!

Postarał się zapomnieć o Sofii i zawiózł Caro do swego apartamentu w Pulteney Hotel. Wziął tam kochankę swego wroga jak ostatnią dziwkę, zmuszając ją między jednym a drugim mściwym pchnięciem do przysięgania, że jest znacznie lepszym kochankiem niż Lucien Knight. Nie ośmieliłaby się, rzecz jasna, powiedzieć nic innego... ale i tak jej zapewnienia sprawiły mu przyjemność.

Ukryty w cieniu Lucien taksował wzrokiem wspaniałą salę balową z wysokiej, mrocznej galerii, obserwując kłębiący się w dole tłum z cierpliwością drapieżnika tropiącego upatrzoną zwierzynę. Nie mógł wprost uwierzyć, że minęły już cztery dni. Cztery doby niezmordowanych poszukiwań i łamania sobie głowy nad tym, jak przechytrzyć Bardou. Już jutro jest piąty listopada, rocznica spisku prochowego, a wroga nadal ani śladu!

W ubiegłym tygodniu Lucien, starając się odnaleźć Claude'a Bardou, nawiązał kontakty z policją, zarówno kryminalną z Bow Street, jak i miejską, chronicznie cierpiącą na brak funkcjonariuszy. Przekazał im dokładny rysopis Francuza, ale jak dotąd nikt go nie widział. Postawił w stan gotowości bojowej konnych gwardzistów. Zażądał specjalnej ochrony Westminster Hall, ważniejszych instytucji publicznych oraz rezydencji królewskich na terenie całego Londynu; polecił przeszukać stare piwnice pod gmachem parlamentu, ale nie odkryto w nich żadnych materiałów wybuchowych. Podczas gdy agenci z Bow Street wraz z policją miejską przeszukiwali ulice i rozpoczęli bardzo czasochłonną inspekcję wszystkich składów nad Tamizą, Lucien postanowił zapolować na Bardou w wielkim świecie. Bardou nie był dżentelmenem, ale miał dość tupetu, by go udawać. Zapewne sądził, że potrafi zamydlić oczy eleganckiemu towarzystwu, jeśli wystąpi w odpowiednim stroju. Lucien kipiał z wściekłości. Czuł, że nieprzyjaciel jest blisko, pod boki... a jednak pozostawał niewidzialny. Ten sukinsyn bez wątpienia śmieje się w kułak z jego rozpaczliwych, bezskutecznych wysiłków! Zamierza ujawnić się dopiero w ostatniej chwili, gdy wszystko będzie miał już zapięte na ostatni guzik.

Nagle przez salę balową przebiegł szmer. Lucien ujrzał, jak wszyscy zwracają głowy w stronę wejścia... a potem szczęka opadła mu na widok piękności w białej sukni, która wdzięcznie wkraczała na salę z dumnie wzniesioną główką, z perłami kunsztownie



wplecionymi w miedzianożłote włosy.

Alice!

Stał jak wryty i wpatrywał się w nią w osłupieniu.

Co ona tu robi, na litość boską?! Nie wierzył własnym oczom. Ogarnęły go równocześnie radość i paniczny strach. O Boże, jak stęsknił się za nią... Skąd się wzięła w Londynie, do jasnej cholery?!

Ramię w ramię ze Szwagierką wpłynęła na salę balową Caro, ubrana w obcisłą suknię z czarnego aksamitu. Nie ulegało jednak wątpliwości, że większe wrażenie robi Alice - pełna godności, niezwykle zgrabna. W wieczorowej sukni z białego jedwabiu, który szeleszcząc zmysłowo, falował przy każdym jej ruchu, robiła wrażenie niedostępnej marmurowej bogini, która raczyła zstąpić ze swego piedestału. Wydawała się Lucienowi zupełnie inną istotą niż ta poważna, nieśmiała dziewczyna, która w ubiegłym tygodniu odważyła się wejść do jego biblioteki i którą tak łatwo zawojował jednym erotykiem Donne'a. Teraz była kobietą, z którą należało się liczyć. Przystanęła na chwilę w drzwiach wielkiej sali, obrzucając ją wzrokiem pełnym wyniosłej obojętności, po czym z gracją przekroczyła próg.

Niewzłocznie otoczył ją i Caro rój mężczyzn: złoci młodzieńcy, wymuskani dandysi, oficerowie w barwnych mundurach usiłowali przyciągnąć jej uwagę, zasypywali ją komplementami. Na ten widok oczy Luciena zapłonęły gniewem.

- Marcus! - warknął, zwracając się do swego adiutanta.

Młodzieniec, oparty o framugę drzwi schodów na galerię, pospieszył na wezwanie.

Lucien z wściekłością wskazał mu Alice.

- O, cholera jasna... - mruknął pod nosem Marc. - Zabierz ją stąd!

- Już się robi!

Alice żałowała, że tu przyszła. Zdecydowanie wolałaby pozostać w domu i siedząc

przy kominku, wpatrywać się w ogień lub czytać coś Harry'emu. Należało jednak udowodnić wielkiemu światu, że nic się nie zmieniło. Nie przydarzyło się jej nic skandalicznego... ani nazbyt podniecającego.

Zwykła influenza.

Zasłużyłam na to, pomyślała gorzko. Wróciłam od Luciena z ustami pełnymi kłamstw!

Ledwie weszła na salę balową, a już podbiegli, by ją powitać, trzech wytrwali adoratorzy - Roger, Freddie i Tom - i otoczyli ją, mówiąc wszyscy naraz. Roger Manners, poważny, uczciwy młodzieniec o ciemnych włosach i oczach, zapowiadał się na wybitnego prawnika. Freddie Foxham, stały bywalec sklepów i zakładów krawieckich na Bond Street, był znanym elegantem; dziś miał na sobie purpurowy frak oraz kołnierzyk koszuli tak wysoki, a chustkę na szyję tak wykrochmaloną, że nie mógł obrócić głowy. Tom de Vere, syn bogatego ziemianina, wyróżniał się wzrostem i rubasznym śmiechem, a ujmował szczerością, prostotą i iście psią wiernością.

- A cóż to za pięknotka?! Rany boskie! - huknął Tom z szerokim, serdecznym uśmiechem.

- Doprawdy błogosławione ozdrowienie! Panno Montague, wygląda pani urzekająco - oznajmił jak zawsze szarmancki Roger, całując ją w rękę.

Freddie zlustrował ją od stóp do głów przez nieodłączny monokl, po czym orzekł:

- Całkiem, całkiem!

Alice uśmiechnęła się do nich z lekkim przekąsem.

- Dziękuję za kwiaty. Całej trójce!

- A czyje ci się najbardziej spodobały? - spytał z dziecięcą natarczywością Tom.

Roześmiała się.

- Doprawdy nie wiem! Wszystkie były śliczne.

- Usiądź, Alice. Powinnaś teraz dbać o siebie - zatroszczył się Roger, wchodząc jak zwykle w rolę doradcy i opiekuna.

Ujął ją delikatnie pod łokieć i poprowadził w drugi koniec sali; Freddie torował im drogą za pomocą eleganckiej laseczki, z którą nigdy się nie rozstawał.

Kiedy dotarli do miejsc pod ścianą przeznaczonych dla obserwatorów, Tom pochwycił wyściełane krzesło i podsunął je Alice zamaszystym, pełnym zapału gestem.

- Oto twój tron, księżniczko!

- Jesteście niepoprawni! - ofuknęła ich.

Jej bratowa siedziała już całkiem niedaleko zajęta sprawiającą jej wyraźną radość konwersacją z adoratorami. Alice zauważyła, że odrażający braciszek Caro, Weymouth, kręci się w pobliżu; bez wątpienia chce naciągnąć siostrę na pożyczkę. Był jak zwykle niechlujny, odurzony alkoholem i opium.

- Może byś się kopnął po poncz dla naszej dziewczyny, stary? - wycedził Freddie.

- Jasne! - odparł Tom, jakby nagle olśniła go nieodparta słuszność tej rady. Kiedy zaczął przedzierać się przez tłum w poszukiwaniu stołu z napojami, Freddie i Roger zajęli miejsca po obu bokach Alice.

- Napędziłaś nam strachu swoją chorobą - powiedział Roger z leciutkim wyrzutem.

- No cóż... jestem już całkiem zdrowa.

- Na tyle, by z nami zatańczyć? - spytał z leniwym uśmieszkiem Freddie.

- Kto wie? - odparła zalotnie. - Niebrzydki ten frak!

- Prawda?

- Powiedzcie, chłopcy, czy ominęło mnie coś naprawdę ekscytującego?

Gawędzili o tym i owym. Roger opisywał najnowszy szekspirowski spektakl na Drury

Lane z udziałem wschodzącej gwiazdy teatru: Edmunda Keana. Freddie próbował zaćmić go

opisem ostatnich widowisk konnych w cyrku Astleya.

Alice udawała, że słucha, zajęta własnymi myślami. Jak powinna postąpić teraz, gdy nie jest już dziewicą? Czy wyjawić sprawę przyszłemu mężowi, czy też omamić go tak, by nie dostrzegł prawdy? Z Tomem udałoby się to jej bez trudu, to taki kochany głuptas... Nie była jednak w stanie pokochać go, a podobne oszustwo w stosunku do przyjaciela wydało jej się czymś niewybaczalnym...

Najtrudniej byłoby oszukać Freddiego, wytrawnego światowca, ale być może właśnie on z całej trójki najłatwiej pogodziłby się z jej upadkiem. Dotarły do niej kiedyś słuchy o niezwyklej, aż nazbyt gorącej przyjaźni Freddiego z pewnym elegantem. Po tym, co widziała w grocie, Alice rozumiała, o czym napomykali plotkarze. Ona sama zresztą miała niekiedy wrażenie, że Freddie zaleca się do niej, gdyż wypadało mu starać się o względy jakiejś panny... a w głębi ducha wiedział, że Alice nigdy go nie przyjmie. Wszystko jedno! - pomyślała. Jest moim przyjacielem i zawsze będę go kochała!

Najmądrzej by chyba zrobiła, decydując się na Rogera. Bez wątpienia był niewinnym chłopcem, może więc nie zorientowałby się, że nie jest dziewicą .. zwłaszcza że miłość do niej całkiem go zaślepiła. Postawił ją na takim piedestale! Nic dziwnego, była przecież uosobieniem skromności.

Kiedy Tom wrócił z ponczem, a Freddie odszedł na chwilę, by przywitać się z jednym ze swych zarozumiałych, ironicznie uśmiechniętych przyjaciół, Roger pochylił się i szepnął Alice do ucha:

- Muszę z tobą porozmawiać. Sam na sam.

Skinęła głową zastanawiając się, o co mu chodzi, gdy nagle usłyszała, że ktoś wołają natarczywie po nazwisku. Spojrzała w tamtą stronę i zrobiła wielkie oczy. Zmierzał ku niej Marc na czele innych towarzyszy Luciena.

- Panno Montague! Jedno słówko, jeśli łaska!

- Jak zdróweczko? - zawtórował mu Talbert. - Wygląda pani oszołamiająco! - Jak zawsze, mademoiselle! - wtrącił z ukłonem O'Shea.

- Cóż za miłe spotkanie, droga panno Montague! Ależ pani dziś szykowna! - podsumował Marc, a w oczach tańczyły mu psotne chochliki.

- Cóż to ma znaczyć? - obruszył się Robert, gdy adiutanci Luciena obścibali Alice, wypierając trójkę jej wiernych adoratorów.

- Nasz wspólny przyjaciel bardzo się rozgniewał, widząc panią tutaj - poinformował ją Marc najcichszym szeptem.

- On tu jest? - spytała ledwie dosłyszalnie i zamarła w bezruchu. Gdzie?

- Obserwuje panią - mruknął Kyle, szelmowsko mrużąc oczy - stuoki Argus!

- Jak tam jego rana? - spytała pospiesznie, tak cicho, by jej wielbiciele nie dosłyszeli.

- Cóż to może panią obchodzić? droczył się z nią Marc. Spiorunowała go wzrokiem. Czowała, że policzki jej pałają.

- Nic a nic! Gdzież jest ten łotr? Nie mógł sam ze mną porozmawiać?

- Dobrze pani wie, że nie mógł.

Alice się nadała. Marc spojrział przelotnie na galerię nad nimi i Alice dyskretnie rzuciła okiem w tamtą stronę. Coś się tam poruszyło, ale nie ujrzała nikogo. Lucien jak czarny kot wtopił się w noc.

Marc spojrział na nią poważnie.

- Poleciał mi, żebym pani coś powtórzył: „Wyjedź z Londynu. Wracaj natychmiast do Glenwood Park. Tutaj grozi ci wielkie niebezpieczeństwo”.

- Może mu pan z kolei przekazać coś ode mnie: „Nie jesteś moim mężem. Nie masz prawa mi rozkazywać. Będę robić, co mi się podoba”.

- Zdziorna jak zawsze! - zauważył O'Shea z szerokim uśmiechem.

- Słowo daję, panowie, dość już tego! - oświadczył Roger, wpychając się między

Kyle'a a Talberta. - Alice, proszę ze mną.

- Pan wybaczy, ale... - zaczął Marc z oburzeniem, gdy nagle poczuł na piersi dotyk  
laseczki Freddiego.

- Radzę się odsunąć - wycedził elegant z wielką pewnością siebie, zmuszając Marcusa  
do cofnięcia się o krok. - O ile mi wiadomo, nie został pan przedstawiony jak się należy tej  
młodej damie i nie ma pan prawa jej niepokoić.

- Freddie! - wykrzyknęła zaszokowana Alice. Marc zmrużył oczy.

- Bo co mi pan robi?

- Ja? Absolutnie nic. Po cóż miałbym gniesć sobie ubranie, kiedy mój młody

przyjaciel załatwi się z panem jak należy? - odparł Freddie, otrzepując swe wytworne  
rękawiczki. - Bierz go, Tom!

Marc odwrócił się i ujrzał zwalistego młodziana. Na ten widok zawahał się na ułamek  
sekundy. Potem odchylił głowę do tyłu i zmierzył przeciwnika krytycznym wzrokiem.

Rumiana twarz Toma pociemniała z gniewu.

Alice nabrała powietrza do płuc, zdecydowana nie dopuścić do bójki, gdy nagle Marc  
zaklął pod nosem i wycofał się wraz ze swymi kompanami. W luce, która powstała w tłumie,

Alice ujrzała tego, który się do niej zbliżał. Zbladła i znieruchomiała, przygwożdżona  
chłodnym, władcym spojrzeniem brata bliźniaka, podobnego do Luciena jak dwie krople  
wody.

Pułkownik Damien Knight, bohater narodowy!

Nie mogło być co do tego żadnej wątpliwości: szkarłatny mundur jak z igły, złote  
epolety, białe rękawiczki, paradna szpada... Takiego wzrostu jak Lucien, przewyższał więc co

najmniej o głowę pozostałych mężczyzn. Wydawał się jednak mocniej zbudowany od brata.

Swą pełną godności postawą budził lęk i nakazywał posłuch, podczas gdy Lucien przybierał niedbałe, swobodne pozy, zapewne nie chcąc płoszyć tropionej zwierzyny. Alice spoglądała na lorda Damiena w osłupieniu, zaskoczona podobieństwem obu braci. Gdy pułkownik, trzymając w ręku ozdobne czako, miarowym krokiem pokonywał dzielącą ich odległość, zwróciła uwagę na różnicę w sposobie poruszania się bliźniaków. Ruchy Luciena były miękkie, niespieszne. Damien maszerował, sztywno i rytmicznie.

Ta kombinacja podobieństw i przeciwieństw była dość niepokojąca.

Damien zatrzymał się tuż przed Alice i kaszlnął znacząco. Zza jego pleców natychmiast wyłonił się inny oficer. Alice najpierw zwróciła uwagę na rude włosy i wypielęgnowane wąsy, dziwnie znajome. Potem zauważyła, że oficer nie ma jednej ręki. I nagle uświadomiła sobie, że stoi przed nią przyjaciel jej brata, major Jason Sherbrooke.

- Major Sherbrooke! - wykrzyknęła zdumiona.

- Kopę lat, panno Montague! - powiedział. - Aż wierzyć się nie chce, że mała siostrzyczka Glenwooda tak wyrosła!

Alice uśmiechnęła się do majora, ale Damien spojrzał na niego ze zniecierpliwieniem.

Major Sherbrooke skinął głową.

- Pani pozwoli, panno Montague, że przedstawię jej pułkownika Knighta, lorda

Damiena Knighta Wasza lordowska mość, oto czcigodna panna Alice Montague.

- To dla mnie zaszczyt, milordzie - powiedziała Alice słabym głosem, dygając przed pułkownikiem.

Cała ósemka młodych ludzi zdradzała oznaki konsternacji. Siedząca w pobliżu Caro wyprostowała się nagle, wyraźnie zbulwersowana Obrzuciła Alice morderczym spojrzeniem.

Lord Damien się skłonił.

- Czy raczy pani zatańczyć ze mną, panno Montague? Na te słowa Caro sapnęła głośno.

Alice przyjrzała się podejrzliwie pułkownikowi. Lucien podkreślał z naciskiem, że żadne z nich nie może nikomu wspomnieć o ich sielance w Revell Court... a jednak zwierzył się bratu! Pułkownik od nikogo innego nie mógł się o tym dowiedzieć, a była przekonana, że z tego właśnie powodu szukał jej towarzystwa. Nie wątpiła, że zapraszając ją do tańca, lord Damien chce odpłacić pięknym za nadobne bratu, który odbił mu Caro.

Wahała się z odpowiedzią, wiedząc, jak przeczulony jest Lucien na punkcie swego sławnego brata. Jeśli istotnie obserwuje ich teraz z galerii, musi być wściekły.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł powiedziała cichym głosem, choć niesłychanie trudno było przeciwstawić się osobie budzącej taki podziw i lęk.

- Bardzo dobry, panno Montague - odparł krótko. - Muszę z panią pomówić.

Nie była to prośba, lecz królewski rozkaz. Podał jej ramię. No, no! Jeszcze jeden Knight o tyrańskich zapędach! - powiedziała sobie w duchu i nozdrza jej zafalowały buntowniczo. Doszła jednak do wniosku, że Lucienowi przyda się mała nauczka... choćby za to, że przedłożył zemstą nad wrogiem ponad jej miłość. A niech sobie zgrzyta zębami! Obdarzyła więc bohatera o kamiennym obliczu promiennym uśmiechem, złożyła lekko dłoń na jego ramieniu i udała się wraz z nim na parkiet.

Za jej plecami bójka, która przed chwilą wydawała się nieuchronna, rozeszła się po kościach. Trzech konkurentów Alice, pięciu towarzyszy Luciena oraz Caro, jednakowo przybici, w pełnej napięcia ciszy wpatrywali się w Alice i Damiena, którzy przyłączyli się do par tańczących menueta.

- To dla mnie zgoła nieoczekiwany zaszczyt - zauważyła Alice.

- Sam się sobie dziwię - odparł. - Z reguły stronię od tańców, ale musiałem z panią



pomówić.

- Doprawdy?

Zauważyła oczywiście liczne spojrzenia, skierowane na nią. Kobiety, które ubiegały się o względy lorda Damiena, wpatrywały się w nią z równą zazdrością, jak jej oburzeni wielbiele. Alice ciekawa była tylko jednego: czy Lucien ich obserwuje? Patrzenie na Damiena sprawiało jej ból; był taki podobny do srebrnookiego diabła, za którym tęskniła! Dostrzegła jeszcze dwie mało istotne różnice pomiędzy braćmi: Lucien miał włosy dłuższe niż ostrzyżony po wojskowemu Damien; w ciemnoszarych oczach pułkownika był połysk armatniego spiżu, podczas gdy oczy Luciena miały blask stalowej klingi.

Gdy porządek figur menueta zetknął ich znów ze sobą, Alice złożyła rękę w dłoni Damiena i rzuciła mu z ukosa niepewne spojrzenie, podczas gdy wykonywali skomplikowany układ wdzięcznych ruchów i gestów.

Po chwili wahania pułkownik podjął rozmowę przyjacielskim tonem.

- Lady Glenwood wspomniała mi kiedyś, że jest pani ukochaną ciocią panicza Harry'ego.

Alice mimo woli się uśmiechnęła.

- Podobnie jak on jest moim ukochanym bratankiem.

- Lubi pani dzieci, nieprawdaż?

- Na ogół tak - przyznała, gdy wspólnie wykonali obrót.

Po błysku w oczach pułkownika zorientowała się, że coś knuje. Zupełnie jak Lucien!

Poczuła znowu ból w sercu na myśl o tym łajdaku.

- Jakże się miewa obecnie Harry?

- Teraz już lepiej, ale ciężko przechodził ospę wietrzną.

- Bardzo mu współczuję!

- Cóż, każde dziecko musi przez to przejść. Nas też to nie ominęło.

- Panno Montague, proszę pozwolić, bym złożył pani wizytę - powiedział Damien ni stąd, ni zowąd, ściskając ją mocniej za rękę. - Mamy do omówienia ważną sprawę, ale tutaj to niemożliwe. Czy mogę odwiedzić panią jutro?

- Czy to konieczne? - spytała obojętnie.

Układ tańca znowu ich rozdzielił, nim pułkownik zdążył odpowiedzieć. Alice domyśliła się jednak, czego chciał. Zaprosił ją do tańca, żeby zdenerwować brata, ale natarczywość, z jaką domagał się spotkania w cztery oczy, miała z pewnością inną przyczynę. Alice zbladła. Może Lucien cynicznie zwierzył się bratu, że uwiódł dziewczynę, która okazała się niesłychanie gorącą kobietką? Czyżby odtąd każdy z niezrównanych braci Knightów miał ją uważać za łatwą zdobycę?

- Proszę się nie obawiać, z mojej strony nic pani nie grozi - zapewnił ją spieszenie

Damien, zauważywszy śmiertelną bladość partnerki, gdy następujące po sobie figury taneczne znów ich połączyły.

- Doprawdy? - spytała zimno.

Czuła się tak, jakby Lucien zdradził ją właśnie po raz wtóry.

- Panno Montague, naprawdę nie ma powodu do obaw. Nie spotka pani już żadna krzywda. Ręczę honorem! Jutro wszystko wyjaśnię...

Wyrwała rękę z jego uścisku, bardzo zresztą delikatnego.

- Nie potrzeba żadnych wyjaśnień, milordzie. Rozumiem doskonale, proszę mi wierzyć.

Wykręciła się na pięcie i odeszła, gdy tylko muzyka umilkła. Serce jej waliło jak młotem, a nogi drżały, kiedy przeciskała się przez tłum. Musi stąd wyjść! Nie mogłaby w tej chwili spojrzeć w twarz swoim adoratorom. Potrzebowała spokoju, by uporządkować

pogmatwane myśli. Co najlepszego zrobiła ze swoim życiem?! A raczej co on z niej zrobił?!

Z przyjemnością udusiłaby tego srebrnookiego diabła!

Panna Skromnisia... roztropna Alice... okazała się jeszcze większą idiotką niż Caro!

Znalazłszy się w drugim końcu sali, uchyliła francuskie okno i wymknęła się na werandę. Choć na dworze było zimno, podeszła do kamiennej balustrady. Musi ochłonać i odzyskać jasność myśli, nim stanie znów twarzą w twarz z nimi wszystkimi! Ale gorsza od trapiących ją wyrzutów sumienia, gorsza od podejrzanych względów, jakie okazywał jej lord Damien, była świadomość, że Lucien jest w pobliżu i nie przejawia najmniejszej chęci spotkania się z nią. Tak, to już jest naprawdę skończone.

Przymknęła oczy, ogarnięta nagłym bólem. Gdy następnie zwróciła je z błaganiem ku niebu, za jej plecami rozległo się skrzypnięcie: ktoś otwierał francuskie okno.

- Alice! - Natarczywy szept Roberta zakłócił jej samotność. - Co ty robisz, na litość boską? Wracaj natychmiast na salę! Ledwie wstałaś po chorobie...

Odwróciła się i spojrzała na niego. Wiatr igrał fałdami cieniusieńkiej białej sukni i pasemkami jej włosów. Roger stanął jak wryty, ogarnął ją wzrokiem od stóp do głów.

- O Boże, jakaś ty piękna...

Odwróciła się plecami do niego. Oparłszy ręce na zimnej kamiennej balustradzie, uniosła głowę do góry i utkwiała wzrok w nocnym niebie, jakby wśród gwiazd szukała odpowiedzi na wszystkie dręczące ją pytania. Nie znalazła ich oczywiście.

- O czym chciałeś ze mną mówić? - spytała za znużeniem.

- Alice... czy ty naprawdę chorowałaś na influencję? Odwróciła się do niego błyskawicznie. Serce podeszło jej do gardła.

- Cóż to za pytanie? Co śmiesz sugerować?! Zmarszczył brwi zaskoczony jej napastliwym tonem.

- Wydajesz się taka odmieniona... Może to było coś poważniejszego, jakaś gorączka mózgowa? Czy zbadał cię dobry specjalista? Niepokoję się o ciebie, Alice... Wiesz przecież, co do ciebie czuję.

Spoglądała na niego zbita z tropu. Domyślała się, o czym pragnął mówić z nią na osobności. Przecież już trzykrotnie oświadczał się ojej rękę!

Robert najwidoczniej źle zrozumiał wyraz desperacji w oczach Alice, gdyż delikatnie ujął jej rękę w swoje dłonie.

- Kiedy ujrzałem dziś, jak wchodzisz na salę, taka piękna... zrozumiałem, że nie mogę dłużej czekać. Alice, wyjdź za mnie albo odbierz mi wszelką nadzieję! Nie wytrzymam tej męki...

- Ależ, mój chłopcze, młode damy lubują się w zadawaniu takich mąk - odezwał się niespodziewanie z otaczających werandę ciemności niski, jedwabisty głos.

Alice omal nie krzyknęła ze zdumienia i wyrwała rękę z delikatnego uścisku Rogera, gdy Lucien wyłonił się z cienia i zbliżył się z całą swą przeklętą swobodą i gracją. Jego kroki były co prawda troszkę chwiejne; pociągał od czasu do czasu łyk burgunda z trzymanej w ręku butelki. Chustka pod szyją przekrzywiona, włosy zwichrzone... Tak, ku zaskoczeniu Alice wydawał się naprawdę mocno zawiany.

- Pan wybaczy - odezwał się Roger zapalczywie, jego gładkie policzki silnie poczerwieniały. - To rozmowa na tematy osobiste!

- Nie wątpię, ale przybywam tu w charakterze twego anioła stróża, młodzieńcze. Skłonił się lekko i omal nie stracił równowagi.

Alice zmrużyła oczy i zrobiła wściekłą minę, ale serce waliło jej jak szalone z podniecenia.

- Jesteś całkiem pewny, że chcesz się żenić? - spytał Lucien Rogera, kierując na niego

całą siłę swego zbijającego z nóg uroku. - Uważasz, że znasz swoją wybrankę?

- Ty pijany gburze! - warknął Roger. Rumieniec zakłopotania na jego twarzy stawał się coraz bardziej ognisty. - Jesteś Knight, drugi z tych bliźniaków, co?

- Jak też się tego domyśliłeś, młodzieńcze? - spytał Lucien z bezczelnym uśmiechem.

- Wszystko mi jedno, kim jesteś! Jeśli natychmiast się stąd nie wyniesiesz, moi sekundanci...

- Rogerze, nie możesz tego uczynić! - zawołała przerażona Alice.

- Wątpisz, czy mu sprostam? - spytał z urazą Roger.

- Skądże znowu! Tylko... nie możesz pojedynkować się z pijanym! To by nie była honorowa walka!

- A damy przepadają za ludźmi honoru - wycedził Lucien. Roger chwycił Alice za ramię.

- Wracajmy na salę, moja droga. Ten kretyn po prostu nie pojmuje delikatności i wrażliwości prawdziwej damy.

- Tak, tak! Lepiej zmykać, panno Montague. Jeśli zamierza pani wyjść za tego młodziana, niech się pani przyzwyczaja do posłuszeństwa poradził z goryczą Lucien. Jego srebrne oczy wpatrywały się w nią z gniewem, pogardą i pożądaniem.

- Jak śmiesz zaczepiać tę damę? - syknął Roger i puścił ramię Alice. Stał, osłaniając ją przed Lucieniem, zwrócony twarzą do niego. Lucien nagle chwycił go za kłapy i uniósł nad ziemią.

- Ty mały gnojku, najchętniej rozwaliłbym tobą okno! warknął, zrzucając ostatecznie maskę uprzejmości.

- Lucien, dość tego! krzyknęła Alice.

Natychmiast puścił Rogera, który spojrzał na nią w osłupieniu.

- Znasz tego człowieka? Wybiła godzina prawdy.

Alice wpatrywała się w Rogera, nie mogąc wymówić ani słowa. Nigdy się nie dowiedziała, co wyczytał w tym momencie z jej oczu, ale pokręcił głową, wściekły i wstrząśnięty, wykręcił się na pięcie i wrócił na salę, zamykając z trzaskiem francuskie okno.

Alice przestała panować nad sobą.

- Ty nędzniku! - zawołała. - Podły gadzie! Czyżbyś teraz szpiegował mnie?!

- O, przeszkodziłem ci w nowym romansie, Alice? Najmocniej przepraszam! Co byś mu odpowiedziała, gdybym się nie wtrącił? Zgodziłabyś się wyjść za niego? zaatakował ją z furją.

Wcale już nie wyglądał na pijanego. Jeszcze jedno oszustwo. Wzgardliwie pokiwała głową.

- Nie twój interes.

- Mój, do wszystkich diabłów! I ty jesteś moja. Jeśli chcesz się za kogoś wydać chyłkiem, za moimi plecami, to ostrzegam: twój wybrany długo nie pożyje!

Jego drapieżna zaborczość podnieciła Alice. Nie dała jednak poznać tego po sobie.

- Kolejny rozlew krwi? To według ciebie najlepszy sposób na załatwianie wszystkich spraw?

- C o ty robisz w Londynie? Zabroniłem ci tu przyjeżdżać! I gdzie jest McLeish?

- Nie mam pojęcia, gdzie jest, i nic mnie to nie obchodzi! A jeśli chcesz wiedzieć, co tu robię... wracam do mego dawnego życia. Bez ciebie.

Odsunęła się od balustrady i ruszyła w stronę francuskiego okna. Chwycił ją jednak za ramię i brutalnie przyciągnął do siebie.

- Puść mnie w tej chwili!

Przycisnął ją mocno do piersi i zamknął jej usta pocałunkiem, w którym nienawiść

mieszła się z palącym pożądaniem. Ciało Alice nie zważało na jej oburzenie i zareagowało po swojemu. Umysł jednak usiłował przemóc tę czarną magię, nie ulec jej potędze.

- Nadal mnie chcesz - wyszeptał Lucien. - Czuję to!

Szarpnęła się gwałtownie w jego objęciu, odepchnęła się rękoma od jego klatki piersiowej.

- Jak śmiesz mnie całować?! - syknęła z gwałtownie falującą piersią.

- Pewnie wolałabyś, żeby to był Damien? - warknął. - Czy chcesz usidlić wszystkich mężczyzn w zasięgu wzroku? Czemu miałabyś ograniczać się do braci Knightów? Jest przecież cały regiment Damiena!

Z okrzykiem wściekłości trzasnęła go z całej siły w twarz, zanim jego zniewaga dotarła w pełni do jej świadomości.

Niski, gniewny śmiech, który wydobył się z gardła Luciena, przypominał skowyt zranionego zwierzęcia.

- Tylko to masz dla mnie, Alice? Uderz mnie jeszcze raz! Mocniej! Jej płonące oczy napęłniły się łzami.

Lucien przez sekundę patrzył na jej łzy, a potem cofnął się o krok i z dzikim pomrukiem cisnął opróżnioną zaledwie do połowy butelką przez całą szerokość werandy. Roztrzaskała się o kamienną balustradę na tysiąc kawałków, podobnie jak serce Alice. Po winie pozostały na szarym kamieniu czerwone kałuże; ściekało na ziemię jak krew. Lucien odwrócił się znów do Alice. Jego srebrzyste oczy błyszczały gniewem i bólem.

- Myślisz, że tego chciałem, do wszystkich diabłów?! - szepnął chrapliwie. - Myślisz, że nie śnię o tobie co noc?

To dlaczego nie wybrałaś mnie? - omal nie krzyknęła Alice. Serce ścisnęło jej się w piersi, ale duma nie pozwoliła jej wypowiedzieć tych słów. Wpatrywała się tylko w niego z

gorzką urazą.

- Wyjedź natychmiast z Londynu! - powiedział, opanowawszy się z trudem; oczy

lśniły mu gorączkowo, twarz była pełna napięcia.

- Nie zmusisz mnie do posłuszeństwa! Dla mnie po prostu nie istniejesz.

- Wściekaj się, ile chcesz, ale nie bądź skończoną idiotką! Grozi ci tu wielkie niebezpieczeństwo!

- Jak mam ci wierzyć? Jesteś specjalistą od kłamstw. Może chcesz się mnie pozbyć, żebym ci nie zawadzała w uwiedzeniu i porzuceniu następnej ofiary?

Lucien wzdrygnął się i odwrócił wzrok. Milczał przez dłuższą chwilę z pochyloną głową.

- Żądam, żebyś stąd wyjechała - burknął wreszcie.

- Nic mnie nie obchodzą pańskie żądania, milordzie.

Odwróciła się błyskawicznie i znów skierowała się w stronę francuskiego okna. Była tak rozpalona gniewem, że nie czuła przenikliwego chłodu nocy.

- W takim razie... daj mi przynajmniej słowo, że jutro wieczorem zostaniesz w domu!

Nie weźmiesz udziału w tym ogniowym festynie! Błagam cię, Alice! Człowiek, o którym ci mówiłem, chce zaatakować właśnie wtedy. Nie wiem, jak ani gdzie. To może się stać wszędzie!

Dosłyszała w głosie Luciena znużenie, gorycz porażki. Zatrzymała się i przyjrzała mu się bacznie. Jego oczy były pełne udręki.

- Dasz mi słowo, że nie wyjdiesz wieczorem?

- No... dobrze. Ale odpowiedz mi na jedno pytanie. Komu prócz Damiena opowiedziałeś o nas?

- Nic nie mówiłem, ani Damienowi, ani nikomu innemu! Przymknęła oczy. Miała już



tego dość.

- Nie kłam, powiedziałaś mu! Przynajmniej ten jeden jedyny raz bądź ze mną szczerą, żebym nie żyła w wiecznym strachu, że kolejna mina wybuchnie mi pod nogami!

- Nie mówiłem nikomu! - powtórzył ostro. - Sądzisz, że on wie o nas?

- Czemuż by inaczej starał się nawiązać ze mną znajomość?

- Choćby dlatego, że jesteś najpiękniejszą z obecnych tu kobiet! Żadna się do ciebie nie umywa!

Wzruszyła ramionami i miała już otworzyć francuskie okno, gdy zawołał:

- Alice!

Rzuciła mu przez ramię pytające spojrzenie. Jej oczy były czujne, pełne obawy.

Trzymał ręce w kieszeniach czarnych spodni. Światło księżyca lśniło na białej koszuli i fularze, podkreślało szerokość jego ramion. Nocny wiatr rozwiewał wijące się włosy. Rzęsy przesłaniały oczy, nie pozwalając dostrzec, jakie emocje się w nich kryły.

- Żadna się do ciebie nie umywa - powtórzył. - Odzyskam cię. Zobaczysz!

Wpatrywała się w niego; czuła coraz silniejsze ściskanie w gardle.

Kilka miłych słówek, wymowne spojrzenie - i była bezbronna. Nawet w tej chwili z największym trudem powstrzymywała się od zarzucenia mu rąk na szyję. Nawet po tym, jak uwiódł ją i porzucił, ledwie mogła oprzeć się magnetycznej sile, która przyciągała jej duszę i ciało. Nie! Nigdy już nie pozwoli, by igrał z jej uczuciami! Musi być nieczuła na udrękę w jego oczach.

- W moim życiu nie ma dla ciebie miejsca - powiedziała kategorycznym tonem i

drżącymi rękoma otworzyła francuskie okno. Poszła na drugi koniec sali, gdzie królowała Caro, jak zawsze otoczona rojem łajdaków i rozpustników.

- Chcę wracać. Natychmiast! - szepnęła jej Alice do ucha. - Nie zniosę tego dłużej!

- No... dobrze - odparła bratowa po chwili zastanowienia, bawiąc się wachlarzem. -

Von Dannecker obiecał, że przyjdzie jeszcze dziś. Powinnam odświeżyć się trochę.

- Jeszcze dziś? Już po wpół do dwunastej!

- No i co z tego? - Caro zerknęła figlarnie zza wachlarza. - Nie zwracaj uwagi, gdybyś usłyszała, jak wychodzi rano!

- Ależ... nie możesz pozwolić, by spędzał noc pod twoim dachem! Jest tu przecież Harry...

Baronowa zbyła protesty Alice wzruszeniem ramion. Potem wstała i nie szczędząc uśmiechów, pożegnała swych rozpustnych wielbicieli.

Claude Bardou wiedział, że Lucien Knight wrócił przed kilkoma dniami do Londynu i szuka go po całym mieście. Było to mu nawet na rękę. Czuł się panem sytuacji i podniecała go ta wojna na nerwy z długoletnim przeciwnikiem. Dlaczego jednak w dalszym ciągu nie ma śladu Sofii? Był pewien, że wróci najpóźniej tego wieczoru. Czekał na nią po kolacji w hotelu, krążąc nerwowo po pokoju lub paląc cygaro na balkonie i wypatrując jej wśród mrowia ludzi, przewijających się nieustannie przez Piccadilly. Choć było sprawą bardzo istotną, by Sofia wróciła tej nocy - tylko wówczas mogli razem wymknąć się z Anglii jutro wieczorem, kiedy dokona się już dzieło zniszczenia - Bardou postanowił, że nie będzie martwił się na zapas, i skupił się na ostatnich, niedopracowanych jeszcze szczegółach swego planu. Wielka chwila stawała się coraz bliższa.

Dwadzieścia pięć kilometrów na wschód od centrum Londynu Bardou wynajął niewielki domek. Zabierze tam Caro jutro rano i użyje jako przynęty, by wywabić Luciena Knighta z miasta przed zaatakowaniem stolicy wroga. Wśród bicia w dzwony i salw armatnich rozpocznie się doroczny festyn na pamiątkę udaremnionego spisku. Kiedy pijany, rozochocony motłoch będzie się radował swym idiotycznym świętem, w pierwszej chwili nikt

się nie zorientuje, że z nieba spadł ognisty deszcz... a potem będzie już za późno.

Francuzowi oczy się śmiały, gdy wyobrażał sobie piekło, jakie się rozpęta na ulicach Londynu następnej nocy. Tłumy przerażonych ludzi zaczęły się tratować i walczyć ze sobą, byle znaleźć bezpieczne schronienie. Ale nie będzie dla nich schronienia ani ratunku przed zagładą. Jego działo miało zasięg dziewięciuset metrów, a jego zaprawieni w bojach kanonierzy wystrzeliwali dwa pociski na minutę. Rozpalone kule były doskonałą bronią. Gdy trafiały w budynek, wszystkie elementy drewniane stawały w płomieniach. Jeśli zaś kula utkwiała w murze, płonęła godzinami, nawet wodą nie udawało się jej ugasić. Bardou z przyjemnością wybierał obiekty godne zniszczenia. Oczywiście parlament. Sztab brytyjskiej marynarki wojennej oraz ministerstwo wojny. Bank Angielski i giełda. Port przeładunkowy Kompanii Wschodnioindyjskiej, której flota zapewniła Anglikom dostęp do orientalnych skarbów... St. James Pałace... Carlton House, rezydencja następcy tronu.

Po wystrzeleniu dwóch tuzinów kul i kilku skrzynek szrapneli na dokładkę kanonierzy rozbiegną się w różne strony. Gdy Londyn będzie już płonął jak pochodnia, Bardou wróci czym prędzej do podmiejskiego domku na swoje ostatnie spotkanie z Argusem i wykończy wreszcie tego sukinsyna. Wyśle przedtem Lucienowi do Knight House liścik z informacją, gdzie i kiedy ma się z nim spotkać, jeśli chce ocalić swoją lubą.

Rozprawiwszy się ostatecznie z Knightem, wsiądzie na pokład łodzi rybackiej i odpłynie razem ze swymi irlandzkimi kamratami, którzy nienawidzą Angoli równie mocno jak on. Właśnie dlatego powinien spotkać się z Sofią jeszcze dziś. Jutro w nocy musi opuścić Anglię. Jeśli nie wróci ona na czas, czeka ich kolejne rozstanie. Do tej pory Sofia z pewnością uporała się ze swoim zadaniem.

Zagasły jednak ostatnie blaski dnia i zapadła noc, a Sofii w dalszym ciągu nie było.

Bardou musiał wreszcie spojrzeć w twarz okrutnej prawdy: przydarzyło się jej coś złego.

Ogarnęło go okropne uczucie pustki wewnętrznej na myśl, że sam mimo woli posłał ją na śmierć. Rollo Greene nie byłby w stanie zlikwidować zawodowego mordercy z takim doświadczeniem jak Sofia... ale mógł to zrobić Lucien Knight. W ostatnim liściku Sofia pisała, że w pogoni za Amerykaninem zmierza do wiejskiej posiadłości Knighta. Może ją schwytał... zabił... albo nawet przeciągnął na swoją stronę? Na tę myśl krew zastygła Bardou w żyłach. Do wszystkich diabłów! Lepiej by było, żeby zginęła z ręki Argusa!

Niech piekło pochłonie Knighta! Bardou nie mógł już dłużej znieść tego wiecznego ukrywania się, tej maskarady! Cofnął się z balkonu w głąb pokoju hotelowego i rozglądał się dokoła nieprzytomnym wzrokiem. Jego klatka piersiowa ciężko unosiła się i opadała, nerwy miał napięte do granic wytrzymałości...

Przez cały czas spodziewał się powrotu Sofii... a to ścierwo, Lucien Knight, dobrze wiedział, że ona nie wróci! Albo ją zlikwidował, albo mu ją odbił! W tej chwili nie miało większego znaczenia, co zrobił. Liczyło się tylko to, że Argus znowu go pokonał. I pewnie śmiał się z niego, skurwysyn! Bardou z okropnym przekleństwem chwycił konsolę ustawioną w pobliżu drzwi balkonowych i roztrzaskał to delikatne cacko o przeciwległą ścianę. Do diabła z cierpliwym wyczekiwaniem! Nie zamierzał ani minuty dłużej ukrywać się przed Argusem! Wiedział, gdzie mieszka Lucien Knight. To aroganckie, arystokratyczne bydlę nie zasługuje nawet na dzień życia! Dopiero teraz przekonasz się, co to prawdziwy ból, *mon am.* \

Ukląkł na podłodze i sięgnąwszy pod hotelowe łóżko, wyciągnął karabin w skórzanym futerale. Sprawdził, czy są tam także naboje, i opuścił swój apartament, trzaskając drzwiami. Jasne włosy miał zmierzwiłone, ubranie w nieładzie. Nie zważając na nic, wpadł do eleganckiego hotelowego holu, nie starając się już zgrywać butnego Prusaka. Groźny futerał, który dzierżył w ręku, można było wziąć za neseser oryginalnego kształtu. Kilka minut później Bardou pędził powozem Stafforda, trzymanym w hotelowej stajni. Nie wziął ze sobą

stangreta ani stajennego. Sam dzierżył cugle.

Droga nie była daleka. Wiedział już, że Knight House, główna londyńska rezydencja Knightów, zbudowana w stylu palladiańskim, znajduje się w sąsiedztwie Green Park. Za wysokim czarnym ogrodzeniem z kutego żelaza, z paskudnymi ostrymi szpikulcami na szczycie, rozciągał się starannie utrzymany zielony trawnik. Przejeżdżając wolno koło książęcej posiadłości, Bardou zauważył kilka psów obronnych, uwijających się po ogrodzonym terenie. Biała fasada domu, wyniosła i surowa, jaśniała w księżycowej poświacie. Minąwszy rezydencję Knightów, Francuz zaciął konie i skręciwszy w boczną ulicę, dostał się na teren Green Park.

W parku było teraz pusto, toteż wjechał bez wahania na trawnik i ukrył powóz w kępie młodych drzew. Zimny wiatr świstał wśród jesiennych gałęzi, odartych z liści. Oczy Bardou błyszczały podnieceniem, gdy jego badawczy wzrok zatrzymał się na tylnej werandzie rezydencji książęcej.

Siedział tam, paląc cygaro, Lucien Knight - w swobodnej pozie, oparłszy nogi w wysokich butach o kamienną balustradę. Na widok wroga nienawiść zatętniła we krwi Bardou. Pojedyncza latarnia przy drzwiach stanowiła wystarczające oświetlenie; mógł oddać celny strzał. Znajdował się w odległości mniej więcej stu trzydziestu metrów od swej ofiary, czyli miał ją w zasięgu strzału, a równocześnie był dość daleko, by psy go nie zwietrzyły i nie podniosły alarmu. Oddalił się nieco od powozu, przykucnął za pniem drzewa i otworzył futerał. Szybko, sprawnie i bezszelestnie złożył swego jaegera, zerkając co chwila w stronę werandy, by się upewnić, czy Knight nie wszedł do domu. W otwartym futerale błysnął srebrzysty bagnet, ale tym razem Bardou go nie potrzebował. Wsunął przygotowany nabój do lufy i mocno przybił. Następnie położył się na brzuchu, wparł się łokciami o zamarznąłą ziemię i wycelował. Naciesz się cygarem, *mon ami*! Już nigdy więcej nie zapalisz.

Serce waliło mu jak młotem z podniecenia. Czoło pokryło się kroplami potu. Palec zawisnął tuż nad cynglem.

Nagle drzwi się otworzyły i na werandę wszedł z kieliszkiem w rękę drugi z bliźniaków. Bardou zmarszczył brwi.

Spoglądał to na jednego, to na drugiego, nie mogąc ich odróżnić. Byli identycznie ubrani. O tak późnej porze obaj pozbyli się surdutów i chustek na szyję, obaj rozpięli kamizelki i podwinęli rękawy białych koszul. W każdym razie ten z nich, który był pułkownikiem, nie miał na sobie szkarłatnej kurtki mundurowej.

Który to Argus, do cholery?! głowił się rozwścieczony Bardou. Prawdę mówiąc, kropnąłby też z przyjemnością wojennego bohatera! Był jednak pewien problem. Choć miał wszelkie szanse ustrzelić jednego z nich, nie ulegało wątpliwości, że jeśli to zrobi, ten drugi w mgnieniu oka rzuci się za nim w pogoń, a w dodatku poszczuje go psami. A to mogłoby postawić pod znakiem zapytania jutrzejszą akcję, którą tak starannie zaplanował.

Bardou wciągnął głęboko w płuca zimne, nocne powietrze, zaklął w duchu i pogodził się z losem. To byłaby zbyt lekka śmierć dla tego pieprzonego Angola! - pomyślał, pocierając nerwowo czoło. Chciał mieć Knighta żywego, żeby mógł sobie przed śmiercią obejrzeć, co zostało z Londynu po kolejnym spisku prochowym, którego nie zdołał udaremnić. Wtedy się drań przekona, że jeśli nawet Napoleon przegrał wielką wojnę, to w ich prywatnej wojence zwyciężył Bardou!

Chłód nocnego powietrza sprawił, że Francuz oprzytomniał i odzyskał kontrolę nad swymi emocjami.

Nie był dyletantem! Taki fachowiec jak on zrealizuje przygotowany plan, nie będzie go narażał, działając pod wpływem nagłego impulsu. Kiedy dostanie Luciena Knighta w swoje ręce, dowie się, co ten sukinsyn zrobił Sofii, i ukarze go stosownie do winy.

Zakarbował sobie w pamięci, że jedną kulę należy posłać prosto w Knight House, unicestwić książęcą rezydencję i wszystkich jej mieszkańców. Potem podniósł się bezszelestnie z ziemi, zabrał skórzany futerał i wrócił do powozu z karabinem na ramieniu. Lucien niemal dał już za wygraną. Nie wiedział, gdzie jeszcze ma szukać, co jeszcze zrobić. Choć wszystko inne zawiodło, osiągnął jednak to, co najważniejsze: Alice zgodziła się pozostać w domu jutro wieczorem, w czasie festynu. Powinna teraz siedzieć bezpiecznie w Hawkscliffe Hall albo przynajmniej w Hampshire, ale kategorycznie odmówiła wyjazdu z Londynu. Lucien zaś, mówiąc szczerze, nie miał żadnego prawa zmuszać ją do czegokolwiek. Kiedy tak stał przy balustradzie, a nocny wiatr rozwiewał mu włosy, spoglądał na otulony mrokiem Green Park. W pewnej chwili zdawało mu się, że daleko w ciemnościach dostrzegł jakiś ruch, ale zbył to podejrzenie wzruszeniem ramion. Myśli o Alice zaprzętały go bez reszty i nie zwracał uwagi na nic innego. Pociągnął łyk koniaku i zerknął przez ramię na Damiena, który siedział beczynn timer i palił cygaro. Brat zrewanżował się podejrzliwym spojrzeniem.

Lucien nie bardzo wiedział, jak się zachować. Tak czy inaczej, musi ostrzec Demona, by trzymał się z dala od jego dziewczyny. Trzeba jednak poruszyć ten temat bardzo ostrożnie. Alice uważa, że Damien wie o nich. Lucien nie miał pojęcia, skąd brat mógłby się o tym dowiedzieć. On sam nie pisnął ani słowa. Jeśli Damien istotnie zorientował się w sytuacji, jego zachowanie mogło być odwetem za odbicie mu przez Luciena Caro. Tak, z pewnością o to chodziło! Przecież Alice była najpiękniejszą kobietą na sali. Świadomość tego przepełniała go rozpaczą i bezsilną, piekącą zazdrością. Wszystkie te młode byczki tłoczące się wokół niej działały mu na nerwy, ale gdyby Damien poważnie się nią zainteresował, Lucien chyba by się powiesił!

Alice z pewnością wie, jak okrutnie zemści się na mnie, przyjmując zaloty Damiena,

myślał posepnie. Jeśli więc chce mnie zranić, a trudno mieć o to do niej pretensję, to trzyma w swych delikatnych rączkach najskuteczniejszą broń!

- Mam nadzieję, żeś się dobrze bawił - wycedził Damien z głęboką ironią.

Lucien odwrócił się do brata w chwili, gdy wydmuchnął on obłoczek dymu. Wydawał się bardzo zadowolony z siebie.

- A ty? Zauważyłem, żeś nawet ruszył w tany! - odparł Lucien spokojnym głosem, maskując swą wrogość.

- Nie mogłem się oprzeć - odparł brat. - Zwróciłeś uwagę na moją partnerkę? Piękna dziewczyna!

- Bardzo - syknął Lucien przez zaciśnięte zęby, czując, że krew go zalewa.

- Co tam u Caro? - zagadnął niewinnie Damien. - Ale chyba się poprzytkaliście, bo afiszuje się wszędzie z tym pruskim gorylem.

- Caro nic mnie nie obchodzi! - rzucił Lucien ostrzegawczym tonem, spoglądając bratu prosto w oczy.

- Podobnie jak reszta kobiet. - Damien wstał i wolnym krokiem podszedł do brata.

Zatrzymał się tuż przed nim. - Żadnej nie traktujesz poważnie. W ogóle na nikim ci nie zależy, prawda? Z wyjątkiem własnej osoby.

Tylko tego mi brakowało! pomyślał Lucien.

- Postąpiłeś podle - stwierdził Damien. Jego głos, cichy jak poszum nocnego wiatru, był twardy jak stal. - Żaden z twych dotychczasowych wybryków nie da się porównać z tym! Potraktowałeś tę niewinną, szlachetnie urodzoną pannę haniebnie. Zatrzymałeś przemocą, uwiodłeś ją, a potem porzuciłeś jak byle szmatę. Wstyd mi za ciebie!

- Skąd o tym wiesz?

Damien spojrzał na niego ze zdumieniem.



- Tylko to cię obchodzi, skąd wiem? Caro mi powiedziała, wyobraź sobie! Zjawiała się tu wieczorem w zeszłym tygodniu i znów robiła słodkie oczy.

Kiedy poprosiłem, żeby wyszła, opowiedziała mi o tobie i panie Montague. Rzuciła mi w twarz kolejny dowód na to, że bracia Knightowie są skończonymi łotrami.

- Tak, to podobne do Caro!

- Powiedz, Lucien, co cię opętało?! Panna Montague to córka barona, prawdziwa młoda dama! Zhańbiłeś tym niegodnym wybrykiem nie tylko ją, ale siebie i całą naszą rodzinę!

Dajże spokój! - westchnął Lucien, usiłując zachować panowanie nad sobą.

- Jeśli możesz żyć z czymś takim na sumieniu, to twoja sprawa, ale chcę, żebyś wiedział jedno: postanowiłem wziąć sprawę w swoje ręce. Jak zwykle na mnie spada sprzątanie, kiedy napaskudzisz.

Lucien nagle znieruchomiał.

- Wziąć sprawę w swoje ręce? Co to ma znaczyć?!

- Zamierzam spotkać się jutro z panną Montague odparł Damien z posępną determinacją. - I poproszę ją o rękę.

Lucien wpatrywał się w niego wstrząśnięty do głębi. Potem jego oczy zapłonęły gniewem.

- Ani się waż! - wyszeptał.

- To sam zrób, co honor nakazuje! - Nie mogę! - jęknął Lucien.

- Ale ja mogę - rzucił sucho Damien, bezceremonialnie wyminął go i wszedł do domu.

Lucien stał jak wryty. W głowie miał zamęt, serce biło mu jak szalone. Jak łatwo było wyobrazić sobie ich razem: bohater wojenny i panna Skromnisia. Cóż za dobrana para!

Damien potrzebował spadkobiercy. Alice marzyła o kupie dzieciaków, które mogłaby

rozpieszczać. Nic dziwnego, że szlachetny brat postanowił wziąć sprawę w swoje ręce!

Lucien przeczesał palcami włosy i przymknął oczy. Czuł wstręt do samego siebie.

Jeszcze nigdy nie wydawał się sobie takim życiowym bankrutem. Alice mogła dać kosza tamtemu chłopcu, ale jakaż kobieta przy zdrowych zmysłach odrzuciłaby oświadczyzny sławnego Damiena Knighta, który wkrótce otrzyma tytuł hrabiego Winterley? Lepiej od razu się z tym pogodzić. Zresztą Alice będzie lepiej z Damienem. Dzięki niemu zostanie hrabiną. On sam nie mógł jej ofiarować żadnego tytułu. Damien był podziwiany, szanowany. .. Nigdy nie będzie musiała wstydić się za niego ani błagać, żeby się nie narażał... Tak więc, jeśli Claude Bardou zabije go, może być pewny, że Damien zaopiekuje się Alice. Rozpacz dusiła go za gardło. Wszystko to, co Alice w nim kochała, znajdzie w jego bracie. Damien był przecież tak bardzo do niego podobny... Tyle że nie miał wad.

Alice dawno już wróciła do domu, położyła się do łóżka, ale ani rusz nie mogła zasnąć. Niepokoiła się o Luciena. Modliła się żarliwie, żeby Bóg go strzegł... A kiedy wreszcie zasnęła, obudziły ją głosy von Danneckera i Caro, którzy przechodzili obok jej pokoju, zmierzając do sypialni baronowej.

- Co się stało, kochanie? - doleciał do niej szept Caro. - Masz taką ponurą minę!

Alice nie rozumiała, co wymamrotał w odpowiedzi von Dannecker. Para poszła dalej.

Niebawem jednak zza ściany dobiegł zduszony śmiech Caro, czułe pomruki, a w końcu jęki.

Zirytowana Alice nakryła głowę poduszką, próbując odizolować się od tych odgłosów, ale jęki stawały się coraz bardziej zapamiętałe... aż wreszcie dopadły Alice dręczące

wspomnienia i jej ciało zapłonęło znów pożądaniem do jedynej mężczyzny, którego poznała i którego pragnęła - srebrnookiego demona, znienawidzonego i ukochanego. Chora z tęsknoty odrzuciła kołdrę, okryła się szlafrokiem i na paluszkach udała się do pokoju dziecinnego, by sprawdzić, jak się miewa Harry.

Spał głęboko, gdy wśliznęła się do jego sypialni. Promień księżyca padał na jego słodką buzię. Wpatrywała się w niego i drżała z zimna. Łzy napływały jej do oczu.

Mam już tylko ciebie, moje kociątko!

Deski podłogi zaskrzypiały, gdy przestąpiła z nogi na nogę. Niemal pragnęła, by chłopczyk się obudził: nie czułaby się wówczas taka samotna. Powstrzymała się jednak od pogłaskania go po puszystych włoskach. Wzięła tylko do rąk jego szmacianego pieska. Tuliła zabawkę do siebie, wpatrując się w śpiące dziecko, a łzy płynące jej po twarzy lśniły jak kryształki w świetle księżyca. Alice zwiesiła głowę i mocniej przycisnęła do siebie szmaciankę, powstrzymując rozpaczliwe łkanie. Każda cząstka jej ciała i jej serca wrywała się do Luciena.

Następnego ranka Alice siedziała na ławce w Hyde Parku, z głową otuloną szalem, w płaszczu na futerku, w ciepłych mitenkach, i szkicowała posępne zarysy nagich drzew.

Przyrzekła Lucienowi, że nie weźmie udziału w wieczornym festynie, ale nie składała mu żadnych obietnic co do reszty dnia. O świcie zbudziły ją ciężkie kroki von Danneckera, który opuszczał sypialnię Caro. Dobrze i to, że nie został na śniadaniu.

Głowa trochę ją bolała po wczorajszym płaczu, który w końcu ukołysał ją do snu, toteż z rozdrażnieniem obejrzała się przez ramię na walących zapamiętałe młotkami robotników. Wykańczali podium, na którym rozmaici dygnitarze będą dziś wygłaszali okolicznościowe mowy, nim rozpocznie się pokaz ogni sztucznych. Alice nigdy nie przepadała za dorocznym festynem w rocznicę spisku prochowego. Cóż za hałaśliwa, prostacka zabawa! I to ryzykowne połączenie dwóch groźnych żywiołów: pijanej, rozbrykanej tłuszczy i buchających płomieniami ognisk...

Alice zmrużyła oczy porażone nagłym blaskiem i szkicowała dalej. To zajęcie ją uspokajało. Na niebie, niczym morskie bałwany, kotłowały się ogromne szare chmury. Od czasu do czasu słońcu udawało się przez nie przedrzeć; raziło wtedy oczy wiązką wyjątkowo ostrych promieni. Jesienne liście o soczystych barwach dawno już opadły z drzew i uleciały z wiatrem. Pozostały tylko nagie, sękaty gałęzie na tle ołowianego nieba.

Nellie z koszykiem do szycia zawędrowała nad sam brzeg stawu Serpentine. Alice zdawała sobie sprawę, że stała się małomówna i zamknięta w sobie, co onieśmiało pokojówkę. Nie potrafiła jednak wykrzesać z siebie dawnej wesołości. Siedziała więc pogrążona w myślach, od niechcienia szkicując drzewa. Jej ręka sunąca po papierze zdawała się żyć własnym życiem - tu coś podcieniowała, tam dodała jakiś szczegół... Nagle głuchy tętent kopyt końskich przerwał chwilę zadumy.

Alice podniosła oczy i wydała cichy okrzyk na widok wysokiego, imponującego, tak dobrze znanego jeźdźca, mknącego ku niej na wielkim siwym ogierze. Serce jej podskoczyło z radości, wyprostowała się... Kiedy jednak podjechał bliżej, mignęła spod płaszcza szkarłatna kurtka mundurowa. Alice przygarbiła się znowu, gorzko kpiąc w duchu ze swych nadziei.

To był ten drugi. Boże święty, czyż nie dała mu wyraźnie do zrozumienia wczoraj wieczorem, że nie życzy sobie żadnych umizgów z jego strony?!

Damien zatrzymał długonogiego siwka tuż przed Alice i powitał ją energicznym, żołnierskim skinieniem głowy.

- Dzień dobry, panno Montague. Niania Harry'ego powiedziała mi, że zapewne tu panią znajdę.

Zręcznie zeskoczył z konia i chciał podejść jeszcze bliżej; zawahał się jednak, nie dostrzegając w jej wzroku żadnej zachęty. Był taki podobny do Luciena, że sam jego widok sprawiał Alice ból.

- Wiem, że nie ma pani ochoty na rozmowę ze mną, ale musi mnie pani wysłuchać - powiedział.

- Muszę? - mruknęła z nutką ironii.

Oto mężczyzna przyzwyczajony do wydawania rozkazów, spełnianych bez wahania.

Podeszła Nellie, gotowa bronić swej panienki przed tak despotycznym dżentelmenem. Alice uspokoiła ją ruchem głowy: wszystko w porządku. Nellie cofnęła się, ale pozostała w takiej odległości, że nie słysząc rozmowy, mogła pełnić rolę przyzwoitki.

- No, dobrze powiedziała z westchnieniem Alice, wskazując gestem ławeczkę. - Może mi pan dotrzymać towarzystwa.

Pułkownik usiadł obok niej i zmierzył ją przenikliwym spojrzeniem.

Twarz miał ogorzałą, rysy mocne, a oczy najsmutniejsze na świecie.

- Panno Montague, przejdę od razu do rzeczy.

O, nie! - pomyślała z cierpką ironią. To z całą pewnością nie Lucien.

- Wiem, w jaki niewybaczalny sposób zachował się wobec pani mój brat. Wiem, co się wydarzyło, i wiem, że pani nie ponosi żadnej winy za to, co się stało. Zawinił tylko on, i to z premedytacją. - Pokręcił głową i widać było, że z trudem hamuje gniew. - Kiedy Caro mi wyjawiała...

- Więc dowiedział się pan o tym od Caro? - przerwała mu Alice.

- Tak jest. - O!

Zbiło ją to z tropu. Zrozumiała, że ubiegłej nocy Lucien mówił prawdę. Nie pochwalił się nikomu swym najnowszym podbojem.

- Czuję się do pewnego stopnia odpowiedzialny za postęпки swego brata.

- Zupełnie bez potrzeby, milordzie - powiedziała cicho. Przypomniały jej się słowa pana Whitby'ego, który zapewniał ją, że Damien od dzieciństwa uważał się za opiekuna swojego brata bliźniaka.

- Być może... postanowiłem jednak nie dopuścić do tego, by spotkała panią kolejna krzywda - odparł z całą powagą. - Nie pozwolę, by mój brat okrył hańbą nasze nazwisko i pani dobre imię. Tak bardzo zależało mi na rozmowie z panią, gdyż... - Urwał i odkaszlnął. Potem jego słowa popędziły niczym szwadron kawalerii, spieszący jej na ratunek. - Pragnę służyć pani tarczą mego nazwiska. Nie pozostanie pani bez opieki po tym, czego dopuścił się mój brat. Naprawię wyrządzoną przez niego krzywdę. Co się tyczy przeszłości, to - jak już mówiłem - jestem przekonany, że nie ponosi pani żadnej winy. A moja pozycja w świecie jest na tyle mocna, że może się pani nie obawiać żadnych niemiłych aluzji na temat tego... nieszczęścia.

Alice wpatrywała się w pułkownika, zaskoczona jego wielkodusznością tym bardziej że podejrzewała go o nieczne zamiary. Spuściła wzrok, pełna skruchy i podziwu dla jego rycerskiej postawy. Widać było, że starannie sobie przeciwiczył tę przemowę. Ten dowód niepewności wielkiego wojownika rozbroił ją całkowicie.

Podczas gdy Damien czekał na jej odpowiedź, Alice pospiesznie rozważała w duchu korzyści płynące z jego oferty. Prawdę mówiąc, był to prawdziwy cud, idealne rozwiązanie wszystkich jej problemów. Nie musiałaby się tłumaczyć z tego, że nie jest już dziewicą, i nikt by jej tego nie wytykał. Lord Damien był bohaterem narodowym o niezachwianej reputacji, wzorem męstwa i prawości. Jako jego żona zostałaby hrabiną zajmowałaby wysoką pozycję w wielkim świecie. Byłaby żoną i matką. Jednak po namyśle dotknęła ostrożnie jego ramienia i spojrzała ze smutkiem w jego głębokie, szare oczy.

- Jaki pan szlachetny, jaki dobry... Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy wdzięczności. Jestem niezmiernie zaszczycona pańską wielkoduszną propozycją, ale nie mogę jej przyjąć.

Na czole Damiena pojawiła się zmarszczka.

- Dlaczego?

- Bo kocham pańskiego brata odparła cicho. Ściągnął brwi.

- Panno Montague, niech pani nie mówi głupstw! Małżeństwa bez miłości zdarzają się na porządku dziennym. Pani grozi życiowa katastrofa... a mnie jest potrzebna żona. Rzucam pani linę ratunkową. Niechże się pani jej uchwyci!

- To byłoby zbyt bolesne... dla Luciena.

- No i co z tego? - spytał, robiąc taką minę jak jego brat. - Jak pani może troszczyć się o człowieka, który uwiódł panią bez skrupułów a później porzucił?!

- Kocham go - powtórzyła jeszcze bardziej stanowczo. Sprawił mi ból, to prawda, ale

nie chcę go karać ani mścić się na nim. A to, co zaszło między nami, wynikało nie tylko z jego winy. On mnie kusił, ale to ja uległam. Z własnej woli oddałam mu swoje głupie serce.

- A on je złamał - rzucił twardo Damien, bacznie ją obserwując.

Spuściła wzrok.

- Przepraszam, że tak niegrzecznie zachowałam się wczoraj na balu. Podejrzewałam pana o... niegodne zamiary.

- Całkiem zrozumiałe! Niech się pani tym nie kłopotczy. W odróżnieniu od mego brata jestem gruboskórny. On by pewnie dodał: „i tępogłowy”. - Uśmiechnął się niewesoło, wstał i podał Alice swoją kartę wizytową. - Wyobrażam sobie, jak pani teraz ciężko. Gdyby w ciągu kilku następnych dni przemyślała pani sprawę raz jeszcze i zmieniła zdanie, znajdzie mnie pani w Knight House, obok Green Park. Moja propozycja jest nadal aktualna.

Pożegnał ją lekkim ukłonem i wrócił do konia. Wskoczył na siodło, pospiesznie zasalutował i zawróciwszy siwka, pomknął kurcgalopem po pożółkłej trawie.

Alice spoglądała za odjeżdżającym. Miała nadzieję, że nie popełniła życiowej omyłki.

- Banda idiotów!

Ryk Luciena niósł się gromkim echem po korytarzach przybytku sprawiedliwości na Bow Street. To był doprawdy szczyt wszystkiego! Odwrócił się z irytacją od zbieraniny zdezorientowanych francuskich imigrantów, wychodźców politycznych i zwykłych turystów, stłoczonych za kratkami aresztanckiej celi. Spiorunował wzrokiem dzielnych agentów z Bow Street, którzy ich tutaj dostarczyli. Wśród zatrzymanych znalazła się nawet tak ważna persona jak szef kuchni księcia Devonshire! Marc i reszta świty Luciena stali w pogotowiu, przestępując z nogi na nogę, podczas gdy ich szef mieszał z błotem funkcjonariuszy wydziału śledczego policji kryminalnej.

- Ile razy mam powtarzać, że Bardou jest wysoki, wyższy ode mnie, i że ma jasne



włosy?! A wy co mi tu pokazujecie?! Nie spojrzeliście nawet na mój szkic?!

Spoglądaliśmy, i to wielokrotnie. Moi ludzie robią, co mogą, ale fakt pozostaje faktem: tylko pan widział tego człowieka, więc tylko pan potrafiłby go rozpoznać - protestował kapitan, podczas gdy jego podkomendni mierzyli Luciena nieżyczliwym wzrokiem.

- Jeśli to wszystko, na co ich stać, to niewiele z nich pożytku - przerwał mu Lucien.

Mnóstwo ludzi zginie, jeśli nie odnajdziemy tego człowieka. A niech to szlag! Zwolnijcie ich wszystkich!

Kiedy znękani Francuzi zostali wypuszczeni z aresztu i rozeszli się każdy w swoją stronę, Lucien, roztrącając agentów, opuścił siedzibę policji. Pięciu jego towarzyszy w zwartym szyku sunęło za nim. Co teraz począć? Lucien bezskutecznie zadawał sobie to pytanie, z najwyższym trudem powstrzymując się, by nie walić głową w mur. Ostatni moment, by udaremnić spisek Claude'a Bardou, była trzecia o południu... a on myślał tylko o tym, co Alice odpowiedziała Damienowi.

Jasna cholera! Gdyby to Damien był na moim miejscu, Bardou zostałby już do tej pory schwytyany, wtrącony do Tower i skrócony o głowę! - drwił z siebie w przystępie zjadliwej autoironii.

- Nie trzeba było aż tak im ubliżać - mruknął Marc. - Nie zachęci ich to do dalszej współpracy.

- Jakiej współpracy? odparł Lucien. - Wszystko przepadło! Przegraliśmy z kretesem.

- Co ty gadasz, milordzie?! Nie wolno się poddawać!

Lucien wiedział, że chłopak ma rację, ale on miał nerwy w strzępach i spał tej nocy najwyżej dziesięć minut. Potarł czoło. - Niekompetentni idioci!

- Pewnie, ale kapitan też miał trochę racji. Szczerze mówiąc, twój szkic był do luzu. -

Marc skrzywił się jak po occie. - Sporządzasz mapy topograficzne z absolutną precyzją, szefie. Nikt ci tego nie odmówi. Ale ten portret Bardou... ni pies, ni wydra.

Lucien niecierpliwie machnął ręką.

- Wiem, że to nie Mona Lisa! Ale jak można pomylić wielkiego blondyna po czterdziestce z tym kurdupłem kucharzem?! Skończone półgłówki!

- Ale rzeczywiście tylko ty naprawdę wiesz, jak wygląda Bardou, milordzie.

Stanowczo powinniśmy zwrócić się o pomoc do dobrego portrecisty - wtrącił się Talbert.

- Albo portrecistki. Panna Montague byłaby w sam raz dorzucił szeptem Kyle.

- Zamknij się! Nie pozwolę jej w to mieszać - warknął groźnie Lucien.

- Szefie, mnóstwo ludzi zginie! Sam powiedziałaś.

- Wszystko jedno, byle nie ona! - odparł z posępnym uporem.

- Ale jeśli jest już w Londynie, to mogłaby nam pomóc. Potrafi uchwycić podobieństwo - przekonywał Jenkins.

- On ma rację - nalegał Marc. Jeśli trzy tuziny konstablów i tych tam z Bow Street, no i my, nigdzie nie wypatrzyliśmy tego Bardou, to jasne, że go nie ma w pobliżu. A w takim razie co w tym złego, że wpadniemy do niej i poprosimy, żeby nam pomogła? Będziemy stali murem wokół jej domu, jeśli chcesz. A ty jej tylko opisz dokładnie tego drania, niech go narysuje. W niej nasza ostatnia nadzieja!

- A skąd wiesz, że nam pomoże? - powiedział Lucien. Nie jesteśmy z nią w najlepszej komitywie.

- Na pewno nie odmówi, jeśli się dowie, że od tego zależy ludzkie życie - powiedział całkiem rozsądnie O'Shea.

- Czy to nie wspaniały pretekst, żeby się z nią zobaczyć? spytał Talbert z szerokim uśmiechem.

Lucien skrzywił się i odwrócił głowę, ale serce mu się rozszalało na myśl o spotkaniu z Alice. Sama jej bliskość dodawała mu sił... a dziś tak ich potrzebował! Chłopcy mieli rację: była wspaniałą portrecistką. Przekonał się o tym na własne oczy. Poza tym bardzo chciał się dowiedzieć, co odpowiedziała Damienowi.

Rzucił sztucznie niedbałym tonem:

- Niech będzie po waszemu! Że też zdołaliście mnie do tego namówić, smarkacze!

- Wiesz, gdzie ona mieszka?

- Trafiłbym tam z zawiązanymi oczami!

- Widzisz, jak się zaczerwienił? - spytał Talbert Marcusa, gdy ich szef wskakiwał na karego ogiera.

- Słyszałem! - zawołał do nich groźnie Lucien.

Wkrótce potem zsiadł z konia przed głównym wejściem do miejskiej rezydencji

Montague'ów przy Upper Brooke Street. Zostawił wierzchowca pod opieką swych przybocznych, podszedł do drzwi, zebrał się w sobie i zastukał. Rany boskie! Ależ był zdenerwowany, jak jakiś chłopaczek: sucho w ustach, puls przyspieszony, serce szalało z dręczącej miłości. Czekał na progu jej domu przez chwilę, która zdawała się wiecznością.

Wyjął kieszonkowy zegarek. Dwadzieścia po trzeciej. Zatrzaskał wieczko, gdy sympatycznie wyglądający majordomus z lśniąca łysiną otworzył drzwi.

- Dzień dobry panu. Czym mogę służyć?

- Dzień dobry... - Lucien zmusił się do uśmiechu, bawiąc się nerwowo szpicrutą. -

Chciałbym się widzieć... przełknął z trudem ślinę z panną Montague.

- Kogo mam zameldować?

- Lord Lucien Knight.

Dobroduszna twarz majordoma w jednej chwili spochmurniała. Wyraźnie się

usztynił. Skonsternowany Lucien trafnie odgadł, że służący właśnie przypomniał sobie jego nazwisko w związku z dawniejszymi awanturkami baronowej.

- Najmocniej przepraszam, milordzie - odezwał się majordomus z niezwykle godnością. - Zapewne się przesłyszałem. Chce pan się widzieć z lady Glenwood, nieprawdaż?

- Nie, bezczelny fagasio! Z panną Montague! powtórzył, czując, że się rumieni.

Czyżby wstydził się swoich dawnych wybryków? Dobry Boże, co się z nim działo?!

- Chwileczkę powiedział pełen oburzenia majordomus i zatrzasnął mu drzwi przed nosem.

Nie był to najlepszy początek. Lucien odwrócił się, uderzając nerwowo szpicrutą o własną nogę. Co będzie, jeśli Alice nie zechce go przyjąć?

Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch w oknie. Zasłona drgnęła. Pospieszenie odwrócił się w tę stronę, ale ktoś, kto na niego zerkał, zniknął. Lucien zmrużył oczy. Czyżby to Alice kryła się przed nim, udając, że nie ma jej w domu?

Nagle w oknie ukazała się mała główka z jasnymi włoskami. Panicz Harry musiał wdrapać się na jakiś mebel i teraz - bardzo z siebie zadowolony spoglądał na przybysza.

Lucien uśmiechnął się do niego, oczarowany błyszczącymi, jasnoniebieskimi oczkami malca i dziecięcą szelmowską minką.

Kiedy obcy pan skłonił mu się z powagą, Harry zniknął. Lucien zmarszczył brwi.

Sekundę później chłopczyk znowu wyjrzał. Najwyraźniej zapraszał go do zabawy. Lucien zaśmiał się z cicha, otworzył drzwi domu i zajrzał do środka, przerywając prowadzoną niespokojnym szeptem rozmowę Alice z majordomem.

- ...powiedzieć mu, że nie ma pani w domu?

- Lucien?! wykrztusiła, robiąc wielkie oczy. Policzki jej poczerwieniały. - Jak można wdzierać się do cudzego domu?!

- Doprawdy, milordzie... - zgorszył się majordomus. Ale Lucien widział tylko ją.

- Witaj, Alice - powiedział z nadzieją w głosie, nie odrywając od niej oczu. Alice wzięła się pod boki.

- Co ty tu robisz?!

O Boże... ależ była śliczna! W luźnej domowej sukni i falbaniastym fartuszk, ze wspaniałymi włosami spływającymi luźno na plecy i ramiona - inaczej mówiąc, w czarującym dezabilu. Taką właśnie Alice pamiętał i kochał o wiele bardziej niż tę piękną i groźną boginię z wczorajszego balu.

Nim pozbierał na tyle władze umysłowe, by zwrócić się do niej z prośbą o pomoc w sporządzeniu portretu, z saloniku wybiegł pędem Harry. Wpadł na Alice i zaplątał się w fałdach jej spódnicy.

Instynktownym, opiekuńczym gestem objęła go i podtrzymała. Harry częściowo ukryty za swą ciocią, wsadził palec do buzi i z bezpiecznej odległości z wyraźnym zainteresowaniem obserwował Luciena.

On również przyglądał mu się ciekawie. Widok tych dwojga - kobiety i dziecka - wpatrzonych w niego poruszył w nim jakieś głęboko ukryte uczucia, których istnienia nawet nie podejrzewał. Unikając gwałtownych ruchów, najpierw zamknął za sobą drzwi, a potem przykucnął na podłodze kilka kroków od Alice i chłopca.

- Witaj, Harry. Jestem Lucien.

A my mamy kotki w ogrodzie. Takie bezdomne, wieś? odparł z dumą Harry.

- Szczęściarz z ciebie! - stwierdził Lucien. - Ja mam w ogrodzie tylko psy. Duże, paskudne psy.

Harry uniósł brewki ze zdziwienia i wyjął palec z buzi.

- Ja też mam psa na wsi. Łapie zającki!

Lucien uśmiechnął się od ucha do ucha i zerknął na Alice. Jego uśmiech zgasł, gdy ujrzał łzy w jej oczach. Nadal obejmowała chłopczyka jedną ręką, a drugą głaskała go po główce.

- Mam dla ciebie prezent, Harry. Słyszałem, że zachorowałeś na ospę wietrzną, więc pomyślałem, że może to cię rozweseli. - Lucien sięgnął do kieszeni i wyciągnął mały graniastosłup z kwarcu. Dziecko wpatrywało się w kryształ pełnymi zdumienia oczkami. - To się nazywa pryzmat. Widziałeś już coś takiego?

Chłopczyk energicznie pokręcił głową. Palec znów znalazł się w buzi.

- Chodź no tu. Twój pies łapie zajaczki, a ja ci pokażę, jak się puszcza zajaczki! -

Przyklęknął na jedno kolano i wyciągnął wolną rękę do Harry'ego. Chłopczyk podszedł do niego z całą ufnością. Lucien objął dziecko i podniósł rękę z pryzmatem do góry. Przez półokrągłe okienko nad drzwiami wpadały złote promienie popołudniowego słońca. -

Wygląda jak zwykle szkło, prawda? Ale wystarczy nim obrócić i... Widzisz? Wskazał dziecku kolorowe refleksy, które zatańczyły na marmurowej posadzce.

- To tece! - zawołał Harry. Chwycił pryzmat i zacisnął go w piąstce, nie odrywając od niego oczu. - Gdzie one są?

Zaczął potrząsać kryształem.

- Trzymaj pod światło i obracaj, to się znów pokażą zajaczki.

- To tęce! - powtórzył Harry, po czym spojrzał z pewnym niepokojem na nowego przyjaciela.

- Tak, masz rację. A znasz kolory tęczy? - spytał Lucien.

- Cerwony, zielony, niebieski, żółty - wyrecytował z dumą.

- No, no! Doskonale! - powiedział Lucien z podziwem, po czym uśmiechnął się do Alice. Pewnie ty go nauczyłaś?

Pociągnęła noskiem i skinęła głową potakująco. Z rękoma kurczowo przyciśniętymi do piersi przypatrywała się temu, co się tu działo. Harry chichotał, garnąc się do Luciena. Lucien śledził go bacznie. Nietrudno było pojąć, czemu Alice tak przepada za tym malcem. Był bystry, miły i wyjątkowo uroczy. Choć urodziła go ciemnowłosa, czarnooka Caro, typ urody odziedziczył po Montague'ach: blondynek o jasnej cerze i niebieskich oczach. Lucien uszczypnął go lekko w nosek.

- Pokażemy cioci, jak puszczasz zajączki? Podbiegł natychmiast do Alice.

- Popac, to są tęćacki!

- Tęćzowe zajączki, Harry. - Pochyliła się nad nim i pomogła mu obracać pryzmatem, by kolory znów się pojawiły. - Śliczne! Podziękuj lordowi Lucienowi.

- Dziękuję! - zawołał radośnie chłopiec.

- Proszę bardzo - odparł rozbawiony Lucien.

Po dłuższej chwili Alice ucałowała Harry'ego i wezwała majordomusa.

- Panie Hattersley, czy byłby pan tak dobry odprowadzić go do Peg? - spytała.

- Oczywiście, panienko. Idziemy, paniczu Harry.

- Pa, pa! - wołał chłopczyk do Luciena, machając na pożegnanie rączką, kiedy majordomus wnosił go po schodach na górę.

Lucien również pomachał dziecku.

- Do zobaczenia, Harry!

Pozostali z Alice sam na sam w holu. Zapanowało niezręczne milczenie. Lucien nie mógł się oprzeć wrażeniu, że dawno wyrzucono by go za drzwi, gdyby nie to, że Harry od razu go polubił.

- Uroczy z niego łobuziak.

- To prawda. - Alice wsadziła ręce do kieszeni fartuszka i przestąpiła z nogi na nogę. -

A więc czego sobie życzysz?

- Chciałbym skorzystać z twoich talentów. Uniosła brwi i spojrzała nań pytająco, pełna rezerwy.

- Chodzi o człowieka, którego usiłuję odnaleźć. Moi chłopcy uważają, że naszkicujesz jego portret, jeśli ci go dokładnie opiszę. Gdybyśmy mieli wierną podobiznę, może agenci z Bow Street albo policja miejska zdołaliby go odnaleźć.

- Rozumiem. Chcesz prosić mnie o przysługę. Sądzisz, że ci ją wyświadczę po tym, jak mnie potraktowałeś?

- Nie chodzi o mnie! To niebezpieczny złoczyńca. Grasuje bezkarnie po Londynie. Mamy już bardzo niewiele czasu...

Głos mu się załamał i umilkł skonsternowany.

Alice z westchnieniem odwróciła się i ruszyła korytarzem prosto przed siebie.

- Pójdę po szkicownik i węgiel. Serce wezbrało mu wdzięcznością.

- Dziękuję, Alice!

Zbyła jego podziękowanie lekceważącym ruchem ręki i zniknęła w pokoju na końcu korytarza. Podczas gdy szukała szkicownika i kawałków węgla drzewnego do rysowania, Lucien wyznaczył Marcusowi i pozostałym chłopcom stanowiska wokół domu, polecając im, żeby natychmiast go powiadomili w razie jakiegos zagrożenia. Kiedy znów wszedł do domu, Alice stała w końcu korytarza. Skinęła na Luciena i wprowadziła go do małego salonu, gdzie zasiadła obok dębowego stołu na windsorskim krześle, kryjąc pod nim stopy.

Położyła szkicownik na kolanach i czekała z kawałkiem węgla w ręku. Nadal była najeżona.

- Chciałbyś się czegoś napić?

- Nie, dziękuję.



- W takim razie uporajmy się z tym jak najszybciej.

- W porządku. Zaczął krążyć po pokoju, wytrącony z równowagi jej bliskością. - To mężczyzna, Francuz, koło czterdziestki.

- Opisz mi jego twarz. Okrągła czy pociągła?

- Chyba... kwadratowa. Z dołkiem w brodzie.

- Brodą zajmiemy się później!

- Najmocniej przepraszam! - syknął urażony jej opryskliwym tonem. Odchyliła głowę do tyłu i odetchnęła głęboko.

- Będziemy się posuwać metodycznie, od góry do dołu wyjaśniła nieco uprzejmiej. -

Jak byś określił jego czoło?

- Szerokie. Brwi gęste. Oczy głęboko osadzone.

Ręka Alice sunęła po kartce szkicownika szybko, swobodnie i z gracją, kreśląc ogólny zarys twarzy. Słychać było tylko szuranie węgla po papierze. - A jaki ma nos?

- Wielki i paskudny. Taki... bulwiasty - mruknął.

- Bulwiasty? - spytała zdziwiona. Lucien wzruszył ramionami.

- Niech będzie bulwiasty.

Przygryzła wargę, pracując w skupieniu, nieświadoma, że Lucien wpatruje się w nią rozkochanym wzrokiem.

Nagle podniosła na niego oczy i spostrzegła jego tęskne spojrzenie, nim zdołał ukryć swe uczucia. Przez długą chwilę patrzyli na siebie.

- Alice... - szepnął.

Usta jej zadrżały.

- Słucham?

- Chyba... chyba powinienem ci o czymś powiedzieć.

Był wprost chory na samą myśl o tym wyznaniu, ale wiedział, że utraci Alice, jeśli to coś nie wyjdzie na jaw.

- Cóż to takiego?

Zwiesił głowę, podszedł wolnym krokiem do drzwi salonu i zamknął je starannie. Nie mógł spojrzeć Alice w oczy, zacisnął więc powieki i wysiłkiem woli zmusił się do mówienia.

Chciał, by jak najszybciej było po wszystkim.

- Nigdy bym nie opowiadał ci o takich sprawach, gdyby to nie było konieczne. - Z trudem przełknął ślinę. - W zeszłym roku, na wiosnę, zostałem pojmany we Francji przez tego człowieka i jego pomocników. Byłem ich więźniem przez pięć tygodni, nim zdołałem uciec.

Pod wpływem tortur...

- Tortur?

Uniósł głowę i zmusił się do tego, by spojrzeć jej w oczy.

- Tak - odparł z wymuszonym spokojem. - Każdy tajny agent wie, że jeśli zostanie schwytany, grożą mu tortury i egzekucja.

Alice zbladła z przerażenia i spojrzała na niedokończony szkic.

- Ten człowiek cię torturował?

- O, tak. Doskonale się spisał. Kompletnie się załamałem, Alice. - Pokręcił głową, jakby nadal nie mógł w to uwierzyć. - Wyjawiłem nazwisko jednego z moich kolegów, Patricka Kelleya. To był wspaniały chłop, uczył mnie fachu... Aleja nie byłem w stanie znieść tych męczarni... Półprzytomny coś bełkotałem, sam nie wiem co... Kiedy doszedłem do siebie, było już za późno. Bardou na podstawie tego, co ze mnie wyciągnął, odnalazł Kelleya i go zamordował. - Lucien zacisnął ręce w pięści, cały się trząsł. - Okazałem się mięczakiem i zabiłem swego przyjaciela... jakbym osobiście poderznął mu gardło. To dlatego ja, właśnie ja muszę zlikwidować Bardou!

- O Boże... Lucienie... wyszeptała.

- Nie mogłem ci tego powiedzieć wcześniej. Nie chciałem, żebyś wiedziała, że się bałem... - wyznał ledwie dosłyszalnie. Odłożyła szkicownik i wyciągnęła do niego ręce.

- Chodź do mnie!

Przeszedł przez pokój na nogach, które ugiwały się pod nim, i klęknął obok krzesła

Alice. Spojrzał jej w oczy z niepokojem, usiłując odgadnąć jej reakcję na to wyznanie, rozpaczliwie pragnąc dowiedzieć się, czy ukochana nie gardzi nim za to, że był taki słaby i haniebnie zdradził przyjaciela.

Łzy napłynęły jej do oczu. Przyciągnęła go do siebie. Głaskała go po włosach, obsypywała pocałunkami jego twarz.

Oczy piekły go boleśnie, gdy złożył głowę na kolanach Alice. Pochyliła się nad nim, obejmując go mocno i czule. A on ukrył twarz w jej długich, złotych włosach.

- Już dobrze... już dobrze... - szeptała, gładząc go po plecach. Opowiedz mi, jak to się stało.

Gardło miał tak zaciśnięte, że ledwie mógł oddychać, ale przemógł się, by spełnić jej życzenie. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić.

- Nikomu o tym nie mówiłem. Ani Damienowi, ani nawet Castlereaghowi. Całą akcją kierował Bardou. Schwytali mnie w Paryżu. Zwabili w jakąś boczną uliczkę. Pomagała im młoda dziewczyna. Usłyszałem krzyk i pomyślałem, że ktoś ją zaatakował. Kiedy skoczyłem jej na ratunek, uderzono mnie w głowę i zawiązano mi oczy. Potem wrzucili mnie do powozu i zawieźli tam... Nie umiałbym dokładnie określić, gdzie to było.

Zamilkł i z trudem zmusił się do opowiedzenia Alice całej okropnej prawdy. Zdawał sobie sprawę z tego, że drży, ale nie mógł się opanować.

- Przez następnych pięć tygodni trzymali mnie pod kluczem w zimnej, wilgotnej

piwnicy. O chlebie i wodzie. Najstraszniejsze było pragnienie. Bili mnie i głodzili. Wyrwali mi dwa trzonowe zęby - za karę, bo nie chciałem mówić. Ale przede wszystkim nękali mnie psychiczne. Grozili, że mnie zgwałcą. Że mnie wytrzebią. Grozili, czym tylko mogli. Chcieli zrobić ze mnie zdrajcę, ale ciągle się nie poddawałem. - Z trudem oddychał. Alice obserwowała jego twarz, każdy przelotny skurcz, każde bolesne uczucie, które się na niej odbijało. A potem chyba... pomieszało mi się w głowie... na jakiś czas - wydusił z siebie. - Niewiele pamiętam z następnych kilku tygodni. Znalazłem się w jakimś klasztorze tuż za hiszpańską granicą. Udzielono mi tam pomocy, opatrzone rany. Byli to *guemlleros*, którymi dowodził ksiądz, padre Garcia. Wykorzystali klasztor na swoją kwaterę główną, bo był ufortyfikowany od czasów wojen z Maurami. A potem Garcia i jego ludzie odstawili mnie do sztabu generalnego Wellingtona.

- Jak zdołałeś uciec od tych francuskich katów?

- Kiedy jeden z nich wszedł do mojej celi, udało mi się go zabić. Zabrałem jego broń, która utorowała mi drogę do wolności. Wybiłem ich co do jednego - stwierdził ponuro. - Z wyjątkiem Bardou. Wyjechał, by zapolować na Patricka Kelleya.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeli.

- Och, Alice... - odezwał się wreszcie Lucien, kompletnie wyczerpany tym wyznaniem. - Od dwudziestego szóstego roku życia wszystko, co miałem, rzuciłem na szale tej strasznej wojny. Poświęciłem nawet to, z czym Damien nigdy by się nie rozstał: moje dobre imię. Wiedziałem, w co się pakuję... a jednak trudno znieść to, że wszyscy uważają mnie za ostatnią kanalię...

Dotknęła jego twarzy i zawarła w tym geście tyle współczucia, że wszelkie słowa były zbyteczne. Przytulił policzek do dłoni Alice, ale nie mógł spojrzeć jej w oczy.

Nagle słowa znów popłynęły rwącym strumieniem.

- Nigdy nie chciałem iść na tę wojnę! Powinienem być zostać lekarzem. Wykorzystać swe zdolności przy leczeniu ludzi, a nie zabijaniu ich! Ale dla mnie najważniejsza była lojalność wobec brata. Zawsze przede wszystkim myślałem o nim. Dla niego zrezygnowałem z przyszłości, jaką sobie wymarzyłem. Dla niego zniszczyłem własne, ja”, bo był moim jedynym przyjacielem. .. A teraz odwrócił się ode mnie i nie chce mnie znać. Nie zniosę, jeśli zabierze mi również ciebie! Nie masz nawet pojęcia, jaki jestem samotny. Jeśli już mnie nie kochasz...

Urwał i zwiesił głowę. Czuł, że załamuje się kompletnie; nie mógł dłużej unikać prawdy i udawać, że nie dostrzega stanu swej duszy.

Usiłował odzyskać dawną, godną Machiavellego samokontrolę, ale przepadła bez śladu.

Jeśli Alice zgodziła się wyjść za Damiena, niech i tak będzie! Zmagał się z samym sobą, chwiał się na skraju przepaści. Żeby tylko nie rozpłakać się przy niej! Na litość boską, nie może być zafajdanym mięczakiem!

Kiedy jednak łagodnie uniosła jego głowę, miał w oczach łzy.

- Przepraszam... - wykrztusił kompletnie zbity z tropu. - Przepraszam, że jestem mięczakiem... Jestem do niczego... Nigdy nie będę taki jak mój brat...

- Przestań! Nie waż się tak mówić! - powiedziała. Jej oczy także były pełne łez.

Pokręciła głową w gwałtownym proteście. - To nieprawda! To kompletna bzdura!

Lucien spojrzał na nią błagalnie.

- Wiem, że był tu dziś z wizytą. Wiem, że prosił cię o rękę. Coś mu odpowiedziała, Alice?

- A jak myślisz? - spytała tonem łagodnego wyrzutu.

- Nie wiem.

- Lucienie... - Pochwyciła jego drżące ręce, które leżały na jej kolanach, i wpatrywała się w niego z napięciem. - Twój brat to dobry człowiek, ale nie jest tobą. Odpowiedziałam mu „nie”. Nigdy nie pokocham nikogo prócz ciebie. Wyjaśniłam mu to.

- Naprawdę? - wykrztusił wpatrzony w nią, odurzony szczerością jej błękitnych oczu.

Gdy po prostu skinęła głową, przebiegł go dreszcz. Ukrył znów głowę na jej kolanach.

Przywarł do Alice, choć wiedział, że nie jest jej wart, i rozkleił się kompletnie. Obsypywał pocałunkami jej piękne, cudownie zręczne ręce, oblewał je gorącymi łzami.

- Ocal mnie - szeptał - moja ukochana, moja piękna! Jesteś jedynym cudem, jaki wydarzył się w całym moim życiu!

Długo tuliła go w objęciach, pieściła wargami jego ucho, czule głaskała plecy.

- Mój Lucienie... czarnoksiężniku, wielki zaklinaczu... Przecież to ty mnie ocaliłeś!

Podniósł na nią wzrok, wstrząśnięty jej słowami.

- A teraz ja spróbuję cię uzdrowić... szepnęła. Delikatnie pieściła jego twarz, całowała jego oczy, policzki...

- Kocham cię - powtarzała szeptem raz po raz.

Trwał bez ruchu, pozwalając, by jej słowa przeniknęły do głębi jego istoty. Kiedy zaś poczuł jedwabistą, kusicielską pieśczość jej warg, pokrył jej usta drżącym, natarczywym pocałunkiem.

Ramiona Alice zacisnęły się wokół niego. Jej ciepłe, wilgotne wargi rozchyliły się pożądliwie na jego powitanie. Pieścił jej język swoim językiem, obejmował jej piersi przez materiał sukni... Oderwał się na chwilę od jej ust i z bijącym gwałtownie sercem, z oczyma błyszczącymi gorączkową namiętnością wyszeptał:

- Pragnę cię!

- Wiem odparła bez tchu. - Jestem twoja, Lucienie. Twoja zawsze i wszędzie. Weź

mnie!

Z uczuciem nieopisaney wdzięczności ucałował ją raz jeszcze i wstał, nie wypuszczając jej z objęć. Podeszedł do solidnego mahoniowego stołu i położył ją na nim ostrożnie, odsunawszy na bok srebrny serwis do herbaty.

- O Boże, tak mi ciebie brakowało - westchnął, podciągając jej spódnicę nad uda. -

Twego ciała i twego uśmiechu... Nie masz pojęcia, jak cię pragnę...

- A ja ciebie!

Uniosła się ku niemu, oczy miała zamglone z pożądania. Oceany miłości, zdolne ugasić piekielne ognie.

- Jesteś taka piękna - szeptał roznamiętniony. Czuł, jaka jest rozpalona.

Drżącymi rękoma zsunęła mu spodnie i wydała cichy, radosny jęk, gdy wniknął w nią głęboko, z szaleńczą niecierpliwością. Żadne z nich nie zdjęło ubrania. Podkładając dłonie pod jej gładkie pośladki, starał się uchronić Alice przed gwałtownym zetknięciem z twardą powierzchnią stołu, ale była zbyt żywiołowa. Sunął wargami po jej piersi i ssał naprężone sutki, aż wydała drapieżny pomruk i objęła go nogami.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa! - szepnęła bez tchu.

- Ciiicho... - upominał ją z uśmiechem szczęśliwego posiadacza, kładąc palec na ustach Alice, gdy jej zmysłowe pomruki stały się zbyt głośne.

Polizała jego palec i zaczęła go ssać. Lucien wpatrywał się w nią pożądliwie, jego pieszczoty były coraz bardziej gwałtowne. Alice miotła głową na boki i przygryzała wargi, usiłując stłumić swe jęki. Jej ciało z determinacją prężyło się ku niemu.

- Lucienie!

- Tak, aniołku. Już!

Zesztywniała, jej twarz wyrażała teraz samo pożądanie. Lucien nie mógł powstrzymać

się ani sekundy dłużej. Zaciśnął zęby, by nie krzyknąć, ale nie był już panem samego siebie.

Wstrząsany orgazmem osunął się bez tchu w nieskończoną błogość.

Nie odrywał wzroku od Alice, gdy tuliła go i głaskała po włosach. Czuł w sobie bezmierny spokój. I wszystko nagle stało się takie jasne.

- Kocham cię - szepnął po chwili.

Rzuciła mu szelmowskie spojrzenie i wymruczała głosem sytej kotki: - I to jak!

Zaraz jednak spoważniała, oparła się na łokciu i przyjrzała mu się badawczo.

- Ten Bardou... Zdołasz go pokonać?

- Kiedy mam ciebie, jestem zdolny do wszystkiego - szepnął.

- Więc masz moje błogosławieństwo: zabij go, Lucienie! Choćby za to, co ci zrobił!

Sama bym go zabiła, gdybym mogła, ale to przecież twoje zadanie! - Słuszny gniew płonął w jej błękitnych oczach. Zrób to z myślą o naszej przyszłości. O naszych dzieciach. A potem wróć do mnie!

Niezwykły blask jej oczu zdumiał Luciena. Pomyślał, że opatrność obdarzyła Alice nieziemską mocą.

- Kocham cię nad życie, Alice... Jestem twój.

Dotknęła jego policzka, raz jeszcze przyciągnęła go do siebie i ucałowała namiętnie.

- Wróćmy więc do tego, cośmy zaczęli. Skończę ten szkic i wspólnie wypłoszymy potwora z ukrycia!

Podniósł jej rękę do ust.

- Dzięki! - szepnął, patrząc jej wymownie w oczy.

Uśmiechnęła się, po czym oboje pośpiesznie zaczęli poprawiać garderobę. Lucien, czując się jak nowo narodzony, wsunął koszulę w spodnie i własną chusteczką startł rozkoszny odcisk pupci Alice, pozostawiony niebacznie na lśniącej powierzchni stołu.



Nieświadoma tych dyskretnych poczynań ukochanego Alice przyglądała włosy, wróciła na dawne miejsce i wzięła do rąk szkicownik.

Lucien marzył tylko o tym, by zaszyć się z Alice w łóżku na resztę dnia, ale musiał stać teraz obok niej. Bawił się jej włosami i odpowiadał najlepiej jak umiał na dalsze szczegółowe pytania co do wyglądu jego wroga.

Twarz, którą rysowała Alice, była coraz bardziej podobna do Claude'a Bardou.

- To on! Tylko oczy są trochę za blisko siebie... Szczękę trzeba nieco uwypuklić... A jego skóra ma taki... tłusty połysk. Możesz to jakoś oddać na szkicu?

Alice siedziała bez ruchu, wpatrując się w portret, nie odpowiadając na pytanie.

Lucien spojrzał na nią i dostrzegł jej bladość.

- Co się stało, Alice?

- Ja... znam tego człowieka.

- Co takiego?!

Spojrzała na niego. W jej oczach widniał paniczny strach.

- To Karl von Dannecker, nowy adorator Caro. Jestem pewna, że to on! Tylko że to nie Francuz, ale... Prusak... Lucienie! On się tu zjawi lada chwila!

Alice nigdy jeszcze nie widziała, by Lucien aż tak zbladł.

- On tu bywał? W tym domu? - wyrzucał z siebie urwane zdania. - Stykał się z tobą? Z Harrym?

- Nawet spędził tu kilka ostatnich nocy z Caro.

Wymamrotał najstraszliwsze przekleństwo, jakie słyszała w życiu, odwrócił się na pięcie i był już przy drzwiach.

- Lucienie!

- Ubierz dziecko do drogi, sama też włóż płaszcz. Odsyłam was stąd w bezpieczne

miejsce! Zawiadam Caro, musi jechać razem z wami. Cała służba ma przejść na tyły domu, niech się stamtąd nie rusza! I ani mru - mru, rozumiesz? Marc! Kyle! - huknął, wychodząc na korytarz, po czym wrócił do niej z twarzą pociemniałą z gniewu. Wiesz, o której ma tu być? Zerknęła na zegar stojący na gzymsie kominka. - Za dziesięć minut. Caro... spodziewa się go o czwartej - wyjąkała. Gdzieś się razem wybierają na weekend. Lucien zaklął pod nosem, znowu zbierając się do wyjścia.

- Co chcesz zrobić?

- Aresztować go. Albo zabić, jeśli szczęście dopisze - dodał, spoglądając w stronę drzwi frontowych.

- Moje miejsce jest przy tobie. Pomogę ci!

- Nie, do wszystkich diabłów! Zrobię, co w mojej mocy, żeby krew się nie połała w twoim domu, ale jeśli ja go nie zabiję, Bardou i tak zginie na szubienicy. Tym razem się nie wymiga! Hej, ty tam! - zawołał do Hattersleya, który zjawił się, słysząc krzyki. - Dopilnuj, żeby powóz dla panny Montague był zaraz gotów! Marc zwrócił się do młodzieńca, który właśnie wpadł do pokoju. - Bardou już tu jedzie. Chyba chce mnie dopaść za pośrednictwem lady Glenwood. Zaczaimy się i przyłapiemy go, jak tylko tu wejdzie. Alice, Harry i baronowa muszą natychmiast stąd wyjechać. Zawieziesz ich do Knight House i powiesz Damienowi, że ma ich strzec. Powierzam mu opiekę nad nimi. A ciebie daję mu do pomocy.

- Tak jest.

- Talbert!

- Tu jestem, szefie.

- Potrafisz zagrać majordoma?

- Oczywiście, milordzie - odparł młody aktor, uśmiechając się od ucha do ucha.

- To dobrze. Musimy zwabić Bardou do wnętrza domu. Stąd się nam nie wymknie.

- Rozumiem. Zaraz się przebiorę.

- Kyle!

- Tak jest!

- Nasze konie nie mogą być na widoku, kiedy Bardou zajedzie pod dom. A gdyby jakimś cudem zdołał zwiać, musimy być od razu gotowi do pościgu.

- Tak jest, milordzie.

- Jenkins, O'Shea, sprawdźcie broń. Będziecie mnie osłaniać, kiedy go zaatakuję.

Chyba lepiej wziąć go żywcem, na wypadek gdyby miał pomocników mogących wywołać niepokój w mieście. Alice, na co czekasz? - burknął, zauważywszy, że nadal stoi ona jak wryta. - Rób, co ci kazałem!

- Ale Caro nie zechce mnie słuchać!

- To ją zmusz! Już cię tu nie ma!

Wystraszona i tym razem posłuszna Alice pobiegła do pokoju dziecinnego po

Harry'ego. Ręce jej się trzęsły, gdy wkładała mu buciki i paletko, tłumacząc równocześnie

Peg Tate, że musi jechać razem z nimi do Knight House. Zachowując pozory spokoju mimo

trzepoczącego się ze strachu serca, Alice zagoniła starą nianię, dziecko i Nellie oraz resztę

domowników do tylnej części domu i zgodnie z instrukcjami Luciena nakazała im milczenie.

Potem wróciła po Caro. Zebrała wszystkie siły, nim zastukała do jej drzwi, bo dobrze

wiedziała, że z bratową nie pójdzie jej łatwo. Słyszała, jak baronowa nuci coś pod nosem,

chodząc po pokoju.

- Caro! - zawołała Alice, otwierając drzwi.

Piękna brunetka, jeszcze w negliżu i aksamitnym szlafroku, poganiała znękaną

pokojówkę, która krążyła z naręczami toalet od szafy do łóżka baronowej. Czego chcesz,

Alice? - spytała wyniośle Caro. - Widzisz chyba, że jestem zajęta! Von Dannecker będzie tu

za parę minut.

- Właśnie dlatego muszę z tobą porozmawiać. W cztery oczy!

Z wyraźnym zniecierpliwieniem Caro odprawiła pokojówkę. Alice szukała odpowiednich słów. Czemuż to właśnie ona musi wyjawić bratowej prawdę?

- Caro, von Dannecker nie jest tym, za kogo się podaje. To... niebezpieczny przestępca. - Umyślnie określiła to dość mętnie. - Lucien Knight czeka na dole...

- Lucien?! - wykrzyknęła baronowa.

Przestała wyglądać leżące na łóżku toalety i się wyprostowała. Złożyła ręce pod biustem i spojrzała na Alice, niczego nie pojmując.

- Lucien zamierza oddać von Danneckera w ręce policji. Caro zmarszczyła czoło, całkiem zbita z tropu.

- Co takiego?!

- Caro, może dojść do strzelaniny. Musimy natychmiast stąd wyjechać! To bardzo poważna sprawa. Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie. Pospiesz się i włóż coś na siebie.

Lucien odsyła nas do Knight House. Pozostaniemy tam do chwili, gdy będzie po wszystkim.

Przez chwilę Caro spoglądała niepewnie na szwagierkę. Potem wybuchnęła śmiechem.

- Co za czort z niego! Ciągle mu w głowie psie figle! Biegnij i powiedz srebrnookiemu Lucyferowi, żeby zaczekał na mnie na dole. Za chwilę z nim pogadam i zobaczymy, co znowu wykombinował. Ale najpierw muszę się ubrać!

- Caro, to nie są psie figle! - wykrzyknęła z irytacją Alice. - A Lucien nie jest wcale

taki, jak myślisz! - Zawahała się, bo przyrzekła mu, że nikomu nie zdradzi jego sekretu... ale

w tej sytuacji Lucien z pewnością nie będzie miał o to pretensji! - Jest tajnym agentem

Korony Brytyjskiej, a von Dannecker to francuski szpieg. Nazywa się w rzeczywistości

Claude Bardou.

- Szpieg?! - powtórzyła drwiąco baronowa.

- Nawet jeśli mi nie wierzysz, odłóżmy dyskusję na potem. Włóż tylko coś na siebie i natychmiast jedziemy z Harrym do Knight House! Błagam cię!

- Do Knight House? Nie pojedę w szlafroku do książęcej rezydencji! - odburknęła

Caro, ale twarz jej pobleadła i ruchy stały się nerwowe, kiedy zrzuciła szlafrok i zaczęła się pospiesznie ubierać.

Alice odetchnęła z ulgą.

- Jak tylko będziesz gotowa, zejdź do kuchni. Już tam zaprowadziłam Harry'ego. I cała służba też się tam zebrała. A w stajni zaprzęgają do powozu.

Caro wyniośle skinęła szwagierce głową. W jej ciemnych oczach płonął gniew.

Wymykając się z luksusowo urządzonej sypialni, Alice słyszała, jak baronowa pomrukuje do siebie z oburzeniem:

- To absurd! A ten diabeł bezczelnie przyłazi do mego domu i zaczyna się tu rządzić!

Alice skrzywiła się tylko, nie zważając na humory bratowej; była rada, że Caro w

końcu szykuje się do drogi. Podkasła spódnicę i zbiegła na dół. Luciena spotkała we

frontowym holu. Odbezpieczył właśnie pistolet i zmierzył wzrokiem zbiegającą po schodach Alice.

- Gdzie Caro? - spytał posępnym tonem. Płonący w jego oczach gniew sprawił, że zadrżała.

- Zaraz zejdzie. Nie była zachwycona, ale się dostosuje.

- To dobrze.

Alice podbiegła do Luciena i go objęła. Stanęła na palcach i ucałowała go w policzek.

Kiedy ich oczy się spotkały, nie starała się ukrywać ani swej miłości, ani niepokoju.

- Uważaj na siebie! - szepnęła.

Sztywno skinął głową i odwrócił wzrok. Szczęki miał zaciśnięte.

- Alice, przepraszam cię za wszystko. Gdybym zginął...

Objęła jego twarz rękami i spoglądając mu w oczy, powiedziała z głębokim przekonaniem:

- Nie waż się tak mówić! Wrócisz do mnie! Będę czekała! Z trudem przełknęła ślinę. -  
Kocham cię!

W krystalicznej głębi jego oczu dostrzegła przelotny błysk cierpienia. Opuścił głowę i ucałował wewnątrz jej dłoni.

- Idź już i schowaj się razem z innymi! - mruknął szorstko.

Skinęła głową, puściła go i udała się znowu do kuchni, podczas gdy on powrócił do swoich ludzi. Zanim jednak drzwi kuchenne zamknęły się za nią, spojrzała raz jeszcze na Luciena. Jego twarz była taka piękna i taka groźna w słusznym gniewie jak oblicze anioła mściciela. Jego oczy lśniły jak brylanty w oprawie z polerowanego srebra. Na pistolecie, który wyciągnął z zanadrza, błyszczało słońce, gdy krokiem drapieźnika krążył po holu, wyznaczając swym podkomendnym stanowiska.

Sam zajął miejsce przy drzwiach, plecami do ściany.

O Boże, przecież to nie może być prawda! - mówiła sobie w duchu Alice. Walka szpiegów, aresztowanie zbrodniarza w jej domu? Przerazona zamknęła kuchenne drzwi i dołączyła do pozostałych. Minuty wlokły się nieznośnie. Gdzie ta Caro? Co ją zatrzymało na górze? W tym właśnie momencie Hattersley wśliznął się przez drzwi od ogrodu.

- Mitchell zaprzęga konie, panienko. Za kilka minut wszystko będzie gotowe.

- Doskonale.

Nagle do kuchni, w której wszyscy się stłoczyli, wszedł Marc. Przyłożył palec do ust i gestem polecił Alice, by schowała się za ciężkim stołem, który mężczyźni przewrócili na bok,

by odgrywał rolę barykady.

- Jedziemy? - spytała szeptem.

- Jest już na to za późno - odparł Marc. - Obaj ze Staffordem właśnie zajechali przed dom.

- Ale Caro...

- Nie zdążymy jej tu ściągnąć. Jest nadal na górze i póki tam zostanie, nic jej nie grozi.

- Chyba powinienem stanąć przy drzwiach - wymamrotał w rozterce Hattersley.

- Ktoś im otworzy, nie ma obawy - odparł ponuro Marc.

Peg posępnym wzrokiem spojrzała na Alice. Oszołomiona stara niańka kuliła się razem z Nellie i przerażoną pomywaczką za wielkim pieńkiem do ćwiartowania mięsa. Marc wyciągnął pistolet i ułokował się przed Alice i Harrym, by osłaniać ich własnym ciałem. Chłopczyk zaczął marudzić. Podświadomie wyczuwał atmosferę napięcia.

- Gdzie mama?

- Proszę go uciszyć - szepnął Marc.

Alice przytuliła do piersi puszystą dziecięcą główkę. - Ciii...

- Bawimy się w chowanego? - spytał cichutko Harry. - Tak, bądź cicho. Nie podnoś główki, koteczku.

Malec zachichotał i przytulił się do cioci. Czy dziecko słyszy gwałtowne bicie jej serca? Harry jednak uspokoił się i leżał spokojnie w jej ramionach. Wiedział, jak się gra w chowanego. Alice zamknęła oczy i objęła dziecko opiekuńczym gestem. Żałowała tylko, że nie może tak samo zasłonić sobą Luciena. Aż za dobrze pamiętała ranę w jego boku, którą zszywała podczas ostatniej nocy w Revell Court... Ochroniaj go, dobry Boże!

Otworzyła nagle oczy na odgłos energicznego stukania, które dotarło aż tu od głównego wejścia. Potem zaś wstrzymała dech, gdy drzwi otwarły się ze skrzypieniem.

Nadszedł wreszcie oczekiwany dzień!

Claude Bardou wyskoczył z powozu, pozostawiając Ethana z lejcami w garści, i podszedł do drzwi domu Caro. Był w znakomitej formie. Ubiegłej nocy spał doskonale po swym pożegnalnym występie w łóżku lady Glenwood. Dziś zawiezie ją do wiejskiego domku, żeby służyła za przynętę. Dzięki temu wywabi Luciena Knighta z Londynu. Rzecz jasna baronowa nie miała o tym pojęcia. Myślała, że wybierają się na romantyczną eskapadę, tylko we dwoje.

Idiotka! Po wyjściu od niej tego ranka po raz ostatni przeprowadził inspekcję u swych kanonierów. Upewnił się, że działo jest gotowe do akcji, a baryłki z prochem zawierają właściwą mieszankę. Nie brakło również węgla ani drewna do uruchomienia przenośnej nagrzewnicy. Kule musiały wiele godzin prażyć się w ogniu, by uzyskać najwyższą siłę destrukcyjną. Napoleon byłby ze mnie dumny! - mówił sobie w duchu Bardou. Zaplanował dokładnie każdy szczegół, nie dał się odstraszyć małodusznym amerykańskim dusigroszom od ambitnych działań i dopilnował, by wszystko zostało przygotowane jak należy. Jutro o tej porze będzie już na pokładzie statku zmierzającego ku wybrzeżom Italii, a tam już zastanowią się - on i Fouche jak zorganizować powrót cesarza z wygnania.

Był w tak optymistycznym nastroju, że sięgając ręką do kołatki, zaczął pogwizdywać *Marsyliankę*. Opamiętał się jednak w porę, zanim te oznaki patriotyzmu zostały przez kogoś dostrzeżone. O Boże! Ależ mu się sprzykrzyło odgrywanie tego nudziarza von Danneckera! Drzwi się otworzyły i Bardou natychmiast sprężył się wewnątrz. To nic był ten sam lokaj co zawsze. Młody. Blondyn z ulizanymi włosami. Dobrze zawiązany krawat, schludny wygląd.

- Dzień dobry panu. Czym mogę służyć?



- Gdzie się podział majordomus? - spytał podejrzliwie.

- Pan Hattersley ma dziś wolny dzień, proszę pana. Zastępuję go. Starszy lokaj

Talbert, do usług. W czym mogę być pomocny?

- Jestem baron von Dannecker. Przyjechałem po lady Glenwood.

- Ach tak, oczywiście, panie baronie. Może pan będzie łaskaw zaczekać na jaśnie panią w salonie?

Otworzył szerzej drzwi i odsunął się na bok z obojętnym, grzecznym uśmiechem.

Bardou popatrzył na niego chłodno i wszedł do holu. Nagle cały świat eksplodował mu przed oczyma setką fajerwerków, gdy otrzymał potężny cios w bok głowy. Wyrzwał o framugę drzwi i zwałił się na podłogę. Był tak ogłuszony, że nie zdołał sięgnąć po broń; zaskoczyli go kompletnie. Potem ujrzał Luciena Knighta: stał nad nim i mierzył mu z pistoletu między oczy.

Bardou przeniósł zamglony wzrok z wycelowanej w niego lufy na srebrne oczy, pałające żądzą mordy.

- *Bonjour, Monsieur Bardou* powiedział Knight, krzywiąc wargi w gorzkim uśmiechu.

- Cóż za miłe, nieoczekiwane spotkanie!

Bardou próbował wstać, ale Argus z całej siły trzasnął go w twarz, tak samo jak czynił to Francuz podczas przesłuchania. Bardou zaklął i otrzymał na dokładkę kopniaka w zębra.

Aż się przeturlał po podłodze i rozciągnął jak długi pod drzwiami. Spojrzał na swego dawnego jeńca i nagle ogarnął go strach. Serce waliło mu jak szalone; oddychał z trudem. Dotknął kącika ust, z którego spływała strużka krwi.

- Wstawaj! - warknął Knight.

Bardou był świadom, że jego wróg z ogromnym wysiłkiem panuje nad sobą. Podniósł się ostrożnie na nogi i spojrzał dokoła. Otaczali go ludzie Knighta i każdy mierzył do niego z

pistoletu.

- Odsuń się od drzwi! - rozkazał Knight.

Bardou zgrzytnął zębami. Wszystko się w nim gotowało, oczy płonęły mu

nienawiścią, ale wykonał rozkaz. Rzekomy lokaj zatrzęsnął drzwi za jego plecami, a Knight podszedł jeszcze bliżej i przytknął mu lufą pistoletu do skroni.

- Jenkins, zakuj go w kajdanki. Nie ruszaj się, Bardou, bo ci naszpikują mózg  
ołowiem.

Claude Bardou miał zamęt w głowie. Nie może dopuścić do tego, żeby go skuli!

Wtedy byłoby po nim. Sekundy upływały, młody człowiek ostrożnie zbliżał się, by nałożyć

mu bransoletki, a Bardou usiłował podjąć decyzję: którego zaatakować? Było ich czterech

oprócz Argusa. Nawet rzekomy lokaj trzymał go na muszce. Bardou nie dopuszczał do siebie  
myśli, że wszystko przepadło. Rzucił groźne spojrzenie młokosowi, który miał go zakuć...

gdy wybawienie nadeszło z całkiem niespodziewanej strony.

- Karl! Lucien! Cóż to ma znaczyć?! - zawołała wstrząśnięta Caro, stojąc na schodach.

- Nie podchodź, Caro! - syknął Lucien przez zaciśnięte zęby.

- Ratunku, baronowo! - jęknął Bardou. - Ten zazdrośnik zaraz mnie zastrzeli!

- Czyś ty zwariował, Lucienie?! Odłóż natychmiast broń! Wszyscy odłóżcie! W domu  
jest dziecko, nie pozwalam tu strzelać!

Bardou nie odrywał od niej oczu. W jego sercu odżyła nadzieja, gdy Caro zbiegła ze  
schodów.

- Nie podchodź! powtórzył ostro Knight, gdy zbliżała się ku nim. Caro, nie! -

krzyknął, wymachując ręką, by ją powstrzymać. Ale było już za późno.

Bardou błyskawicznie chwycił Caro za włosy i brutalnie przyciągnął do siebie.

Krzyknęła i omal nie upadła. Zanim ktokolwiek zdążył go powstrzymać, Francuz wyciągnął

pistolet i przytknął jej lufę do głowy.

Caro wrzasnęła przeraźliwie.

- Cofnąć się, bo ją zabiję! - ostrzegł z drapieżnym uśmiechem.

- Karl, to boli! Zamknij się! - warknął.

- Puść ją, Bardou! - powiedział Knight ze śmiertelnym spokojem. - To sprawa tylko między nami dwoma.

- Czyżbyś zapomniał o Sofii? Do zobaczenia wieczorem, *mon ami* - dodał cicho, z pogroźką w głosie. Kopniakiem otworzył drzwi i wywłókłszy Caro z domu, ruszył z nią w stronę czekającego nań pojazdu. Obudź się, Stafford! - ryknął.

Siedzący na koźle szybkiego czterokonnego powozu Stafford odwrócił się na dźwięk swego nazwiska. Twarz mu zszarzała, gdy zobaczył, że Bardou przywłókł lady Glenwood.

- Co u Boga... - zaczął.

- Zamknij się i ruszaj!

- Von Dannecker...

- Żadnych pytań! - ryknął Bardou. - Rób, co ci mówią, bo nas obu powieszają! Tkwisz w tym po uszy, więc ruszaj, psia mać!

Zatkał ręką usta Caro, gdy nabierała powietrza, by krzyknąć. Szamotała się i walczyła zazarcie przez cały czas, gdy ciągnął ją do powozu. Bardou trzymał ją jednak mocno w garści, niczym szmacianą lalkę, tak że jej stopy prawie nie dotykały ziemi. Przez cały czas nie spuszczał oczu z Luciena Knighta i jego czterech ludzi, którzy szli za nim krok w krok, jak ogary osaczające zwierzyną.

- Cofnąć się, bo zastrzelę tę sukę! - ryknął.

Na jego czole ukazały się krople potu. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi powozu i wsiadł do niego tyłem, wciągając za sobą Caro. Stafford zaciął batem konie. Pomknęły jak

szalone spokojną ulicą, przy której stały eleganckie wille.

- Jak mam jechać? - spytał Stafford.

- Kieruj się na wschód i klucz, ile możesz. Postaraj się ich zgubić w centrum miasta, a potem skręć w Ratcliffe Highway. Podobno umiesz powozić. Zobaczymy, jaki jesteś w tym dobry!

- Niech ci będzie! odparł ponuro Stafford.

Śmignął konie batem i powóz pomknął po Brooke Street. Przejechali przez Grosvenor Square, przepychając się między jadącymi nieco wolniej pojazdami i płosząc przechodniów, którzy w przerażeniu uciekali im z drogi. Bardou wyjrzał przez okno i zobaczył Luciena na wielkim karym koniu. Deptał im już po piętach wraz ze swymi ludźmi! Ale Bardou wiedział, jak im utrudnić pościg. Na samym środku Grosvenor Square strzelił z okna powozu do Knighta. Choć kula poszła bokiem, Francuz osiągnął zamierzony efekt. Nie odstraszył oczywiście Argusa ani jego ludzi od pościgu, ale zwolnili nieco, pozwalając Staffordowi zwiększyć dzielącą ich odległość. Uznali widać, że z dwojga złego lepsze to niż wymiana strzałów w centrum miasta, na zatłoczonych ulicach.

Odbili się jeszcze bardziej od ścigających, gdy Stafford skręcił ostro w prawo, wjeżdżając w Bond Street. W błyskawicznym tempie mijali kabriolety, wozy dostawcze, a nawet dyliżans, mknąc zatłoczoną główną ulicą najmodniejszej dzielnicy handlowej. Puls Bardou jeszcze przyspieszył z radości, kiedy wyjrzał znów przez okno. Caro z twarzą pobladłą ze strachu zalewała się łzami, cały makijaż się jej rozmazał. Uczepiła się kurczowo skórzanej pętli.

- Co to wszystko ma znaczyć, von Dannecker? - zawodziła.

- Nazywam się Bardou, a ty jesteś moją zakładniczką - odparł zimno. - Twój kochanek odebrał mi moją kobietę. Teraz ja odebrałem mu ciebie. Nie ma obawy, pospieszy ci z

pomocą. A wtedy zginie.

- To wcale nie mój kochanek! - krzyknęła, gdy powóz pokonywał w szaleńczym tempie kolejny zakręt.

Bardou prychnął pogardliwie, słysząc to kłamstwo.

- Mówię szczerą prawdę! On wcale o mnie nie dba!

- Przecież nas goni - odparował. Wyrzwał znów przez okno i uśmiechnął się szeroko. -

Tylko tak dalej, Stafford! Nieźle sobie radzisz. Zostają w tyle!

- Von Dannecker... Bardou, musisz mnie puścić! Popełniłeś omyłkę! - nie ustawała Caro, ocierając łzy.

Zaskowyczała ze strachu, gdy kolejny zakręt na Piccadilly powóz pokonał na dwóch kołach.

- Jaką omyłkę? warknął Bardou.

- Lucien Knight nigdy mnie nie kochał! Szaleje za moją szwagierką Alice!

- Co ty gadasz? - spytał groźnym tonem. Przypomniawszy sobie chmurną piękność o niebieskich oczach i złocistych włosach. Była, podobnie jak Lucien Knight, zagadkową istotą, pełną dyskretnej elegancji. - Mówiłaś, że tak mu na tobie zależało, że odbił cię rodzonemu bratu.

- No tak, mówiłam... ale to nie była prawda. To Alice zawojowała go z kretesem, nie ja! W zeszłym tygodniu wcale nie chorowała na influencję, jak wszystkim opowiadaliśmy. Spędziła cały ten czas na wsi u Luciena. To ona jest jego kochanką! Ja służyłam tylko za parawan.

Bardou zmrużył oczy.

- Łżesz!

- Wcale nie! Przedtem kłamałam, przyznaję... Chciałam, żebyś był zazdrosny, żebyś

nie zwracał uwagi na nią, tylko na mnie. Ale teraz mówię szczerą prawdę!

- Więc mnie okłamywałaś?! - warknął, uświadamiając sobie ze zdumieniem, że ta idiotka go oszukała. Była dla niego bez wartości. Powinien był porwać tamtą blondyneczkę!

- Musiałam, nie rozumiesz? A teraz mnie puścisz, prawda? To Alice jest ci potrzebna!

- Ty kłamliwa suko! Zmarnowałem przez ciebie tyle czasu! Uderzył ją w twarz. Na odlew, z całej siły.

Opadła na poduszki z piskiem przerażenia. Wjechali właśnie całym pędem na Strand.

Policzek, który jej wymierzył Bardou, nie osłabił jego gniewu, tylko rozbudził jego sadystyczne skłonności. Chwycił Caro i podciągnął ją do pozycji siedzącej, po czym znów ją uderzył.

- Wyj, ty bezużyteczna suko! Wyj, ile chcesz!

- Von Dannecker! - zawołał Stafford z kozła. Czemu się nad nią znęcasz? Dość tego!

- Ma pan rację, panie Stafford - mruknął Bardou. - Pora uciszyć ten kłamliwy ozór.

Żegnaj, lady Glenwood!

Pochylił się nad nią.

- Nie! Nie! Odsuń się! Puść!

Jej protesty przeszły w zdławiony charkot, gdy Bardou z pogardliwym grymasem chwycił ją za gardło. Broniła się, krztusiła i siniała coraz bardziej, kiedy dusił ją jedną ręką, jakby od niechcienia, lecz nieubłaganie. Wpatrywał się w nią zimnym, kamiennym wzrokiem, póki nie znieruchomiała. Rozluźnił wówczas chwyt i spojrzał na nią z obrzydzeniem.

- Dziwka! - syknął.

Lucien i jego podkomendni ścigali zawzięcie czterokonny powóz, pędzący przez Strand, a następnie po Fleet Street. Był to już świat biegunowo odmienny od eleganckiego Mayfair o szerokich ulicach. Hałaśliwa przemysłowo - handlowa część Londynu, zwana City,

stanowiła średniowieczny labirynt wąskich, krętych, zatłoczonych uliczek. Lucien krzyknął na swoich ludzi, skręcając w prawo za Staffordem przy New Bridge. Gdy tylko minął zakręt, zimny, listopadowy wiatr powiał od rzeki, wichrząc mu włosy. Przed nim rozlewała się szeroko Tamiza o barwie zmatowiałej cyny. Roilo się na niej od łodzi wszelkich kształtów i rozmiarów, płynących w górę i w dół rzeki pod białymi żaglami. Na New Bridge Street pełno było furmanek i wózków sprzedawców, wiozących swe towary na Fleet Market. Targowisko znajdowało się tuż za plecami Luciena, przy ulicy, którą właśnie minął. Jednak piątego listopada dzień roboczy wcześniej się kończył; panowała świąteczna atmosfera. Wszędzie widać było ludzi, szykujących się na wieczorny festyn. O tej porze roku słońce skłaniało się już ku zachodowi.

Lucien zmrużył oczy, by silny wiatr nie zaprószył je piaskiem. Nagle zaklął i w ostatniej chwili spiął konia do skoku przez wózek ulicznego sprzedawcy, który wyjechał z bocznej uliczki. Sprzedawca wrzasnął z przerażenia, po czym posłał wiązanek za Lucieniem, który wraz z wierzchowcem wylądował bez szwanku po drugiej stronie i popędził dalej.

Lucien zauważył, że Stafford nie przejechał po imponującym moście Blackfriars Bridge, lecz wykonał kolejny manewr, skręcając na prawo w Earl Street, przechodzącą w Upper Thames Street. Biegła ona krętym brzegiem rzeki, obok nabrzeży przeładunkowych i doków naprawczych. Było tu wiele rozmaitych zakładów przemysłowych, a od czasu do czasu zdarzał się jakiś browar. Minęli wodociągi i London Bridge. Tutaj Upper Thames przechodziła w Lower Thames, mającą znacznie gorszy, wręcz opłakany wygląd. Potem Stafford ostro, nieoczekiwanie skręcił w lewo koło Przytułku Świętego Dunstana... i nagle jakby rozplynał się w powietrzu.

- Niech to szlag! - zaklął pod nosem Lucien.

Serce biło mu jak szalone. Obiegł wzrokiem pobliskie budynki i oblizał zaschnięte

wargi. Kyle i pozostali chłopcy zatrzymali się i spojrzeli na niego pytająco.

- Nie będziemy jechać w kupie - poinstruował ich Lucien półgłosem. - Okrążymy drania! Ten, kto go zobaczy pierwszy, da sygnał pozostałym. Pamiętajcie, chłopaki: tu chodzi o życie lady Glenwood!

Miał nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

Skinęli posępnie głowami i rozjechali się w różne strony, by następnie zacieśnić pętlę wokół uciekinierów. Lucien skierował konia w pustą boczną alejkę. Nagle przy końcu sąsiedniej, okropnie zaśmieconej ulicy mignął mu czterokonny powóz Stafforda.

Bardou wyskoczył w biegu i zniknął w mrocznym wnętrzu jednego z obskurnych domów ze sterczącym okapem. Lucienowi zabłyśły oczy. Jak przez mgłę dotarł do jego świadomości okrzyk Kyle'a. Widać chłopcy także wypatrzyli pędzący powóz. Lucien w ułamku sekundy podjął decyzję i ugryzł się w język, nie odpowiadając na sygnał.

Bardou wyraźnie chciał ich skierować na fałszywy trop, skłonić do pogoni za powozem, z którego zwiął. Ethan Stafford zapewne nie miał pojęcia, że nie wiezie już swego kompana.

Niech bydlak sądzi, że zdołał się wywinąć, powiedział sobie Lucien, a serce mocniej mu zabiło. Sofia wyjawiała mu, że Bardou ukrył materiały wybuchowe w jakimś składzie nad rzeką; Lucien miał poważne podejrzenia, iż Francuz tam właśnie zmierza. Postanowił udać się za nim sam, gdyż wzywając swoich chłopców, mógłby zaalarmować Bardou.

Równocześnie Lucien uświadomił sobie z przeraźliwą jasnością, że Bardou nigdy by nie porzucił cennej zakładniczki. Mogło to oznaczać tylko jedno: Caro już nie żyła. O Boże! - jęknął w duchu pod tym kolejnym ciosem. Za późno!

Spiął konia piętami i ruszył za Bardou, ale zatrzymał się już po kilku krokach. Jak można skradać się za kimś, jadąc konno?! Tętent końskich kopyt rozbrzmiewał gromkim



echem w cichych bocznych uliczkach. Uprzedziłby w ten sposób wroga o swej obecności. A poza tym Bardou z pewnością niebawem zniknie we wnętrzu któregoś ze składów nad rzeką. Podczas gdy jego ludzie ścigali powóz Stafforda, jadący znów w stronę London Bridge, Lucien zsiadł z konia i podążył za Bardou na piechotę. Pogodził się z utratą konia, choć ciężko mu było zostawić wierne zwierzę bez opieki w złodziejskim mateczniku. Ale teraz liczyło się tylko jedno: musiał dopaść Bardou! Szedł z wściekłością w sercu, z pistoletem w garści, mając śmiertelnego wroga w zasięgu strzału. Jedyne świadomość, że Francuz prócz Stafforda ma zapewne innych współpracowników, którzy w razie jego śmierci kontynuowaliby dzieło zniszczenia, powstrzymywała Luciena od strzelenia wrogowi w plecy. Usunąć zagrożenie można było w jeden tylko sposób: dotrzeć do kryjówki Bardou, rozszyfrować i zniweczyć jego plany.

Dopiero wówczas palnie temu sukinsynowi w łeb! Gdy Lucien ścigał wroga, krew tętniła w nim żądzą mordy. Zauważył, że Francuz lekko utyka; wyraźnie oszczędzał prawą nogę. Bardou wszedł do kościoła Świętego Dunstana. Wewnątrz wiekowych kamiennych murów kilka starych kobiet odkurzało kościelne ławy, rozmawiając szeptem. Niewidoczny w mroku Lucien przemknął się po cichu. Bardou wyszedł drzwiami po drugiej stronie nawy. Wynurzywszy się z kościoła, wystawiony znów na wielkomięjski zgiełk i chłód pochmurnego popołudnia, Lucien ścigał niestrudzenie Bardou, który zbiegł ze St. Dunstan's Hill z powrotem na Lower Thames Street. Ku zaskoczeniu tropiącego cofnął się aż do mostu Blackfrars Bridge i przeszedł go na piechotę.

A więc nie zamierza zaatakować od strony City! Nic dziwnego, że inspekcja składów nad rzeką nie dała rezultatów. Ma swoje centrum operacyjne w Southwark albo Lambeth, na przeciwległym brzegu rzeki!

Lucien pospieszył więc za wrogiem na południowy brzeg Tamizy. Stamtąd w dół

Albion Street, zaraz potem na prawo, w Upper Ground Street, która wkrótce przeszła w Narrow Wall Street. Wszędzie obracały się żywo tryby wielkiej maszyny przemysłu, wykorzystując ostatnią godzinę pracy przed zbliżającym się świętem. Odór bijący z przystani rybackich i wyziewy z rozmaitych zakładów przemysłowych, których było pełno w tej okolicy, wisiały w zimnym jesiennym powietrzu. Bardou gnał naprzód z determinacją, choć jego utykanie stawało się coraz bardziej widoczne. Minęli stary browar Barge Brewery, manufakturę tkacką, odlewnię żelaza i skład drewna, gdzie panował duży ruch. Lucien szedł uparcie za swym wrogiem, aż wreszcie Bardou skierował się w stronę walącego się budynku z cegieł. Był to stary skład, położony nieco na uboczu, na zarośniętej chwastami parceli nad samą rzeką. Wydawał się opuszczony... a jednak z komina unosił się dym.

Trzymając się w cieniu wysokiego płota otaczającego skład drewna, Lucien podkraść się bliżej i w zapadającym zmierzchu zbadał sytuację. Ze swego punktu obserwacyjnego dostrzegł dwóch uzbrojonych wartowników na dwóch rogach domu. Obaj zsalutowali Bardou, który odwzajemnił powitanie i zniknął we wnętrzu budynku.

Lucien sądził, że pozostałych narożników strzegą dwaj inni wartownicy. Wątpliwe jednak, by we wnętrzu domu było więcej obstawy. Mądry szpieg działający na terytorium nieprzyjaciela stara się zebrać jak najmniejszy zespół o jak najwyższych kwalifikacjach. Lucien był ogromnie ciekaw, co znajduje się w starym składzie, ale najpierw musiał zlikwidować strażników.

W jego oczach płonęła żądza mordu, a we krwi tętnił zew pomsty, gdy schował pistolet i wyciągnął sztylet z pochwy. Najpierw trzymał się w dalszym ciągu cienia pod płotem, potem, kryjąc się tu i ówdzie, zaczął skradać się coraz bliżej i bliżej, niczym lew w wysokich trawach. Wykorzystywał jako osłonę poniewierające się tu szczątki użytecznych niegdyś przedmiotów: kabestan z jakiegoś dawno przegniłego wraku, połamany wóz, kupę

cegieł. Gdy był już całkiem blisko składu, sięgnął po garść drobnych kamyków.

Chwilę później pierwszy wartownik odwrócił się w stronę, skąd dobiegł cichy, podejrzany dźwięk. Lucien na to tylko czekał: chwycił go od tyłu, zatkał mu ręką usta i poderżnął gardło. Złożył ciało na ziemi i odciągnął je na bok, by nie rzucało się w oczy. Potem zniknął w cieniu pod ścianą domu. Choć pragnął - dzięki miłości Alice - stać się dobrym, prawym człowiekiem, nienawiść popychała go do okrucieństwa.

Nie minęło nawet pięć minut, a drugiego strażnika spotkał ten sam los co pierwszego.

Kiedy jednak Lucien podkładał się do trzeciego, ten odwrócił się i ujrzał go.

Krzyknął, gdy Lucien wytrącił mu broń z ręki. Z odległości może pięćdziesięciu metrów odezwał się czwarty. Lucien chwycił rozbrojonego strażnika i użył go jako osłony.

Gdy ostatni wartownik wystrzelił, kula ugodziła muskularnego Francuza. Lucien błyskawicznie wydobyl pistolet, zanim przeciwnik zdążył powtórnie nabić broń. Ujrzał jego rozszerzone strachem źrenice; na mgnienie oka zastygli wpatrzeni w siebie. A potem Lucien nacisnął spust.

Upłynęło zaledwie kilka sekund. Ostatni wartownik wił się jeszcze w pyłe, gdy Lucien z drugim pistoletem podkradł się pod drzwi składu. Otworzył je tak energicznym kopniakiem, że omal nie spadły z przerdzewiałych zawiasów. Gdy rozwarły się na oścież, stanął twarzą w twarz z Bardou. Dzieliły ich najwyżej dwa metry. Najwidoczniej Francuz zmierzał właśnie do drzwi, by przekonać się, co to za strzelanina. Skamieniał, gdy Lucien uniósł pistolet i wycelował w niego.

- Pozdrów ode mnie Belzebuba!

- Nie strzelaj, Argus! Spójrz!

Bardou uniósł ręce do góry, a równocześnie ruchem głowy wskazał piętrzące się za jego plecami baryłki. Lucien dostrzegł literę A wymalowaną na każdej z nich. Proch

strzelniczy najwyższej jakości. To były materiały wybuchowe, o których uprzedzała go Sofia!

Omiótł wzrokiem wnętrze składu i zamarł z przerażenia na widok działa z lufą zwróconą w kierunku okna. Wycelowana prosto w gmach parlamentu po drugiej stronie rzeki.

Nic dziwnego, że nie znaleziono żadnych materiałów wybuchowych w Westminster Hall!

Bardou zamierzał przeprowadzić atak na miasto z tego miejsca.

Dostrzegł też przenośną nagrzewnicę, włożoną do pieca przemysłowego. Bił stamtąd taki żar, że w całym składzie było nieznośnie gorąco.

Dobry Boże! - pomyślał z przerażeniem. Bardou zamierzał ostrzelać miasto rozpalonymi kulami!

- Jeśli pociągniesz za cyngiel, zginiemy obaj - ostrzegł go Bardou. - Wystarczy jedna iskra.

- Odsuń się od tych baryłek!

Bardou zaśmiał się z cicha i pokręcił głową.

- Ani myślę!

- Odsuń się od nich i walcz ze mną, ty tchórze! - ryknął Lucien.

- Tchórze?!

- Najpierw się kryłeś za Caro, a teraz chcesz się osłonić beczką prochu! Boisz się zbliżyć do mnie, kiedy nie jestem skuty?

- Wiesz co, Argus? Może lepiej pociągnij za spust, zabij mnie i siebie, bo już wiem o tej twojej przyjaciółeczce, Alice Montague. - Bardou uśmiechnął się z satysfakcją, gdy z twarzy Luciena odpłynęła cała krew. - Taka delikatna młoda ślicznotka! Mam nadzieję, że będzie mi się opierać i krzyczeć. Prawdę mówiąc, bardzo to lubię.

Luciena ogarnęła ślepa furia. W oczach zapłonęły mu wszystkie ognie piekieł, gdy odrzucił pistolet daleko poza zasięg rąk Bardou. Nie potrzebuje broni, by zabić tego łotra! Z

przyjemnością zrobi to gołymi rękami! Rzucił się na niego i popchnął go na stos baryłek.

Piramida rozpadła się z trzaskiem, beczułki potoczyły się we wszystkie strony. Niektóre pękły i wydobyły się z nich obłoczek czarnego prochu, które zawisły w powietrzu jak sadza i pokryły obu mężczyzn połyskliwym pyłem. Lucien odwinął się i trzasnął Bardou w szczękę.

Walczyli zazarcie, okładając się nawzajem pięściami, z oczyma nabiegłymi krwią.

Lucien zdawał się nie czuć ciosów przeciwnika. Dopiero gdy Bardou uderzył go w niezagojoną ranę, wydał chrapliwy okrzyk i aż się zwinął z bólu. Nie zdążył zablokować następnego ciosu w głowę, który powalił go na ziemię. Rozkasłał się, gdy do płuc dostał mu się pył prochowy.

Ze zwierzęcym pomrukiem Bardou uniósł jedną z baryłek i miał już spuścić ją na głowę Luciena, ale ten nieco oprzytomniał w ostatniej chwili. Przypomniawszy sobie kuśtykanie wroga, z całej siły kopnął go w prawe kolano. Bardou wydał ryk bólu i wypuścił baryłkę z rąk. Lucien zdążył przeturlać się na bok, a beczka rozbiła się o podłogę.

Mocno utykając, Bardou wybiegł z budynku, chwyciwszy po drodze swój karabin w skórzanym futerale. Lucien gmerał z szaleńczym pośpiechem w grubej warstwie prochu, usiłując znaleźć porzucony pistolet, by strzelić do Francuza, gdy znajdzie się on w bezpiecznej odległości od beczek z prochem. Nie mogąc odnaleźć pistoletu, zaniechał poszukiwań i pobiegł za Bardou. Rozejrzał się dokoła, zobaczył, że jego wróg wsiada do łódki na brzegu rzeki. - Bardou! - ryknął Lucien i pomknął ku niemu.

Francuz odwiązał łódź od palika i odepchnął się wiosłem od niewielkiego drewnianego pomostu. Lucien skoczył z rozbiegu i wylądował w łodzi, przygniatając wroga swoim ciężarem. Nurt Tamizy unosił łódkę z coraz większą szybkością.

Lucien wyciągnął sztylet, ale Bardou zasłonił się wiosłem przed ciosem i złapał przeciwnika za nadgarstek. Zaczęli się szamotać. Bardou walił ręką Luciena o metalową

dulkę, aż wreszcie z przekleństwem upuścił on sztylet do wody. Wówczas Francuz ciosem wiosła powalił go na wznak.

- Nareszcie zdechniesz! - warknął.

Zwalił się na niego, zacisnął swe wielkie łapy na jego szyi i zaczął go dusić.

Lucien czuł, że coraz silniej ogarnia go dawny paniczny lęk. Nie mógł oddychać!

Przypomniawszy mu się z całą wyrazistością koszmar jego dzieciństwa, ataki astmy - a wraz z nimi strach, którego nie był w stanie pokonać. Kopał Bardou w brzuch i bił go po twarzy, aż łódka przechylała się niebezpiecznie. Lucienowi udało się już niemal zrzucić z siebie Bardou, ale w następnej sekundzie sam wypadł za burtę. Nim się zorientował, co się z nim dzieje, był już pod wodą, zassany przez prąd tak lodowaty, że niemal go sparaliżował. Utopiłby się z pewnością, gdyby nie instynkt, który nakazywał mu teraz, kiedy zniknęła z gardła straszliwa obręcz, za wszelką cenę zaczerpnąć powietrza. Przez sekundę wcale go nie obchodziło to, że Bardou ucieka. Pozostało jedno pragnienie: odetchnąć! Zimna, mroczna Tamiza miotła nim, on jednak zdołał przybrać właściwą pozycję i dążył uparcie w górę mimo niezmiernego ciężaru butów pełnych wody i przemoczonego ubrania.

Wystrzelił wreszcie niczym pocisk z wody, krztusząc się, dławiąc i spazmatycznie chwytając dech. Gdy ocierał oczy i wciągał łakomie powietrze w płuca, ujrzał swojego wroga wiosłującego spiesznie z prądem rzeki.

- To dopiero początek, Knight! dotarł do niego przez wodę głos Bardou. - Poczekaj, aż zabiję Alice Montague!

- Nie! - wykrztusił z trudem Lucien. - Niech cię szlag!

Nie miał już sił, ale wściekły gniew pomógł mu dotrzeć na poprzednie miejsce, choć musiał płynąć pod prąd. Był posiniaczony i poraniony, trząsł się na lodowatym zimnie, z jego włosów i ubrania ściekała brudna, oleista woda. Czuł jednak tylko wzbierającą w nim furję,

gdy po drabince wy dostał się z rzeki na pomost. Potem przez zachwaszczony dziedziniec, omijając ciała zabitych strażników i przemysłowe odpady, pobiegł z powrotem na Narrow Wall Street.

Niebo pociemniało, zapadł wczesny jesienny zmrok. Ludzie wylegli już na ulice; wymachiwali pochodniami, śpiewali, pili piwo. W oddali kilku świętujących odpaliło już pierwsze race. Gromadka dzieci przebiegła pod samym nosem Luciena, wyśpiewując: „Guy, Guy, Guy! Chciałeś spalić nas, to za swoje masz! Czeka ciebie koniec marny, jak zadyndasz na latarni! Guy, Guy, Guy!”

Wyminął jakoś dzieciaki i ogłuszony biciem własnego serca pędził w kierunku Westminster Bridge. Od strony królewskich parków rozległy się pierwsze saluty armatnie. Echo tych wystrzałów rozbrzmiewało w jego piersi; odżyły wspomnienia lat spędzonych w wojsku, dzikiego zacietrzewienia, jakie ogarniało ich w ogniu bitwy... Ale umysł miał znów jasny i uświadomił sobie, że pieszo w żaden sposób nie dotrze do Alice przed Bardou.

Pędząc po zatłoczonym moście w pełnych wody butach, które ślizgały się co krok, natknął się na jakiegoś eleganta na długonogim siwku. Spłoszony koń stanął dęba, ale Lucien chwycił już za cugle.

- Zsiadaj! - nakazał tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Cóż to ma znaczyć? Przecież to mój... Prrr! wrzeszczał dandys, gdy Lucien zepchnął go z siodła, pozostawiając jak kupkę nieszczęścia na środku mostu. - Złodziej! Łapać złodzieja!

Lucien skoczył na siodło i popędził, zmuszając nerwowego siwka do galopu.

Prześcignął wszystkich na moście. Właśnie na niebie zakwitły pierwsze ognie sztuczne i opadły ku rzece deszczem kolorowych gwiazd: niebieskich, czerwonych i zielonych, a zaraz potem równie wspaniałych oranżowych i żółtych. Lucien spojrzał na Tamizę. W tym

barwnym oświetleniu dostrzegł na rzece łódkę swego wroga i zaklął siarczyście: Francuz przybił już do nabrzeża przy Craven Street i właśnie wysiadał. Bardou wiedział, że Lucien najbardziej ufa swemu bratu bliźniakowi i bez trudu mógł odgadnąć, że odesłał on Alice do Knight House, pod opiekę Damiena. Zupełnie zrozumiałe, że Bardou właśnie tam postanowił jej poszukać, zwłaszcza że książęca rezydencja znajdowała się w pobliżu. Wystarczyło dojść Cockspur Street do Pall Mail, skąd było już tylko parę kroków. Lucien zmusił siwka do szaleńczego biegu, piękne latarnie z kutego żelaza migwały mu przed oczami. Mógł zdążyć przed Bardou tylko wówczas, gdyby popędził na skróty przez St. James Park, a tam ogniowy festyn był już w pełnym toku.



Podczas gdy Peg zabawiała i uspokajała Harry'ego, grając z nim na podłodze w bierki, a groźny lord Damien wrócił na swe stanowisko przy oknie i czuwał tam w kamiennym milczeniu, Alice usiadła obok Weymoutha na kanapie w eleganckim salonie Knightów i próbowała go pocieszyć.

- To niemożliwe, żeby jej już nie było! O moja słodka, śliczna siostrzyczko! Jak ktoś mógł cię tak skrzywdzić?!

Alice z niemym współczuciem głaskała go po kościstym ramieniu. Sama miała oczy zaczerwienione od płaczu, ale wolałaby, żeby wicehrabia bardziej panował nad sobą, zwłaszcza w obecności dziecka. Straszna wieść o zamordowaniu Caro dotarła do niej przed godziną. Obawiała się takiego tragicznego zakończenia, odkąd usłyszała, że Bardou wziął jej bratową na zakładniczkę, uciekając z domu przy Upper Brooke Street. Ale choć już wcześniej trapiły ją złe przeczucia, ich potwierdzenie było dla Alice straszliwym szokiem. Gdy tylko wróciła do równowagi, natychmiast posłała po Weymoutha, najbliższego krewnego Caro. Niestety, jego zaćmiony opium i alkoholem umysł nie mógł zaakceptować wstrząsającej prawdy. Czemu choć raz nie był przytomny i trzeźwy?! Gdy zaczął szlochać bez opamiętania, Alice miała ochotę potrząsnąć nim z całej siły. Zareagował na wieść o tragedii jeszcze gorzej niż Harry! Co prawda trzyletnie dziecko nie potrafi wyobrazić sobie śmierci. Całe szczęście! Walcząc ze łzami, Alice wyjaśniła Harry'emu, że mama poszła do nieba i jest tam teraz z tatusiem i z aniołkami. Chłopczyk uznał chyba, że mamusia znowu gdzieś wyjechała i zostawiła go jak zwykle. Póki miał nianię i ciocię Alice, nie martwił się zbytnio. Alice starała się być silna i opanowana ze względu na Harry'ego i na żalostnego lorda Weymoutha, ale z trudem trzymała swe uczucia na wodzy. Luciena ciągle nie było!

Godzinę temu, około piątej, Kyle, Talbert i pozostali chłopcy Luciena przybyli do

Knigh House z wieścią o sromotnej klęsce. Dopadli Ethana Stafforda, choć uciekał jak szalony swoim powozem. W jego wnętrzu znaleźli zwłoki Caro, ale Bardou się ulotnił. Oddali Stafforda w ręce policji. Dla Alice jednak najstraszliwszym wstrząsem, jeszcze większym niż wieść o zamordowaniu Caro, był widok karego konia Luciena bez jeźdźca. Kyle powiedział jej, że stracili z nim kontakt na East Endzie. Teraz, gdy Alice miała już niepodważalny dowód okrucieństwa Bardou, na myśl o tym, że francuski szpieg i Lucien przepadli bez wieści, krew ścinała się jej w żyłach.

Czwórka towarzyszy Luciena bez zwłoki wyruszyła na dalsze poszukiwania - wroga i swojego dowódcy. Postanowili podjąć je w miejscu, gdzie znaleźli konia Luciena. Tym razem Marc wbrew wyraźnym rozkazom przyłączył się do kolegów. Nie miał wątpliwości, że tak doświadczony żołnierz jak lord Damien nie potrzebuje niczyjej pomocy, by zapewnić bezpieczeństwo pannie Montague. A jednak Alice zauważyła, że od chwili gdy uświetniające festyn fajerwerki zaczęły wybuchać na nocnym niebie, pułkownik zachowuje się jakoś dziwnie. Wydawał się podminowany, nieustannie krążył po pokoju. Spostrzegła nawet, że podskakiwał nerwowo za każdym razem, gdy w oddali rozległy się salwy na wiwat. Nie mogła tego pojąć. Kto jak kto, ale zahartowany w bitwach żołnierz powinien być przyzwyczajony do armatnich strzałów! Huknęło kolejne działo, a on znów się wzdrygnął.

- Damienie...

Odwrócił się do niej raptownie, zaskoczony i jakby wystraszony. Gdy popatrzył na nią, spojrzenie jego szarych oczu było groźne i dziwnie nieobecne. Jego blada twarz ociekała potem. Alice wstała z kanapy i z wahaniem postąpiła o krok w jego stronę.

- Nic ci nie dolega, Damienie?

Przez chwilę miała wrażenie, że pułkownik nie rozumie jej słów.

- Może byś lepiej usiadł?

- Nie, nie! Czuję się... doskonale. Bardzo przepraszałam wymamrotał i pospiesznie opuścił pokój.

Harry pomachał do niego przyjaźnie.

- Pa, pa!

Alice spojrzała na uciekającego Damiena, a potem na swego bratanka. Harry nie potrafił odróżnić Damiena od Luciena. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tym razem Lucien jest taki małomówny, nieskory do zabawy, zachowuje się całkiem inaczej niż wówczas, gdy podarował mu pryzmat „z tęcami”. Alice zaś, spoglądając na drzwi, za którymi zniknął pułkownik, wcale nie była pewna, czy Damien czuje się dobrze.

Wybacz, wicehrabio, że opuszczę cię na chwilę...

- Harry dotrzyma mi towarzystwa - odparł, pociągając nosem. - Chodź do wujka

Weymoutha, Harry!

Podczas gdy wicehrabia próbował zwabić do siebie siostrzeńca, Alice opuściła salon.

Damien wygląda tak, jakby miał gorączkę! - myślała, spiesząc korytarzem do imponującego frontowego holu. Oby się nie rozchorował! Odnalazła pułkownika na schodach. Zatrzymał się nie wiadomo czemu w połowie drogi. Spoglądał w dół. Był odwrócony plecami do niej i Alice miała wrażenie, że lada chwila padnie nieprzytomny. Podbiegła więc, chcąc go podtrzymać. Słyszając jej kroki, odwrócił się z błyskawiczną szybkością.

- Ani kroku dalej! - warknął.

Wzrok miał nieprzytomny, ciężko dyszał. W rękę ścisnął wielki nóż tak mocno, że kłykcie mu zbieleły.

Alice zapało dech. Stała jak wryta.

Spoglądali na siebie przez chwilę. Alice nie śmiała się poruszyć. Utkwione w niej oczy z pewnością nie należały do dzielnego, opanowanego pułkownika, który oświadczył się

jej w Hyde Parku.

- Co się stało, Damienie? - spytała.

Serce podeszło jej do gardła. Ostrożnie, powolutku odsuwała się od niego jak od groźnego, dzikiego zwierzęcia.

W dali znów rozległ się wystrzał armatni. Damien spojrział w tamtą stronę. Na jego twarzy malowało się ogromne napięcie.

- Niecały kilometr stąd. Trzeba postawić cały obóz na nogi. Zaraz tu będą.

- Kto taki? - spytała słabym głosem, przerażona szaleństwem płonącym w jego oczach.

- Żabojady. Są tam, za tym wzniesieniem! Wskazał nożem górną część schodów, po czym przyłożył palec do ust. - Ani pary z ust! Działa na pozycję!

Nim Alice zdążyła coś odpowiedzieć, pomknął po schodach, schylony jak pod ostrzałem.

Zastygła z ręką przyciśniętą do ust. Dobry Boże!

Stała tak przez dłuższą chwilę, nie wiedząc, co począć. Nagle podskoczyła ze strachu, gdy z góry dobiegły głośnie stuki i trzaski. Brzmiało to tak, jakby pułkownik barykadował się w jednym z pokoi na piętrze. Z sercem pełnym trwogi Alice zbiegła na dół, chcąc czym prędzej znaleźć Walsha, niezastąpionego majordoma Knightów. On z pewnością będzie wiedział, co należy zrobić! Zaglądała właśnie do wytwornie urządzonej biblioteki księcia przy końcu korytarza, gdy usłyszała nagle rozpaczliwy krzyk Peg:

- Panienko Alice! Panie pułkowniku... milordzie! Łapać go! Trzymać go! Alice

podkasła spódnice i wróciła pędem do holu. Peg stała w otwartych drzwiach, wskazując kogoś i wrzeszcząc: - Zabrał go! Szybko! Próbowałam zatrzymać... Porwał Harry'ego!

- Bardou?! - przeraziła się Alice.

- Nie, Weymouth!

Gdy wybiegła z domu, usłyszała płacz Harry'ego.

- Weymouth! - wrzasnęła rozwścieczona, goniąc porywacza. Co ty wyprawiasz?!

Trzymając z całych sił opierające się dziecko, wicehrabia wsiadał już do swego powozu, ale Alice dopędziła go i zaczęła się z nim szamotać, usiłując odebrać mu Harry'ego.

- Puść go! - warknęła groźnie, starając się przekrzyczeć rozpaczliwy płacz malca i huki fajerwerków. W pobliskim parku bawiono się hałaśliwie przy świetle płonących ognisk i pochodni. Dziwnie posępny blask padał na mury Knight House. - Nie płacz, Harry!

- Ciociu!

Dziecko chwyciło Alice za włosy i nie chciało jej puścić, ale Weymouth przemocą oderwał od niej Harry'ego.

- Oddaj mi go! - krzyknęła Alice.

- Nie ma mowy, Alice! Zabieram go! Tak sobie życzyła Caro. Wyznaczyła mnie w testamencie na legalnego opiekuna Harry'ego.

Alice wpatrywała się w niego z przerażeniem. Nie pomyślała o tym dotychczas, ale teraz uświadomiła sobie, że Weymouth mówi prawdę.

Przez chwilę była jak ogłuszona i nie miała pojęcia, co czynić. Weymouth nie chciał słuchać jej argumentów, a ona nie miała prawa zmuszać go do oddania dziecka.

- Nie zrobisz tego! Nie możesz mi go zabrać! Harry prawie cię nie zna, boi się ciebie...

A ty nie masz pojęcia o wychowaniu dzieci!

- Ano, nie mam... więc powiedz z łaski swojej tej niańce, żeby się nie darła, tylko wsiadała do powozu! Pojedzie z nami i będzie się nim opiekować.

- Nie odbierzesz mi dziecka, Weymouth! Jesteś wiecznie pijany i odurzony opium!

Oddaj mi Harry'ego, bo zawołam konstabla!

- To ja mam się nim opiekować! To ja mogę zawołać policję! - mamrotał wicehrabia, próbując wepchnąć dziecko do powozu.

- Nieceee! - zawodził Harry, wyciągając rączki do Alice.

Płacz przeszedł w atak hysterii. Chłopczyk wyrywał się wujowi i wrzeszczał wniebogłosy.

Alice zebrała wszystkie siły i wyciągnęła znów ramiona do dziecka, ale Weymouth w nagłym porywie złości mocno ją odepchnął. Alice zatoczyła się do tyłu, zaplątawszy się w suknię, straciła równowagę i upadła na zwirowany pojazd.

- Czy ty nie masz serca?! - zawołał Weymouth, piorunując ją wzrokiem. - Straciłem dziś ukochaną siostrę! Tylko Harry został mi po niej! Więc wybaczone, ale wracam do domu i zabieram go ze sobą!

Alice już miała wstać i nawymyślać mu, gdy nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

Odwróciła się, spojrzała w stronę Green Park... i krew zastygła jej w żyłach.

Po drugiej stronie żelaznego ogrodzenia, wyraźnie widoczny na tle parku, stał von

Dannecker - a raczej Bardou - i spoglądał na nią przez sztachety. Alice zamarła,

sparaliżowana strachem. Ich spojrzenia się spotkały. Nie docierała już do niej świąteczna

wrzawa. Czas stanął. Bardou podniósł karabin i starannie wycelował w dziewczynę.

Jej oczy rozszerzyły się nagle: ujrzała jeźdźca na białym koniu, który mknął przez

park z szybkością błyskawicy, jakby był dzieckiem burzy i ognia.

Lucien!

Zeskoczył z galopującego konia prosto na Bardou, zbijając wielkoluda z nóg. Karabin

wystrzelił, kula trafiła w konar drzewa, płosząc przycupnięte na nim ptaki. Zerwały się z trzepotem skrzydeł i z wrzaskiem oburzenia.

Nadal trzymając Harry'ego w ramionach, Weymouth zaklął z wrażenia i poszedł w

stronę płotu, by zobaczyć, co się tam dzieje. Alice stała jak wryta, nie odwracając oczu od walczących. Wszystkie jej myśli i uczucia koncentrowały się na Lucienie. Powiedział jej, że to będzie walka na śmierć i życie. Teraz mogła się przekonać na własne oczy, co to znaczy.

Walczyli ze sobą jak dzikie, drapieżne bestie, tarzając się po parkowej ścieżce. Lucien tłukł głową Bardou o ziemią. W blasku ognia ich twarze pojawiały się tylko na mgnienie oka, a postacie zmagających się były to skąpane w ogniu, to spowite w cień. Żaden z nich nie czuł zadawanych mu ciosów. Obaj nie dostrzegali niczego wokół siebie. Byli skoncentrowani bez reszty na swej walce. Lucien przygwoździł Bardou do ziemi i raz za razem bił go pięścią w twarz. Bardou chwycił Luciena za gardło, usiłując wycisnąć z niego życie. Nagle duszony przez wroga Lucien wymacał porzucony na ziemi futerał. Sięgnął do niego na oślep...

Gdy uniósł rękę do góry, trzymał w niej stalowy, dwudziestopięciocentymetrowy bagnet. Wbił wielki stalowy kolec prosto w serce Bardou.

Alice bez tchu patrzyła, jak zaciśnięta na gardle Luciena wielka, okrutna łapa opada bezwładnie na ziemię.

Bardou był martwy.

Lucien otarł pot z czoła i podniósł się, pozostawiając bagnet w piersi wroga. Przez króciutką chwilę stał nad trupem, ciężko dysząc. Potem skierował jaśniejące, srebrne oczy na Alice.

Krzyknęła coś drżącym głosem i rzuciła się do bramy. Zaczęła się z nią mocować, by czym prędzej wpuścić Luciena. Prawie nic nie widziała przez łyzy. Gdy tylko brama otwarła się przed nim, chwycił Alice w ramiona i objął ją z całej siły, tuląc do piersi jej głowę.

Próbowała coś mówić bezładnie, przez łyzy, czepiała się go kurczowo.

- Cicho... - szeptał uspokajająco. - Już wszystko dobrze!

Słyszała, jak mocno wali mu serce po wszystkich tych heroicznym trudach.

- Żyjesz! - wykrztusiła wpatrzona w niego. - Jesteś cały mokry...

Ucałował ją w czoło, a potem ujął jej twarz w obie dłonie i wpatrywał się w nią oczyma, które płonęły dzikim triumfem.

Przyciągnęła go, żeby się nachylił i ją pocałował. Nic jej nie obchodziło, kto na to patrzy: Lucien żył i ją uratował!

Nagle oderwała się od jego ust i drżącymi rękoma chwyciła go za kłapy.

- Lucienie! Musisz powstrzymać Weymoutha! Chce zabrać Harry'ego!

- Doprawdy?

Zerknął na chuderlawego wicehrabiego, puścił Alice i ruszył w jego stronę.

Wystarczył groźny grymas na twarzy Luciena, by Weymouth zbladł.

- No cóż, właściwie... tylko tak sobie pomyślałem... Weź go, Alice. Wiem, że u ciebie będzie mu najlepiej.

Pospiesznie zwrócił szwagierce Harry'ego.

- Moje kociątko! - szepnęła, obejmując dziecko z całej siły. Spoglądając ze strachem na Luciena, wicehrabia wycofywał się w stronę swego powozu. Zaśmiał się nerwowo.

- Pewnie bym nie był najlepszym opiekunem... w obecnej sytuacji. Co prawda zostałem legalnie wyznaczony... ale jeśli Harry'emu będzie tu lepiej ... Zależy mi tylko... -

Zerknął na ciało Bardou, potem na Luciena i przełknął ślinę - ..na szczęściu mego siostrzeńca. Zajrzę tu czasem i...

- Zmiataj! - burknął Lucien.

- Z przyjemnością!

Weymouth wskoczył do powozu i zastukał nerwowo, by popędzić stangreta.

Alice tuliła Harry'ego do siebie, starając się go uspokoić. Gdy powóz Weymoutha

wyjechał za bramę, Lucien zwrócił się znów do Alice. Przez chwilę spoglądał na nią i na



dziecko wzrokiem szczęśliwego posiadacza. Alice odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym zachwytu i bezgranicznej wdzięczności. Pokonanie Bardou było znacznie większym wyczynem, ale za to, że zmusiłeś Weymoutha do oddania mi Harry'ego, będę cię ubóstwiać do śmierci! - mówiła mu bez słów. Podszedł do nich i objął równocześnie ją i malca.

Najpierw ucałował Alice, potem dotknął ustami czółka Harry'ego i szepnął:

- Nie płacz, dzieciaku!

- On nic nie może na to poradzić! - usprawiedliwiała bratanka Alice. Weymouth rzeczywiście wystraszył chłopczyka śmiertelnie, ale ku zdumieniu Alice po łagodnej uwadze Luciena Harry przestał płakać.

Zamrugał oczkami i z paluszkami w buzi popatrzył na swego przyjaciela. A potem sprawił cioci jeszcze większą niespodziankę, gdy wyciągając rączki do Luciena, zażądał bez słowa, by wziął go na ręce.

- Jestem cały mokry, Harry.

Malec znów zaczął marudzić i jeszcze natarczywiej wyciągał do niego łapki. Szare oczy Luciena zamglily się, gdy poddał się w końcu i bardzo ostrożnie wziął dziecko na ręce.

- Zuch chłopak! - mruknął ochrypłym ze wzruszenia głosem.

- Wejdźmy do domu - szepnęła Alice, a w jej oczach błyszczały łzy miłości do nich obu.

Lucien objął ją drugą ręką i złączeni wspólnym uściskiem weszli na jasno oświetlony ganek. Nagle Alice wykrzyknęła z niepokojem:

- Na śmierć zapomniałam! Z Damienem dzieje się coś niedobrego... Jest na górze.

Musisz mu pomóc!

Lucien, słysząc te słowa, przestał pieścić dziecko i oddał je Alice.

- Co się stało? - spytał z niepokojem.

- Nie jestem pewna... Te fajerwerki i wystrzały armatnie całkiem go zdezorientowały.

Pomyślał, że znowu jest na wojnie...

Lucien spoglądał na nią przez chwilę. Potem skinął głową i miał już wejść do domu, gdy nagle od ulicy dobiegł tętent kopyt.

- Lord Lucien! - To on!

- Żyjesz, milordzie?!

Marc i czterech pozostałych towarzyszy Luciena podjechali do bramy i ze skoczyli z koni.

Lucien pomachał do nich ręką, ale Alice czuła, że chce jak najprędzej iść do Damiena.

- Powiedz im, żeby zajęli się Bardou i zawiadomili policję. Marc będzie wiedział, co robić.

Alice skinęła głową. Pochylił się i ucałował ją w policzek, po czym wbiegł do domu, by się przekonać, jak może pomóc bratu. W ślad za nim weszła do holu, żeby Harry nie marzył na dworze. Podeszła Peg, pogłaskała Harry'ego po główce i spojrzała Alice w oczy.

- To ten nieświeży łosoś, co? - spytała cicho, spoglądając karcąco na dawną wychowankę.

Policzki Alice oblał szkarłatny rumieniec. Kiedy jednak dostrzegła wszechwiedzący uśmiech starej niani i jej wilgotne oczy, twarz jej się rozpromieniła.

- Och, Peg, tak go kocham! - wykrztusiła. - Nie mogłam się temu oprzeć!

- No, no, kochanie! - Peg zaśmiała się cichutko. Potem objęła Alice i Harry'ego prawdziwie macierzyńskim uściskiem. - A już myślałam, że nigdy nie znajdziesz takiego, który by ci odpowiadał!

Krew nadal tętniła w żyłach Luciena rytmem zwycięskiej walki, gdy zmierzał

mrocznym korytarzem do pokoju brata. Choć był posiniaczony, pokrwawiony, zziębnięty do

szpiku kości i mokry, wcale tego nie czuł. Jutro bez wątpienia będzie go wszystko bolało, ale dziś upajające poczucie triumfu znieczuliło go na wszelkie dolegliwości. A nad tym, że był o włos od śmierci, wolał się nie zastanawiać.

Straszliwy widok Bardou, mierzącego z karabinu do Alice, z pewnością będzie go prześladować do końca życia! Ale, Bogu dzięki, zdążył na czas i zdołał ją ocalić. Ona i Harry należą teraz do niego, jest za nich odpowiedzialny.

Niepokoił go już tylko biedny, okaleczony przez wojnę brat. Zastukał lekko do drzwi Damiena.

- Demon, to ja! Wpuść mnie!

Nie otrzymawszy odpowiedzi, nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Uchylił je i ostrożnie zajrzał do wnętrza.

W pokoju było ciemno. Tylko przez okno wpadało zimne światło księżyca, otaczając sylwetką Damiena srebrną aureolą. Brat siedział na podłodze plecami do ściany, z łokciami opartymi o zgięte kolana; obejmował głowę rękami. Na podłodze obok niego leżał pistolet.

Ten widok zmroził Lucienowi krew w żyłach. Damien nie poruszył się ani nie odezwał, kiedy wszedł do pokoju i zamknął drzwi za sobą. Lucien zbliżał się do niego powoli i ostrożnie. Ale nawet gdy podniósł pistolet i rozładował go, brat nie zareagował.

- Co z tobą, Demon?

Brat nie podniósł głowy, a gdy wreszcie się odezwał, głos miał cichy, szorstki, wezbrany bólem.

- Tracę rozum.

Unikając gwałtownych ruchów, Lucien przykucnął obok niego i przyjrzał mu się uważnie.

- Co się ze mną dzieje, do wszystkich diabłów?! Jesteś bystrzejszy ode mnie, Lucien,

więc powiedz, co mam robić? Kompletnie się zagubiłem...

- Chyba powinieneś wezwać lekarza...

- Nie! Po co?! Żeby mi zapisał laudanum na uspokojenie? Już próbowałem tego

świństwa, nic nie pomaga! Mam po nim jeszcze gorsze koszmary. O Jezuu!

Oparł się znów głową o ścianę i zamknął oczy. Wydawał się kompletnie wyczerpany.

- Dawno cię to dręczy? - spytał Lucien.

- Spory kawał czasu. - Damien zamilkł na chwilę. Pamiętam twarz każdego z moich

ludzi, których straciłem! Wszyscy do mnie przychodzą i pytają, czemu to ja wróciłem do

domu, a oni nie. Czemu mnie się dostał tytuł hrabiowski i wdzięczność narodu, a im tylko dół

w obcej ziemi...

Lucien z trudem przełknął ślinę. Był wstrząśnięty słowami brata. Damien wpatrywał

się w niego martwym wzrokiem. W blasku księżyca lśniły ślady łez na jego policzkach.

- Musisz mi coś obiecać! Jeśli całkiem zwariuję, zabij mnie, żebym się dłużej nie

męczył. Zrobisz to dla mnie, prawda? Otruj mnie albo zastrzel, wszystko jedno. Tylko mnie

nie oddawaj do domu wariatów! Tam nikogo nie wyleczą. A nie chcę, żeby ludzie pokazywali

mnie palcami i śmiali się ze mnie. Wszystko, byle nie to!

- Cicho już, cicho... - przerwał Lucien.

Objął brata i mocno przytulił. Trzymał go tak przez długą chwilę, wracając myślą do

lat dzieciństwa, kiedy to Damien uspokajał go w ten sposób po atakach astmy.

Przysunął się do brata tak, że ich głowy się stykały, nateczył całą swawolą, usiłując w

ten sposób pomóc Damienowi, przywrócić mu zdrowie.

- Nie zwariujesz, nie ma mowy! Po prostu musi potrwąć, nim się znów przyzwyczaisz

do życia w cywilu. Rany boskie, Demon! Brałeś udział w każdej większej akcji podczas tej

cholernej wojny. Nie spodziewasz się chyba, że można się po niej otrześć, i w porządku! Ale

z czasem te ślady zbledną.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Chcesz, żebym posłał po któregoś z twoich kumpli z regimentu? Może po Sherbrooke'a? Zawsze dobrze się wam razem piło.

- Broń Boże! Nie chcę, żeby mnie widzieli w takim stanic. Damien westchnął cicho. -

No i co ja mam robić?! spytał głosem pełnym rozpacz. - Spełniałem swój obowiązek, a teraz to się skończyło. Zostałem zawieszony w próżni, bo potrafię już tylko jedno: zabijać.

Lucien siedział na podłodze obok brata i z niepokojem wpatrywał się w jego twarz.

- Chyba powinieneś wyjechać na jakiś czas z Londynu. Wypocząć gdzieś, gdzie jest cicho i spokojnie. Może kilka tygodni w Hawkscliffe Hall rozjaśni ci w głowie?

- Zanim kogoś zamordują, co? - Z trudem otworzył oczy i spojrzał na Luciena z

cynicznym uśmiechem. - Nie martw się. Na razie wszystko minęło. Muszę tylko czym

prędzej przelecieć jakąś dziwkę dodał cierpkim tonem. - Dziś powinien być niezły wybór. Ani chybi wszystkie kurwy są na stanowiskach i palą się do roboty!

- Pewien jesteś, że to dobry pomysł?

- Działa lepiej niż laudanum.

Damien podniósł się i wyprostował. Napięcie mięśni ustąpiło.

Lucien również wstał. Widział, jak brat przeistacza się, przywdziewa swój pancerz

ochronny. Był znów słynnym pułkownikiem Knightem, jak zawsze pełnym godności,

panującym zarówno nad sobą, jak i nad otoczeniem. Rozpacзлиwa komedia... ale widać

pomagała bratu utrzymać równowagę wewnętrzną. Damien otworzył okno i wdychał zimne nocne powietrze. Unikał wzroku Luciena.

- Przepraszam ode mnie pannę Montague... Tak mi przykro, że ją przestraszyłem. ..

- Nie trzeba żadnych przeprosin! Alice pragnie tylko, żebyś był zdrow. Tak samo jak

ja. - Lucien pokręcił głową. - Ale wiesz co, Damien? Nie łap zaraz za broń, jak cię to najdzie.

Ależ mnie nastraszyłeś! Jesteśmy bliźniakami, więc powinienem wiedzieć, że coś z tobą nie tak... Dawniej mogłem być na drugim końcu Europy, a zawsze miałem z tobą kontakt psychiczny. A teraz, niech to szlag! Obaj jesteśmy w Londynie, pod tym samym dachem, a ja nie miałem pojęcia...

- Bo nie chciałem, żebyś wiedział.

- Dlatego, że jesteś ciągle na mnie zły?

- Wcale nie jestem na ciebie zły.

Nie? Unikasz mnie od Bóg wie kiedy, jakbym był trędowaty! Damien zerknął na niego przelotnie.

- Owszem, bo próbowałem sobie wmówić, że ten... problem... nie istnieje. A wiedziałem, że ty byś mi na to nie pozwolił. Nic się przed tobą nie ukryje, Lucyfer! To cholernie denerwujące!

- Chcesz powiedzieć, że nie miałeś do mnie pretensji o to, że wystąpiłem z wojska?

- Pewnie, że nie! Byłem rad, żeś to zrobił. Gdybyś i ty dał się zabić, jak tylu naszych przyjaciół...

Niedopowiedziane słowa i zawarta w nich rozpacz zawisły między nimi w powietrzu jak ciężka chmura.

- Myślałem, że masz mi za złe moją nową profesję.

- Nie powiem, żebym piał z zachwytu. To brudne zajęcie... ale, jak powiada

Wellington, użyteczne. Ja bym go nie wybrał, szczerze mówiąc. Nie mam do tego głowy. Ale bardzo mi zaimponowało, że po Bajadoz postąpiłeś zgodnie ze swoim sumieniem. To nie była łatwa decyzja.

- Ach ty! - zaśmiał się cicho zaskoczony Lucien. Że też ci się udało tak mnie nabrać!

- Naprawdę? No, to już coś! - Żaloszny uśmiech Damiena zgasł niemal od razu. - Ale

teraz już koniec z udawaniem, prawda?

- Nie martw się! Zawsze umiałem utrzymywać sekrety. Przestań jednak wreszcie zadręczać się swoimi ludźmi i pomyśl o sobie! Wbrew temu, co głosi opinia publiczna, nie jesteś niezniszczalny... i nie musisz się tego wstydzić.

- Dobrze ci tak gadać, tobie nie padło na mózg! A tak nawiasem mówiąc dodał, zmieniając temat - mam nadzieję, że będziesz miał dość rozumu, żeby ożenić się z Alice. Cholerny z ciebie szczęściarz, żeś trafił na taką dziewczynę! Szczere złoto! Z miejsca dała mi kosza, wiesz? Powiedziała bez ogródek, że nic z tego, bo kocha ciebie.

Lucien uśmiechnął się od ucha do ucha i ruszył do drzwi.

- Wiem, wiem! Zapewniam cię, że odwzajemniam to uczucie z całego serca i oczywiście ożenię się z nią... A właśnie! Będziesz moim drużbą?

Damien spojrzał na niego spode łba.

- Jeśli nie boisz się zaprosić wariata na wesele, to z miłą chęcią Lucien zatrzymał się w drzwiach i rzucił mu spojrzenie pełne Otuchy.

- Każdy jest trochę zwariowany, mój drogi. Bez tego życie byłoby cholernie nudne.

Dobranoc! Jakbyś czegoś chciał, wiesz, gdzie mnie znaleźć!

- Dzięki - odparł cicho brat.

Lucien skinął głową i wyszedł z pokoju. Wędrował korytarzem do swojej sypialni, radując się odniesionym zwycięstwem. Kiedy otworzył drzwi, odkrył, że pokój jest nastrojowo oświetlony kilkoma świecami. Łóżko było przygotowane, a Alice czekała na niego przy płonącym kominku, skąpo odziana w cienką bawełnianą koszulę. Jej cudowne włosy spływały po ramionach kaskadą loków, gdy pochylała się nad parującą wanną, sprawdzając ręką temperaturę wody. Przygotowała dla niego kąpiel, podczas gdy on rozma-

wiał z Damienem.

Ach, jak to dobrze być mężczyzną! pomyślał, rzucając jej diaboliczny uśmiech.

Wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Na klucz.

- No, no! Cóż za miła niespodzianka!

- Chyba okropnie zgorszyłam waszego majordoma: poprosiłam, by zaprowadził mnie do twego pokoju. Usiłowałam mu wytłumaczyć, że to normalne, bo jesteśmy zaręczeni, ale, sądząc z jego miny, miał co do tego duże wątpliwości.

- Doprawdy?

Wpatrywał się w nią i czuł, że serce wzbiera mu miłością, kiedy tak szła ku niemu na paluszkach, na bosaka. Kochał jej oczy; kochał jej uśmiech; kochał jej białe, smukłe ramiona. Kochał zgrabne kostki u nóg, wyglądające spod rąbka jej koszuli. Kochał jej płynne ruchy i sięgające pasa gęste włosy, które powiewały, gdy biegła do niego. Boże, zmiłuj się!

Zawojowała go z kretesem.

Spuścił głowę oniemiały z zachwytu, kiedy stanęła przed nim. Trzymając go za klapy mokrego ubrania, wspięła się na palce i pocałowała go w usta, po czym ogarnęła go od stóp do głów troskliwym spojrzeniem. Błękitne oczy jak z katedralnego witraża pełne były powagi. Uśmiechnął się leciutko.

- Jak się czujesz? spytała rzeczowo.

- Mokro.

- Nic dziwnego. Coś ty wyrabiał?! Wpadłeś do rzeki, czy co?

- Coś w tym rodzaju.

- No to chodź!

Wzięła go za rękę i pociągnęła w stronę łóżka. Zmusiła go, by usiadł na brzegu, stanęła między jego rozstawionymi nogami i zaczęła go rozbierać.



- Zgrabnie ci to idzie!

- Chcę czym prędzej ściągnąć z ciebie te mokre łachy! Przeziębisz się, jeśli zaraz nie wskoczysz do gorącej kąpieli.

- Z przyjemnością... ale razem z tobą.

Uśmiechnęła się do niego, rozpinając nadal odporne guziki, i zarumieniła się prześlicznie.

- Czemuż by nie? Peg położyła Harry'ego do łóżeczka, więc masz mnie całą dla siebie.

- A to - odparł z uśmiechem, biorąc ją w ramiona jest dla mnie najlepsza recepta na absolutne szczęście!

# EPILOG

Pobrali się dwa tygodnie później w parafialnym kościele w Baaingstoke, po czym odbyło się wielkie przyjęcie weselne w Glenwood Park. Londyńska krawcowa Alice zdążyła uszyć przez ten czas przepiękna blad różową toaletę ślubną, Lucien zaś znalazł nieprzyzwoicie wielki brylant i kazał ozdobić nim pierścienek ślubny żony. Zdołali również powrócić z Wiednia ich książęce mości, książę i księżna Hawkscliffe, a wraz z nimi lady Jacinda i panna Carlisle. Tak więc cała rodzina Knightow, z wyjątkiem czarnej owcy, lorda Jacka, wzięła udział w uroczystości, napełniając radosnym gwarem salon w Glenwood Park. Alice była oczarowana swymi nowymi braćmi i siostrami. Bardzo przystojny książę Robert i jego olśniewająco piękna Bel oznajmili z triumfem, że na wiosnę rodzina się powiększy. Alice czuła się nieco onieśmielona w obecności Roberta, głowy rodu, ale rozbroiła ją jawna, wręcz bezwstydna miłość księcia do żony. A dowcipną i praktyczną Bel pokochała od pierwszej chwili, gdy księżna uściskała ją i nazwała „siostrzyczką”.

Najmłodsza z rodzeństwa, lady Jacinda, okazała się prześlicznym, pełnym temperamentu półdiabłem o różanych policzkach i złocistych lokach. Choć miała zadebiutować w towarzystwie dopiero w przyszłym roku, uroczą siedemnastolatka znała się już na flircie i błyskawicznie oczarowała wszystkich pięciu towarzyszy Luciena, którzy także zostali zaproszeni na wesele. Nieśmiała, poważna i pełna godności towarzysząca Jacindy, panna Carlisle, stała zawsze w cieniu, gotowa do wszelkiej pomocy. Alice zauważyła jednak jej pełne rozpaczliwej miłości spojrzenia, jakie rzucała ukradkiem na złotowłosego lorda Aleca, najmłodszego z braci Knightow. Nic miał jeszcze trzydziestu lat, był bawidamkiem i hulaką, spoufaloną z tymi, których lubił, i niesłuchanie wyniosłym wobec tych, co nie przypadli mu do gustu. Uroda godna Adonisa sprawiała, że - jak dotąd - osiągał wszystko, czego zapragnął.

Co się zaś tyczy Damiena, to tydzień wcześniej otrzymał tytuł hrabiego Winterley, miał teraz własny dwór i czterysta hektarów ziemi w hrabstwie Berkshire. Podczas ceremonii ślubnej hrabia stał dumnie przed ołtarzem jako družba Luciena.

Teraz Alice siedziała w końcu salonu, pogrążona w fascynującej konwersacji z Bel i kilkoma damami z sąsiedztwa. Rozmawiały o dzieciach. Ponieważ Bel i Alice nie miały matki ani siostry, Alice całym sercem zaangażowała się w sprawę pierwszej ciąży młodej księżnej. Mogły godzinami dyskutować na temat wystroju pokoi dzieciennych, wyboru imion dla maleństwa, wszystkich plusów i minusów angażowania mamki, najważniejszego momentu odstawienia dziecka od piersi oraz liczby potomstwa, które książęca para powinna sobie zafundować.

W tym właśnie momencie do salonu wtargnął Harry w pogoni za swoim kotkiem.

Alice za namową Luciena pozwoliła chłopcu adoptować jednego z hordy bezpańskich kotów buszujących po ogrodzie ich londyńskiej rezydencji. Ogromna atłasowa kokarda pod szyją chłopczyka, ubranego galowo w tym uroczystym dniu, trzepotała jak motyl, gdy pędził za kociątkiem, ale i ono nie dawało za wygraną. Pomknęło w stronę kanapy i postanowiło wdrapać się na nią po chorej nodze pana Whitby'ego. Starszy pan mimo woli krzyknął, co natychmiast zaalarmowało Luciena. Przerwał wesołą pogawędkę z braćmi i skoczył na pomoc swemu guwernerowi. Chwycił winowajcę za kark i zwrócił się do Harry'ego, który podskakiwał niecierpliwie, dopraszając się, by oddano mu ulubieńca.

Jednakże chłopczyk zapomniał całkiem o kocie i wybuchnął perlistym śmiechem, gdy lord Alec chwycił go na ręce i podrzucił do góry. Posadzony wreszcie na kanapie Harry pobiegł znów do lorda Aleca, spragniony dalszych akrobacji powietrznych.

- Jak to dobrze, Alec, że znalazłeś wreszcie przyjaciela na odpowiednim poziomie intelektualnym - zauważył sucho Robert.

Alec bynajmniej się nie spieszył, choć stojący w pobliżu goście wybuchnęli śmiechem.

Tylko Lucien nie zareagował: pochwycił właśnie spojrzenie żony. Przez całą długość salonu patrzyli sobie w oczy z takim natężeniem, że Alice poczuła, że ogarnia ją płomień. Jej mąż zerknął dyskretnie w stronę drzwi, a potem uniósł brew w niemym pytaniu. W odpowiedzi mrugnęła oczkiem tak, że nikt inny tego nie zauważył.

W chwilę później pod pierwszym lepszym pretekstem pożegnała się grzecznie z Bel i wymknęła się na sekretną schadzczkę ze swym wybranym.

